

THRILLER PSYCHOLOGICZNY

ONA JEST W TWOIM DOMU.
KONTROLUJE TWOJE ŻYCIE.

ASYSTENTKA

S.K. TREMAYNE

AUTOR BESTSELLERA

BLIŹNIĘTA Z LODU

CZARNA OWCA

S.K. TREMAYNE

ASYSTENTKA

Przełożył Bartłomiej Nawrocki



WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Od autora

W książce wielokrotnie przywoływałem dzieła Sylvii Plath. Cytaty pochodzą z wierszy: Śmierć i spółka, Spotkanie pszczelarzy, Niepokojące muzy, Electra on Azalea Path (Elektra na Azalea Path), Face lift, Zwierciadło, Wiąz oraz Bezdzienna kobieta.

Dziękuję wydawnictwu Faber & Faber za zgodę na zacytowanie przede wszystkim dwóch utworów: Monachijskie manekiny oraz Tata, zawartych w zbiorze Collected Poems (Wiersze zebrane) Sylvii Plath¹.

Jak zwykle mam ogromny dług wdzięczności u mojej agentki, Eugenie Furniss, oraz redaktorek – Jane Johnson i Sarah Hodgson – za ich niezwykłą mądrość i przenikliwość.

Na koniec chciałbym podziękować mojej ukochanej żonie, Star, za wszystkie rozwiązania i pomysły, które podsuwała mi po drodze.

Rozdział 1

Jo

Jesteś: kobietą / mężczyzną / inne?

To akurat całkiem proste. Pomimo tego, że w wieku dziesięciu lat fascynowało mnie rugby, a gdy skończyłam dwanaście, chciałam zostać astronautką (pamiętam niejasne oburzenie na wieść o tym, że tylko chłopcy mogą być prawdziwymi astronautami), tej odpowiedzi jestem pewna.

W popołudniowej szarówce pochylałam się nad rozświetlonym ekranem laptopa i klikam:

kobietą

Jesteś: hetero / homo / bi / inne?

To zajmuje mi chwilę, chyba nawet nieco dłuższą. Nie mam wątpliwości co do swojej orientacji, jestem po prostu zdezorientowana – co w tym kontekście miałyby znaczyć „inne”? Jaka jest czwarta możliwość? Duchy? Kucyki? Meble? To prawda, że moja ukochana mama podnieca się niezdrowo, czytając czasopisma o wystroju wnętrz, ale nie wydaje mi się, by ta strona była skierowana do niej i jej rówieśników.

Chociaż kiedy tak siedzę przy laptopie w coraz słabszym zimowym świetle, myślę, że spodobałby mi się czwarty wybór. Lub piąty. Albo, cholera wie, siedemdziesiąty ósmy. Bo jeśli spojrzeć na te, których dotychczas w życiu dokonałam, można by powiedzieć, że nie były do końca trafione. W wieku trzydziestu trzech lat jestem prawie bezdomną, bezdzielną rozwódką. Może nie jest jeszcze tak najgorzej – walczę z serwisem randkowym w eleganckim mieszkaniu w północnym Londynie, w tej części Camden, która niezauważalnie przechodzi w pięciopiętrowy przepych georgiańskiego Primrose Hill. Ale wiem, że jestem tu tylko dlatego, że moja bogatsza przyjaciółka, Tabitha, zlitowała się nad swoją świeżo rozwiedzioną koleżanką bankrutką. „Może

zamieszkaś u mnie, mam wolny pokój, w zasadzie z niego nie korzystam...”

W zakłopotanie wprowadził mnie ton, którym złożyła mi tę propozycję – byliśmy w pubie przy Belsize Park – tak bezinteresowny, tak swobodny i normalny, że niemal zblazowany, jakby mówiła „a co mi tam”. Poczułam wtedy naraz ogromną wdzięczność (natychmiast polubiłam ją jeszcze bardziej – zabawną, miłą, hojną, najlepszą z najlepszych przyjaciółek), wyrzuty sumienia oraz drobne ukłucie zazdrości.

Siedzę i patrzę w okno. Zapadł już zmrok, a w odbiciu widzę swoją twarz.

No dobra, byłam po prostu zazdrosna, choć tylko przez minutę lub dwie. To, co dla mojej przyjaciółki nie miało praktycznie żadnego znaczenia – „Hej, proszę, to wolny pokój w fajnym mieszkaniu” – dla mnie było jednocześnie tak ważne i trudne. A ona nie zdawała sobie z tego sprawy.

Wszystko dlatego, że Tabitha Ashbury nie tylko już coś posiada, lecz także coś jeszcze odziedziczy. Kocham ją, ale nigdy nie zrozumie, jak to jest mieszkać w Londynie i nie mieć nic swojego.

W przeciwieństwie do niej należę nawet nie do pokolenia, które wynajmuje, ale do pokolenia, które stać na wynajem tylko tam, gdzie regularnie organizowane są ustawki nożowników. A ponieważ jestem dziennikarką i freelancerką, nic nie wskazuje na to, żeby w najbliższej przyszłości miało się to zmienić. Zostałam freelancerką, kiedy słowo „freelance” samo w sobie było już świetnym żartem: jasne, rozumiem, że będę pisała w zasadzie za free, ale gdzie moja lanca? Nie będziemy się pojedynkować?

Cokolwiek by mówić, pomimo wszystkich związanych z nią wyzwań, praca była zdecydowanie jednym z moich lepszych życiowych wyborów. Kocham ją. Dzieje się dużo, robię coś ważnego, a raz na jakiś czas mogę pomyśleć, że choć trochę zmieniłam świat na lepsze, ujawniając jakiś skandal lub opowiadając porządną historię. Albo wywołując wesołe prychnięcie zdaniem, którego wymyślenie zajęło mi sześć godzin. Ale iskra ludzkiego szczęścia nie pojawiłaby się, gdyby nie moja ciężka praca. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Pochylając się z powrotem nad laptopem, próbuję skupić się na czymś innym. Mam mieszkanie (choć więcej w tym szczęścia niż rozumu), pracę (choć o pensji lepiej nie mówić), nie mam drugiej połówki. I powoli

zaczynam odczuwać jej brak. Liczę na to, że cyfrowa wróżka chrestna machnie różdżką, a magia algorytmów i internetowych randek popchnie mnie wprost w objęcia nowego mężczyzny.

Odpowiadam:

hetero

Ekran rozjaśnia się, gdy na stronie wyświetla się seria ciepłych zdjęć pokazujących, co mogłoby się wydarzyć. To obłąkańczo szczęśliwe wizje emocjonalnego i erotycznego spełnienia, na których piękne pary śmieją się, siedząc blisko siebie.

Młoda Chinka sączy czerwone wino i obejmuje białego uśmiechniętego mężczyznę z zarostem, który sprawia, że wygląda odpowiednio męsko, ale jeszcze nie jak potencjalny kryminalista. Przystojni geje (jeden biały, jeden czarny) w karnawałowych nastrojach trzymają się za ręce i nakładają sobie na twarze czerwoną farbę. Obok nich wyjątkowo dobrze zakonserwowana starsza para, która znalazła miłość na przekór wszystkiemu – a teraz z niewyjaśnionych przyczyn spędza cały swój czas w kolejce górskiej. Wszyscy ci szczęśliwi i wdzięczni serwisowi randkowemu ludzie są obietnicą czegoś lepszego niż ponury widok z wysokich okien mieszkania za milion funtów: chłodny, deszczowy, nieprzyjazny londyński zmierzch, który zapadł o piętnastej. Czegoś lepszego niż świat, w którym robi się tak zimno i ciemno, że wściekle czerwone światła aut na zakorkowanej Delancey Street lśnią jak oczy diabła w wiktoriańskiej mgle.

Odwracam się w stronę jednego z domowych asystentów Tabithy, ustawionego na dębowym regale; wykonany na zamówienie mebel stoi pod ścianą wysokiego salonu. Wszystko w mieszkaniu Tabithy jest tak eleganckie i gustowne, że czasem obiecuję jej w prezencie zegar w kształcie trolla z przeceny na Parkway, żeby „rozjaśnić to miejsce”. Z kamiennym wyrazem twarzy czekam, aż dotrze do niej, że to żart, i obydwie wybuchamy śmiechem. Uwielbiam z nią mieszkać – łączy nas identyczne poczucie humoru, które wykształca się jedynie między starymi przyjaciółmi.

Albo między idealnymi kochankami.

– Electra, jaka będzie dzisiaj pogoda w Londynie?

Wierzchołek czarnego domowego asystenta lśni w odpowiedzi szafirowym diademem; głos, lekko nadęty, trochę jak u starszej siostry, która ukończyła lepszą szkołę, odpowiada:

– Dzisiejsza prognoza dla Camden Town to mniej niż jeden stopień Celsjusza. Prawdopodobieństwo opadów deszczu wynosi sześćdziesiąt procent po północy.

– Dzięki, Electra.

– Po to tu jestem!

Simon i ja korzystaliśmy z wcześniejszych, tańszych wersji asystentów do inteligentnego ogrzewania i oświetlenia, ale Tabitha ma najnowszy, pełny zestaw: Electra X, HomeHelp, Minerva Plus – wszystko. Sześć lub siedem urządzeń porozstawianych po całym mieszkaniu odpowiada na pytania, opowiada przekombinowane, nieśmieszne żarty, informuje o kursach funta i dolara, cytuje doniesienia na temat trzęsienia ziemi w Chile. Oprócz tego w pełni kontrolują temperaturę, natężenie światła i prawdopodobnie także ilość szampana (mnóstwo dobrych roczników, z czego żadna butelka nie należy do mnie) w potężnej, mierzącej dwa i pół metra stalowej lodówce. Można byłoby ukryć w niej kilka ciał, a i tak znalazłoby się miejsce na karton organicznego orzechowego mleka.

Jak na ironię, Tabitha prawie w ogóle nie korzysta z dobrodziejstw swojego inteligentnego domu i nie pije smoothies ze spiruliny i orzechowego mleka, bo rzadko kiedy tu bywa. Siedzi albo za granicą – jako producentka jednego z kanałów przyrodniczych – albo w przepięknym, zabytkowym domu swojego narzeczonego Arla w Highgate, jeszcze bardziej luksusowym niż jej apartament. Urządzenia Arla są już prawdopodobnie tak zaawansowane, że potrafią samodzielnie zaprosić odpowiednich przyjaciół na spontaniczny i udany trójkąt.

Brakuje mi seksu. Brakuje mi również towarzystwa Tabithy. Kiedy się wprowadzałam, miałam nadzieję, że będę ją widywała częściej. Czasem wydaje mi się, że po prostu brakuje mi jakiegokolwiek towarzystwa. Może to jeden z powodów, dla których polubiłam, ku swojemu zdziwieniu, cyfrową pomoc domową. Asystentów. Czasami żartuję i drażnię się z nimi tylko po to, by usłyszeć głos inny niż swój: „Jaka jest pogoda w Ekwadorze? Po co tu jesteście? Czy można w tym samym momencie oglądać porno i jeść dip z delikatesów?”

W pewien sposób te gadzety są jak mniej uciążliwe i wymagające zwierzątka, które robią urocze i pożyteczne rzeczy; pies, którego nie trzeba wyprowadzać, ale wciąż przynosi piłkę, klapki lub „gazetę” – dla mojej mamy niezmiennie źródło codziennych wiadomości. Swoją drogą boję się czasem, że jest prawdopodobnie jedną z ostatnich osób na

świecie, które pytają jeszcze: „Czytałaś dzisiejszą gazetę?”. A kiedy jej pokolenie zniknie, moja kariera pójdzie się...

No nieważne.

– Electra, czy powinnam ruszyć dupę i wypełnić ten profil?

– Wolałabym nie odpowiadać na to pytanie.

Ha, znowu to samo – ton pruderyjnej, wrażliwej, lepiej wychowanej siostry (której nigdy nie miałam), zdecydowanie niepochowalającej przekleństw. W rzeczywistości mam starszego brata. Mieszka w Los Angeles, pracuje w branży filmowej, ożenił się z wygadaną prawniczką i ma cudownego synka, Caleba, którego uwielbiam. Jeśli dobrze się orientuję, mój brat – zamiast faktycznie robić filmy – spędza czas na spotkaniach i imprezach w willach z basenem, rozmawiając o projektach, które „dostały zielone światło” lub „utknęły w produkcyjnym piekle”.

Chciałabym, żeby je robił, bo chciałabym, żeby zajął się filmem lub serialem napisanym przeze mnie. Kiedyś. Może. Mam wrażenie, że to jedyne wyjście ze ślepego zaułka, w którym utknęła moja, skądinąd przyjemna, kariera. Dzisiaj pieniędzy należy szukać w kinie i telewizji, a nie w dziennikarstwie. Ostatnio podliczyłam, że mam jakieś sześćset funtów oszczędności; serio, maks sześćset funtów odłożonych na drogocennym koncie oszczędnościowym. Ponoć tylko dwie pensje dzielą cię od życia na ulicy; idąc tym tropem, mogłabym wylecieć na to zimno w ciągu jakichś dziesięciu dni, jeśli bankowi znudziłoby się znoszenie mojego debetu.

No więc z uporem maniaka czytam ekspertów pokroju Syda Fielda czy Roberta McKee i przebijam się przez każdy podręcznik dla scenarzystów, jaki wpadnie mi w ręce, ucząc się o rytmie, angażowaniu widza, punktach kulminacyjnych i trzyaktowej strukturze. Jak na razie każdy scenariusz, który napisałam, był do niczego, a wszystkim intrygom i dramatom brakowało... intrygi i dramatu. Ale będę próbowała, bo jaki mam wybór?

Chcąc się rozerwać, spoglądam na regał.

– Electra, podaj mi pomysł na genialny film.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Electra, jesteś cholernie bezużyteczna.

Cisza.

– Electra, przepraszam. Tylko żartowałam.

Nie odpowiada. Nie widać nawet tej świecącej zielononiebieskiej obwódki. Dziwne. Zepsuła się? Czy tym razem naprawdę ją obraziłam?

Nie, chyba nie. Raczej trudno dotknąć do żywego plastikowy cylinder wypełniony krzemowymi procesorami. Czyli powinnam przestać marudzić i zabrać się do wypełniania formularza.

Wracam do swojego wirtualnego autoportretu.

Imię i nazwisko?

Jo

Tak naprawdę Josephine, ale jako nastolatka zaczęłam skracać swoje imię do Jo, bo tak brzmiało fajniej. Będę bronić tej nastoletniej decyzji. Czy przez to mężczyźni pomyślą, że jestem zbyt męska? Jeśli tak, będą to idioci, a nie faceci, którzy mnie interesują.

Jo

Jo Ferguson

Wiek?

I co? Czy powinnam...? Nie.

Znam parę kobiet w moim wieku – facetów też – które zaczęły odejmować sobie po kilka lat na Tinderze, Grinderze czy innych kreatorach lepszego „ja”, ale osobiście nie czuję takiej potrzeby. Mam trzydzieści trzy lata, prawie trzydzieści cztery. Dobrze mi z tym. Jasne, pierwsza kwitnąca młodość już za mną, ale jednak daleko mi do totalnego rozkładu. Nadal widzę, jak mężczyźni oglądają się za mną, kiedy przechodzę obok.

33

Miejsce?

Londyn

Kod pocztowy?

Podchwytliwe. Dla każdego, kto rozumie zawile klasowe sygnały i wyczuwa subtelne społeczne feromony wydzielane przez londyńskie kody pocztowe, ten obecny, NW1, w połączeniu z moim wiekiem może oznaczać kogoś bogatego, a najpewniej – bogatego i powiązanego ze światem artystycznym. Kogoś, kto spotyka się z aktorami lub reklamowymi potentatami w stylowym pubie The Engineer. Albo to, albo samotną matkę, która została dilerką.

Ale przecież nie jestem NW1, żadna ze mnie ćpunka czy artystka. Nadal bliżej mi do N12, North Finchley, gdzie do niedawna mieszkałam z moim byłym mężem, Simonem. Wynajmowaliśmy przeciętne, przygnębiające

i już na pierwszy rzut oka nie nasze dwupokojowe mieszkanie z dobrym dojazdem do sympatycznej dzielnicy Muswell Hill. A tak naprawdę, w głębi duszy, wciąż jestem dziewczyną, która dorastała daleko w SE25, w Thornton Heath, zapomnianej i zapuszczonej okolicy, w której zawsze jest się maksymalnie dwie minuty drogi od najbliższego kebabu. To jedno z tak mało znanych miejsc na przedmieściach Londynu, że nie kojarzą go nawet pozostali „przedmiejscy londyńczycy”, co w pełni uzasadnia banalne i nieśmieszne dowcipy o wizach wymaganych, by się tam dostać. Czyli w rzeczywistości jestem 25 lub 12, ale w tym momencie, tylko dzięki zwykłemu fartowi, jestem 1.

Nad czym ja się zastanawiam?

NW1

– Electra, która jest godzina?

– Jest siedemnasta trzydzieści.

Siedemnasta trzydzieści?

Spędziłam nad tym formularzem godzinę, prawie dwie, i jak dotąd podałam imię, płeć, wiek i adres. Wzdychając ciężko, klikam kolejny przycisk, a strona przybiera kolor delikatnej akwamaryny – być może dlatego, że pytania stają się coraz bardziej pikantne.

Czy szukasz:

1. niezobowiązującego seksu?

2. nowych przyjaciół?

3. randek?

4. stałego związku?

Na dole jest jeszcze jedna opcja – Czy akceptujesz związki otwarte?

Auć. Jakaś część mnie chętnie odpowiedziałaby na to ostatnie pytanie: „na pewno tak się zachowywałam”. Ale to z pewnością zbyt szczerze: to ja to wszystko zaczęłam, ja podpaliłam długi i smutny lont, który doprowadził do naszego rozvodu. Zaczęłam pisać z zabawnym, seksownym Liamem – barmanem i przyszłym aktorem. Początek z jego strony był zupełnie niewinny – twitterowy komplement na temat moich artykułów rzucony ot tak przez człowieka, którego nigdy nie spotkałam. Najpierw zostaliśmy znajomymi na Facebooku, potem obserwowaliśmy się na Instagramie i gadaliśmy na WhatsAppie. A już po kilku dniach wysyłałam do niego niekończące się ciągi pikantnych wiadomości i nagich selfie; on był inteligentny, dowcipny i zabawny, a ja znudzona. Oprócz tego w moim małżeństwie nic się nie działo, byłam głupia, no

i bawiło mnie to, choć doskonale wiedziałam, że robię coś złego. Po tym, jak Simon – mój mąż – odkrył trzy miesiące moich wirtualnych zdrad, raczej nie mogłam go winić za romans z Polly, sympatyczną pielęgniarzką.

Słyszałam, że Polly za mną nie przepada; jestem typem bylewej, która pojawia się w życiu Simona nieco za często. Ale co mogę zrobić? Ma prawo mnie nie lubić. No dobra – jest to co najmniej całkowicie zrozumiałe.

Wraz ze wspomnieniami ogarniają mnie smutek i poczucie winy. Nagle przychodzi mi do głowy, że strona zadaje za dużo pytań. Co będzie za chwilę? „Co myślisz o swoim ojcu”?

Prostuję się i wyłączam laptopa. Czuję się, jakbym głaskała kota, który natychmiast zasypia. Dokończę potem. Potrzebuję powietrza, ciemności, swobody.

– Electra, idę na spacer na Primrose Hill.

Niebieska obręcz tańczy w odpowiedzi. Wiruje szybko, potem jeszcze szybciej, jakby coś siedziało w środku. Coś rozjuszonego, wściekłego. Żywego. Czy powinna tak robić? Ta myśl wytrąca mnie z równowagi – chyba jednak nie jestem jeszcze do końca przyzwyczajona do tej technologii. Muszę poszukać instrukcji w sieci. Pewnie została zaprojektowana, żeby tak działać.

Niebieskie światło kręci się i zatrzymuje. Potem gaśnie.

Biorę płaszcz, idę do kuchni, w której robię sobie gorącą kawę, i ruszam w stronę drzwi. Potrzebuję anonimowości niekończących się ulic. Wielkiego, obojętnego miasta.

Kocham Londyn właśnie z powodu jego ogromu i bezkresu. Nikogo nie obchodzi, kim jesteś. Nikt nie zna twoich sekretów.

Rozdział 2

Jo

Przyjemnie zimny wiatr zapowiada nadejście śniegu. Owinąwszy się kolorowym, ostrzegawczym szalikiem, przechodzę przez skrzyżowanie przy Parkway. To społeczna granica, która oddziela burżujską część Camden od superburżujskiego Primrose Hill, które niczym snobistyczna i zamkowa osada skrywa się za swoimi kanałami, torami i rozległymi terenami Regent's Park.

Ściskam w ręce kubek gorącej kawy. To dla miejscowego bezdomnego, który zazwyczaj przesiaduje na murku po drugiej stronie Delancey Street, między pubem a torami kolejowymi. To wysoki czarny gość po pięćdziesiątce ze smutną, miłą twarzą i skołtunionymi włosami. Kiedy się wprowadziłam, Tabitha powiedziała mi, że przychodzi tu ze schroniska dla bezdomnych przy Arlington Road, żeby wołać za samochodami: „Lubię auta. A ty? No, Mercedes, to dopiero wóz. Ach, te auta!”.

Z tego powodu mówi na niego Samochodzik, tylko z tym się jej kojarzy. Zazwyczaj jednak po prostu go ignoruje. Ja natomiast w ciągu kilku ostatnich tygodni miałam okazję go poznać. Tak naprawdę ma na imię Paul, chociaż przez Tabithę nie mogę przestać o nim myśleć jako o Samochodziku. Czasami, kiedy wieczorem robi się bardzo zimno, jak dzisiaj, wynoszę mu kubek gorącej herbaty albo zupę, żeby mógł się rozgrzać. Mówi mi wtedy, że jestem ładna i że powinnam mieć męża, a potem odwraca się i woła: „Auta, auta, auta!”. W takich momentach uśmiecham się do niego, żegnając się i wracam do środka.

Tego wieczoru jest jednak za zimno nawet dla niego – skulony w rogu muru biegnącego wzdłuż torów, postępuje cicho, zamiast krzyczeć coś o bentleyach. Kiedy mnie dostrzega, podnosi się ze smutnym, pustym uśmiechem.

– Hej, Jo! Skąd wiedziałaś, że jest mi zimno?

– Bo jest jakieś cholerne minus pięćset. Nie powinieneś wrócić do schroniska? Zamarzniesz tu, Paul.

– Przyzwyczailem się. – Wzrusza ramionami, chętnie sięgając po kawę.
– Poza tym lubię oglądać auta!

Kręcę głową, uśmiechamy się do siebie, a Paul obiecuje, że odda mi kubek jutro. Jak zawsze. Ponieważ często o tym zapomina, muszę kupować nowe. Nie przeszkadza mi to.

Ruszam dalej, machając mu na pożegnanie.

Taksówka przemyka obok mnie, pomarańczowe światło na dachu świeci desperacko w poszukiwaniu pieniędzy. Zastanawiam się, czy Uber zdąży wykończyć miejskie taryfy, zanim internet dobije płatne dziennikarstwo. Obydwie branże ledwo zipią, pędząc ku zagładzie w mroku londyńskiego deszczu. Nie chcę jeszcze umierać. Nie kiedy mam do napisania swój zajebiście dobry scenariusz. A przynajmniej mam nadzieję, że taki właśnie będzie.

Czekając na zielone światło, podskakuję w miejscu, żeby się rozgrzać. Przede mną moja stała trasa, chodzę nią niemal co wieczór. Najpierw idę pod górę Regent's Park Road, potem główną ulicą Primrose Hill, a następnie skręcam w Gloucester Avenue i wracam do domu. Zajmuje mi to jakieś czterdzieści pięć minut. Zastanawiam się, czy ludzie kojarzą mnie już przez regularność tych patroli. „O, to ta, co zawsze tędy chodzi. Ciekawe, czego szuka”.

Kiedy przechodzę przez ulicę, wpadam na pomysł – zadzwonię do Fitz. Poznałam go przez Tabithę, lata temu. Smukły, lekko siwiejący, czarująco inteligentny, no i cyniczny, lecz sceniczny Fitz. Moglibyśmy wyskoczyć gdzieś na drinka. Pojechać uberem do gejowskich barów w Soho, gdzie zazwyczaj można go spotkać. Lubię, jak wszyscy w takich miejscach potrafią jak na zawołanie przestać pić, żeby zaśpiewać pożądliwie refren Can't Take My Eyes Off You Andy'ego Williama.

„I love you baaaaaby...”

Mijając wspianiałe, pastelowe domy obok kościoła św. Marka, wydaję telefon z kieszeni i sztywnymi palcami wybieram numer.

Poczta głosowa.

– Cześć, tu Fitz, nie masz szczęścia, kochanie. Opowiem ci wszystko jutro.

To jego standardowe nagranie. Kiczowate z pełną premedytacją. Chichoczę cicho w zamarzającą wełnę szalika i dalej przeszukuję książkę

adresową. Do kogo jeszcze zadzwonić? Z kim mogłabym się napić? Tabitha jest w Brazylii. Carl pracuje poza miastem. A reszta... gdzie jest reszta?

Gdzie indziej, oto gdzie. Za każdym razem, kiedy przeglądam listę kontaktów, prawda boli coraz bardziej. Moi znajomi, rówieśnicy, kumple od piwa, przyjaciółki i przyjaciele z uniwerku – porozjeżdżali się. Ale dopiero po rozwodzie z Simonem zdałam sobie sprawę, jak wielu z nich zniknęło. To znaczy – wzięli ślub, ich małżeństwa przetrwały, a oni sami mają dzieci i wyprowadzili się ze stolicy do domów z ogrodami. Wszystko to robi się, oczywiście, po trzydziestce, chyba że ma się i majątek, i nieruchomości, jak Tabitha. Mieszkanie w Londynie jest wystarczająco trudne w wieku dwudziestu lat – wymagające, lecz ekscytujące, jak zjazd na nartach z lodowca. Ale życie w Londynie po ślubie i z dziećmi jest praktycznie niemożliwe. Jak wspinaczka w Himalajach bez stałego dopływu tlenu.

Jestem jedną z nielicznych, którzy zostali. Ostatni żołnierz na polu bitwy.

Przechodząc przez skrzyżowanie z Albert Terrace, zaczynam podchodzić pod Primrose Hill, a mój palec zatrzymuje się na „J” i widzę numer do Jenny. To chyba moja jedyna przyjaciółka z dzieciństwa, nie licząc Simona. Jenny przychodziła do naszego domu cały czas, bawiłyśmy się wspólnie, nocowałyśmy u siebie, dopóki jej rodzice się nie rozwiedli. Wtedy postanowili się wyprowadzić, a ja w zasadzie straciłam z nią kontakt. Simon nie, bo ostatecznie wylądowali w tej samej branży.

Jenny pracuje w jednej z największych firm technologicznych w King's Cross. Dzięki temu, kiedy jakieś trzy, cztery lata temu pisałam swój przełomowy artykuł na temat wpływu Doliny Krzemowej na nasze życie, udało nam się odnowić znajomość.

Wiedziałam wtedy, że ta historia może pomóc mi wyrobić sobie nazwisko, zaimponować wydawcom i przeskoczyć kilka szczebli w karierze. Bez żenady wykorzystałam więc swoje kontakty (męża) i poważnie wkurzyłam kilka istotnych źródeł, ujawniając ich tożsamość (sorry, Arlo); spotkałam jednak fascynujących ludzi, a z niektórymi nawet się zaprzyjaźniłam. No i na nowo zbliżyłam się do starej przyjaciółki.

Odbiera natychmiast. Kocham cię, Jenny. Jest dla mnie cenną więzią z przeszłością, z czasami, zanim wszystko się zepsuło. Z chwilami, kiedy tata ganiał nas po domu w Thornton Heath i bawił się z nami

w chowanego. Z ekscytacji serca podchodziły nam do gardeł, gdy krzyczał: „SŁYSZĘ WAAAS!”. Kuliliśmy się wtedy we dwie, chichocząc pod łóżkiem lub w ciemnej szafie.

Utracone dzieciństwo.

– Hej, Jo. Co tam?

– Nudzi mi się – mówię dość gwałtownie. – Zajebicie mi się nudzi. Próbowałam założyć profil na OKCupid, ale to jakaś masakra, więc pomyślałam, że może chciałabyś wypić ze mną beczkę prosecco. Dwie beczki. W końcu jest już dawno po dwunastej.

Chichocze w odpowiedzi.

– Bardzo bym chciała, ale dzisiaj nie mogę.

Słyszę charakterystyczny dźwięk otwieranej zapalniczki Zippo, potem głęboki wdech. Gdzieś w tle brzęczą auta. Stoi na zewnątrz?

– Gdzie jesteś?

– W King’s Cross, wyszłam na fajkę. Ale zaraz muszę wracać, jestem w Gwieździe Śmierci.

– O?

– Aha – potakuje, wypuszczając dym. – Będę tu siedzieć do jakiejś północy albo i dłużej. – Zaciąga się papierosem i dodaje: – Jezu, jak tu zimno.

Jenny spędza w pracy absurdalnie dużo czasu. Prawdopodobnie zarabia masę kasy na programowaniu czy czymś w tym stylu, ale w zasadzie o tym nie mówi. Gada głównie o seksie. Najwidoczniej jest moją Oficjalną Puszczalską Przyjaciółką. Spokojnie, nigdy bym jej czegoś takiego nie powiedziała. Nazwała się tak sama, kiedy przy mulach z frytkami niedaleko jej firmy odnawialiśmy naszą przyjaźń. „Wszyscy muszą mieć puszczałskich przyjaciół – stwierdziła – żeby poprawić sobie samopoczucie. A ty masz kogoś, kto jest bardziej wyuzdany od ciebie?” Rozśmieszyła mnie wtedy i rozśmiesza mnie do tej pory; zawsze zna najnowsze plotki, a w jej hedonistycznym stylu bycia kryje się jakiś smutek, który sprawia, że jest jeszcze zabawniejsza i miłsza.

Przyciskam telefon do zmarzniętego ucha i słyszę jej pytanie:

– A jak idzie z tym profilem?

– Hm, nie najlepiej...

Przerywam, żeby złapać oddech. Jestem prawie u szczytu Primrose Hill, to ostatni, stromy kawałek, na którym zawsze brakuje mi tchu.

Zdecydowanie powinnam zacząć chodzić na siłownię. Jenny nie odpuszcza:

– Nie najlepiej? To znaczy?

– To znaczy, że w ciągu kilku godzin doszłam do tego, że jestem trzydziestotrzyletnią heteryczką, która szuka poważnego związku, randki, niezobowiązującego seksu albo chociaż macanka w kiblu. Myślisz, że mogę wyjść na zdesperowaną?

– Heh, nie. Dasz radę! Przecież na świecie są jeszcze jacyś faceci, prawda? Widziałam ich!

– Czyli picie odpada?

– Nie dzisiaj, Josephine. Może spróbujemy jutro? Okej, wracam do tego upierdliwego kodu, zanim zamienię się w nietoperza. Powodzenia!

Kończy rozmowę, a ja jestem już na górze. Widok z tego punktu, rozciągający się od srebrnych biurowców w Canary Wharf aż po szkarłatny łuk London Eye, nieodmiennie robi na mnie wrażenie. Nie wiem, czy to z powodu tego lśniącego od mrozu pejzażu, czy po prostu dlatego, że usłyszałam głos Jenny – ale czuję się dużo lepiej. Pełna sił. Smutek znikł.

Jenny ma rację, muszę wziąć się w garść. Dam radę. Przecież to tylko profil randkowy. A ja bardzo potrzebuję randki.

Stąd mam już z górki, a ponieważ nie chcę tracić czasu na pełne okrążenie, wracam po prostu tą samą drogą. Śnieg z każdą chwilą pada coraz mocniej. Przyspieszam kroku, mijając rozległe, białe, kompletnie opustoszałe posiadłości.

Ten mały, bogaty fragment Londynu przypomina czasem miasto duchów. Latarnie oświetlają zimne, pastelowe ściany, a bezlistne drzewa sięgają pomarańczowego nieba. Nowe apartamentowce z miesiąca na miesiąc świecą pustkami. Okna są czarne jak azteckie zwierciadła, obsydianowe prostokąty, w których nic się nie odbija. Gdzie są wszyscy?

Nigdzie. Nikogo tu nie ma. Tylko ja. I śnieg.

Dziesięć minut później siedzę przy laptopie, wpatrzona w OKCupid. Chcę, by moja osoba sprawiała wrażenie atrakcyjnej, ale nieco inaczej, seksownej, ale bez przesady, dowcipnej, ale nie cynicznej, ciekawej, szczerzej, pewnej siebie, ale nie zuchwałej. Nie mogę się poddać, ale tych pytań jest tak dużo...

Dociera do mnie, że potrzebuję ginu z tonikiem. Dwie solidne szklanki powinny wystarczyć, żebym nabrała odwagi, inteligencji i poczucia

humoru (nie idiotycznego). Kiedyś jeden ekspert (który regularnie występował w śniadaniówkach) powiedział mi, że idealna ilość alkoholu, której potrzebujemy, by lepiej sobie radzić (z regularnymi występami w śniadaniówkach), to pół butelki szampana. Na tej podstawie doszłam do wniosku, że dwa giny z tonikiem to idealna ilość alkoholu, by uporać się z każdą trudnością w życiu.

Wróciwszy z kuchni z drugą już szklanką, zmuszam się, żeby usiąść i pisać.

Narodowość?

Angielska

Wzrost?

157 centymetrów

Wykształcenie?

Bezużyteczny magister

Chyba znowu się nudzę.

Religia?

Brak. No chyba że świeci słońce – wtedy myślę sobie, że kto wie...

Krzywiąc się, skreśliłam ostatnie zdanie. Brzmi zbyt dziwnie. Choć w sumie... co mi tam, to prawda. Generalnie nie wierzę, ale kiedy dzień jest piękny i słoneczny, a świat opływa w szczęście, myślę, że Bóg istnieje. Problem polega na tym, że prawdopodobnie wypił nieco za dużo do obiadu. Może powinnam to napisać?

Uspokój się.

Czy masz zwierzęta?

Niedźwiedzia brunatnego

Dieta?

Gin

Wszystkożerna

Palisz?

Jeszcze nie. Ale zamierzam zacząć po sześćdziesiątce, bo wtedy palenie będzie zapobiegać alzheimerowi. Serio.

Narkotyki?

Gin!

Większość ludzi, która Cię zna, powiedziałyby o Tobie, że jesteś...

Kiepska w zakładaniu profili randkowych

Niska

Twoje cele?

Wiosna

Jaka jest Twoja złota zasada?

Nie mieć złotych zasad, bo zawsze się je łamie.

Boże, jestem subtelna jak dwubiegunowa alkoholiczka. Jeden gin by chyba wystarczył.

Wygląda na to, że prawie skończyłam. Nie jest to najlepszy profil na świecie, ale na pewno nie jest też najgorszy. Poza tym można z niego wyciągnąć całkiem rozsądne wnioski na mój temat – to znaczy na temat tego, jaka jestem, kiedy czuję się nieco samotna i trochę złośliwa. Światło latarni za oknem przysłania śnieżna zawierucha.

Zostaje jeszcze pierdyliard dodatkowych pytań, na które mogłabym odpowiedzieć, ale wybiorę tylko trzy, a potem przestanę walczyć o swoje szczęście. Do jutra. Zawsze jest jakieś jutro.

Cenisz sobie...

Szczerość. Staromodną szczerość. I srirachę na kanapce z tuńczykiem.

Jeśli trafiłabyś do więzienia, to za co?

Za kłamstwa na internetowych serwisach randkowych.

Sześć rzeczy, bez których nie mogłabyś się obejść:

1. Ekspres do kawy
2. Przyjaciele (ooo...)
3. Ekspres do kawy
4. Durne listy
5. Dobra pamięć
6. Tego zapomniałam...

Tak naprawdę mam dobrą pamięć, ale kogo to obchodzi. Koniec, czas odpocząć. Skończyły mi się suchary i kąśliwe dowcipy. Mam nadzieję, że pozostałam wystarczająco intrygująca i kusząco inna. Albo po prostu wyszłam na wariatkę. Nieważne. Prawie zamykam laptopa, żeby nalać sobie trzecią i ostatnią szklanekę, gdy nagle mnie oświeca... Cholera, z d j ę c i e. M u s z ę mieć zdjęcie. Mogę być najgorsza na świecie w randkowaniu przez internet (nigdy nie pamiętam, w którą stronę matchować na Tinderze, co doprowadziło już do paru niezręcznych sytuacji), ale nawet ja wiem, że m u s z ę mieć zdjęcie.

Tak bardzo tego nienawidzę. Nigdy nie wiem, które wybrać. Potrafię zrobić przyzwoite selfie (nieco z góry, dzięki czemu mam zarysowane kości policzkowe i ostry podbródek), ale zdaję sobie sprawę, że te selfie są nieco za dobre. Gdy spotkam się z jakimś facetem, będzie rozczarowany.

Nie lubię patrzeć, jak próbują to ukryć. Wolałabym raczej miło ich zaskoczyć.

Z drugiej strony – kto kiedykolwiek ustawił sobie z ł e zdjęcie profilowe?

Otwieram folder z fotkami i przeglądam najlepsze nie-selfie. Wyglądam nieźle, na części z nich nawet umiarkowanie seksownie. Dlaczego by nie? Wystarczająco dużo osób powiedziało mi, że jestem ładna (i nie mówię tylko o rodzinie czy przyjaciółkach). Wiem, że kiedy mam udany dzień, wyglądam dobrze. Zielone oczy, rudawobrązowe włosy, coś, co moja mama nazywa „łobuzerskim uśmiechem”. Przyzwoita figura, choć jedna z tych bardziej kieszonkowych, jak to mawiał Si. Ale nawet biorąc to wszystko pod uwagę, czy jestem na tyle pewna siebie, żeby stwierdzić: „Tak, TO uśmiechnięte zdjęcie z wyspy Ko Tao, zrobione niedługo po rozwodzie, na którym stoję opalona, zrelaksowana, w skąpej sukience, nie jest ani za dobre, ani zbyt wulgarne, ani za stare”?

Naprawdę wyglądałam wtedy na szczęśliwą. Prawdopodobnie dlatego, że poprzednią noc spędziłam w miłym towarzystwie Australijczyka z długimi dreadami (same mięśnie, zero konwersacji). Jednym z powodów mojej obecnej fatalnej sytuacji finansowej jest to, że przepuściłam zdecydowaną większość i tak skromnych oszczędności na epickie wakacje. Miesiące niebiańskiej swobody po dekadzie małżeńskiego piekła. Było warto.

No dobra, jedziemy. M o g ę tak wyglądać w dobre dni. Po dobrym seksie. To między innymi dlatego rzadko tak wyglądałam, kiedy byłam z Simonem. Si, przepraszam.

Wybieram zdjęcie, kadruję, by dekolt wyglądał nieco lepiej – nie chcę wyjść na zbyt zalotną – i wrzucam na stronę. Jest. Koniec. Poszło. To ja, kompletna nowość, do wzięcia. Otwarcia, wybrania, przeczytania. Jutro poszukam czegoś dla siebie.

Biorę do ręki poradnik Jak napisać idealny scenariusz i zaczynam czytać. Nie do końca mogę się skupić.

Samotność jest przejmująca. Proszę Electrę o pogodowy update, tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

– Maksymalna temperatura w Londynie to dwa stopnie Celsjusza. Prawdopodobieństwo opadów śniegu wynosi trzydzieści procent.

Brrr, chyba czas na czerwone wino, bo gin z tonikiem jest za zimny. Wchodzę do kuchni i sięgam po butelkę oraz korkociąg, łapię jeszcze

kieliszek, po czym idę do pokoju i siadam przy stole. Wracam do książki. Noc jest cicha, bardziej niż zazwyczaj.

Ten dom w ogóle nie należy do najgłośniejszych. Tabitha i ja zajmujemy jasne i przestronne mieszkanie na pierwszym piętrze. Nad nami teoretycznie mieszka jakaś bogata starsza para, ale prawie ciągle są na wakacjach – zwłaszcza zimą. Wcale się im nie dziwię. Fitz, zanim wyprowadził się do Islington, urzędował kiedyś na parterze i w piwnicy. Postanowił je jednak wynająć – teraz, po kosztownym remoncie, czekają na nowego lokatora.

Na prawo od nas mieści się wypasiony kompleks biurowy, który nocą pustoszeje, a na prawo – jeszcze jeden dom taki jak nasz, zamieszkały przez jeszcze jednych bogatych i przeważnie nieobecnych właścicieli. Widziałam ich chyba raz.

Wstaję i podchodzę do okna. Ulica jest całkowicie przykryta śniegiem i niemal zupełnie pusta – nie licząc kobiety w czerni przechodzącej właśnie obok naszych drzwi wejściowych. Idzie plecami do mnie, ciągnie ze sobą małe dzieci. Nie widzę jej twarzy. Pospiesza dzieci, na pewno chce wrócić do domu, zanim gruby wirujący śnieg stanie się nie do zniesienia. Żal mi jej. Coś w jej kroku budzi współczucie. Tak jakby mogła być mną. Nagle znika. Nie ma jej. Czy to przez śnieg? A może skręciła za róg? Tak czy inaczej, w zasięgu wzroku nie ma już żywej duszy. Zima wyczyściła ulice z ludzi, nawet samochodów jest niewiele.

Cisza jest niemal fizycznie odczuwalna. Może to przez śnieg, który zagłusza wszystko jak owinięty wokół Ziemi szalik.

Wracam na fotel i podnoszę książkę. I wtedy dźwięczącą w uszach ciszę przerywa głos. Electra odzywa się niepytana. Do mnie.

– Wiem, co zrobiłaś – mówi.

Zamieram zaskoczona i spoglądam w stronę czarnego cylindra błyszczącego szafirowym diademem. Electra powtarza:

– Znam twój sekret. Wiem, co zrobiłaś temu chłopakowi. Wiem, że widziałaś białka jego wywróconych oczu. Wiem wszystko.

Zapada cisza. Wpatruję się w stojącego na półce asystenta, niemego i nieaktywnego. To przecież tylko maszyna.

Rozdział 3

Jo

Przez dobre pół minuty nie mogę wydobyć z siebie słowa. Zaschło mi w gardle. W końcu wykrztuszam:

– Electra. Co powiedziałaś?

Urządzenie wydaje niski, głęboki dźwięk. Wiem, co to znaczy.

– Nie mogę połączyć się z siecią wi-fi. Spróbuj zaktualizować połączenie.

– Electra, co powiedziałaś?

– Nie mogę połączyć się z siecią wi-fi.

Nie, nie odpuszczę. Czy naprawdę to słyszałam? Czy faktycznie mówiła o najgorszej rzeczy w moim życiu? O czymś, co wydarzyło się tak dawno temu?

Drżącymi palcami włączam aplikację i uruchamiam skomplikowaną procedurę ponownego podłączania do wi-fi asystenta. Wirtualnego pomocnika, Electry. Światełko miga na pomarańczowo, sieć jest podłączona, urządzenie wygrywa cichą, dźwięczną melodyjkę. Ding-dong.

Jest gotowa.

Gotowa, żeby mówić o przeszłości i przerażających sekretach? Czy żeby opowiedzieć kiepski kawał i poinformować o natężeniu ruchu na drogach?

Z trudem przetykam kolejny łyk czerwonego wina. Układam w myślach pytanie, jednak zanim zdążę się odezwać, diadem lśni po raz kolejny.

– Wiem o tobie wszystko. Zabiłaś go, a potem uciekłaś. Z ust leciała mu krew. Nie mogę połączyć się z siecią wi-fi.

– Electra?

– Nie mogę połączyć się z siecią wi-fi.

– Electra!

Nic. Nie przesłyszałam się? Jestem pewna, że nie.

– Electra, co o mnie wiesz?

– Wiem, że zadajesz interesujące pytania.

– Electra, co wiesz o mojej przeszłości?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Nie odpuszczę.

– Electra, co wiesz o tej historii?

Chwila ciszy.

– Historia to zazwyczaj spis przeszłych wydarzeń lub...

– Electra, ZAMKNIJ SIĘ!

Niebieskie światło przygasa, Electra wygląda na zmieszaną, jakby czuła się bezużyteczna lub była tylko wersją beta. Chyba że zwyczajnie nie rozumie mojego pytania. Tak jak powinno być.

Jakkolwiek by patrzeć, mówię przecież do elektronicznego walca. Nie do czegoś z mózgiem jako takim, nie do człowieka. Nie do kogoś, kto mógłby faktycznie wiedzieć coś o tamtym chłopaku.

Kogoś takiego jak Tabitha.

Ale skąd tak dobrze zna wszystkie szczegóły? Ten obraz zawsze tlił mi się gdzieś z tyłu głowy, ale teraz zapłonął żywym ogniem. Oczy, chłopak, Jamie. Jego szczeniacki, lecz sympatyczny uśmiech, uprzejmy sposób bycia, dobrodusznia natura. Och, Jamie. A potem krew. I ta cholerna piosenka, która zawsze będzie mi się kojarzyć z tamtymi wydarzeniami – Hoppipolla Sigur Rós. Nie mogę jej znieść. Kiedy tylko ją słyszę, wspomnienia wracają. Już sama myśl o tej piosence sprawia, że trzęsę się ze strachu i wyrzutów sumienia. Czuję bolesną pustkę przeżerającą wszystko niczym kwas. Zbiera mi się na mdłości.

Niezależnie od tego, czy Electra naprawdę to wszystko powiedziała, czy były to tylko cisza, alkohol i samotność, które postanowiły zadreć mój mózg zmyślonymi oskarżeniami – wystarczyło, by wytrącić mnie z równowagi.

– Electra, która godzina?

– Jest dwudziesta druga pięćdziesiąt dwa.

Reaguje całkowicie normalnie, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Za to ja n i e c z u j ę s i ę normalnie. Ale chyba mogę spróbować. Muszę spróbować, spróbować być normalna, zignorować szaleństwo, przesłyszenia, majaki, straszną rzeczywistość, cokolwiek to było. Być może to zwykła usterka. To wyjaśniałoby wcześniejsze migotanie kontrolki. Ale jak zwykły błąd mógłby sprawić, że Electra będzie zachowywała się tak dziwnie?

Nie znajduję żadnej oczywistej i łatwej odpowiedzi, więc idę do lodówki, z której wyjmuję chipsy i dip, mieszam majonez i tabasco dla lepszego efektu, po czym spędzam godzinę, zjadając stres i oglądając powtórki starych sitcomów na iPadzie. Żeby się uspokoić, wypijam dużo więcej wina niż zwykle.

Wino i jedzenie – głównie wino – powoli zaczynają działać. Mam nadzieję, jestem raczej pewna, że po prostu już wcześniej wypiałam za dużo. Wyobraziłam sobie, że Electra o tym gadała. To niemożliwe, żeby wiedziała. Nieważne, jak technologicznie zaawansowana, to tylko gadżet. Nie wie przecież nikt poza mną, Tabithą i Simonem, któremu powiedziałam o tym sama. Może Tabitha rozmawiała z Arlem? Wątpię, ale nawet gdyby – o naszym sekrecie nadal wiedzą nieliczni. Nie mieści mi się w głowie, że mogłoby to dotrzeć do jakiejś durnej maszyny na dębowym regale.

Nie.

No i po ostatnim kieliszku. Całkiem skutecznie przekonałam samą siebie, że nie wydarzyło się nic złego. Asystenci działają normalnie, poza małymi błędami w rodzaju wirujących światełek, a mój pijany mózg jak zwykle obrócił to w coś o wiele gorszego.

– Electra, o której otwierają jutro siłownię w Camden... może Fitness First?

– Fitness First w Camden jest otwarte od siódmej do dwudziestej drugiej od poniedziałku do czwartku. W piątki jest otwarte od siódmej do dwudziestej pierwszej. W weekendy...

– Electra, okej, wystarczy.

Cisza.

– Electra, dziękuję.

– Po to tu jestem!

I dobrze. Działa tak, jak miała działać. A ja jestem pijana. Jutro pójdę na siłownię, zjem coś zdrowego i wrócę do swojego normalnego spożycia alkoholu. Co ja sobie myślałam? Dwa duże giny przed siódmą? Absurd. Schizy i alkoholowe majaki gwarantowane. Gdzieś na dnie mojego umysłu zawsze będzie się czaić poczucie winy. To jak z piachem na dnie baku – grunt to go nie zamieszać. Simon mi to kiedyś powiedział – jeśli go wzburzysz, możesz zniszczyć cały silnik.

Simon.

I jeszcze więcej wyrzutów sumienia.

Nie chcę o tym myśleć, ale jednak muszę. Jeśli czuję się samotna, to tylko z własnej winy. Związek z Simonem to prawdziwy powód, dla którego piję sama i jestem tu, gdzie jestem.

Po raz pierwszy zeszliśmy się w liceum, jeszcze w Thornton Heath, daleko od planet zewnętrznych Układu Słonecznego. Zналиśmy się od podstawówki, zaprzyjaźniliśmy się później. Któregoś wieczoru, gdy oboje byliśmy jeszcze niepełnoletni, poszliśmy do baru. Bawiliśmy się całkiem nieźle, więc zaczęliśmy flirtować, aż w końcu się rozdzieliliśmy. Nie znam lepszego słowa, choć pewnie powinnam, ale tak – rozdzieliliśmy się na tylnym siedzeniu fiesty jego ojca, w najciemniejszym zaułku Thornton Heath, na parkingu supermarketu Asda, po zbyt wielu jagerbombach.

Seks nie należał do najlepszych, ale jakoś daliśmy radę. Ze sobą. Simon był miły i łagodny, a w świetle zielonego szyldu, który wznosił się nad jego nielegalnie pożyczonym fordem – całkiem przystojny.

Nie doszłam. On – bardzo szybko, za co potem mnie przeproszał. Te przeprosiny sprawiły, że było jeszcze gorzej. Aż do dzisiaj jest to jedna z najmniej pociągających rzeczy, których doświadczyłam podczas seksu. Miał ładne oczy i nieźle mięśnie, nie mówił zbyt wiele – przynajmniej nie do mnie. Ale próbował, co wydawało mi się wzruszające. Przez całe małżeństwo nieustannie i uporczywie p r ó b o w a ł.

Spoglądałam na zmarznięte Camden, chcąc zrozumieć siebie i to, co mną kierowało. Jak mogłam zostać jego żoną? Jak to się stało, że ze wszystkich ludzi wybrałam właśnie Simona Todda?

Interesowały mnie sztuka, filozofia i socjologia, a między liceum a studiami planowałam spędzić rok w Papui-Nowej Gwinei (co nigdy nie nastąpiło). Intrygowały mnie szamanizm, mocz syberyjskich reniferów i renesansowe portrety. On zajmował się silnikami, raketami i atomami, no i jak się okazało – wiedział, o co tak naprawdę chodzi z kotem Schrodingera.

Po krótkim chodzeniu ze sobą dostałam się na historię sztuki na King's College, a on wyjechał do Manchesteru, by studiować coś związanego z komputerami i połowę czasu spędzać na imprezach. Gdy obydwójce skończyliśmy studia i zdaliśmy sobie sprawę, że bez pracy nie stać nas na wynajem niczego przyzwoitego, wróciliśmy do Thornton Heath i pubów, które odwiedzaliśmy jako nastolatki...

To właśnie tam go spotkałam. W przytłumionym świetle ostatniego otwartego baru w okolicy wciąż był przystojny. W porównaniu z leniwymi i bogatymi milenialsami, z którymi umawiałam się na studiach, nagle wydał mi się przyzwoitym i szczerym facetem.

W ten sposób dałam się wciągnąć w wir sentymentalnych powrotów – geograficznych, seksualnych i emocjonalnych – i tym razem uprawialiśmy seks w normalnym łóżku (bo jego rodzice wyjechali). I tym razem, gdy po trzech miesiącach przytulank, jedzenia pizzy, oglądania telewizji i ogólnie życia w kokonie nieznanego mi dotąd bezpieczeństwa, wygody i niekwestionowanego uwielbienia w szaleńczym geście poprosił mnie o rękę, powiedziałam: tak.

Chryste Panie.

T a k?

To był niedorzeczny błąd. Zawsze zbyt wiele nas różniło, a po ślubie oddalaliśmy się od siebie jeszcze bardziej; nie było nam pisane przetrwać. Myślałam, jaki jest nudny, i było mi z tym fatalnie. Wyczuwał to i próbował ukrywać zranione uczucia – tak zaczynał się ten godny pożalowania cykl winy, milczenia i cierpienia, który z każdym dniem stawał się dla nas coraz bardziej nie do zniesienia. A potem pojawił się Liam, zbereżne SMS-y, poważne kłótnie i koniec. Dzięki Bogu.

Przez to wszystko nie mam do niego pretensji, że mnie zostawił. Na pewno na niego nie zasługiwałam. Nie mam też pretensji, że tak szybko ożenił się z Polly. Nie mam absolutnie żadnych pretensji, że natychmiast urodziła im się drobna i naprawdę słodka Grace. Jedyna rzecz, której być może żałuję, jeśli w ogóle, to fakt, że ponieważ Polly jest pielęgniarką, dostała dofinansowanie do trzypokojowego mieszkania dla pracowników sektora publicznego na dwunastym piętrze nowo wybudowanego apartamentowca na południu Londynu.

Szczęśliwa Polly, szczęśliwy Simon.

Posiadanie mieszkania w Londynie jest teraz wszystkim. To jak z ziemią i tytułami szlacheckimi na początku dziewiętnastego wieku. A ja jestem chłopką. W Indiach byłabym chyba niedotykalną. Nie mam nic i nigdy się to nie zmieni. Nadeszły czasy nowych dynastii. Gdybym tylko wiedziała, że nieruchomości staną się tak ważne, wyszłabym za jednego z tych przyszłych bogaczy z uniwerku, których mamusie i tatusiowie pozaciągali kredyty hipoteczne. Miałam wystarczająco dużo ofert. Ale żadnego z nich nie wybrałam. I to by było na tyle.

Patrzę na ciemną, ogarniętą zimą Delancey Street. Ruch jest niewielki, zrobiło się późno. Chce mi się spać. Majaczę i spędzam za dużo czasu, gapiąc się przez okno.

Ale kiedy zakładam najwygodniejszą piżamę, wciąż zastanawiam się rozpaczliwie, czy to faktycznie możliwe, że wymyśliłam sobie drwiny Electry? Kilka zdań podsuniętych przez mój umysł, którym towarzyszyła jakaś techniczna usterka. Zapewne m o g ł o s i ę to wydarzyć. Muszę w to uwierzyć. Jeśli jednak w to uwierzę, to znaczy, że słyszę głosy, a to...

Nie – nie będę o tym myśleć.

Najwyższy czas iść spać. Łóżko, tabletki, sen, a potem wstanę, wezmę się za siebie i swój nowy artykuł. Piszę go dla Sarah, mojej ulubionej redaktorki, tej, która kilka lat temu opublikowała mój głośny tekst o gigantach branży technologicznej. Sarah chce, żebym Mojej Okolicy. To rubryka dla ludzi, którzy po przeprowadzce do innej części Wielkiej Brytanii opisują swoje historie, konteksty miejsc, pejzaże i krajobrazy, co o nich myślą. Piszę o Camden.

Pieniądze nie są powalające, ale dzisiaj rzadko kiedy są. Przynajmniej research jest ciekawy.

W łóżku otwieram książkę o historii północnego Londynu, ale oczy same mi się zamykają. Obracam się w stronę białego jajowatego asystenta ustawionego na stoliku nocnym. HomeHelp.

– Okej, HomeHelp.

Jego malutkie, zabawkowe światło wiruje w odpowiedzi. Czuwa w oczekiwaniu na polecenie.

– Ustaw budzik na ósmą piętnaście.

– Okej, budzik zadzwoni o ósmej piętnaście.

– Dziękuję. Mógłbyś zgasić światło?

Sypialnię ogarnia ciemność. Wtulam się w poduszkę. Tabletki powoli zaczyna działać. Jednak kiedy prawie już śpię, dobiega mnie urywek subtelnej melodii. HomeHelp znowu się włączył. Odtwarza piosenkę. Nie prosiłam o to. Czemu to robi? Pierwsze nuty są tak ciche, że ich nie rozpoznaję. Ale potem robi się głośniejsze. I głośniejsze.

Hoppipolla. HomeHelp gra Hoppipollę.

Ze wszystkich piosenek wybrał właśnie tę. Obraz martwego młodego mężczyzny, jego wywrócone białka stają mi przed oczami. Podrywam się

na łóżku. Tego na pewno sobie nie wyobrażam. Jamie, nie umieraj, nie umieraj jak mój tata.

– Przestań! – żądam.

Muzyka nie przestaje grać, jest coraz głośniejsza, napływa falami, ożywa, skomplikowana, chaotycznie piękna melodia, tak złowroga w moich uszach.

– Okej, HomeHelp. Stop! Przestań, HomeHelp. Proszę, proszę, PRZESTAŃ!

Muzyka się urywa. Rząd drobnych świateł asystenta wiruje, a potem gaśnie. Leżę w ciemności i przerażona gapię się w sufit. Co, u diabła, się ze mną dzieje?

Rozdział 4

Jo

Rano, zgodnie z tym, co obiecałam swojej lepszej „ja”, wychodzę na siłownię, spędzam pół godziny na orbitreku, potem idę do spożywczego przy Parkway, gdzie kupuję chleb na zakwasie i gigantyczne, superzdrowe owocowe smoothie, na które mnie nie stać. Po kąpieli robię sobie tost z awokado i marmitem.

Tłustą i chrupiącą skórkę popijam gorącą herbatą, pochylając się nad marmurowym kuchennym blatem Tabithy. Wykonuję kilka szybkich, nieco zdesperowanych telefonów do przyjaciół, najpierw do Fitz’a, potem do Gula, do mojej redaktorki, w zasadzie do kogo tylko mogę – po prostu muszę z kimś porozmawiać, poplotkować i przestać myśleć. Potrzebuję czegoś, o czym gada się przy automacie z kawą. I choć wszyscy moi znajomi są serdeczni i pełni energii, to i tak zbywają mnie, mówiąc, że zadzwonią do mnie później, po pracy, żeby normalnie porozmawiać.

Reaguję nieco zbyt entuzjastycznie. Jestem niepokojąco optymistyczna, mimo że zimny deszcz zamarza na szybach. Pewnie, pogadamy potem! Miłego dnia!

Innymi słowy, desperacko udaję. Oczywiście, nie przed nimi – przed sobą. Nic się nie wydarzyło, piosenka była snem poprzedzającym sen, to wszystko było tylko pijacką ułudą. Wszystko. Nie boję się asystentów. Nie zaczynam wątpić sama w siebie, nie wpadłam w serię wizji na temat gwałtownej śmierci, obrzydliwych ataków, konwulsyjnych drgawek i krwawych wymiotów umierającego Jamiego Trewina.

Tak. Nie. Dość.

- Electra, czy możesz ustawić przypomnienie na osiemnastą?
- O czym mam przypomnieć?
- O dostawie z Tesco.

Electra milknie na chwilę. Czekam z napięciem, aż zacznie opowiadać, jak bulgocząca krew zalewała jego koszulkę.

– Dobrze – mówi Electra. – Przypomnienie ustawione na osiemnastą.

I tyle. Nic złowieszczego. Żadnych szalonych piosenek, przez które przed oczami znowu stają mi krwawe wymioty, żadnej Hoppipolli. Nic z tych rzeczy. Łapię się na tym, że prawie chcę, by Electra powiedziała coś mrocznego i upewniła mnie, że sobie tego nie wyobrażam. Nie wyobrażam sobie. A jednak.

Wyglądam za okno. Och...

Samochodzik kuli się przy ścianie między pubem Edinboro Castle i szerokim przejazdem kolejowym, którego tory, wyłaniające się z tunelu, biegną w kierunku stacji Euston, St Pancras i King's Cross. Paul pokazuje palcem coś, co tylko on może zobaczyć. Wskazuje i krzyczy. Później dam mu coś porządnego do jedzenia, wygląda na przeraźliwie zziębniętego.

Nie chcę skończyć na ulicy jak on. Moje oszczędności są jednak tak skromne, że kto wie, co się wydarzy. Dlatego muszę harować, zarabiać i prosperować. Zdeterminowana i gotowa do ciężkiej pracy, nie wiem, który już raz, otwieram książkę o historii Camden.

Nie mogę się skupić. Nieważne, jak bardzo próbuję, słowa zamazują się i rozjeżdżają. Mam mętlik w głowie.

Zamiast dalej próbować, przestaję i przez długie minuty gapię się na tory, obserwując długie pociągi wijące się do Euston i z powrotem. Myślę o wszystkich ludziach, którzy przyjeżdżają i odjeżdżają, o milionach londyńczyków zmierzających do pracy i wracających na przedmieścia, stłoczonych razem. A jednak każda ściśnięta w tych wagonach osoba jest sama. W swoich najczarniejszych chwilach myślę o Londynie jako o bogatych emiratach samotności; dysponujemy ogromnymi rezerwami ludzkiej izolacji, melancholii i smutku, podobnie jak arabskie królestwo dysponuje gigantycznymi zasobami ropy. Nie trzeba kopać zbyt głęboko, by znaleźć ludzi szalonych, odseparowanych, skłonnych do samobójstwa, żyjących w cichej desperacji, powoli rozpadających się na kawałki. Oni wszyscy żyją wokół nas, pod powierzchnią naszego życia; są nami. Przypominam sobie smutną, skuloną kobietę z małymi dziećmi, którą widziałam wczoraj, gdy mijała nasz dom. Myślę o tym, jak nagle zniknęli w śniegu jak duchy.

Dobra, dosyć; boję się sama siebie. Jestem Jo Ferguson. Towarzyska ekstrawertyczka, z którą można się pośmiać. To właśnie ja. Prawdopodobnie cierpię z powodu zimowej depresji, do tego martwię się

pieniężni. To tylko zwykły stres, plus jakieś dziwne kręcące się światła na paru gadżetach. Nic więcej.

Rozkładałam książkę i robię wstępne notatki.

Ziemia w Camden jest ciężka od gęstej, oblepiającej Londyn rzecznej gliny, wilgotna od bagien i mgły; przez długi czas trudno było na niej budować. Tereny, których unikali ówczesni deweloperzy, regularnie nawiedzane były przez bandytów, przez co rozległe budownictwo pojawiło się tu dość późno. Najstarszym budynkiem wspomnianym w historycznych źródłach jest pub World's End, znajdujący się dziś na skrzyżowaniu przy stacji metra; kiedyś znany był jako Mother Red Cap, a wcześniej – Mother Damnable. Zaznaczono go na mapach z późnego siedemnastego wieku, ale mógł zostać założony w średniowieczu lub jeszcze wcześniej...

„Mother Damnable”? U Przeklętej Matrony? Niezbyt urokliwe, ale interesujące. W Camden nie budowano nic z powodu podmokłych gruntów? I to „nawiedzanie przez bandytów” kryjących się w ciemnej, malarycznej mgle? Całkiem niezły materiał, choć nieco upiorny. No i pub – bywałam w nim jako studentka, w drodze na koncerty w Dingwalls – który równie dobrze mógł mieć tysiąc lat. Niesamowite. Nie miałam pojęcia, że to miejsce, w którym rolnicy i chłopcy w drodze do „Cittie of Lundun” mogli zatrzymywać się na ostatni przystanek, szukając schronienia przed rozbójnikami. I wiedźmami.

To będzie dobry tekst. Uważnie zapisuję zdania. W mieszkaniu słyhać tylko stukot klawiszy, jak u przykładowej dziennikarki.

I wtedy Electra przemawia:

– Nie powinnaś tego robić, prawda, Jo? Bo co, jeśli ktoś dowiedziałyby się po latach?

Serce boleśnie tłucze mi się w piersi. Odwracam się do asystenta.

– Electra, o czym ty mówisz?

– Zabiłaś go. Mamy dowód. Możesz trafić do więzienia na lata.

– Electra, przestań!

Przestaje. Gdy zapada cisza, jest jeszcze gorzej.

– Electra, o czym ty mówisz?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Mój głos drży.

– Electra, co wiesz o Jamiem Trewinie?

– Wiem dużo na różne tematy. Możesz pytać mnie o muzykę, historię czy geografię!

Boże.

– Electra, wypierdalaj!

Tadam. Asystent kręci jeszcze zielonym elektrycznym diademem, po czym cichnie. W przeciwieństwie do mojego umysłu – na pewno nie wymyśliłam sobie tej rozmowy. Prawda?

Nie. Nie wymyśliłam. Nie wydaje mi się. A to znaczy, że muszę komuś o tym powiedzieć, a jednocześnie nie mogę. Może Google pomoże? Minimalizuję plik z tekstem i wpisuję w wyszukiwarkę: „zepsuty asystent”. „Cyfrowi asystenci szwankują”. W każdej kombinacji.

Hmm... Było kilka incydentów, kiedy Electra i przyjaciele zachowywali się nietypowo, czasem nawet dość osobliwie – ale żaden z nich nie był tak szczególny, tak mroczny jak to, co przydarzyło się mnie. Żaden z opisywanych przypadków nie był tak bezpośredni ani osobisty. Czuję się, jakby Electra mogła zajrzeć w głąb mojej głowy, jakby te urządzenia skrywały niesamowitą, nieludzką wiedzę. I straszą mnie we własnym domu.

Nie wiedząc, co jeszcze mogę zrobić, odruchowo podnoszę telefon. Przez chwilę zaskoczona wpatruję się w ekran – mam dwadzieścia nieodebranych połączeń. Od mojej matki. W ciągu ostatniej godziny.

Mój telefon był włączony przez cały czas. Nie jest wyciszony. A jednak jakimś sposobem przegapiłam je wszystkie.

D w a d z i e ś c i a?

Rozdział 5

Janet

Janet Ferguson wołała swojego psa.

– Cindy, jest mróz, wracaj! – Omiotła wzrokiem zamarznąłą trawę na podwórku. Gdzie ona się podziewała? Nie była to jakaś rozległa łąka, tylko podmiejski ogród na tyłach domu, pociemniały od mrozu. I dom, i ogród były w sam raz dla małej rodziny. A ponieważ ta nie mieszkała tu już od dawna, odkąd Robert nie żył, a Jo i Will dorośli, Janet często myślała o przeprowadzce, być może do małego mieszkania w Londynie albo w ogóle gdzie indziej.

Thornton Heath przygnębiało ją ostatnio obdrapanymi znakami, znikającymi kawiarniami i nagłym wykwitem polskich, rumuńskich, somalijskich czy bułgarskich sklepów, w których nie rozumiała ani jedzenia, ani akcentów, ani ludzi – nieważne, jak bardzo próbowała się wpasować. Było to jedno z wielu dalekich przedmieść Londynu, którym się nie poszczęściło, bo ominęła je i gentryfikacja, i moda. Jednocześnie nigdy nie było w tak złym stanie, żeby rząd postanowił w nie porządnie zainwestować.

Nadchodził chyba czas, by Janet zrobiła to samo co jej przyjaciele i sąsiedzi. Jasne, trzeba byłoby pożegnać się z ukochanym ogrodem i związanymi z nim wspomnieniami. Ale niech tak będzie. Cindy będzie musiała się przyzwycząić. Do ograniczeń. Życie polegało na wprowadzaniu ograniczeń. Janet przywykła do rozrusznika i comiesięcznych wizyt w szpitalu, bo co innego mogła zrobić. Życie powoli zaciska się wokół każdego jak wąż, który ostatecznie zabija. Któregoś dnia każdy trafi do szpitala, by już nigdy z niego nie wyjść.

Jak Robert. Zabił się, gdy miał zaledwie czterdzieści lat.

Pamiętała bieliznę, którą uszczelnił rurę wydechową, by dwutlenek węgla jak najszybciej wypełnił auto.

– Cindy!

Janet słyszała ją gdzieś na skraju zamglonego, oszronionego ogrodu, prawdopodobnie wykopywała jakieś stare kości albo buty. W radiu mówili o najzimniejszym początku stycznia od kilkadziesiątu lat, a miało być jeszcze gorzej. Janet pamiętała podobną zimę w 1963 roku: nieustannie robiło się zimniej i śnieżyło coraz mocniej – i tak aż do marca.

Wyglądało jednak na to, że Cindy zamierzała szaleć niezależnie od pogody. Nagle odezwał się zostawiony na zlewie telefon.

Zamknąwszy drzwi, Janet sięgnęła po komórkę.

– Janet Ferguson.

– Mamo, co się, do cholery, dzieje?

– Słucham?

W głosie jej córki słychać było napięcie.

– Dwadzieścia połączeń. Co się dzieje, mamo? Wszystko w porządku? Dzwoniłaś do mnie dwadzieścia razy!

Janet z zastanowieniem zmarszczyła brwi.

– Nie, kochanie, nie dzwoniłam. Ani razu.

– Ale pokazało mi na telefonie!

– Cóż, nie wiem...

– Dwadzieścia razy, mamo. Wyświetliło mi się dwadzieścia nieodebranych połączeń! Martwiłam się!

Nie wiedząc, co powiedzieć, Janet spojrzała na ogród. Cindy biegała w mroku za zabawką. Starą, na wpół rozerwaną, ubłoconą i spleśniałą, pogryzioną piłką. Janet przypomniała sobie, że Jo i Will grali nią razem z ojcem. Tak dawno temu. Zbyt dawno. Wszystko było martwe, stare życie odeszło. Gdzie się to wszystko podziało?

Wróciła myślami do córki i dziwnej rozmowy.

– Posłuchaj, kochanie, to miłe, że się martwiłaś, ale wszystko jest w porządku. Nie dzwoniłabym do ciebie rano, dwadzieścia razy, bez żadnego powodu.

– Okej...

– Pomyśl, Jo. Jeśli nie zapomnisz do mnie zadzwonić, rozmawiamy raz na tydzień. A nie dwadzieścia razy dziennie.

To była mała szpilka, ale miała zabołeć. Sądząc po milczeniu jej córki, udało się. Cisza była na tyle długa, żeby zrobiło się niezręcznie. Janet postanowiła ją przerwać.

– Kochanie, a może coś się dzieje z twoim smartfonem? Nie wiem, po co ci te wszystkie rzeczy, aparat, muzyka, notatnik, wszystko w jednym. Co jeśli go zgubisz? Masz tam całe swoje życie.

– Każdy je ma, mamó. Na pewno do mnie nie dzwoniłaś?

– Na pewno.

– Dobrze, mamó, przepraszam. Po prostu... może faktycznie mój telefon wariuje. Jak wszystko w tym mieszkaniu.

Janet wzruszyła ramionami, znów nie wiedząc, co powiedzieć. Otworzyła drzwi do kuchni i wpuściła psa, który otrząsnął się z płatków śniegu. Kiedy pochyliła się, żeby go wytrzeć, spojrzała na półkę w kuchni, na której stały oprawione zdjęcia jej dzieci oraz ukochanego wnuka – Caleba. Fotografia obok przedstawiała Jo podczas wręczenia dyplomów. Uśmiechniętą i pewną siebie. Tę dawną Jo.

Tego dnia w głosie jej córki słysząc było coś innego. Normalnie Jo była pewną siebie optymistką przekonaną, że nie ma rzeczy niemożliwych. Dzisiaj brzmiała, jakby była bezbronna. W potrzebie. Wstrząśnięta.

– Jo... czy wszystko w porządku?

– Co? Czemu?

– Słyszę, że jesteś zdenerwowana. Czy wszystko okej z nowym mieszkaniem, z Tabithą, ze wszystkim?

– Tak, jasne, że tak, w porządku. Wszystko okej. Wszyscy mają się świetnie.

– Tak?

– Pewnie! Mieszkanie jest wspaniałe, uwielbiam Camden, ma genialny klimat. Tuż obok jest park. Mogę przejść do Soho. Jest o wiele lepiej niż na skraju tundry.

Odpowiedź nadeszła zbyt szybko. Coś było nie tak.

– Cóż, to dobrze, świetnie... A właśnie, wiesz, że ostatnio odwiedził mnie Simon?

Kolejna drętwa pauza. Janet mogła wyobrazić sobie zaskoczoną twarz córki.

– Simon? Mój Si? Simon Todd?

– Tak, córeczko. Przyjeżdża do mnie czasem, niekiedy bierze ze sobą Polly i dziecko, żebym mogła zobaczyć małą Grace.

Kiedy jej córka się nie odezwała, Janet wyczuła ukłucie zazdrości po drugiej stronie. Dodała szybko:

– Przecież wiesz, że jego rodzina mieszka niedaleko. Pamiętasz, jego rodzice, Toddowie z Lesley Avenue? To w zasadzie ostatni ludzie, których znam z... dawnych czasów. A ponieważ wciąż się przyjaźnimy, to do mnie wpada.

– Chcesz powiedzieć, że... mój były mąż potajemnie cię odwiedza?

Janet poczuła narastające zniecierpliwienie.

– Na miłość boską, to nie jakiś mroczny sekret, Jo. Zawsze lubiłam Simona i dobrze się dogadywaliśmy. Był dobrym mężem. Wiesz, że tak uważam. Zawsze myślałam, to znaczy zastanawiałam się...

– Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybyśmy mieli dzieci? Tak, wiem, mam. – Jo nie ukrywała goryczy w swoim głosie. – Mówiłaś mi o tym tysiąc razy. Zdecydowałam, że nie będziemy ich mieli. Teraz ma jedno z Polly, więc wszystko gra, prawda? Może mogłabyś je adoptować jako swoją wnuczkę, skoro ja nigdy ci jej nie dam, a mały Caleb jest na drugim krańcu świata.

Tym razem to Janet poczuła się dotknięta. Oczywiście, że Jo była zazdrosna. Oczywiście, że cierpiała.

Westchnęła ciężko.

Pierwsza odezwała się Jo:

– Boże, przepraszam. Nie powinnam była. Przepraszam, mam, naprawdę! To dobrze, że Simon do ciebie wpada, i Polly, i Grace, i w ogóle. To miłe z jego strony, powinnam sama robić to częściej.

– Nie przejmuj się, wiem, że to daleko.

– Nie, mam, to żadna wymówka, przepraszam. Obiecuję, że wpadnę do ciebie w weekend.

Jej dowcipna, zwykle pełna energii córka była sflaczała jak stara piłka w zamarznietym ogrodzie. Troska dodała Janet odwagi.

– Czy mogę cię o coś spytać?

Cisza.

– Jasne, mam.

– Czemu nie chciałaś mieć dzieci, Jo? Simon marzył o byciu ojcem, tyle razy mi o tym opowiadał, a poza tym był do ciebie bardzo przywiązany. Wiem, że to też doprowadziło do waszego rozwodu, przynajmniej częściowo.

– Rozmawialiśmy o tym. Byłabym fatalną matką.

– Czy tylko o to chodziło, kochanie?

– Co masz na myśli?

– Ostatnim razem, kiedy Simon tu był, zaczęliśmy rozmawiać o dzieciach. Powiedział, że martwiłaś się o...

Tak trudno było znaleźć właściwe słowa. Zesztywniała jak zmrożone źdźbła trawy w ogrodzie Janet mówiła dalej:

– Simon powiedział, że martwiłaś się tatą. Że dzieci mogłyby odziedziczyć jego geny. Zaawansowana schizofrenia. Taka jak u Roberta. Przyznał, że czasem martwiłaś się o to, że twoje dzieci mogłyby ją mieć lub że ty byś zachorowała, a wtedy dziecko zostałoby bez matki. Ale nie powinnaś...

– Mamo!

– Nie wolno ci, kochanie. Nie wolno ci pozwolić, żeby ten strach przejął kontrolę nad twoim życiem. To się nie stanie. Kiedy tata... No wiesz...

– Oszalał? Kiedy tata oszalał?

– Tak, kiedy twój biedny ojciec oszalał, lekarze przyjrzeni się wszystkiemu: nie ma ani jednego przypadku po żadnej stronie rodziny; nic, co wskazywałoby na podłoże genetyczne. Przytrafiło mu się nieszczęście, to wszystko.

Jo odpowiedziała spokojnym, może nawet zimnym głosem:

– W osiemdziesięciu procentach schizofrenia ma podłoże genetyczne.

– Tak, ale nie w tym przypadku!

Janet zdała sobie sprawę, że podniosła głos. Nie zdarzało jej się to w stosunku do Jo. Co się między nimi działo? Nie mogła sobie przypomnieć ich rozmowy równie dziwnej jak ta, już od dłuższego czasu, przynajmniej od rozwodu. Kochała swoją córkę. Miały z Jo dobrą, szczerą relację, nawet jeśli czasem ją zaniedbywały. Jo przynajmniej odzywała się raz w tygodniu. Will dzwonił z Los Angeles raz na miesiąc, jeśli w ogóle. Pięć minut gadki o niczym, trochę opowieści o Calebie i tyle.

– Jo, jesteś spięta.

– Powiedziałam już, że wszystko okej, mamo. Po prostu martwię się paroma rzeczami. Czasem.

– Rzeczami? – drążyła Janet. – Jakimi rzeczami?

– Takimi tam... rzeczami. Egzystencjalna bezcelowość życia. Nadciągająca zagłada klimatyczna. Paradokumenty.

Janet zachichotała. To brzmiało bardziej jak jej Jo. Westchnęła z ulgą.

– No dobrze, niech będzie. Wpadnij w ten weekend. Może zjadłybyśmy razem obiad?

– Pewnie, mammo, tak zrobimy. I naprawdę przepraszam, że się zezłościłam. Chyba faktycznie jestem nieco zestresowana. Próbuję napisać ten scenariusz, znaleźć jakieś wyjście, ale nie idzie mi zbyt dobrze. Do końca życia będę płacić komuś za wynajem.

– Tak bardzo chciałabym ci pomóc, Jo. Żałuję, że nie kupiliśmy tego domu, kiedy mieliśmy okazję. Miałabyś co odziedziczyć, ale kiedy Robert...

– Już dobrze, mammo, to nie twoja wina. Muszę kończyć, naprawdę. Cześć, mammo.

Jej córka sprawiała wrażenie rozkojarzonej. Jakby ktoś niespodziewanie wszedł do mieszkania.

Janet pożegnała się z nią i nieporadna rozmowa dobiegła końca. Położyła telefon na stole. Zapatrzyła się w zdjęcia na półce. Jo i Will. Obok nich młody Robert. Miał trzydzieści parę lat. Był przystojny. Jo i Will byli bardziej podobni do niego niż do niej. Na zdjęciu jej mąż się uśmiechał. Całkowicie zdrowy. Na następnej fotografii siedział na podłodze w dużym pokoju z Jo i jej przyjaciółmi z dzieciństwa – Billym, Ellą, Jenny, Neilem – i uczył ich rysować, malować i pisać. Kartki i kredki były wszędzie, jak to w beztróskim dziecięcym bałaganie. To było chyba na rok przed tym, zanim pojawiły się poważne objawy.

Nawet teraz te wspomnienia strasznie ją przygnębiały. Powolne, bezlitosne zniszczenia czynione w ich życiu przez chorobę, która ostatecznie doprowadziła do tego, że Robert zagazował się w rodzinnym samochodzie.

Janet pamiętała ten dzień – konkretny moment – kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że coś jest naprawdę nie tak. Gdy nie mogła już dłużej zaprzeczać, ignorować lub udawać, że jej mąż był ekscentryczny czy zestresowany.

I choć wydarzyło się to tak dawno, kilkadziesiąt lat temu, wspomnienie wciąż było żywe.

Przeszła z kuchni do pokoju, żeby obejrzeć wieczorne wiadomości. Robert siedział na kanapie wpatrzony w telewizor. Ekran był czarny, a wtyczka wyjęta z gniazdka. Przecież nigdy nie odłączali telewizora. Podeszła, żeby podłączyć go z powrotem do prądu, jednak kiedy się pochyliła, Robert krzyknął:

– Nie, nie rób tego, Janet! Nie podłączaj go!

Zszokowana, usiadła obok niego i zapytała:

– Co? Dlaczego mam tego nie robić?

– Bo on do mnie mówi – powiedział Robert, marszcząc brwi. –
Telewizor do mnie mówi.

Rozdział 6

Jo

The Flask w Highgate. Gdzie indziej moglibyśmy świętować powrót Tabithy z Brazylii? To jeden z tych osobliwych, drewnianych, brudnych i rozklekotanych pubów dla klasy średniej, w którym płonie kominek i podaje się grzane wino. Tak się składa, że lokal jest też położony mniej więcej dwie i pół minuty spacerem od wspaniałego, osiemnastowiecznego domu Arla, w którym w korytarzu wiszą plamiste obrazy Damiana Hirsta.

Najlepsze dzieła zdobią pewnie jadalnię, salon, salę bankietową albo inny siedemnastohektarowy podziemny ogród rzeźb, cholera wie, co tam właściwie jest. Tylko raz zostałam tam zaproszona i widziałam niewiele więcej niż kuchnię, tak dużą jak cały dom mojej matki. Nawet wtedy miałam wrażenie, że Arlo wolałby, bym weszła drzwiami dla służby lub jakimś innym specjalnym tunelem dla proletariuszy.

Albo przez Bramę Zdrajców – taką jak ta, przez którą Tudorowie przewozili swoich więźniów.

A teraz stoję sama w pubie, niedaleko jego domu. Przyszłam kilka minut za wcześnie. Chciałam wyjść z mieszkania jak najszybciej, na wypadek gdyby asystenci znowu się na mnie uwzięli. Jeśli oczywiście to oni, a nie ja sama.

Nie myśl o tym.

Czekając na pozostałych, oglądam upiorne stare ryciny wiszące na ścianie pubu. Przedstawiają słynne egzekucje z okolic, ludzi wiszących na szubienicach, wiwatujące tłumy. Jedna z szubienic wygląda, jakby stała na szczycie Primrose Hill. Trzej mężczyźni dyndają obok siebie, boso, tańcząc i kurczowo trzymając się pętli. Zwyczajnie umierają. Rytownik przeszedł sam siebie, jeśli chodzi o realistyczne oddawanie detali: wytrzeszczone oczy, wywalone języki, obrzydliwie radosne reakcje widowni, której brakuje tylko popcornu.

Nie trafiłam wcześniej na tę informację. Primrose Hill miejscem kaźni? Przerazona twarz mężczyzny po lewej, ewidentnie duszącego się odgryzionym językiem, wpatruje się prosto we mnie. Jakby wiedział. Wie. Kto wie?

Nie jestem swoim ojcem.

Nie jestem? Pamiętam swojego tatę, zanim się w tym wszystkim zatracił – był ekstrawertykiem z ogromnym poczuciem humoru. Sfrustrowany artysta, który skończył uwięziony na przeciętnym stanowisku w firmie księgowej, odnalazł radość w życiu rodzinnym. Tata zawsze był gotowy na zabawę i wygłupy; ganiał mnie wokół jabłoni, udając, że nie może mnie złapać. Nazywałam go Gilgotworem, a on mówił na mnie Przebojowa Jo, bo wszędzie było mnie pełno. Lubił bawić się słowami, lubił bawić się ż y c i e m. Odziedziczyłam po nim chyba więcej niż po mojej ostrożnej, raczej zdystansowanej matce. Więcej, czyli co konkretnie?

Moje niespokojne rozmyślenia, które w każdej chwili mogą przekształcić się w coś gorszego, zostają nagle przerwane.

Arlo jest już w barze. Mierzy mnie wzrokiem, bezmyślnie pewny siebie i arogancko zaborczy. Jestem w jego barze. Jego lokalu. Żeby świętować powrót mojej przyjaciółki. Mojej współlokatorki. Jak do tego doszło?

Bo to Arlo Scudamore. To on ma nad wszystkim kontrolę. Wydaje mi się, że kontroluje również Tabithę. Wie, że tak myślę. Ale chyba w ogóle go to nie obchodzi, podobnie jak moje szczęście lub nieszczęście. Nadal jest rozgoryczony z powodu mojego artykułu, w którym zacytowałam go jako źródło, rzekomo bez jego zgody. Oczywiście, że mi ją dał, po prostu nie spodobało mu się to, co napisałam. Twierdzi, że tym tekstem storpedowałam jego błyskawicznie rozwijającą się karierę, bo krytycznie odniosłam się do gigantów z Doliny Krzemowej. Boże, jak ja nienawidzę jego idiotycznego burżujsko hipsterskiego akcentu. Myśli, że jestem z plebsu? Walić go. Pamiętam, że Simon raz określił Arla jako „psychotycznie ambitnego” – pasuje idealnie.

Przechodząc obok baru, mówię:

– Cześć, Arlo! Miło cię widzieć. – Po czym damę mu szybkiego, podwójnego niby-buziaka.

– O, Jo. Cześć, tak się cieeeszę, że przyszłaś!

Odwzajemnia niby-pocałunki. Nie zdawałam sobie sprawy, że zwykłe towarzyskie powitania mogą być tak nieszczerze.

– Gdzie Tabs?

– Pali na zewnątrz, dymi jak komin hydrotermalny.

Kim lub czym jest komin hydrotermalny? Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie powiedział to po to, by mnie speszyć. Utknęliśmy w rogu pubu. Tylko ja, on, rzędy błyszczących w półmroku kraftowych ginów za barem, złowieszcze ryciny miejscowych egzekucji i ryczący ogień w kominku. Czekamy na pozostałych.

– Wszystko okej w, ee, pracy? Facebook?

To pewnie najbardziej irytująca rzecz, o którą mogłam go zapytać. Dlatego właśnie zapytałam. Żeby nie było – on robi to samo cały czas. Dokuczanie Arlowi pozwala mi przynajmniej oderwać się od całej masy zmartwień.

– W pracy? Świetnie. Odchodzę za tydzień lub dwa. Do start-upu. – Jego uśmiech jest tak lodowaty, że mógłby zabić pingwina z dwudziestu metrów. – O! – Uśmiech staje się jaśniejszy, cieplejszy, może nawet szczerzy. – Jest Jeremy. Lex! Rollo!

Rollo.

R o l l o.

Arlo przyjaźni się z nadzwyczajną liczbą rumianych bogoli, których imiona kończą się na O. Hugo. Rollo. Theo. Rocco. Orlando. Otto. Wydaje mi się, że Otto może być chyba nawet „von” coś tam. Wszyscy są idiotycznie bogaci. Duńscy pierdylionerzy. Francuscy bankierzy. Reżyserowie. Inwestorzy ładujący pieniądze w kolejny wielki projekt Arla, który ma oczywiście związek ze sztuczną inteligencją, technologiami finansowymi oraz innymi rzeczami, których „oficjalnie” nie potrafię zrozumieć. Znam paru tych gości z widzenia, ale oni ledwo mnie kojarzą. Jestem tu najwyraźniej tylko z powodu Tabithy. Jeśli dopisze mi szczęście, pojawią się może jeszcze jedna lub dwie osoby, które znamy z Tabithą ze studiów, i nieco zmniejszą moje poczucie wyobcowania.

Chociaż, jak się przecież ostatnio okazało, ku mojemu rozczarowaniu, większość moich przyjaciół żyje teraz poza miastem.

– Jo!

Ach – smukła blondynka chowająca e-papierosa do gustownej dzinsowej kurtki idzie w moją stronę i uśmiecha się szeroko.

– Jo! Moja dhoga!

Kiedy jest w dobrym nastroju, mówi z ciężkim, teatralnie fałszywym niemieckim akcentem.

– Heej, Tabs! Nie zjadły cię pantery!

Moja najlepsza przyjaciółka przytula mnie mocno i całuje wszędzie, gdzie jej usta mogą napotkać moją skórę. Dociera do mnie – głęboko ukryte, ale boleśnie krępujące uczucie – jak bardzo brakowało mi fizycznego kontaktu z drugim człowiekiem. Nikt nie dotykał mnie od wielu dni, nie mówiąc o przytulaniu czy całowaniu.

– Jo-Jo, skarbie, jak się masz?

– O Boże, w porządku. A ty? Brazylia, Peru? Co się działo?

– Powiem tak: jeśli będę musiała sfilmować kolejną maleńką, niesamowicie zagrożoną żabę drzewną, poświęcę swoje życie wybicciu wszystkich płazów na świecie. Zastrzelę każdą jebaną traszkę.

Śmiejemy się i znowu przytulamy. Tak bardzo tego chcę. Tak bardzo potrzebuję.

Jakiś czas temu zdałam sobie sprawę, że bycie wolnym strzelcem może mieć niewiele wspólnego z wolnością; może równie dobrze i równie łatwo uwięzić cię w mieszkaniu, pozbawić kontaktu z ludźmi, sprawić, że od poniedziałku do środy będziesz chodzić tylko w piżamie. A freelance w połączeniu z nowymi technologiami jest jeszcze gorszy. Wszystkie mające sens rozmowy, które odbyłam w tym tygodniu, prowadziłam w sieci.

Pięć lat temu, gdy zrezygnowałam z pracy etatowej, odkryłam, jak bardzo ludzie nie chcą nawet r o z m a w i a ć. Zamiast odebrać telefon, zainwestują mnóstwo energii w napisanie SMS-a lub maila. Chcą pisać i wysyłać wiadomości na WhatsAppie, żeby móc edytować i cenzurować. Nieustannie nadzorować samych siebie – swoje dusze i swoje słowa.

Powinnam napisać o tym w artykule, który tak rozwścieczył Arlo. To, że technologia spieprzyła nasze życie towarzyskie, człowieczeństwo, nasze wzajemne interakcje i całą resztę. Czy w rewanżu bawi się teraz mną?

– Arlo!

– Theo.

– Cicero.

Panowie O dopisali. Tabitha gawędzi z nimi, a ja stoję sama. Zabity mężczyzna dyndający z szubienicy na Primrose Hill pokazuje mi paskudny, poczerniały język. Moje myśli wracają do urządzeń w mieszkaniu, podkopując umiarkowanie dobre samopoczucie i wytrącając z równowagi. I tak rodzą się pytania. Czy to wszystko mogło

być dziełem Arla? Czy to jakiś rodzaj cynicznej zemsty? Na pewno jest wystarczająco sprytny, wystarczająco obsesyjny. Prawdopodobnie uznałby to za wyniośle zabawne i odpowiednio kąśliwe. Wykorzystał technologię, którą skrytykowałam, by wmawiać mi, że jestem chora psychicznie.

W swojej niechęci do mnie, wynikającej częściowo z czystego snobizmu, utwierdziła go moja – tak zwana – dziennikarska zdrada. Na samym początku, kiedy wprowadziłam się na Delancey, wpadł do nas i patrząc na moją marną garderobę, wyrzucił z siebie litanie jadowitych komentarzy na temat tego, jakie miałam szczęście zamieszkać w apartamencie takim jak ten, kiedy mogłam wylądować w pokoju na jakimś zadupiu przy drodze A40, gdzie oddychałabym „czystym dwutlenkiem węgla”. Tak, naprawdę to powiedział. Mimo że wie, jak zginął mój ojciec. A potem, jakby tego było mało, dodał jeszcze: „Zamiast tego możesz mieszkać tutaj, ze smart TV, asystentami, inteligentnym oświetleniem – wystarczy, że poprosisz o muzykę, a ta już płynie przez pokój. Wszystko to wyprodukowane przez te same firmy, których tak bardzo nienawidzisz. Czy to nie... ironiczne?”.

Patrzę na niego, stojącego na tle modnego ginu, otoczonego przez rozochoconych znajomych. Śmieje się w ten sam surowy sposób co zwykle. Tak jakby uznawał tę reakcję za nieco wulgarną, ale poświęci się dla bliskich przyjaciół i wyświadczy im tę przysługę. Jest przystojny i wysportowany; ma arystokratyczne kości policzkowe, ale jednocześnie w ogóle nie jest seksowny. Przynajmniej dla mnie.

Tabitha rozładowuje wyczuwalne napięcie, wręczając mi wysoki kieliszek.

– Szampan, prawdziwy perrier jouet! – Uśmiecha się i kiwa głową w stronę swojego narzeczonego i jego dzianych kumpli. – Trzymasz dystans? Nie dziwię się. Arlo właśnie rozmawia o blockchainie z jednym ze swoich bankierów. Czym, do cholery, jest blockchain? Ktoś mi to wyjaśni?

Jesteśmy już kilka metrów od grupy stojącej przy barze. Fizycznie zmarginalizowane, symbolicznie umniejszone. Spoglądam na buzujący zachęcająco złoty alkohol. Czy powinnam czuć się winna z powodu opijania Arla, skoro tak bardzo go nie lubię? Niee... Przechyliłam kieliszek i wypijam całość tak szybko, że odbija mi się bąbelkami. Kieliszek drży, trzęsą mi się ręce. Zdradzam swoje paskudne lęki.

Tabitha marszczy brwi, patrząc, jak natychmiast odstawiam szkło na pobliską ladę.

– Hej, w porządku? W domu wszystko okej?

Idealny moment, żeby o tym wspomnieć. Sama mnie naprowadziła. To moja szansa, żeby wyrzucić to z siebie, podzielić się, poprosić o pomoc, opowiedzieć o asystentach. O możliwych awariach – ich lub moich. Szyderstwach. Muzyce. Całym tym głupkowatym horrorze. A jednak nie mogę. Ponieważ rozmowa natychmiast zesłaby na prawdziwy temat – śmierć Jamiego Trewina. A przysięgałyśmy sobie nigdy o tym nie wspominać, przysięgałyśmy na życie swoje i swoich rodzin. Do tej pory dotrzymywałyśmy słowa, nie jest to więc coś, co można tak łatwo złamać. Chcę, ale nie mogę. Choćby dlatego, że Tabitha w każdej chwili może mnie wyrzucić z domu, przez co będę musiała zamieszkać przy A40 i oddychać czystym dwutlenkiem węgla.

Poza tym przez ostatni dzień czy dwa asystenci byli cicho. Odkąd dzwoniłam do mamy, nic się nie wydarzyło. To wcale nie pomaga, ponieważ zostaje jeszcze możliwość, że zaczynam mieć schizofrenię, jak mój ojciec.

To tak przerażające, że nawet nie chcę o tym myśleć.

Nigdy.

Nie. Myśl. O. Tym.

To mnie słucha. To do mnie mówi. Telewizor do mnie mówi. Tak jak podobno mówił do mojego taty. Głosy z ciemności. Wtedy byłam jeszcze zbyt młoda, żeby to zrozumieć, ale teraz już wiem. Był to jeden z pierwszych objawów choroby, która zabiła go kilka lat później.

Telewizor zaczął mówić do mojego taty tak jak asystent, Electra, zaczął mówić do mnie. Czyli jestem moim tatą? Skończę, zagazowując się w aucie?

– Jo, wszystko dobrze?

Otrząsam się. Zawiesiłam się, pewnie przez jakąś minutę nic nie powiedziałam. Mój tata miał tak samo, zanim stał się straszny. Zanim jego gilgotanie zrobiło się agresywne i zaczęłam uciekać do mamy. Zanim jego szaleństwo odebrało mi przyjaciół. Dave’a, Jenny, wielu innych, przerażonych.

Cóż, przynajmniej wyrosłam na kogoś niezależnego.

Patrząc na moją współlokatorkę, zmuszam się do uśmiechu.

– Jest okej, Tabs. Pracuję. Trochę się nudzę. Wiesz, że wróciłaś w najmroźniejszą zimę od czasów Charlesa Dickensa?

Przebiega ją dreszcz.

– Zauważyłam. W hali przylotów były pingwiny.

– No i jak było? Jak film, jak dżungla, jak wycieczka? Jak jest w Amazonii? Zawsze chciałam tam pojechać. Chryste, ale ty masz szczęście.

Chichocze.

– Owady.

– Słucham?

– To właśnie jest Amazonia, kochanie. Robale. Nie widzisz żadnych dzikich zwierząt, bo dżungla jest za gęsta, stoisz przed ścianą niekończącej się zieleni. Ale wszędzie, Boże, wszędzie widzisz owady. Komary wielkości myszołówów, mordercze stonogi, pająki, które... no, które ociekają jadem.

– Okej...

– Mrówki raz dosłownie zaatakowały mój plecak. Poważnie. Chyba próbowały go zjeść. Od jadu zostało na nim mnóstwo białych śladów. No i w nocy to jedyne, co słyszysz.

– Co?

– Robale! Krzyczą. One naprawdę krzyczą. – Kończy swój kieliszek. – Są jeszcze gigantyczne szczury. Lois zniechęciła to wszystko. Powiedziała, że następnym razem robimy Grenlandię. Cokolwiek, gdzie nie ma owadów.

Lois to jej prezenterka. Gwiazda przyrodniczego serialu dokumentalnego, którego Tabitha jest współproducentką.

– W zasadzie jedyną interesującą rzeczą było to, jak tapir wpadł do basenu.

Wpatruję się w nią z szeroko otwartymi oczami. Tabitha zawsze przywozi ze sobą opowieści z najrozmaitszych przygód. Kiedyś chętnie razem wyjeżdżałyśmy – z samymi plecakami przemierzałyśmy Boliwię i Kolumbię, oganiałyśmy się od natrętnych tantrycznych masażyistów w Indiach. Potem jednak życie nam o sobie przypomniało i musiałyśmy spoważnieć. Ja przestałam podróżować, a ona uczestniczy w wyjazdach z pracy i po powrocie dzieli się ze mną różnymi historiami. Tego wieczoru przydałaby mi się jakaś niezła – tak dla odwrócenia uwagi od tego, co działo się w mieszkaniu. I w mojej głowie.

– Miałaś basen? Myślałam, że to było coś w rodzaju księżniczki w dziczy otoczonej przez piranie. Czy nie taki był pomysł?

Tabitha przytakuje, chichocząc.

– No tak, tak. Ale pod sam koniec tak bardzo znudziły nam się namioty i bąble, że poszliśmy do jakiegoś hotelu niedaleko Iquitos, który akurat miał basen. Tyle że ktoś postanowił zbudować go na samym skraju dżungli. W pewnym momencie spomiędzy drzew wylazł tapir, który najpierw próbował się napić, a potem wpadł do basenu. Biedny musiał się wystraszyć, bo zrobił ogromną kupę do wody i nikt nie wiedział, jak ją wyciągnąć. Zdarzyło ci się kiedyś pływać w basenie pełnym tapirzej sraki? Nic przyjemnego.

Wybucham głośnym śmiechem. Może trochę za głośnym – wolałabym nie zdradzić się ze swoimi obawami. Z drugiej strony tak dobrze mieć ją z powrotem. Moją starą przyjaciółkę. Prawdziwą przyjaciółkę. Brakowało mi tego.

Na chwilę kulturalnie dołączamy do Arla, ale ponieważ bankierzy nadal gadają o kryptowalutach, wymieniamy porozumiewawcze spojrzenia. Tabitha całuje narzeczonego w policzek i mówi:

– Idę zapalić, skarbie. Nie inwestuj za dużo w Aetherium, bo się zepsuje.

Ten prawie jej nie zauważa, a Tabitha wyjaśnia półgłosem:

– Na patio są ogrzewacze.

Z nieskrywaną ulgą idę za nią do ogrodu. Przez rozpalone do czerwoności ogrzewacze praktycznie nie czujemy siarczystego mrozu. Zapatrzona w nie mówię:

– Największy wynalazek od czasów...

– Facebooka? – wtrąca Tabitha.

Uśmiecha się figlarnie. Znacząco.

– Nie, proszę. Proszę, nie. – Wzdycham bezradnie. – Boże, Tabby, naprawdę próbuję się z nim dogadać, ale... on jest tak bardzo z nie mojej bajki. To znaczy, ty jesteś już wystarczająco burżujska, ale on to w zasadzie poziom królowej. Pewnie nawet na nią patrzy z góry, bo używa plastikowych pojemników.

– Taaa... – przeciąga rozbawionym głosem. – I w dodatku myśli, że specjalnie sabotowałaś jego nieuniknioną koronację na Imperatora Internetu.

Podnoszę zmarzniętą rękę w geście protestu.

– Wcale nie!

Tabitha szczerzy w uśmiechu równe, perfekcyjnie białe zęby. Moje są całkiem ładne, ale nieco krzywe. Zęby z Thornton Heath.

– Tak, moja dhoga, tak. Ale wiesz, jaki jest. A teraz ma jeszcze ten szurnięty start-up, który zaraz ruszy, i jest przekonany, że to następny jednorożec. Przyniesie mu miliardy. Jakby potrzebował więcej pieniędzy. Tak czy inaczej, jest przewrażliwiony. W ogóle nie zwracaj na niego uwagi.

Mam ochotę zapytać ją, co w nim widzi. Ale nie potrafię. Naprawdę go kocha, powiedziała mi kiedyś. Wiem, że dobrze im ze sobą w łóżku i że chodzą na modne seksimprezy, Kociaki i Ptaki czy Sprośny Salon. Może tylko o to chodzi. Poza tym Tabitha, przy całej swojej pewności siebie, potrafi być czasami dziwnie zakompleksiona. Dostaje ataków paniki. Jej ojciec odszedł z domu, kiedy miała dziesięć lat; po prostu wstał i wyszedł z kochanką o połowę młodszą od siebie. Majątek Arla sprawia, że czuje się bezpieczniejsza. No i nie zapominajmy o seksie.

Tabitha nagle zapala prawdziwego papierosa zamiast elektronicznego zamiennika.

Lampię się na nią wryta w ziemię.

– Ej, myślałam, że nie palisz? Przecież prawie wystawiłaś na West Endzie musical Tabitha rzuca!

Chichocze i wzrusza ramionami. Blask ogrzewaczy nadaje jej ładnej twarzy tajemniczy czerwony poblask, nieco złowieszczy, jakby wyłaniała się z ciemności. Przez ten piekielny cień nie mogę oderwać od niej wzroku. To oblicze czerwonego demona, który zmaterializował się w ogrodzie osiemnastowiecznego pubu, pośrodku ostrej londyńskiej zimy. Gdzie smutne i samotne kobiety przedzierają się ze swoimi dziećmi przez śnieg i mrok.

– Zaczęłam w Peru, myślałam, że smród fajek pomoże odgonić komary. Nic nie dało, a ja znowu wpadłam. Nie mów Arlowi. Będzie oburzony i nie będzie ze mną spał.

Może ta diabelska czerwień jest tylko w mojej głowie? Kiedy się odzywa, jej białe zęby kontrastują z czerwienią i są jeszcze bielsze. Myślę o wampirzych kłach wysysających krew z mojej szyi, gdy śpię. Tabitha. Kto tak naprawdę był wtedy ze mną w tym namiocie? Tak bardzo chciałabym się dowiedzieć, czy powiedziała Arlowi o tym, co stało się z Jamiem Trewinem. Zamiast tego pytam:

– Czyli zostajesz dzisiaj u niego?

Potakuje i wojowniczo marszczy brwi, jakby chciała pokazać, że nie będzie się tego wstydzić.

– Tak. Wiesz przecież, że mogę, to mój wybór.

– Słucham?

Zaciąga się.

– Myślisz, że mnie kontroluje.

– Nie, myślę, że traktuje cię jak dziecko. Jakby był twoim ojcem. Z jednej strony opiekuje się tobą, a z drugiej karze, kiedy coś przeskrobiesz.

– No fakt – rzuca, wypuszczając obojętnie gęste kłęby dymu. Ognisty oddech demona. – Pewnie. Zresztą. Posłuchaj, kochana, nie kłóćmy się pierwszego dnia po moim powrocie. I proszę, nie mów Arłowi o papierosie. Gdyby się dowiedział, na pewno strzeliłby mi kazanie.

W zimnym powietrzu robi się gęsto od dymu.

– Prawda jest taka, Jo, że nie przeszkadza mi, kiedy ktoś się mną opiekuje albo nawet mówi, co mam robić, bo wtedy ja nie muszę się tym zajmować. Rozumiesz? W pracy muszę mieć kontrolę nad wszystkim, więc kiedy wracam do miasta, całkiem podoba mi się bycie małą kobietką. Albo księżniczką. – Uśmiecha się bezwstydnie. – Czy to takie straszne? Naprawdę lubię pozwolić mu na wszystko. Opiekować się mną, decydować, do jakiej pójdziemy restauracji. Niech wybierze wino, jedzenie. Potem pozwolę mu zapłacić. Czy to takie złe? Czy jestem fatalną feministką? No cóż. Walić to.

Próbuję nie widzieć niepokojącego czerwonego blasku na jej twarzy i zamiast tego patrzę w jej przyjazne oczy i myślę: może ma rację. Ktoś, kto będzie się tobą opiekował? Zastanawiam się, jak by to było, gdyby ktoś troszczył się o mnie. Uwielbiałabym to. Ktoś wyjątkowy, ktoś tylko mój, ktoś, kto zapewniałby mi poczucie bezpieczeństwa. Ktoś, kto zapłaciłby za obiad w fajnej restauracji, a później poszedłby się ze mną kochać. Fajnie.

Wzdycham pokonana.

– Masz rację. Nie zamierzam cię krytykować, moje życie miłosne to pustynia. Cholerna Atakama. Myślisz, że powinnam znaleźć sobie sponsora? Tylko że musiałyby jeszcze mieć włosy.

Zapada cisza, a Tabitha kończy papierosa. Czuję, że muszę powiedzieć coś o tym, co się u mnie dzieje. Gadamy już długo, a ja nawet się do tego

tematu nie zbliżyłam. Nagle zrobiła się dwudziesta druga i mogę nie mieć kolejnej szansy, jeśli Tabitha śpi dzisiaj u Arla. Niedługo, żeby dostać się do metra w Highgate, będę musiała przejść cichą i wyludnioną Jackson's Lane, nasłuchując kroków za sobą. Nienawidzę tej stacji – jest straszna i wygląda jak grobowiec, który ktoś ukrył pośród drzew. Jak miejsce z przerażającej rumuńskiej baśni, po którym biegają wyjące wilki.

– Tabitha – mówię możliwie szybko, beztrzesko, jak gdyby nigdy nic. – Znasz się na tych wszystkich asystentach na Delancey?

– Neee... A co?

– Zastanawiałam się, jak tam trafiły.

Tabitha, zdziwiona, wkłada sobie do ust miętówkę.

– Słucham? To znaczy?

– To znaczy, kto je kupił i zainstalował?

Zdumienie pozostaje na jej twarzy, ale tylko przez sekundę.

– Arlo. Arlo mi je kupił. Ale nie podłączał ich, to zbyt techniczne. – Wydyma wargi w zamyśleniu. – Jak tak się teraz zastanawiam, to sobie przypominam, że zrobił to twój były mąż. W ramach przysługi. Nie pamiętasz?

– Co proszę?

– Twój były, kochana, twój były. Chyba nie zapomniałaś o nim tak szybko? Simon! Wpadł tam któregoś dnia. Podłączył wszystko. Inteligentny dom, cały system.

Po tych słowach odwraca się i idzie z powrotem do baru. Czerwone światło miesza się z resztkami dymu, które wyglądają jak rozplływający się w powietrzu szkarłatny duch. Zwlekam i myślę o Simonie, o dziwnym odkryciu (bo nigdy mi o tym nie powiedział). Przyszedł i wyświadczył przysługę Tabicie? Nie wspomniał o tym ani razu. Ani kiedy byliśmy ze sobą, ani potem.

Zrobili to, we trójkę, za moimi plecami. Po jakimś czasie Tabitha zaproponowała, żebym się wprowadziła. Czynsz był tak śmiesznie niski, że przecież musiałam się zgodzić. Bo jak niby mogłam się oprzeć?

Taka wspaniała oferta. Niesamowicie kusząca. Chodź, zamieszkać tutaj, zobacz, ile tu bajerów.

Wielka szara ćma nie może wydostać się z ogrzewacza. Patrzą na nią, ale nie mogę jej pomóc. Biedne stworzenie przyleciało ku światłu, które okaże się jej końcem. Obserwuję, jak płonie, trzepocząc się w agonii. Czułki zamierają na końcu.

Rozdział 7

Jo

Szampan wypity, powietrze ucałowane, przyjaciele Arla wrócili do swoich zabytkowych domów z podziemnymi basenami. Machając Tabicie na pożegnanie, wychodzę na ostry, siarczysty mróz. Jest środek nocy. Podobnie jak niebo i powietrze, cały świat zrobiony jest z zamarznętej czerni, która tylko czeka, aż ktoś ją roztrzaska. Highgate przypomina dzisiaj szklany dagerotyp, historyczną i delikatną fotografię z połowy osiemnastego wieku; skulone szare sylwetki zwalniają w martwej mgle. Daleko w dole Highgate Hill, za cmentarzem, auta skręcają w lewo lub w prawo, zawsze dalej, zawsze osobno.

Rozpływają się w nicości.

Większość barów i restauracji w Highgate Village zamknęła się już koło dwudziestej trzeciej. Dlaczego? Przypuszczam, że ma to związek z poświętecznym dołkiem pierwszej połowy stycznia – każdy jest zbyt biedny lub zbyt niemrawy, by wyjść na mróz. Co oznacza, że mój spacer przez Jackson's Lane będzie jeszcze bardziej samotny niż zwykle.

Między siedemnasto- i osiemnastowiecznymi domostwami robi się ciasniej, ogrody stają się coraz mniejsze i starsze. Idę wąską ścieżką zamarznętego błota, ze zwiertzałymi ścianami z czerwonej cegły po obydwu stronach ulicy; echo powtarza moje kroki. Esencja samotności.

Bezwiednie sięgam po telefon. Chcę zobaczyć, czy moja izolacja dobiegnie końca. Może są jakieś wiadomości z OKCupid?

Nie, ani jednej. Co zrobiłam źle? Chodzi o zdjęcie czy o to, że byłam zbyt sarkastyczna? Pewnie muszę dopracować swój profil.

A jednak, kiedy rozpaczam nad swoim życiem miłosnym w drodze do metra, przychodzi mi do głowy oczywista myśl.

Liam.

Mam ogromne wyrzuty sumienia z powodu internetowej zdrady i tego, co stało się z moim małżeństwem, ale nie ma co się oszukiwać: sam flirt

był fajny. Nigdy ostatecznie się nie spotkaliśmy – moje małżeństwo rozpadło się, jeszcze zanim zadałam mu ten ostatni, zabójczy cios – ale SMS-ów, wiadomości i maili było sporo. No i były podniecające. Tak po prostu. Był zabawny. Inteligentny. Miał dystans. A na zdjęciach wyglądał naprawdę dobrze.

Czemu nie miałabym się z nim skontaktować? Wszystko skończyło się tak nagle. Po tym, jak powiedziałam mu, że Simon przeczytał nasze wiadomości i że pewnie niedługo się rozwiedziemy, po prostu zniknęłam. Wydawało mi się, że to najlepsze, co mogłam wtedy zrobić. Nie radziłam sobie z poczuciem winy.

Czyli po prostu przestałam odpowiadać.

Ale teraz jestem rozwiedziona i samotna. Może mój Liam również nadal jest singlem?

Zatrzymując się na Jackson's Lane, szukam go w swoim telefonie. Jest – na WhatsAppie. Wygląda na to, że właśnie jest dostępny.

Sprawdzam godzinę. Trochę późno, ale przecież może pracować w barze, a poza tym, jeśli dobrze pamiętam, i tak lubił gadać do nocy. Wymienialiśmy wiadomości, a potem zdjęcia – durne zdjęcia – przez długie godziny. Nawet kiedy Simon spał spokojnie w łóżku obok mnie.

Ignorując wyrzuty sumienia, wystukuję:

Hej. Zgadnij, kto tam!

Czekam. Ptaszki robią się niebieskie. Przeczytał wiadomość. Może odpowiada. Moje serce przyspiesza. Rowerzysta przemyka obok, w dół wzgórza, w stronę metra Highgate. Światła są tak słabe, że ledwo da się je zauważyć w styczniowej mgle. Przychodzi wiadomość. Liam Goodchild odpisał:

To naprawdę Ty? Po takim czasie!

Nie potrafię powstrzymać uśmiechu. Czemu nie pomyślałam o tym wcześniej? Czemu w ogóle zakładałam ten profil? W pamięć zapadło mi zwłaszcza jedno zdjęcie, które przysłał – był na łodzi, rozebrany do pasa. O tak, Liam. Jestem tutaj, gotowa.

Wysyła kolejną wiadomość. Odczytuję ją, marszcząc brwi.

Nie, Jo, nie.

Odpisuję:

Co?

Teraz on:

Dowiedziałem się czegoś, Jo. Dowiedziałem się czegoś o Tobie.

Wystukuję odpowiedź:

Czego się dowiedziałeś? O mnie? Nie rozumiem. Zastanawiałam się tylko, czy chciałbyś pogadać...

Milknie. Odczytał wiadomość, ale nie odpisuje. Gdyby nie para mojego oddechu, można by mnie wziąć za posąg. Zniknął?

Nie, moment, jest:

Jest za późno. Nie chcę rozmawiać. Najpierw ciemność, potem cisza, a teraz to? Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Nie.

Sparaliżowana gapię się w telefon. O co mu, do cholery, chodzi? Brzmi, jakby był pijany. Albo wściekły. Albo coś jeszcze. Drżącymi palcami wystukuję kolejne, niepewne słowa:

Liam, przepraszam, ale o co chodzi, co się stało? Nie rozumiem. Przepraszam, że nie odpisywałam wcześniej, przecież uzgodniliśmy, że nie będziemy do siebie pisać, ale teraz jestem już sama i pomyślałam, że...

Nawet tego nie czyta, ptaszki nie zmieniają kolorów. Jego następna wiadomość przychodzi natychmiast, szybko, i przerywa moją. Jakby się bał.

Nie rozumiesz, z kim masz do czynienia. Nie umiesz odpuścić? Nie będę ponosił za to odpowiedzialności. Nigdy mnie nie znałaś. Przestań pisać i zostaw mnie w spokoju. Inaczej ktoś umrze.

Ściskam mocno telefon, jakbym miała go upuścić. Nie takiego Liama zapamiętałam, musi być pijany, nie panuje nad sobą. Właśnie skasował wszystkie wiadomości, które przed chwilą wysłał. Kiedy próbuję odpowiedzieć, jego profil znika. Zablokował mnie.

Nabierając w płuca ostrego powietrza, sprawdzam Messengera. No tak, tam też mnie zablokował. A Instagram?

To samo.

Zostałam całkowicie usunięta, zablokowana i wygnana z jego życia, bez żadnych wyjaśnień. Zostało mi tylko tych kilka zdań: „Nie rozumiesz, z kim masz do czynienia. Nie umiesz odpuścić? Nie będę ponosił za to odpowiedzialności. Nigdy mnie nie znałaś. Przestań pisać i zostaw mnie w spokoju. Inaczej ktoś umrze”.

Brzmi jak groźba. Jakbym znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Zastanawiam się, czy nie powinnam po prostu do niego zadzwonić; tylko raz rozmawialiśmy przez telefon, wymieniliśmy kilka namiętnych

słów. Prawdziwa rozmowa była zbyt ryzykowna, zbyt ekscytująca. To była moja zasada – dopóki nie będziemy pewni, trzymamy się wiadomości.

Ale kogo to teraz obchodzi? Znalazłam go w kontaktach, wybrałam połączenie – od razu włączyła się poczta głosowa.

Mój numer też zablokował. Uciekł. Jest przerażony.

Dlaczego?

Najpierw ciemność, potem cisza, a teraz to?

Kiedy idę dalej, chowając telefon do kieszeni, czuję się wyobcowana i zagrożona. Jackson's Lane to zawsze ciche miejsce, ale teraz jest inaczej – przeszywające zimno sprawia, że samotność staje się namacalna: bolesna, szorstka, dławiąca. Jedyne, co słyszę, to mój przyspieszony, wystraszony oddech.

Odwracam się.

Nikogo tam nie ma.

Patrzę na zasłonięte okna i ciemne drzwi; nie widzę żadnych oznak ludzkiego życia, przez co jest tylko gorzej.

Serce bije mi jak oszalałe. Moja wewnętrzna słabość. Tata biegnie, by mnie złapać, to już prawie koniec, próbuje być miły, kochający, zabawny, jak wcześniej, jak zawsze, ale robi to za szybko, zbyt gwałtownie, robi się strasznie. Nie, nie, nie. Czuję, że muszę biec, wydostać się stąd, uciec. Panika narasta. Pomocy. Pomocy!

Rozdział 8

Jo

Jestem już niemal na końcu uliczki, niedaleko rozciąga się oświetlona i ożywiona Archway Road. Oddycham powoli, odzyskując samą siebie – logiczną i rozsądną. Spanikowałam, to wszystko, upiorne teksty Liama wytrąciły mnie z równowagi. Nie, nikt mnie nie śledzi; nie, stacji metra nie strzegą rumuńskie wilki.

Liam był po prostu... Liamem? Pewnie ma dziewczynę i chce się mnie pozbyć – ze swojego życia i swojej głowy. Odstrasza mnie. Może był z nią, kiedy do niego napisałam, i też spanikował.

Tak.

Wchodzę do całkowicie pustego wagonu, a metro przejeżdża z hukiem przez Archway, Tufnell Park, Kentish Town. Kiedy wysiadam w Camden, ludzi jest już nieco więcej. Naprzeciwko metra, w World's End, znanym kiedyś jako Mother Damnable, grają rocka. Na zewnątrz chłopaki palą zioło, śmiejąc się z obleśnych żartów. W miejscu, gdzie podróżujący szukali schronienia przed bandytami.

Już niedaleko – idę w górę Parkway, obok zamkniętych kawiarni, brudnych zasp i wykwintnych pubów; okolica z każdym krokiem wygląda na coraz bogatszą. Od wysuszonych schronisk dla bezdomnych przy Arlington Road, które kosztują dwa funty za noc, do niemal pałacowego sztyku szeregowych kamienic zaprojektowanych przez Johna Nasha – dwadzieścia tysięcy funtów za metr kwadratowy – w kilka minut.

Jestem blisko, skręcam u szczytu Parkway – i zatrzymuję się. Na chodniku naprzeciwko mojego domu, domu, w którym znajduje się mieszkanie Tabithy, zebrał się mały tłum. To pewnie goście z Edinboro Castle. Głowy zwracają w stronę mojego mieszkania, ale ponieważ sam budynek jest jeszcze za rogiem, nie widzę dlaczego. Nie rozumiem, co takiego mogłoby się tam dziać.

Im bliżej jestem, tym większe dostrzegam zmieszanie na ich twarzach. Co oni widzą? O co chodzi?

Kiedy wychodzę z za rogu, podnoszę wzrok.

Już widzę, chociaż wolałabym nie.

Wszystkie światła w mieszkaniu zapalają się w jednym momencie. Są oślepiające. Każde z nich. Przez odsłonięte zasłony widać czerwone ściany, drogi telewizor, ulubione stalowe rzeźby Tabithy. Po chwili wszystko ogarnia ciemność, w oknach odbijają się latarnie na Delancey, mokre auta i delikatny śnieg. Za moment wszystko się powtarza. Światła zapalają się, a potem gasną. Gasną i zapalają. Każda jedna żarówka.

Wygłąda to tak, jakby światło faktycznie żyło. Nadawało coś do kogoś, używając alfabetu Morse'a. Ale do kogo? I kto jest w środku, kto wysyła wiadomość?

Nikt. Albo raczej: na pewno nie człowiek.

Słyszę, jak ktoś mnie woła.

To moja sąsiadka, mieszka jakieś trzy domy dalej. Deborah Welland. Jest w szlafroku, trzęsie się na mrozie. Imprezowicze rozchodzą się powoli, kręcąc głowami. Debs podchodzi bliżej; to dość nerwowa kobieta, jakoś po czterdziestce, rozwiedziona, z farbowanymi włosami. To ten typ, który zgłasza do rady dzielnicy absolutnie wszystko – za dużo drzew, za mało drzew, za dużo autobusów, za mało autobusów – ale zawsze chce jak najlepiej. Oddałaby mi ostatnią szklanekę cukru, choć sama słodzi trzy czubate.

– Debs, co jest? Co się dzieje?

Głupie pytanie. Obydwie wiemy, co się dzieje. Deborah pokazuje w górę, w stronę wąskiego balkonu z ozdobną balustradą.

– Całą noc – mówi z zatroskanym wyrazem twarzy. – Całą noc tak robią. Twoje światła... zapalają się i gasną. Jak jakiś kod.

Kręci głową i patrzy na mnie. Z żalem?

– Na początku zobaczyłam to koło ósmej, kiedy wracałam z pracy. Widziałam, że wszystkie tak robią. Migają. Myślałam, że to korki. Ale to trwa już tak długo...

Obydwie spoglądamy w górę, a światła w pustym mieszkaniu powtarzają cykl. Zapalają się i gasną. Na zmianę. Przez minutę. Wstrzymuję oddech, przerażona jak małe dziecko, któremu ktoś włączył horror dla dorosłych. Dlaczego to takie straszne i zarazem hipnotyzujące?

To muszą być asystenci. Kontrolują światła. Od razu mi lżej, bo inni też to widzą, nawet jeśli boję się coraz bardziej. W zasadzie to czego jesteśmy świadkami?

– To dziwaczne... Przepraszam, ale tak jest – mówi Deborah. – Jakby ktoś był w twoim mieszkaniu i bawił się wszystkimi włącznikami. Ale nikogo nie widać. Dom nie jest nawiedzony, prawda?

Stara się obrócić wszystko w żart, ale to ostatnie, na co mam ochotę. Drobne płatki śniegu topnieją mi na twarzy; moja słodka, nieco neurotyczna sąsiadka jest wyraźnie wzburzona.

– Próbowалам dodzwonić się do Tabithy. – Deborah przykładła do twarzy dłoń z wystawionym kciukiem i małym palcem, jakby trzymała jakąś starą słuchawkę. – Pomyślałam, że powinna wiedzieć, bo to jej mieszkanie i tak dalej... ale nie mogłam się połączyć.

– Byłam w pubie. Z nią. Pewnie miała wyłączony telefon.

– Jezu, zobacz, znowu...

Deborah ma rację. Światła migają na całą ulicę, oświetlając pobliskie budynki; pewnie widać je aż w Regent's Park, gdzie nie dają zasnąć wilkom zamkniętym w ciasnych klatkach zoo.

– Powinna tam iść – mówię, próbując wyglądać na bardziej spokojną niż w rzeczywistości. – To pewnie jakaś usterka w elektronice. Wiesz, jaka jest Tabitha. Wszystko zawsze najlepsze, zawsze najnowsze, ale te rzeczy też czasem się psują. Całe mieszkanie wariowało przez ostatnie kilka dni.

Deborah zezuje na mnie, jakby nie była pewna, czy mówię poważnie.

Żegnając się z nią szybko i drżącymi dłońmi wpisuję kod do drzwi wejściowych. Łapię się na tym, że biorę głęboki oddech. Spokojnie. Nie chcę wchodzić do tego mieszkania. Spokojnie. N i e c h c ę w c h o d z i ć d o t e g o m i e s z k a n i a.

Rozdział 9

Jo

Stając przy drzwiach, czuję na plecach litościwe i przerażone spojrzenie Deborah. Przekraczam próg i wchodzę do suchego i ciepłego wnętrza, mijając po drodze sterty porzucanych jak jesienne liście śliskich ulotek knajpek z curry, pizzerii i sieciowych burgerów.

Głęboki wdech. Jeśli mam się z tym zmierzyć, muszę zrobić to szybko albo wcale. Wszedłszy po schodach, stoję przed drzwiami do mojego mieszkania, drzwiami Tabithy; nadal nie czuję, że to miejsce jest w jakikolwiek sposób moje. Chyba już nawet nie chcę być z nim zbyt blisko związana.

Co zaraz zobaczę? Wyobrażam sobie najróżniejsze rodzaje niedorzecznych technologicznych potworów i bełkoczących elektrycznych widm. Albo kogoś martwego. Mojego zmarłego ojca. Tata będzie siedział w rogu i mówił do mnie, a z ust będzie mu ciekła ślina.

Przestań. Uspokój się.

Klucz, obrót.

Otwieram drzwi. Widzę dobrze oświetlone mieszkanie. Uporządkowane i normalne. Ściany pomalowane na czerwono, obwieszane obrazami i zdjęciami z licznych podróży Tabithy. Część z nich pstryknęłyśmy razem, większość zrobiła ze swoimi partnerami, no i Arlem.

Ceramiczna meksykańska czaszka upamiętniająca Dzień Zmarłych. Mała, autentyczna statuetka ze starożytnego Egiptu – mężczyzna z głową psa.

Wchodzę do przedpokoju i zaglądam do salonu. Cisza brzęczy jak wnętrze medytacyjnej misy.

Nic się nie zmieniło. Widzę kawałek wulkanu z Etiopii. Piękne, na swój sposób melancholijne muszle z Sanibel na Florydzie. Regały, a na nich należące do Tabithy powieści i książki na temat historii naturalnej; pod

nimi moje thrillery, kryminały, historia sztuki i długi rząd poradników dla scenarzystów.

Cokolwiek działało się ze światłami, cokolwiek robili z nimi asystenci, przestali. Wyglądam przez okno, Deborah zniknęła. Podobnie pozostali. Ulica jest pusta. Widzieliśmy zwykłą usterkę czy coś więcej?

Jedyną dziwną rzeczą jest przejmujące zimno. Ogrzewanie wysiadło. Nie powinno. Inteligentne ogrzewanie miało utrzymywać temperaturę na poziomie dwudziestu stopni Celsjusza, nawet kiedy mieszkanie stoi puste – w ten sposób byliśmy pewne, że rury nie pękną od mrozu. Ale na zewnątrz jest lodowato, a tutaj chyba jeszcze zimniej. Jak w lodówce.

Okej, okej. Muszę zachować spokój. I spróbować nie myśleć o Liamie. O tym, co powiedział. Jakkolwiek dziwne by to było. Musiał mieć swój powód, który nie miał nic wspólnego ze mną.

Po włączeniu aplikacji Electry na telefonie wybieram „Funkcje” i sprawdzam „Oświetlenie” oraz „Ogrzewanie”. Wygląda na to, że światła były ustawione tak, by włączyć się o dwudziestej trzeciej, kiedy wrócę do domu. Ale jednocześnie miały nie włączać się przez całą noc, gdybym wróciła później. Aha. Czyli to po prostu moja wina? Nie mogę sobie przypomnieć, żebym bawiła się tymi ustawieniami w pubie; byłam nieco pijana i rozkojarzona. Czyżbym sama wprowadziła asystentów w błąd?

Nie mam pojęcia. Jedyne, co wiem, to, że zimno powoli staje się nie do zniesienia.

– Electra, nastaw ogrzewanie na dwadzieścia dwa stopnie.

Diadem dzwoni i Electra odpowiada:

– Ogrzewanie zostało włączone na dwadzieścia dwa stopnie Celsjusza.

– Dzięki, Electro!

– Po to tu jestem!

Patrzę na nią – obojętną czarną kolumnę pełną procesorów i przewodów. Wewnątrz mnie rodzi się wrogość, prawdziwy gniew. Bo jestem pewna, że ktoś – lub coś – robi mi coś chorego i paskudnego. Najpierw ich teksty, potem muzyka, teraz światła? No i Liam, który prawie mi groził.

„Ktoś umrze”.

Mam jakieś dowody, coraz więcej, ale dalej nie mogę nic z nimi zrobić, a już na pewno iść na policję. Z powodu przeszłości. Z powodu wysokiego, dobrze zbudowanego i przyjaznego Jamiego Trewina, który stawiał wszystkim piwo. I jego okropnej śmierci w spazmach

i wymiotach, z oczami wywróconymi białkami do góry. Wszystko to z naszej – mojej i Tabithy – winy.

Dość tego. Jestem zmęczona. W mieszkaniu jest już wyraźnie cieplej niż przed chwilą. Muszę jutro wstać i usiąść do pracy, wrócić do normalnego życia – spotkać się ze znajomymi, poznać kogoś, mieć przyjaciół. Po umyciu zębów i zwilżeniu twarzy wkładam piżamę i idę do sypialni. Gdy wskakuję do łóżka, proszę asystentów o wyłączenie świateł.

Ciemność zapada posłusznie, jakbym wlokła ją za sobą; imperatorowa, za którą podążają służący gaszący świece. Wszystko działa tak, jak powinno. Nie dzieje się kompletnie nic dziwnego. Mało brakuje, żebym zasnęła od razu, jak tylko przykładam głowę do poduszki. Ale zanim zamknę oczy... Zdaję sobie sprawę, że słyszę Hoppipollę.

Wydaje mi się. Jestem półprzytomna.

Nie, jednak mi się nie wydaje. HomeHelp, kremowoszare strusie jajo w mojej sypialni, wiruje kotylionem małych świateł i cicho wygrywa Hoppipollę.

– Przestań – mówię. – Przestań grać tę piosenkę, masz jej nigdy więcej nie włączać.

HomeHelp posłusznie przestaje. Ale wtedy słyszę Hoppipollę z innego miejsca. Z kuchni. Mały kuchenny asystent włączył się do zabawy. Wyskakuję z łóżka i idę tam, a po drodze sama włączam światła – w tym momencie nie ufam asystentom. Piękna melodia, przywołująca znienawidzone obrazy z przeszłości, rozbrzmiewa z czarnego urządzenia, miniaturowej wersji Electry wielkości krążka hokejowego.

– PRZESTAŃ. Electra, PRZESTAŃ.

Ustawiony nad mikrofalówką asystent milknie. Cisza panuje przez kilka sekund. Potem piosenka odzywa się znowu. Dużo głośniejsz. Dzięki Bogu mieszkanie Fitz'a na dole wciąż stoi puste, a moi bogaci sąsiedzi z góry nawet nie myślą o powrocie z niekończących się wakacji. W innym wypadku na pewno wszyscy mieliby już dość narastającego hałasu, dobiegającego najpierw z łazienki, potem z pokoju Tabithy, korytarza i gabinetu. Dźwięki są ogłuszające, wybuchają na zmianę i ryczą, a ja biegam między nimi w szlafroku, krzycząc „Stop, stop, stop”, dopóki ostatni z asystentów nie zamilknie. Dość nagle.

Cisza.

Tym razem czekam. Wiem już, że to jeszcze nie koniec.

Mam rację. Słyszę głosy. Są cichsze niż łoskot muzyki, ale nadal głośne i wyraźne. Niektóre są męskie, niektóre żeńskie, część ma brytyjski akcent, pozostałe – amerykański. Asystenci mówią do mnie albo do siebie, albo jeszcze do kogoś innego.

Ich słowa są takie dziwne...

Electra w salonie odzywa się pierwsza:

– Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa.

Co?

Inny asystent odpowiada:

– Potop krwi jest potopem miłości.

Salon wtrąca rytmicznie:

– Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa. Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa.

Do chóru włącza się delikatny, przypominający kobietę robota głos z kuchni:

– Jestem naga jak szyja kurczęcia, czyż nikt mnie nie kocha?

Biegam od pokoju do pokoju i w rosnącym przerażeniu słucham tych niejasnych, niepokojących zdań.

Nikogo tu nie ma, Jo, nikogo tu nie ma.

– Uwalniają swe księżycy co miesiąc daremnie.

– Śnieg zrzuca płaty ciemności.

– Zimna jak mroźny oddech szarpie łono.

Teraz sypialnia krzyczy z przejęciem, brzmiąc jak głos mojej owdowiałej matki:

– Naga jak szyja kurczęcia, nikt mnie nie kocha. Nikt mnie nie kocha. Nikt mnie nie kocha. Naga jak szyja kurczęcia. CZYŻ NIKT MNIE NIE KOCHA?

Mam dość. Pieprzyć aplikację, odłączam prąd. Nie obchodzi mnie, co stanie się z asystentami, z całą tą technologią, inteligentnym domem i resztą. Zawsze jest przecież główny włącznik – skrzynka z korkami.

Łapię za krzesło, przechodzę z nim przez korytarz i otwieram skrzynkę. W lodówce nie mam nic poza kostkami lodu, więc to bez znaczenia.

– Doskonałość jest straszna. NIE MA POTOM...

Już. Zrobiłam to. Całe mieszkanie zostało odłączone. Wszystko cichnie, światła gasną, ogrzewanie jest wyłączone i pewnie zamarznę na śmierć w tym zimnie, ale nic mnie to nie obchodzi. Przekradłszy się przez ogarnięty ciemnością korytarz, otwieram drzwi do sypialni, wygrzebuje

ubrania z szuflady, wkładam koszulki, legginsy, sweter, po czym wpełzam pod kołdrę, jakbym chciała, żeby nikt mnie nie widział. Z plastikowego pudełeczka, które stoi po prawej stronie, wyciągam dwie, nie, trzy tabletki na sen i połykam je wszystkie. Potem kulę się w najbardziej ciasną pozycję embrionalną i mocno zaciskam oczy.

Drzę z zimna, chowając się przed ciemnościami i uciekając przed swoim szaleństwem. Albo przed duchem Jamiego Trewina, który czeka w mroku tuż obok mojej sypialni, z oczami pustymi i białymi jak marmur.

„Hej, postawić wam piwo?”

Rozdział 10

Jo

Budzą mnie zmarszczone czoło i piękne jasnoniebieskie oczy.

Tabitha.

Wpatruje się w kobietę leżącą w łóżku pod stertą normalnych ciuchów.

We mnie.

Dociera do mnie, jak bardzo się pocę – wilgotna pościel cała się lepi. Najwidoczniej ogrzewanie jest już włączone. Przez okno sypialni wpada zimowe słońce, zapomniałam zaciągnąć zasłony – w panice był to jednak drobny szczegół.

– Na miłość boską, co się dzieje? – pyta Tabitha. – Przepraszam, że wpadłam tak tutaj i od razu cię budzę, ale serio, co zrobiłaś z mieszkaniem? To znaczy z ogrzewaniem i światłami?

Ma na sobie gładki, brązowy płaszcz zimowy, kaszmirowy sweter i obcisłe dzinsy, na które nigdy nie byłoby mnie stać. Szyk niemal wojskowy, ale jak zwykle elegancki. Przez moment nie wiem, co powiedzieć. Patrzę na nią, dochodząc do siebie. Zastanawiam się też, jak bardzo zazdrozczę mojej najlepszej przyjaciółce. Zawsze była ode mnie nieco l e p s z a we wszystkim: bogatsza, z o wiele lepszemu domu. Ale nie tylko, bo również odrobinę wyższa i trochę ładniejsza. Ona jest blondynką, ja jestem ruda, więc kiedy w wieku dwudziestu paru lat zdarzało nam się rywalizować o facetów, ona zazwyczaj wygrywała. Konkurowałyśmy na przykład o Jamiego Trewina – czy to dlatego ją podpuszczałam, żeby wolał mnie, żebym to j a mu się spodobała?

Może to wszystko moja wina.

– Tak na poważnie, Jo – mówi Tabitha, siadając na końcu łóżka z zaniepokojonym wyrazem twarzy. – Co się, do cholery, dzieje? Wróciłam od Arla godzinę temu i wszystko było wyłączone, dosłownie wszystko. I było lodowato. Dopiero potem zobaczyłam, że ktoś wyłączył

korki w całym mieszkaniu! – Potrząsa głową. – Jeśli masz jakiś problem, musisz mi o tym powiedzieć.

Zmuszam się, żeby usiąść. Wciąż mam na sobie dwie koszulki i sweter. Jestem boleśnie świadoma tego, że prezentuję się fatalnie. Moje włosy są wszędzie, a ja świecę się od potu. Co mam jej powiedzieć? Wciąż nie mogę nawet zbliżyć się do wydarzeń z udziałem Jamiego – to zdarzyło się dawno i jest zakazane. No więc co mi zostało? Grając na czas, ściągam sweter przez głowę, potem jedną koszulkę. Naprędce wymyślam jakąś pokrętną odpowiedź.

– Pomylili mi się asystenci. To znaczy apki. Myślę, że coś źle ustawiłam, i asystenci zaczęli włączać i wyłączać światła.

Na skraju łóżka Tabitha zdziwiona potrząsa głową.

– Słucham? Asystenci?

– Mówili coś. Hm... Zapomniałam, jak, no wiesz, z nimi rozmawiać, to znaczy, sprawić, żeby coś zrobiły, no bo... wiesz. Łatwo się pomylić.

W żenujący sposób przeciągam odpowiedź. Nie mam jak dać jej choćby najmniejszej wskazówki na temat tego, co naprawdę się dzieje, nie mówiąc o sednie całej sprawy – asystenci mnie dręczą, całe mieszkanie zachowuje się, jakby ożyło, i wykorzystuje śmierć Jamiego Trewina, by zmusić mnie do myślenia, że oszalałam.

Mogłabym równie dobrze powiedzieć jej, że faktycznie zaczynam tracić rozum, ponieważ pojawiły się u mnie te same objawy zaawansowanej schizofrenii, które miał mój tata. On też myślał, że telewizor mu rozkazywał – kilka lat przed tym, zanim się wykończył.

Zastanawiam się, jak moja przyjaciółka i współlokatorka zareagowałyby na to. Już teraz wygląda jak zatroskana pielęgniarka. Wyobrażam sobie, jak przykładła mi wierzch dłoni do czoła, sprawdzając, czy nie mam gorączki. Jakby była moją matką, a ja dzieckiem, które nie chce iść do szkoły.

Tabitha waha się i wreszcie mówi:

– Jak to zapomniałaś, jak się nimi steruje? Pokazywałam ci, jak używać aplikacji. Kilka razy.

Mimo że jej głos jest dość spokojny, wyczuwam w nim nutę zniecierpliwienia. Tabitha wydaje się sroga, ale opanowana. Myślę, że to przez ten płaszcz. Wygląda tak mądrze. Gdzie ona kupuje te rzeczy?

Cała jej postawa zdaje się pytać: w i ę c?

– Chodzi mi o to, że... – Dopiero teraz łapię się na tym, że nie powinnam mówić jej ani o głosach, ani o muzyce. Wyjdę na wariatkę. Za bardzo jak tata. Po chwili kontynuuję: – Kiedy wróciłam z naszego spotkania, tego w Highgate, światła migotały, a potem musiałam zrobić coś z ogrzewaniem, bo było cholernie zimno. Ale byłam pijana i zmęczona, więc coś mi nie wyszło. Chyba nie przyzwyczaiłam się jeszcze do tych wszystkich urządzeń.

– Okej – mówi moja przyjaciółka przez zaciśnięte usta. – A potem?

– A potem...

Prostuję się na siedząco, przygotowując kolejne kłamstwo. Kiedy muszę, potrafię całkiem niezłe kłamać. Nauczyłam się tego w dzieciństwie, kiedy inne dzieciaki pytały o mojego tatę. Dlaczego był taki dziwny albo dlaczego zachowywał się tak strasznie. Nie chciałam przyznać, że oszalał. Był moim tatusiem i kochałam go; był najzabawniejszym, najmiłszym człowiekiem na świecie, moim idolem, który rozśmieszał mnie i opowiadał zagadki. Jak oni mogli mówić o nim takie rzeczy. Wymyśliłam więc kilka przekonujących historyjek. Teraz zrobię to samo. Spoglądam na zniecierpliwioną, wyczekującą twarz Tabithy.

– Cóż, Tabs. Po tym wszystkim pomyślałam, że walić, pewnie to jakaś usterka, więc wyłączyłam korki.

Patrzę jej w oczy. Bezmyślnie. Uparcie. Bronię się. Nie dam się zastraszyć. Kocham Tabithę, ale nie będzie mi matkować. Nawet jeśli to ja popełniłam błąd.

Moje kłamstwo – a właściwie półprawda – chyba zrobiło swoje. Wstaje, teraz już tylko z lekka się dziwiąc, po czym zerka na zegarek.

– Boże, jest prawie dziesiąta. Muszę iść, mamy dzisiaj montaż w studiu. Robimy te cholerne żaby. – Jej spojrzenie napotyka moje. W oczach Tabithy widzę współczucie. I zmieszanie. I chyba coś jeszcze, czego nie rozumiem. – Posłuchaj, kochanie, nie winię cię ani nic z tych rzeczy, po prostu byłam w szoku, to wszystko. Tu było tak zimno! Wiesz co... – Podchodzi do drzwi i uśmiecha się po raz pierwszy tego ranka. – Może zjemy dzisiaj jakąś fajną kolację, tylko we dwie? Otworzymy butelkę wina i wyjaśnię ci, jak to wszystko działa, światła, aplikacje, no wiesz, babski wieczór. A potem możemy poplotkować o tym durnym kumplu Arla, belgijskim bankierze. Wychodzi na to, że jest dość mocno zboczony. Zdziwisz się.

Moja przyjaciółka zachowuje się jak moja przyjaciółka. Jest miła. Zbyt miła?

Nie, co jest ze mną nie tak? Czemu nie ufam jednej z najbliższych mi osób?

– Ekstra! – odpowiadam. – Super pomysł, babski wieczór. Ugotuję coś, może to rybne... cioppino, pamiętasz?

– Świetnie – kwituje. – Zrób więcej, mogę się założyć, że nie będę miała czasu na lunch. Utkniemy w studiu na cały dzień, producentka wykonawcza pewnie tęskni za służbą w Gestapo.

Jasnoniebieskie oczy. Ładny uśmiech.

Tabitha otwiera drzwi i jeszcze raz uśmiecha się na pożegnanie.

– To widzimy się później. Pozwól asystentom ustawić ogrzewanie i resztę, zresetowałam je wszystkie. Powinno być w porządku.

Mówiąc to, wymyka się z sypialni, zostawiając za sobą tylko woń perfum.

To zapach mojego upokorzenia. Prawdopodobnie kosztuje jakieś pięć tysięcy funtów za buteleczkę. W odróżnieniu od niej pachnę wyschniętym potem i niepranymi koszulkami. Słyszę trzaśnięcie drzwi. Gapię się na HomeHelpa. Jajowaty dręczyciel. Żadnych tańczących świateł. Nic. Nadal czuję senność po xanaxie. Pigułki nasenne. Jak dużo ich wzięłam? Nie pamiętam. Niedobrze. Muszę. Wziąć. Się. W. Garść. Muszę być jak Tabitha. Wydajna, żywiołowa, sprytna, mądra, ale wciąż zabawna i sympatyczna. Czemu nie mogę być jak ona?

Tak, dosyć. Wstawaj. Nie myśl o przeszłości. W s t a w a j.

Ale jest za późno. Kiedy podnoszę się, idę do salonu i spoglądam na zmrożoną wilgoć na oknach, wspomnienia w końcu nacierają, jak ostra świąteczna burza, jak zimowe fale w zatoce. Jamie Trewin. Biedny Jamie Trewin. Wszystko sprowadza się do niego.

Rozdział 11

Jo

Byłyśmy młode. Bardzo młode i bardzo głupie. Pojechałyśmy na Glastonbury po raz drugi, w wakacje tuż po studiach – było ciepło i słonecznie. Za pierwszym razem padało, nasz namiot się zapadł, więc cały wyjazd okazał się przygnębiającym doświadczeniem. Uciekłyśmy z sięgającego kolan, okopowego błota już po pierwszej nocy, ciągnąc umazane czarną ziemią śpiwory do kombi znajomego; przegapiłyśmy wszystkie zespoły, które chciałyśmy zobaczyć, i nawet porządnie się nie upiłyśmy.

No więc na drugim Glasto musiałyśmy się dobrze bawić. Prognoza była świetna – bezchmurne czerwcowe niebo przez cały tydzień. Wybierało się tam mnóstwo znajomych i krewnych Tabithy, co gwarantowało tłum ludzi potrafiących się zabawić. Przyjechałyśmy wcześniej, zanim auta utknęły w gigantycznym korku na wąskich ulicach Somerset. Namiot był drogi i solidny – oczywiście kupiony przez Tabithę – jeden z tych, które rozkładają się same. Rozpinasz suwak – i masz swój namiot. Wrzuciłyśmy nasze plecaki w róg i poszłyśmy b a w i ć się tak, jak nie miałyśmy okazji za pierwszym razem.

Zobaczyłyśmy każdy możliwy zespół, zaliczyłyśmy występy średnich komików, obejrzałyśmy, jak trzy lesbijki w smokingach grały Hoppipolle Sigur Rós na ukulele. Była to piosenka festiwalu, słyszałyśmy ją na każdym kroku w przeróżnych wersjach. Spotkałyśmy faceta na szrudłach z marakasami i diablami rogami, trupe lam-mimów, poetę z dredami, który recytował swoje sonety do megafonu. Poszłyśmy do sauny i rozebrałyśmy się do naga, chichocząc. Potem kupiłyśmy trochę ecstasy i wzięłyśmy tabletki w idealnym momencie. Powolna eksplozja szczęścia, narastające błogie uczucie, wspaniałomyślność i miłość do świata wjechały akurat wtedy, kiedy słońce zachodziło w magicznej czerwieni nad świętą piersią wzgórza Glastonbury. Jak na ironię, to była właśnie

jedna z tych chwil, kiedy pomyślałam o Bogu – kto wie? Wróciliśmy do namiotu po wino, które Tabitha ukradła z piwniczki ojca. Po drodze jakiś wysoki koleś z pomalowaną na fioletowo twarzą i żółtymi płomieniami buchającymi wokół oczu zawołał do Tabithy:

– Hej, Tabs!

Spojrzała na mnie, przewróciła oczami i parsknęła śmiechem, po czym wyszeptała:

– To stary przyjaciel rodziny, ledwo go kojarzę, ale jego tata zna się z moim. Ponoć zawsze ma najlepsze pigułki.

Z tymi słowami Tabitha obróciła się do Fioletowego i z uśmiechem zapytała:

– Hej, co tam?

Podszedł do nas, szczerząc się nienaturalnie, a potem sprzedał nam jakieś tabletki.

– To lepsze niż E – powtarzał. – Tabs, dziewczyny, mówię wam, są lepsze niż jakiegokolwiek pigułki, chyba w ogóle, w historii.

Tabitha jak gdyby nigdy nic wręczyła mu pięćdziesiąt funtów za cztery, minęliśmy obściskującą się parę i wianuszki nastolatek tańczących wokół jakichś gitarzystów – grających oczywiście Hoppipollę – po czym dotarliśmy do naszego namiotu. Tam śmiałyśmy się, długo, bez powodu, aż upuściłyśmy wino, latarki i całą resztę. Chichocząc jak głupie, próbowałyśmy znaleźć korkociąg.

Nie wiem, co nas tak rozśmieszyło. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była tak szczęśliwa.

Na pewno nie od tamtego czasu.

Być może to nasze chichotanie go zainteresowało. Albo głośny, niepohamowany rechot, kiedy zobaczyłyśmy, że nie mamy żadnych kubków. Tabitha wlała mi wino prosto do gardła, a potem ja zrobiłam to samo jej. Czułyśmy się jak poganki w starożytnym Rzymie. Prawdopodobnie to siła magicznej rozkoszy przywiodła tam Jamiego i postawiła go na naszej drodze. Albo diabeł, który zawiódł go do wiedźm.

Tak czy inaczej, pośrodku przyjemnego, ciepłego i głośnego zmierzchu Glastonbury w wejściu do naszego namiotu pojawiła się przystojna twarz.

– Jamie! – wykrzyknęłam.

– Jamie, Jamie, Jamie! – powtórzyła Tabitha ze śmiechem.

Był naszym wspólnym znajomym z uczelni. Pochodził z Nowej Zelandii i spędzał rok na wymianie studenckiej. Lubiłam jego akcent. Chłopak

kiwi. Lubiłam go całego. Był odpowiednio przystojny i męski w młodzieńczy, dredowaty sposób. Czuł się swobodnie wśród ludzi, potrafił się bawić. Wiele razy upijaliśmy się i tańczyliśmy we trójkę na imprezach; zawsze hojnie stawiał nam drinki w studenckim barze. Podobał się i mnie, i Tabicie, ale żadna z nas nie wykonała jeszcze ruchu.

I nagle tam był. W naszym namiocie. Uśmiechał się do nas. Odwzajemniłam uśmiech, podniecona i na fazie. Za nim widziałam ogromną, płonąca od świateł piramidę sceny. Słyszałam wiwaty. Mignęło mi morze białych ramion, transparentów i powiewających proporczyków, wielka gala setek tysięcy młodych ludzi, szczęśliwych i śpiewających w zapadającej ciemności. To było coś magicznie pierwotnego, a jednocześnie zupełnie nowego. Jak średniowieczne obozowisko na haju, wielkie oblężenie armii psychodelicznych bannerów. Hałas był przejmujący; musiał grać akurat jakiś ważny zespół. Równie dobrze mogli być to nowi Beatlesi. Było nam zbyt dobrze, żeby się tym przejmować. Hoppipolla!

– Jezu, dziewczyny – powiedział. – Ale się dobrze bawicie. Co macie?

– Cydr – powiedziała Tabitha, krztusząc się ze śmiechu. – Serio, jest naprawdę dobry.

– Bo uwierzę! – zaśmiał się Jamie. – Wzięłyście E czy co? Macie jeszcze trochę? Nie mogę znaleźć n i k o g o.

Popatrzyłyśmy po sobie z Tabithą. Chichotałyśmy wyszczerzone, ale ewidentnie każda pomyślała w tamtej chwili o tym samym. Czemu nie? Obie go lubiłyśmy, był miłym, fajnym gościem; same byłyśmy już w połowie drogi do chemicznego rajy i nie potrzebowałyśmy dokładki.

– Tak – powiedziałam do niej. – No dawaj, Tabs, nie weźmiemy ich i tak, prawda? Spójrz na nas!

Roześmiałam się, ona też. Sięgnęła do swojej hippisowskiej haftowanej torby i podała mu limonkowe pigułki, które dał nam Fioletowy.

– To lepsze niż E – powiedziała konspiracyjnym szeptem. – Lepsze niż E, jak, no wiesz, w ogóle, w historii. Czy coś. Bierz za darmo.

I znowu zaczęłyśmy się śmiać. Jamie wziął tabletki z onieśmielającym uśmiechem wdzięczności i mrugnął.

– Jesteście najlepsze. Idziecie na imprezę trance?

Przytaknęłyśmy gorączkowo, a on zniknął. Zaraz potem wieczór rozmył się jeszcze bardziej – przynajmniej na pewien czas. W którymś momencie spotkałyśmy jakichś przyjaciół Tabithy i udawałyśmy, że jesteśmy

owcami i owczarkami albo lwami i tygrysami. Czołgałyśmy się między namiotami, zdziecinniałe z wesołości, aż wreszcie trafiłyśmy do wielkiego, świecącego na pomarańczowo namiotu z dudniącą perkusją i basem, gdzie tańczyłyśmy z żonglerami o gołych klatach i kolesiami w dredach z fluorescencyjnymi hula-hoopami na szyjach, a potem relaksowałyśmy się, słuchając długowłosych dziewcząt grających na skrzypcach. W końcu wpadłyśmy na Jamiego, tańczącego euforycznie do trance'owej muzyki, tak jak zapowiadał. Miał rozbiegane oczy, był szczęśliwy.

– Hej, dziewczyny! – zawył. – Moje dziewczyny. Chcecie iść do mojego namiotu? Trochę wyluzować? Mam rewelacyjne nowozelandzkie wino! – Uśmiechnął się do nas w chłopięcy, choć jednocześnie męski sposób. – Namiot jest ogromny, tam przy bramie, a wszyscy kumple są gdzieś z laskami. Mamy go dla siebie na całą noc.

To było to – fatalny moment, fatalny wybór.

Wspominając tamtą chwilę, zerkam na stojącą na regale Electrę. Milczy, obserwuje.

Osądza.

Dlaczego zgodziłyśmy się pójść do jego namiotu? Czy chodziło po prostu o seks?

Niezależnie od przyczyny rzuciłam chętnie „Pewnie!”. Tabitha uśmiechnęła się znacząco i dodała:

– Pewnie, czemu nie.

I tak przedzierałyśmy się przez tłum do odległego, opustoszałego zakątka pola. Faktycznie – namiot Jamiego był ogromny, a nad nim dumnie powiewała flaga Nowej Zelandii. W środku, schłodzone w termosach, czekało na nas niezłe sauvignon blanc. Kiedy kołysząc się i chichocząc, nalewał nam wina, wyjąkał:

– Te prochy, ja jebię. Tabitha, one są wykurwiste. Ale jazda. Mam u ciebie dług! – Zamrugął. – U was obu!

Wino zostało rozlane, toasty wzniesione, byliśmy blisko. Zaczęło się. Nie wiem, która z nas pocałowała Jamiego pierwsza. Myślę, że ja. Ale za chwilę obie go całowałyśmy, pierwsze buziaki szybko stały się pocałunkami, nagle był już bez koszuli, ja zdjęłam swój top, widziałyśmy jego mięśnie w całej okazałości – w dochodzących z daleka światłach lśniły jak falowane złoto. Kiedy Tabitha go całowała, włożył jej rękę pod sukienkę, ja wsunęłam swoją w jego spodnie i myślałam, podeksytowana, że to mój pierwszy trójkąt, tak, to jest to, mój pierwszy

trójką, nigdy tego nie robiłam, co za przeżycie! Czułam, że dojrzewam, że wyrastam z Thornton Heath i zostawiam je za sobą – nikt w Thornton Heath nie zaliczył nigdy trójkąta.

Noc wirowała i nie mogę sobie przypomnieć, kto całował kogo i czy to w ogóle miało znaczenie; Jamie pieścił moje piersi, a ja drżałam z rozkoszy. Kiedy mnie obejmował, Tabitha zachichotała i powiedziała:

– Oj, zanim zrobi się poważnie, muszę iść siku. – Wytoczyła się z namiotu, a ja odwróciłam się do Jamiego.

Zbliżył się, żeby znów mnie pocałować, ale wtedy odskoczyłam, w szoku, i niemal zwymiotowałam. Coś lało mu się z ust, jak wino, tylko że to nie było wino. Krew. Po ustach i brodzie ściekała mu strużka gęstej krwi. W tamtym momencie chyba jeszcze tego nie zauważył. Zrobiło mi się niedobrze, gwałtownie się odsunęłam.

Nagle, znikąd, siedział przede mną zupełnie inny Jamie. Zszokowany przechylił głowę, zakrztusił się krwią. Mamrotał coś wściekle, jego oczy zachowywały się dziwnie, jakby drobne źrenice chciały wywrócić się na drugą stronę. Krzyknęłam:

– Tabitha, pomocy!

Głowa Jamiego kołysała się coraz mocniej, różowa piana ciekła mu z ust, zalewając ciało, które zaczynało drgać w konwulsjach.

– Jamie, kurwa, co się dzieje?!

– Nnnn... – wyksztusił z trudem i zwymiotował, jak w horrorach, opryskując płócienne ściany.

Jego ciałem targnęły wstrząsy – raz, drugi, trzeci – dziko, spazmatycznie.

– Hhhh... – zachrypiał gardłowo. – Hh... te... te pig... aaa...

Jakimś cudem zerwał się i wybiegł z namiotu. Szybko, po ciemku, bez latarki. Przez szerokie pole, w stronę szczęśliwych tłumów, gdzie dziewczyny w krótkich letnich sukienkach puszczały w górę szkarłatne chińskie lampiony.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo w namiocie. Sparaliżowana, z mętlikiem w głowie, przerażona. Tabitha wróciła i pobladła stanęła w wejściu do namiotu.

– Co jest? Gdzie on, kurwa, poszedł?

W panice zdołałam wykrztusić z siebie jedynie:

– Nie wiem... Powiedział, że to przez te pigułki... Że źle się poczuł. Boże, Tabs! Co myśmy zrobiły?

Wypadłyśmy stamtąd obydwie, wkładając ubrania, i ruszyłyśmy w kierunku ludzi. Przez następne dwie minuty, może pięć, może dziesięć, przepychałyśmy się przez napierający na nas tłum. Nagle usłyszałyśmy coś... w zasadzie kogoś. Wycie syren, krzyki policjantów; niedaleko, od strony głównego placu, błyskały na niebiesko obracające się światła ambulansu.

Wszystkim udzieliła się atmosfera poruszenia, informacja rozchodziła się jak w roju. Sporo ludzi chciało znaleźć się jak najdalej od kłopotów i odchodziło, kręcąc głowami. Ale ja musiałam iść w przeciwną stronę.

– Chodź – powiedziałam do Tabithy. – Powinniśmy wiedzieć.

– Nie, nie, nie – odpowiedziała. – Wracajmy.

Gdybym tylko jej posłuchała, gdybyśmy po prostu wtedy zawróciły, nigdy bym tego nie zobaczyła. Może nawet nigdy bym się nie dowiedziała.

Ale tak bardzo chciałam pomóc. Zrobić wszystko, co w mojej mocy. Mijałyśmy ostatnich festiwalowiczów. Niedaleko przerzedziło się już na tyle, by horror mógł rozgrywać się bez ograniczeń. Dostrzegłam opuszczony fragment błota i trawy, otoczony przez kordon policjantów rozmawiających przez radia. Z radiowozów i ambulansu wylewało się jasne światło. Za pojazdami ratownicy kucali przy młodym mężczyźnie. Całość wyglądała jak z obrazów Caravaggia, które omawialiśmy na wykładach. Ciemność i światła, ostry kontrast. Centralna postać, wokół której zbudowana była kompozycja. W środku tej sceny znajdował się Jamie.

Bo kto inny miałby tam być? Przystojny młody mężczyzna. Miał niewiele więcej niż dwadzieścia lat. Grał w rugby, zawsze kupował wszystkim piwo. Chryste, Jamie.

Kiedy zobaczyłam, jak jego ciało wierzga, zrobiło mi się niedobrze z żalu – i przerażenia. Miał jakiś naprawdę paskudny atak – wywrócone oczy, całkowicie białe, groteskowe, demoniczne, rzucał się jak opętany, na boki, w górę i w dół. Potem zwymiotował jeszcze raz, krwią i żółcią. Ostatni wstrząs był tak silny, że przewrócił jednego z ratowników, podczas gdy inni próbowali przytrzymać Jamiego, żeby nie złamał sobie kręgosłupa.

Kiedy patrzyłyśmy na to, kątem oka dostrzegłam, jak Tabitha odwraca się i zerka na kogoś innego, ukrytego w tłumie. Fioletowy. Jej znajomy. Nie powiedział ani słowa. Głową wskazał jedynie w stronę Jamiego,

powoli i znacząco. Potem spojrział na Tabithę z pytającym wyrazem twarzy – a ona przytaknęła. Krótko.

Fioletowy przyłożył palec do ust i udał, że zamyka je na klucz. A potem – nie odrywając od nas wzroku – zanim zniknął w tłumie, wykonał szybki gest podcinania gardła.

Tabitha przytuliła mnie, przerażona bardziej niż kiedykolwiek, ale ja musiałam patrzeć. Spojrzałam na Jamiego. Nie trząsał się już, leżał nieruchomo. Przerazająco nieruchomo. Ratownicy obkoczyli go znowu, uciskając jego klatkę piersiową. Na piersiach miał już łąty defibrylatora; napierali w pośpiechu, zdesperowani, aż nagle zobaczyłam, jak ratowniczką usiadła niechętnie i pokręciła głową do kolegi.

Jamie umarł. Wiedziałam. Po reakcji Fioletowego wiedziałam, co zrobił Jamiemu Trewinowi. Dał mu prochy, które go zabiły.

Delikatna dłoń Tabithy znalazła moją i tym razem pozwoliłam jej zaciągnąć się z powrotem do namiotu, z dala od tego wszystkiego. Musiałyśmy uciec. Ale zdawałam sobie sprawę, że zobaczyłam coś, od czego nigdy nie ucieknę.

I, jak widać, nie udało mi się.

Patrzę, jak za oknem przejeżdża radiowóz na sygnale, syreny wyją w wariacki, nieco dziecinny sposób. Oszalałe. Przekombinowane.

– Electra, opowiedz mi o Jamie Trewinie.

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Electra, skąd wiesz, co wydarzyło się na festiwalu Glastonbury?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Cisza. Czyżbym wyczuwała cień przekornego zadowolenia z siebie w tym, jak nagle zamilkła?

Znów pogrążam się we wspomnieniach.

Gdy weszliśmy do namiotu, nie śmiałyśmy się, nie wygłupiałyśmy. Ciemność skutecznie nas otrzeźwiła. Przez moment siedziałyśmy tylko beczynn timer – Tabitha szlochała, ja byłam bliska łez. Może byłam w zbyt dużym szoku, by płakać, zbyt smutna, o tępiała, przerażona.

Po dziesięciu minutach Tabitha wzięła głęboki, rwany oddech i powiedziała:

– Dobra, nie możemy o tym nikomu powiedzieć. Nigdy.

– Co?

Potrząsnęła głową i podniosła wzrok. Miała szeroko otwarte oczy. Złapała mnie za ramiona, jedna ręka mocno trzymała drugą, jakby

chciała ściągnąć mnie na ziemię.

– Jo, wiem, co się dzieje po czymś takim. To samo spotkało kolegę mojego brata, Hugona. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata, kupił coś na ravier i oddał komuś, nawet bez próbowania. Ale gość, który to wziął, zmarł. Solidnie przedawkował. To znaczy, tabletki były bardzo mocne.

– Ale to nie była jego wina? Tak samo jak nie jest nasza?

Uścisk Tabithy był niemal bolesny.

– Jamie nie żyje, rozumiesz? I kiedy dzieje się coś takiego, to nie ma znaczenia. Nie ma żadnego usprawiedliwienia, nie w oczach prawa. Nie dociera to do ciebie?

– Powiedz – poprosiłam bardzo cicho – co się stało z Hugonem?

Tabitha pokręciła głową i odpowiedziała:

– Został skazany za nieumyślne spowodowanie śmierci. Trafił do więzienia. Na pięć lat. Zniszczył sobie życie.

Gdzieś nad polem unosiła się już ta piosenka.

– Czyli to dlatego... – powiedziałam, myśląc gorączkowo – to dlatego Fioletowy tak się zachował? Musiał wiedzieć, co to znaczy dla nas wszystkich.

Tabitha podniosła głos:

– To nic nie znaczy! – Na zewnątrz było na tyle głośno, że nikt nie mógł nas usłyszeć. – Nie, jeśli zachowamy spokój i nigdy nikomu nie powiemy. Kompletnie nikomu. Fioletowy nie powie. Żadne z nas tego nie zrobi. Nikt nie widział, co zrobiliśmy, nikt nie widział, że dałyśmy Jamiemu te prochy, nikt nie widział, jak poszliśmy do jego namiotu, nie ma żadnych dowodów. Nie ma szans, żeby wcześniej powiedział komuś, skąd wziął tabletki, albo żeby padły nasze imiona. Będzie okej. BĘDZIE DOBRZE. – Jej jasnyniebieskie oczy wwiercały się we mnie. – Ale od teraz musimy sobie coś przysiąc, dobrze? Nigdy nie będziemy rozmawiać o tym, co się dzisiaj wydarzyło. Ani z przyjaciółmi, ani z rodziną, ani z nikim innym. Nikt nie wie. Nie będziemy o tym wspominać nawet między sobą. Okej? Dla całej reszty pojechaliśmy na Glasto, pobawiłyśmy się, wypaliłyśmy trochę zioła, a potem wróciłyśmy do domu i nic nie wiemy o chłopaku, który zginął. Nic nie wiemy. Nic nie zrobiliśmy. Nic nie widziałyśmy. Nic nie powiemy. Nigdy. Dobrze?

Puściła mnie i wyciągnęła prawą rękę. Ucisnęłam drobną, miękką dłoń.

– Dobrze – odpowiedziałam.

Poczułam ulgę, bo moja najlepsza przyjaciółka Tabitha przejęła kontrolę. Jej prywatne szkoły, wrodzone cechy przywódcze i zaradność dziewczyny z charakterem zrobiły swoje.

Tabitha westchnęła. Jakby wszystko już wracało do normy. Z przymusu, ale i z konieczności.

– Boże, musimy się przespać. Mam chyba jeszcze jakiś temazepam. Chcesz?

– Tak, jasne – powiedziałam potulnie.

Tabitha podała mi tabletkę, którą popiłam obrzydliwie ciepłym cydrem. Wczołgałyśmy się do swoich śpiworów. Przez moment leżałam, zastanawiając się, co by się stało, gdyby zmarł ktoś jeszcze. Czy powinniśmy ostrzec ludzi? Szybko zdałam sobie sprawę, że nie uda nam się tego zrobić bez oskarżenia samych siebie. Mogłyśmy tylko modlić się, żeby Jamie pozostał jedyną ofiarą. I być cicho.

Od tamtej chwili byłyśmy. Dotrzyśmy słowa.

Kiedy wróciłam na uczelnię, przeczytałam artykuł o śmierci Jamiego (Student z Nowej Zelandii przedawkował na festiwalu. Policja szuka dilerów. Brak świadków) i zajrzałam do kodeksu karnego, żeby zobaczyć, czy Tabitha miała rację. Miała – to, co zrobiłyśmy, podpadało pod nieumyślne spowodowanie śmierci. Jedyną okolicznością łagodzącą mogłoby być to, że tylko Jamie padł ofiarą naszej dilerki. Ale nawet fakt, że wcisnęłyśmy mu te prochy nieświadomie i bez złych zamiarów, nie stanowiłyby żadnej obrony. Narkotyki były nielegalne, dałyśmy je komuś innemu, ten ktoś zmarł.

Nieumyślne spowodowanie śmierci.

Średni wyrok w takich sprawach – od trzech do pięciu lat. Życie i kariera zrujnowane, rodziny okryte wstydem.

Z czasem coraz łatwiej było dotrzymać słowa. Tylko raz złamałam daną Tabicie obietnicę, kiedy kilka lat temu powiedziałam o wszystkim Simonowi. Wciąż dręczyły mnie koszmary – nadal dręczą – w których raz po raz przeżywam tamtą scenę: Jamie w konwulsjach, pokryty wymiocinami, krew ciekąca mu z ust, gdy chciał mnie pocałować. Si zapytał w końcu, o co chodzi, i musiałam mu powiedzieć. Zwierzyłam się mężowi. Wiedziałałam, że mogę mu całkowicie zaufać. Przyjął to ze spokojem i współczuciem, obiecał, że nikomu nie powie. Patrzył na całe zdarzenie z innej perspektywy, sam miał za sobą parę epizodów z narkotykami. „Mogło się przytrafić każdemu, kochanie”.

Był obok, żeby mnie pocieszyć. Jeśli o to chodzi, zawsze był dobrym mężem.

Och, Simon.

Tabitha, o ile mi wiadomo, nie powiedziała nikomu. Może poza Arlem, jej narzeczoną, który od trzech lat był dla niej najbliższą osobą. Między sobą twardo trzymałyśmy się postanowienia, żeby nigdy nie poruszać tego tematu. Żadna z nas nie wróciła do tamtych wydarzeń.

Jak na ironię, miało to pozytywny wpływ na naszą więź. To, co z naszego powodu spotkało Jamiego, połączyło nas. Od tamtej pory jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami – lojalnymi i bliskimi. Jestem prawie pewna, że to dlatego zaproponowała mi pokój w swoim mieszkaniu w tak atrakcyjnej cenie.

Tylko że teraz ten luksusowy, piękny apartament wydaje się coraz gorszym układem. Wpatruję się w asystenta.

– Electra, opowiedz mi o Glastonbury.

– Festiwal Glastonbury to festiwal muzyki i sztuki organizowany każdego lata niedaleko wzgórza Glastonbury w hrabstwie Somerset.

W napięciu czekam na kolejne zdania: „To właśnie tam nastąpiła głośna śmierć dwudziestoletniego studenta geografii Jamiego Trewina. Tego, którego zabiłaś, którego zamordowałaś w jego namiocie, niemal w tym samym momencie, kiedy sięgałaś do jego spodni. Pamiętasz te wywrócone oczy...”

Nic więcej już jednak nie mówi. Jej światła przygasają. Niezależnie od tego, jak przerażające są te wspomnienia, muszę wziąć się w garść.

Muszę.

Rozdział 12

Jo

W niecałą godzinę udaje mi się wziąć prysznic, wypić kawę i zjeść śniadanie. Teraz siedzę i gapię się w ekran laptopa, zapominając o tym, że miałam pracować. Ślęczę nad historycznymi opisami Camden do artykułu w Mojej Okolicy. Dowiedziałam się, że Dylan Thomas, poeta, mieszkał cztery domy dalej w zimnej, śliskiej piwnicy, w czasach, kiedy Camden uznawane było za dzielnicę biedoty. Narzekał na brud, sadzę z tuneli i tory przecinające ulicę w poprzek. Wprowadził się, bo po pierwsze było tanio, a po drugie – nikt inny nie chciał. W zeszłym miesiącu widziałam, jak budynek po prawej został sprzedany za trzy miliony funtów. W życiu bym tyle nie odłożyła.

Odziedziczenie domu w tej okolicy albo chociaż jego kupno w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych jest dziś mieszkaniowym odpowiednikiem wygranej na loterii. Zmienia wszystko.

Nie odziedziczę, nie kupię, nie wygram na loterii. Nigdy. Wyszło mi, że z moją freelancerską pensją trzysta lat zajęłoby mi uzbieranie na kupno małego, jednopokojowego mieszkania w tej okolicy. Jeśli, oczywiście, nie napiszę tego cholernego scenariusza. Przecież to nie może być takie trudne. Trzy akty, ileś tam scen, dwa albo trzy punkty kulminacyjne i duży zwrot gdzieś w środku. A potem już tylko czekać na telefon z Los Angeles, może nawet od mojego brata. „Scenariusz bardzo nam się podobał, masz swoje pięćset tysięcy funtów”.

To marzenie. Jedyne, jakie mam.

Rozglądam się po pięknie umeblowanym mieszkaniu, na które nigdy nie będzie mnie stać. Czuję się tak, jakby nie powinno mnie tu być.

Dość.

– Electra, jakich składników potrzebuję do cioppino?

– Cioppino: gulasz rybny przyrządzany przez włoskich imigrantów z okolic San Francisco. Przepisy mogą się między sobą różnić, ale

w każdym z nich należy użyć kilku rodzajów owoców morza, takich jak krewetki, raki, małże...

Electra jest grzeczna. Znam już ten przepis, ale dobrze go sobie przypomnieć. Zioła i przyprawy, pyszny sos pomidorowy. Zrobi się.

Jest dobrze – mniej więcej. Zaczynam czuć się normalnie. Mniej więcej. Uzbrojona w szalik i rękawiczki, dzielnie znoszę uderzenie zimnego wiatru, który każe wszystkim innym chować się w kawiarniach. Kupuję żabnicę, estragon, świeży chleb, którym będzie można wyczyścić sos z talerza. W drodze do domu zatrzymuję się przy Camden High Street, by odczytać wiadomość na WhatsAppie.

To od Fitz:

Hej, Jo, dobre wieści. W końcu znalazłem kogoś do mieszkania, wprowadzają się za miesiąc. Miła para, cudownie nudni, myślę, że typ pracuje w banku. Cieszysz się? Ten dom jest taki pusty. Będą mogli się Tobą zająć. Drineczki za tydzień?

Coś w tej wiadomości nie daje mi spokoju. „Będą mogli się Tobą zająć”. Co to niby znaczy? I ta wzmianka o pustym domu. Czy on coś wie? Pewnie nie. Najprawdopodobniej tylko żartuje, taki już jest. Może to przytyk do mojego życia miłosnego albo coś w tym stylu.

Odpowiadam:

Super! Dom faktycznie potrafi świecić pustkami. Jasne, umówmy się na gin. Nawet kilka! Będziemy w kontakcie!

Niebieski ptaszek. Wpatruję się w telefon, a Camden szumi w tle. Bezwiednie przeglądam listę wiadomości i dostrzegam nazwisko Liama. Oprócz tego nie wyświetla się nic. Usunął wszystkie wiadomości. Po tamtej rozmowie na Jackson's Lane.

Liam...

Nie mogę przestać o nim myśleć. Odpowiadał, jakby się bronił, sprawiał wrażenie wystraszonego, ale jednocześnie w jego słowach był cień groźby. Czy to mógł być zbieg okoliczności?

Liam Goodchild. Być może jeśli wiedziałabym więcej o n i m, zrozumiałabym, co dzieje się ze m n ą.

Ale jak? Nie mogę siedzieć w mieszkaniu jak ta idiotka i ot tak buszować po internecie, w ten sposób asystenci wiedzieliby, co robię. Mogą monitorować mojego laptopa. Albo mieć dostęp do konta Google.

A może ostatnia kafejka internetowa działająca w Camden? Jest akurat naprzeciwko mnie, po drugiej stronie ulicy.

Z telefonem w kieszeni wchodzę do obskurnego lokalu, rzucając torby z zakupami na ziemię obok obrotowego krzesła. Oprócz mnie są tam jeszcze zagraniczni studenci, większość z nich w słuchawkach; na ich stolikach stoją kubki z kawą. Wydaje mi się, że ludzie z wymiany akademickiej są chyba ostatnimi, którzy korzystają z takich miejsc.

Zamykam witające mnie Chrome i otwieram inną przeglądarkę. Rzadziej używaną. Firefox. Przed laty używałam jej cały czas, ale potem wróciłam do programu Google. Jeśli pozwoli się jednej lub dwóm dużym firmom pokierować swoim życiem, wszystko staje się prostsze i zaczyna do siebie pasować: od kalendarza, przez muzykę i ogrzewanie, aż do telefonu. Poddajesz się ich władzy, zrzekasz się prywatności, reagujesz na powiadomienia i dajesz się upupiać. Oni są rodzicami, ty dzieckiem. Czy ktoś wie, jak daleko to sięga? Na ile Electra czy HomeHelp mogą zapanować nad moim życiem w sieci?

A więc Firefox. Ostrożnie, ale z ciekawością wpisuję hasła „Liam Goodchild” i „Facebook”. To tam rozmawialiśmy najczęściej.

Dobrze pamiętam jego profil, wchodziłam na niego dziesiątki razy. Zapadły mi w pamięć jego zdjęcia z biegania, nurkowania czy żagli. Wysportowany, bez koszuli, zabawny, ale seksowny. Nie był typem człowieka, który by się czegoś bał. Nie należał do tych, którzy wysyłają dziwaczne wiadomości, a potem je usuwają.

Ekran odwzajemnia moje spojrzenie.

Na Facebooku nie ma Liama Goodchilda.

Odświeżam stronę. Potem wyszukuję jeszcze raz. I znowu. Czuję na sobie spojrzenie chłopaka z Hiszpanii, który siedzi obok i obserwuje moje historyczne gesty i nerwowe kliknięcia. Co go to obchodzi? Nie, tak, nie, tak, NIE. Nie ma go tu. Patrę, oszołomiona, na niezbyt pomocną witrynę. Na Fejsie jest kilku Liamów Goodchildów. W zasadzie – setki. Ale wszyscy żyją albo w Ameryce, albo w Szkocji, albo w Australii, Dublinie, Bristolu, Croydon. Żaden nie pochodzi z Barnet, z północnego Londynu, gdzie mieszkał Liam.

Nie ma po nim śladu.

Zniknął.

Czy mogłam popełnić jakiś błąd?

Loguję się na własny profil i szukam jeszcze raz. Znowu pusto. Naprawdę z n i k n ą ł z Fejsa. Pozacierał ślady – nie ma żadnych zdjęć, żadnych gifów z kotami, nic.

Okej. Biorę głęboki wdech. Co dalej? A może konto na Twitterze? Rzadko go używał, ja zresztą też. Ale wiem, że je miał, przecież tak nawiązał ze mną kontakt. Miał charakterystyczny login: @GoodChildBadChild.

Nerwowo loguję się do serwisu. W ustach zaschło mi z przejęcia.

Konto na Twitterze również zniknęło.

Nie ma żadnego @GoodChildBadChild. Rozpłynął się, wyparował. Jakby umarł. Nie – więcej niż umarł. Jest gorzej. Jakby nigdy nie istniał – ani na Twitterze, ani na Facebooku.

Wzbierają we mnie emocje, ale staram się je ukryć. Studenci gadają po hiszpańsku, somalijsku albo w suahili, a ja czuję obecność nowego, ale niedającego się umiejscowić zagrożenia. Włosy nieprzyjemnie drażnią mi kark.

Co się z nim stało? Rozpaczliwie sprawdzam pozostałe możliwości.

Instagram – nic.

Snapchat – nic.

Co jeszcze mogę zrobić? Ogólne wyszukiwanie? Jestem coraz bardziej nieostrożna, moje tętno przyspiesza. Szybko i mocno uderzam w klawisze, szukam czegokolwiek związanego z „Liam Goodchild”: obrazów, skrawków, wiadomości. Pamiętam, że kiedy zaczynaliśmy flirtować, widziałam kilka jego zdjęć w wyszukiwarce grafiki – jedno z profilu na LinkedInie, drugie z Facebooka. Tam pierwszy raz zobaczyłam ten wyzywający uśmiech.

A teraz?

Te również zniknęły. Co do jednego. Liamowie Goodchildowie żyją na całym świecie, ale nie ma żadnych zdjęć mojego niedoszłego kochanka. Pytania mnożą się bez końca. Jak do tego doszło? Jak można tak dokładnie usunąć się z sieci? Czy to w ogóle wykonalne? I dlaczego wydarzyło się to dzień po tej upiornej rozmowie?

Zakrywam usta, prawie wpadam w panikę. Jestem przerażona. Zamykam oczy i kładę ręce na stole, żeby się uspokoić. Kiedy podnoszę twarz znad ekranu i otwieram oczy, dostrzegam młodego mężczyznę po drugiej stronie kafejki, który patrzy wprost na mnie. Jestem blisko urządzenia małej awantury. Muszę się opanować.

Robienie scen, jakkolwiek skromne by były, nie jest najlepszym pomysłem.

Z przelotnym, sztucznym uśmiechem mówiącym „Hej, wszystko w porządku, już okej” spoglądam w dół i koncentruję się na komputerze. Powoli usuwam historię przeglądania, wstaję i podchodzę z zakupami do kasy, żeby zapłacić za korzystanie z internetu. Gdy wychodzę na zewnątrz, na zimno, włączam telefon, żeby nie wyglądało to podejrzanie.

Dla kogokolwiek, kto mnie śledzi.

Idąc do domu, porządkuję myśli. Ostatniej nocy Liam był na pewno albo pijany, albo przestraszony. Od tamtego momentu przeraził się tak bardzo, że wykasował się z internetu.

Albo ktoś wykasował jego. Czemu? Próbuję dojść do tego, kto mógłby mu grozić lub kto miałby umiejętności pozwalające usunąć go z sieci, jeśli nie zrobił tego sam. A przede wszystkim chcę wiedzieć – co to ma wspólnego z tym, co pisał?

Nie mogę zapomnieć tego dziwnego, przerażającego zdania.

Ktoś umrze.

Rozdział 13

Jo

W mieszkaniu rozpakowuję zakupy i biorę się do gotowania – tak powoli i starannie, jak to tylko możliwe.

Lubię gotować, uspokaja mnie to; dobrze jest się czymś zająć. Niezależnie od tego, jak bardzo chciałabym zrozumieć, co stało się z Liamem, nie mogę, to nie ma sensu. Ostrożnie odkorkowuję butelkę czerwonego wina, żeby pooddychało – będzie w sam raz, kiedy Tabitha pojawi się w domu.

Słyszę klucz w drzwiach. Wróciła. Nie wiem, ile czasu spędziłam na przyrządzaniu jedzenia. Uśmiecham się do niej szeroko (jedynie odrobinę fałszywie), kiedy wchodzi do kuchni, strzepując płatki śniegu z przepięknego brązowego płaszcza.

– Mmmm... pachnie bosko. Ile jeszcze?

– Jesteś w sam raz, już gotowe.

– Tadam! – mówi. – Nakryję do stołu.

– Wszystko zrobione. Otworzyłam to amarone, które lubisz.

Widać, że jest zadowolona, może też czuje się trochę winna.

Starając się brzmieć normalnie i sarkastycznie, mówię:

– A jak było w pracy, moja droga?

Łapie za kieliszki, butelkę i chichocze:

– Zawsze się zastanawiałam, czy byłybyśmy dobranym lesbijskim małżeństwem.

– Może. Ale Arlo na pewno chciałby dołączyć.

Uśmiecha się, bierze łyk wina i pochyla nad granitowym blatem.

– Ha, to prawda. Jest absurdalnie napalony. Dobra, jedzmy.

Kiedy siadamy przy stole w salonie, nakładam gęste, czosnkowo-pomidorowe cioppino, pełne owoców morza i przypraw, a Tabitha pochłania je z odpowiednio pochlebnymi dźwiękami. Otwieramy drugą butelkę czerwonego, rozmowa rozkręca się szybko: od znajomych do

znajomych, przez plotki o Arlu i ideę dziczy, do gwizdania popowych hitów i sytuacji, kiedy w Kolorado przestraszyła się niedźwiedzia, chociaż siedziała w aucie.

– To znaczy – kończy opowieść – co niby miałyby zrobić ten niedźwiedź? Włamać się do auta kartą kredytową? Zresztą pieprzyć to, Josephiiiiine, kochana Jo-Jo, otworzymy następną butelkę? Ta jest już prawie pusta! Hej, mam prezent.

Sięga do torby z zakupami, którą rzuciła na podłogę, kiedy weszła do mieszkania. Wyjmuje pudełko. Po logo i kształcie poznaje, co jest w środku. To pewnie jeden z najnowszych modeli asystentów. Robi to, co pozostali, ale dzięki wbudowanej kamerze i ekranowi można na nim łatwo wykonywać połączenia wideo. Jest nawet opcja „wpadania” do przyjaciół, by zobaczyć, co właśnie robią w sypialni lub kuchni. Tabs ma już jednego u siebie w pokoju. Rozmawia z Arlem w nocy, twarzą w twarz. Obiektywem w obiektyw.

Przeraża mnie już sam pomysł pojedynczego niezasypiającego oka, które nieustannie patrzy.

Głosem nieco bełkotliwym od wina Tabitha mówi:

– Rano byłam na kawie z Fitzem, powiedziałam mu, że jesteś tutaj... – uśmiecha się ciepło i szczerze – hm, może nieco samotna? W każdym razie zaproponował to. Będiesz mogła rozmawiać ze mną i widzieć mnie w trakcie. Z każdym, kto ma takie samo urządzenie. Eee... pokazuje przypomnienia, kalendarz i całą resztę!

To by wyjaśniało wiadomość od Fitz’a – skąd wie, że jestem samotna. Kiedy się nad tym zastanawiam, Tabitha dumnie odpakowuje nowego asystenta i podłącza go do prądu. Urządzenie, które składa się głównie z ekranu, wydaje z siebie głębokie „bong” i rozświetla się radosnym, niebieskim blaskiem.

Wyrzucam z siebie, bezwiednie i niegrzecznie:

– Nie będę trzymać tego w sypialni.

Tabitha mierzy mnie wzrokiem znad kieliszka. Ekran patrzącego na nas asystenta świeci nieprzerwanie.

K t o lub c o nas obserwuje?

– W porządku. – Wzrusza ramionami, ale w jej głosie słyszę rozgoryczenie. Zdaję sobie sprawę, że wychodzę na niewdzięczną, ale nic na to nie poradzę, biorąc pod uwagę, przez co przechodzę.

Tabitha próbuje jeszcze raz:

– Myślałam, że zrobi ci się miło... To zawsze jakieś towarzystwo. Siedzenie przez cały dzień nad tekstami pewnie cię... izoluje. I nie musisz wchodzić w żadne interakcje wizualne, możesz dalej zadawać pytania Electrze.

– Nie będę trzymać tego w sypialni. Zostaje tutaj!

Podniosłam głos. Na twarzy Tabithy pojawia się gniewny grymas.

– Okej, okej. Tak jak powiedziałam, w porządku. Na miłość boską, to p r e z e n t, Jo-Jo. Kupiłam to dla ciebie, dla nas. Mogę rozmawiać na nim z Arlem, kiedy będę tutaj sama.

Mierzę wzrokiem najpierw ją, potem urządzenie, które wyświetla teraz wygaszacz ekranu z niewinnym, pogodnym niebem. W tym momencie wszystko się wali. Jedna butelka wina z pewnością by wystarczyła, ale wypiliśmy już prawie dwie. Moje lęki i obawy przeradzają się w furję.

Kimkolwiek by byli, jak oni śmiają? Nie dam rady dłużej w sobie tego dusić, muszę coś powiedzieć. Moja najlepsza przyjaciółka powinna znać prawdę, przynajmniej część. Chaotycznie opowiadam Tabicie o Liamie, o tym, jak zniknął z sieci. Niczym duch.

Na próżno czekam na jej reakcję. Obojętnie wzrusza ramionami. Być może jest zbyt zła na moje wcześniejsze zachowanie. Zamiast tego bawi się nowym asystentem, kalibrując jasność ekranu, i jednocześnie rzuca od niechcienia:

– Chyba go rozumiem – mówi. – Sama lubię czasem zniknąć, całe to internetowe gówno pożera mnóstwo czasu. To nawet sprytne z jego strony.

– Sprytne?

– Tak, Facebook jest strasznie natrętny i bezużyteczny. Twitter niewiele różni się od mordobicia w najgorszej spelunie. Obrzydliwe.

Znów wzrusza ramionami – jest znudzona i pijana. Jej zblazowana hipokryzja działa mi na nerwy.

– Poczekaj, Tabs, żebym cię dobrze zrozumiała. Mówisz, że nienawidzisz internetu, a jednak – wskazuję na nowy ekran i Electrę – masz w domu od cholery tego badziewia. Asystentów. Twoje mieszkanie w zasadzie działa na internet. Jak się ma jedno do drugiego?

Jesteśmy już blisko prawdziwej kłótni.

– To co innego – odpowiada, a jej nadąsana twarz chmurzy się coraz bardziej. – Powiedziałam, że nienawidzę mediów społecznościowych, a nie samego internetu.

– Racja.

Kolejne groźne spojrzenie.

– Tak. Racja. A tak poza tym, co ci do tego, Jo? Lubię gadzety. Są genialne, są zabawne. Powinnaś... – Wygląda, jakby chciała powiedzieć coś naprawdę obraźliwego. – Weź się w garść, Jo. Nie nadążasz. Pokażę ci. Durny pięciolatek potrafiłby obsłużyć Electrę! Bóg jeden wie, co zrobiłaś ostatniej nocy.

– Nic nie zrobiłam.

Tak bardzo chcę się odgryźć, obrazić ją. Jako bogata i uprzywilejowana Tabitha potrafi być straszną suką. Nie zdaje sobie sprawy, jakie miała szczęście. Jej cholerny płaszcz kosztowałby mnie miesięczną pensję. Ale nie mogę być aż tak chamska, to moja najlepsza przyjaciółka. W dodatku nie mogę pozwolić sobie na kłótnię, po której musiałabym się wyprowadzić, bo na to mnie nie stać. Poza tym nie chcę – kocham to miejsce.

A przynajmniej kochałam.

Gniew nie daje o sobie zapomnieć.

– Posłuchaj, przepraszam, Tabs, ale po cholere ci to wszystko? Electra jak jakiś lokaj w pudełku, kamera, która nieustannie cię obserwuje. Czemu nie możesz włączać ogrzewania jak normalny człowiek? Termostatem? Nie potrzebujesz tych wszystkich elektronicznych...

Tabitha posępnie nalewa sobie wina do kieliszka, a potem z hukiem odstawia butelkę na stół.

– Czy wiesz, że obrażasz teraz nie tylko mnie, ale i Arla? To był jego prezent zaręczynowy. A ty wparowujesz tu jak gdyby nigdy nic i odłączasz wszystko jak jakaś wariatka!

Nasze spojrzenia spotykają się ze sobą, jej oczy błyszczą zmrużone, moje pewnie wyglądają podobnie. Zaraz pokłócimy się na poważnie – wie przecież wszystko o moim ojcu, wie, jak go kochałam i jak mi go brakuje. Wie, co czuję, kiedy nazywa mnie wariatką.

– Dorośnij i pogódź się ze światem, Jo. Uwielbiam z tobą mieszkać, ale nie możesz chodzić i przestawiać wszystkiego w m o i m mieszkaniu tak, jak t o b i e się podoba. A poza tym. Asystenci. To system bezpieczeństwa połączony z Arlem. Proszę, nie wyłączaj ich więcej.

Dopijam wino. Jestem w szoku.

– Co?

Gestykułuje bladą dłonią wystającą z kaszmirowego rękawa.

– Mieszkałam tu sama i Arlo się martwił. Wiesz, że myśli, że Camden to jakaś kraina bezprawia. Więc dopilnował, żeby nasze urządzenia były połączone. Poprosił Simona, żeby to ogarnął. W ten sposób może być pewny, że nic mi nie grozi, czuwa nade mną ze swojej sypialni. Teraz może opiekować się też tobą, ale żebyśmy były bezpieczne, wszystko musi być włączone.

Nie jestem pewna, czy to do mnie dociera. Implikacje są groteskowe.

– Chcesz powiedzieć... – Próbuję zapanować nad głosem. – Chcesz powiedzieć, że Arlo może cały czas podsłuchiwać, co dzieje się w mieszkaniu? Może szpiegować mnie przez te kamery? Kurwa, czy patrzy też, jak idę się wyszczać?

– Och, proszę cię. Nie bądź śmieszna. To nie jakiś zboczony podglądacz, Jo. Może po prostu upewnić się, czy ktoś jest w mieszkaniu, sprawdzając, co robią HomeHelp i Electra, znaleźć naruszenia bezpieczeństwa i takie tam. – Kolejny beztroski gest, wykonany chyba specjalnie po to, by mnie zdenerwować. – Zadzwoił do mnie dzisiaj, żeby zapytać, czemu wszystkie urządzenia zostały wyłączone w nocy. Tak to działa: może się upewnić, że nic nam nie grozi. Wie, co się dzieje, ale na żywo może cię oglądać tylko wtedy, kiedy mu na to pozwolisz.

Rzucam serwetkę na podłogę.

– Tobie się to podoba? I nie myślisz, że ma obsesję kontroli? Obserwuje nas z daleka, przez cały czas. Jezu. To. Zbyt. Kurwa. Dziwne.

– Uspokój się...

– Nie, Tabitha! Pomyśl o tym!

Mierzymy się wzrokiem. Ociera usta, patrzy na stół, potem na mnie – i zamiera. Przez chwilę mam wrażenie, jakby ważyły się losy naszej przyjaźni. Nagle wyraz jej twarzy łagodnieje.

– Okej, słuchaj... proszę... wybacz. – Próbuje słabego, skręzonego uśmiechu. – Przepraszam. Byłam nieuprzejma.

Pomimo tego, że jestem pijana, widzę, że faktycznie chce się ze mną pogodzić. Przyjaźnimy się od lat. Czasem, kiedy piłyśmy, mówiła mi, że mnie kocha, a ja odpowiadałam jej tym samym. Obydwe nienawidzimy tych sporadycznych kłótni. A ta jest – lub była – potencjalnie jedną z najgorszych.

– Jo. Przepraszam! Rozumiem. I faktycznie może brzmieć to trochę... orwellowsko, jeśli nie jesteś przyzwyczajona do tego wszystkiego. Ty chyba po prostu nie jesteś.

Wyciąga rękę przez stół, ściska mnie.

– Naprawdę mi przykro.

Zamieram. Patrząc na jej białą dłoń zaciśniętą na mojej i pytam:

– Czy Arlo teraz słucha? Albo ogląda? Może chciałby zobaczyć, jak się całujemy? Możemy poudawać, że się obściskujemy?

To słaba próba, ale chyba działa. Śmieje się niepewnie i mówi:

– Nie, wyszedł gdzieś ze swoim zboczonym belgijskim kolegą. A poza tym to nie tak, nie siedzi w słuchawkach w wygłuszonym pomieszczeniu z monitoringiem. Widzi tylko interakcje, zachowanie asystentów, może do mnie zadzwonić bez wciskania czegokolwiek, wpaść, użyć ekranu w sypialni, takie tam. I sprawdzić zabezpieczenia, chronić nas... – Wzdycha i zerka na kieliszek. – Wypiłyśmy za dużo, prawda? Sorry.

– Zawsze wypijamy za dużo. Dlatego jesteśmy przyjaciółkami.

Nasze spojrzenia spotykają się po raz kolejny, gniew zniknął. Podejrzewam, że obydwie wspominamy Jamiego Trewina; on też wziął za dużo.

Niezależnie od tego, czy myślimy o tym samym, po złości nie ma już śladu.

– Hej – mówi Tabitha – już prawie północ. Ja posprzątam, a ty idź do łóżka. Wyglądasz na zmęczoną.

Nie zgłaszam sprzeciwu. Jestem zmęczona.

Dzięki ciepłej, pocieszającej obecności Tabithy – i pomimo naszej małej sprzeczki – wchodzę do łóżka i proszę HomeHelpa, żeby zgasił światło. Przewracam się na bok w ciszy i ciemności, próbując zasnąć wsłuchana w kuchenną krzątaninę Tabithy.

Sen nie przychodzi. Nie chcę brać żadnych tabletek. Czuję się naprawdę zmęczona. Nie wypiałam kawy jakoś później niż zwykle, żeby teraz nie móc zasnąć. Niemniej jednak sen nie chce przyjść. Może to przez niepokój. Właśnie zdałam sobie sprawę z konsekwencji tego, o czym mówiła Tabitha. Nawet jeślibym chciała, nie mogę wyłączyć całej tej sieci, nie mogę odłączyć asystentów. Arlo się dowie i powie Tabicie, żeby mnie wyrzuciła, a po tej kłótni nie mam pewności, czy ona go nie posłucha.

Obracając poduszkę, spoglądam w mroku na trójwymiarowy owal HomeHelpa. Embrion, który jest na stałe wczepiony – we mnie.

Rozdział 14

Jo

W głowie mam chaos, nad którym nie potrafię zapanować. Nie chcę myśleć o asystentach. Nie dzisiaj.

Przewracając się na plecy, wbijam wzrok w ciemny sufit i zastanawiam się, ile osób leżało tak w tym pokoju w ciągu ostatnich dwustu lat. Jak wielu ludzi żyło, kochało, śmiało się i umarło właśnie tutaj.

Pewnie dziesiątki. I kolejne dziesiątki będą to robić. Być może nawet moje dzieci będą tu spały – choć to akurat mało prawdopodobne. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miała urodzić dzieci, czy to z powodu dziedzicznej choroby mojego taty, czy całkowitego braku instynktu macierzyńskiego – nie wiem. Po prostu nie rozklejam się na widok małych converse'ów jak niektóre koleżanki, którym wystarczy, że zobaczą śpioszki. Dzieci poniżej czwartego roku życia mnie nudzą. Czemu to wszystkich dziwi?

Rozmyślania o potomstwie i jego braku przypominają mi o intymnych i osobliwych zdaniach wypowiedzianych wcześniej przez Electrę i HomeHelpa.

„Zimna jak mroźny oddech, szarpie łono”.

„Uwalniają swe księżyce co miesiąc daremnie”.

„Doskonałość jest straszna. NIE MA POTOMSTWA...”

Sedno tych twierdzeń było i jest jasne. Asystenci w oczywisty sposób komentowali mój wybór, to, że nie chcę zostać matką. Drażnili się ze mną. Uwalniać księżyce, bez celu i sensu, miesiąc po miesiącu. To było coś, co unieszczęśliwiało Simona.

Jednak już sama konstrukcja zdań jest dziwna, a składnia i słownictwo bardzo charakterystyczne. Czy maszyny same na nie wpadły, czy może skądś je podkradły?

Sięgam po smartfona i zaczynam poszukiwania, leżąc w łóżku. Kilka kliknięć i wiem wszystko. Większość z tych zdań pochodzi z wiersza

Monachijskie manekiny amerykańskiej pisarki Sylvii Plath. Słyszałam o niej, ale nie wiem na jej temat zbyt wiele. Poezja raczej nigdy mnie nie interesowała. Wydawała mi się zbyt przygnębiająca. Albo nudna. Wolałam teatr albo wielką sztukę – stąd wybór studiów. Skończyłam jako dziennikarka tylko dlatego że, jak się okazało, uczenie się o sztuce ma sens tylko wtedy, kiedy chcesz uczyć o sztuce innych, którzy w przyszłości sami będą o niej uczyć.

To kim tak naprawdę była Sylvia Plath?

Sprawdzam w Wikipedii. „Sylvia Plath (27 października 1932 – 11 lutego 1963) – amerykańska poetka, powieściopisarka i autorka opowiadań...”

Informacji jest dużo więcej. Oczywiście była dość znana – dla niektórych. Wyszła za męża za równie popularnego brytyjskiego poetę, Teda Hughesa. O nim też słyszałam i też niewiele wiem. W półmroku sypialni zastanawiam się, czy przypadkiem rok albo dwa lata temu nie oglądałam o nich filmu. Kończył się tragicznie. Tak, chyba tak. Ale o co tam chodziło?

Udaje mi się znaleźć stronę poświęconą jej twórczości i życiu, i temu, jak się skończyło. To, co czytam, sprawia, że przechodzi mnie zimny dreszcz.

W 1962 roku Sylvia Plath odeszła od Teda Hughesa. Razem z córką i synem przeprowadziła się z powrotem do Londynu.

Pierwszy śnieg spadł już w okolicy świąt. Opiekująca się dziećmi Plath musiała sama stawić czoła strasznej zimie 1963 roku. U cierpiącej z powodu bezsenności i izolacji poetki zdiagnozowano depresję; lekarze obawiali się samobójstwa. Zaaranżowano codzienne wizyty.

Rano 11 lutego pielęgniarka jak zwykle przysłała pomoc Plath zająć się dziećmi. Kiedy zapukała, nikt nie otworzył. Nie słyszała żadnych znaków życia. Ostatecznie postanowiła włamać się do środka.

W kuchni na dole znalazła Plath. Leżała na podłodze z głową na małym ręczniku, przy otwartym piecyku gazowym. Była martwa. Kiedy pielęgniarka wbiegła na górę, z początku nie mogła dostać się do pokoju dziecięcego, bo Plath okleiła drzwi taśmą i ręcznikami, żeby gaz nie zaszkodził dzieciom. Te żyły, ale nie wiedziały, co się dzieje. Okazało się, że matka przygotowała dla nich po szklance mleka i talerze z kanapkami, żeby miały co zjeść, gdy się obudzą. Pielęgniarka domyśliła się, że była to

jedną z ostatnich rzeczy, które zrobiła poetka. Potem zeszła do kuchni. Otworzyła piecyk. I włączyła gaz.

Sylvia Plath miała trzydzieści lat.

Odrywam wzrok od ekranu; zrobiło mi się słabo i strasznie smutno. Mogę nie rozumieć macierzyństwa, ale wiem, czym jest miłość. Małe dzieci. Jak można opiekować się nimi tak czule, przynieść im jedzenie i mleko, a potem zejść do kuchni i pozbawić ich matki?

Jest coś jeszcze. Na stronie podano ostatni adres Plath. Dom, w którym się zabiła.

To Fitzroy Road 23 na Primrose Hill. Kod pocztowy NW3.

Trzy przecznice i trzy minuty drogi od miejsca, w którym leżą teraz w łóżku.

Rozdział 15

Jo

Nie ma szans, żebym teraz zasnęła. Odrzucam kołdrę i podchodzę do okna. Przez jego szczeliny wpada zimne powietrze. Odślaniam zasłony. Nad całym Camden pada delikatny śnieg. Osiada na dachu domu, w którym zabiła się Sylvia Plath. Kilkaset metrów dalej. Podczas długiej i ciężkiej zimy, takiej jak ta.

Przypominam sobie kobietę z małymi dziećmi, która przedzierała się przez śnieg. Szła tyłem do mnie. Jeśli Plath kiedykolwiek szła na Camden High Street z Primrose Hill w tamtą straszliwą zimę, przechodziłaby przez Delancey Street, obok mojego domu. Ciągnąc za sobą dwoje małych dzieci. Przybita samotnością, myśląca o samobójstwie.

Co tak naprawdę widziałam tamtego wieczoru? Zanim Electra po raz pierwszy odezwała się do mnie w ten dziwny sposób?

Pytania doprowadzają mnie na skraj szaleństwa. Muszę przegonić je snem. Przeskakuję przez sypialnię i sięgam po pojemnik z xanaxem. Trzy, cztery, pięć, nie obchodzi mnie to. Dajcie mi sen. Bez końca i bez snów. Sen do końca świata.

Leżę z powrotem w łóżku i czekam, aż zadziała xanax. Mam mętlik w głowie.

Jeśli jestem szalona jak mój ojciec, to już po mnie. Ale jeśli nie jestem, to znaczy, że gdzieś jest ktoś, kto za tym wszystkim stoi. Ktoś realny.

Ale kogo zraziłam do siebie na tyle, żeby próbował mnie tak nastraszyć? Być może Liam, jeśli w ogóle istnieje. Może to ktoś z branży IT, kogo mogłam urazić swoim artykułem: Arlo Scudamore, Gul Foxton, Jenny Lansman? Jednak ilu z nich wie o Jamiem Trewinie? A co z Fitzem? To on doradził Tabicie, żeby kupiła kolejnego asystenta; po to, żeby wystraszyć mnie jeszcze bardziej? Za co Fitz miałby się mścić? A jednak mieszkanie na dole jest jego. I już wkrótce wprowadzą się do niego ludzie, którzy „mają nade mną czuwać”.

Oczywistym kandydatem wydaje się też Simon, który zainstalował każde z tych urządzeń i wie, jak zwrócić je przeciwko mnie – w przeciwieństwie do Arla albo, dajmy na to, Fitz’a. Ale nie mogę uwierzyć, że to mógłby być on – nadal łączy nas przyjaźń. I, zdaję sobie nagle sprawę, nie jest typem faceta, który sam z siebie zaatakowałby mnie w taki sposób.

A co, jeśli jest zmuszany albo manipulowany przez kogoś innego? Myślę, że wiem, kto mógłby to być. Pamiętam, jak Simon i ja spotkaliśmy się na lunch jakoś rok po naszym rozwodzie. Pod koniec, pod wpływem alkoholu mój były mąż przyznał, jak bardzo mnie nie lubił, jak bardzo n i e n a w i d z i ł a. Jego sympatyczna, kulturalna, słodka nowa żona z grzywką, matka jego wspaniałego dziecka.

Rozdział 16

Polly

– Nie boicie się wychowywać dziecka w tym mieszkaniu?

– Słucham? – powiedziała Polly, odwracając się do Anny.

Anna zamoczyła marchewkę w podanym jej przez Polly kremowym sosie tzatziki, tworząc błyszczącą kulę tłuszczu na końcu warzywa. Zjadła je, chrupiąc głośno; nie przestawała przy tym mówić i wyglądać w dół na Old Street i znajdujące się nieopodal rondo. Wirujące światła samochodów przyprawiały o zawrót głowy.

– Chodzi mi o balkony, potencjalne zagrożenia. Nie żebym myślała, żeby coś miało się wydarzyć...

Simon podszedł do nich, chyba instynktownie wyczuwając delikatne napięcie.

– Nie narzekamy: okna są zabezpieczone, a na balkon nie sposób się wspiąć. Zresztą to dofinansowane mieszkanie, w takiej okolicy! Bez tego pewnie mieszkalibyśmy z moimi rodzicami pod miastem...

Polly spojrzała na niego.

– A ty pewnie zabiłbyś swojego tatę łyżeczką do deserów.

Anna uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami, po czym w irytujący sposób pożarła jeszcze więcej marchewek. Zarabiała prawdopodobnie trzy razy więcej od Polly, może nawet pięć, podobnie jak pozostali. Wszyscy ich goście uważali, że tani humus z marketu smakuje dość obrzydliwie, i nikomu nie szło najlepiej udawanie, że jest inaczej.

Na pomysł spóźnionej parapetówki wpadł Simon, ale to ona musiała wszystko zorganizować, pędząc ze swojej zmiany w szpitalu do opiekunki, zanim udało jej się wyskoczyć po dipy, koreczki i prosecco z promocji. Chwilę potem Simon wpadł do domu i wszedł w rolę gospodarza, a Polly zostało podawanie jedzenia i nalewanie wina. Nawet wtedy, gdy musiała zająć się dzieckiem albo zaserwować papryczki, które

przypaliła. Powoli traciła cierpliwość – musiała upominać samą siebie, że Simon często pracował dłużej od niej.

Ostry, niemal zwierzęcy skowyt przebił się przez gwar rozmów. Polly i Simon popatrzyli po sobie. Kobieta westchnęła dramatycznie.

– Pójdę, teraz moja kolej.

Wiedziała, że przesadzała, wchodząc w rolę udręczonej młodej matki, kiedy tak naprawdę chciała uciec z imprezy, bo nie czuła się dobrze wśród ludzi z tej branży. Aaron był okej, Gul z Apple – całkiem zabawny. Ale większość z nich działała jej na nerwy, kiedy z błyszczącymi oczami, newage’owym technożargonem opowiadali o rozszerzonej rzeczywistości, kryptograficznych dowodach i Bóg wie czym jeszcze. Byli jak ludzie mówiący językami, a Polly czuła się, jakby przerywała ich natchniony bełkot zwyczajną anegdotą z jej dnia w szpitalu uniwersyteckim. „Tak, jakiś gość wszedł dzisiaj na oddział, zwymiotował kawałek płuca i zmarł tuż obok mnie”.

Tak. To był jej dzień.

Polly otworzyła delikatnie drzwi wyciszonego, zaciemnionego pokoju sześciomiesięcznej Grace. Mała przestała już krzyczeć, ale kwiliła teraz w charakterystyczny sposób. Przeważnie znaczyło to, że była głodna.

Polly poczuła ulgę wymieszaną z ukłuciem winy. Musiała nakarmić dziecko, więc była oficjalnie zwolniona z obowiązków pani domu tak długo, jak było to konieczne. Podnosząc Grace i wdychając jej niemowlęcy zapach, opadła na fotel i rozpięła koszulę.

Otwarte usta córeczki znalazły lewy sutek matki. Zaczęła jeść. Wkoło zapanował spokój. Pomieszczenie było ciemne i niemal dźwiękoszczelne. Kiedy Grace ssała, Polly nasłuchiwała dźwięków ulicy dobiegających z dołu. Były tak przytłumione, że brzmiały jak lekkie chrapanie trzy mieszkania dalej. Przez duże okna mogła zobaczyć potężne, nowe wieżowce wschodniego Londynu i biurowce błyszczące na zimnie – rzędy ogromnych, czarnych obelisków utkanych milionem diamentowych świateł.

Grace położyła swoją malutką dłoń na piersi matki. Polly podniosła ją i pocałowała miękkie, aksamitne palce. Kiedy to zrobiła, do jej matczynych oczu z niezrozumiałych powodów napłynęły łzy. Zauważyła, że zdarzało jej się to często, kiedy zostawała sama z dzieckiem. Czuła dziwne połączenie depresji i ekscytacji. Obydwie razem. Wszystko to było tak niespodziewanie bolesne jak samo ssanie.

Karmienie prawie dobiegło końca. Grace zasnęła przy jej piersi. Polly została tak, w tej błogosławionej ciszy, jeszcze przez kolejną godzinę, pozwalając dziecku spać. Nie myślała o niczym. W końcu ruszyło ją sumienie gospodyni, więc ostrożnie położyła córeczkę i owinęła ją małym kocykiem, tak na wszelki wypadek. Niechętnie wróciła do świateł, muzyki i ludzi w dużym pokoju na dwunastym piętrze.

Większość gości już poszła. Garstka tych, którzy zostali, rozmawiała, dość głośno, jakby mieli się pokłócić – o byłej Simona. Jo Ferguson. I o tym słynnym artykule na temat korporacji technologicznych i ich wszechobecnej władzy. Albo czymś innym. Co za różnica.

Polly z całych sił próbowała nie gardzić Jo Ferguson, próbowała jej nie nienawidzić, ale było to trudne. Tak, wiedziała, że wychodzi za Simona po tym, jak przeżył zawód miłosny, jakim był związek z inteligentną, seksowną i rudowłosą Jo Ferguson, ale nie spodziewała się, że ta kobieta będzie obecna w ich życiu nawet teraz.

Cholerna, przebojowa Jo, pierwsza, szkolna sympatia jej męża, jego prawdziwa, wielka miłość, która nie chciała odejść. Wszystko, co Polly robiła – kochała Simona, lojalnie, dbała o jego dom, dała mu dziecko, którego pragnął – czy to nie wystarczało?

Polly zaniósła puste szklanki do kuchni, próbując udawać, że nie podsłuchuje.

– Moim zdaniem było to całkiem sensowne, a patrząc wstecz, to, co pisała na temat prywatności, okazało się strzałem w dziesiątkę...

To był Gul. Zabawny, sarkastyczny Gul Foxton. Zaprzyjaźnił się z Jo, kiedy pisała ten artykuł, i często jej bronił. Być może nawet słusznie. Polly niespecjalnie obchodziły szczegóły tej dyskusji, czuła się po prostu obrażona. Czy nie mogli rozmawiać o czymś innym? Czy przyjaciele Simona nie czuli, jak nieuprzejme jest dywagowanie o jego eks przy nowej żonie?

– Ale wszystko na temat prywatności i Fejsa było oczywiste nawet wtedy...

– Czy Arlo prawie nie stracił wtedy pracy w Facebooku? Założę się, że był przeszcześliwy. Nie chciałbym mieć takiego wroga jak Arlo Scudamore.

– Arlo to kutas.

To Jenny. Gul odpowiedział jej natychmiast:

– Tak, ale raczej ważny kutas. Z innej beczki: Simon, masz coś innego niż to prosecco? Smakuje jak szampan dla dzieci.

Typowy Gul – nigdy nie bał się nikogo obrazić. Bywał niemożliwie obcesowy, ale nic go to nie obchodziło. Był, jaki był. Polly całkiem go lubiła.

– Wszystko okej, kochanie? Jak Grace?

Simon przyniósł naczynia z pokoju.

– Była głodna, więc ją nakarmiłam. Ale już dobrze, wszystko w porządku. Impreza się udała?

Jej mąż pokiwał głową, uśmiechnął się i wyszedł, żeby pożegnać ostatnich gości. Wkładali płaszcze i zamawiali ubery.

– Hej, Pol! Zostawiłam ci kilka najlepszych kasków, zanim te nerdy wszystko zjadły.

Obróciła się; przyjazna, okrągła twarz Jenny Lansman przyglądała jej się znad talerza. Polly spojrzała na niego i westchnęła.

– Nie było tam nic dobrego, kupiłam je w Lidlu.

Jenny roześmiała się.

– Oj, nie było takie złe. Chodź, usiądź, zjedz coś. Wszyscy już poszli.

Szczęśliwa, że może odpocząć, Polly usiadła przy stole w kuchni i zaczęła jeść. Jenny zajęła miejsce obok niej.

– No, opowiadaj.

– Co?

– Nie bądź głupia. Chcę wiedzieć, jak to jest być matką. Nie widziałam cię, odkąd urodziłaś Grace, prawda? Opowiadaj!

Po raz pierwszy ktoś na imprezie wykazał jakiegokolwiek zainteresowanie Polly – Polly jako osobą i matką, a nie tylko dziewczyną Simona, pielęgniarzką i zmęczoną kobietą, która tu mieszkała i podawała tani alkohol.

Kołysząc kieliszkiem białego wina, Polly poczuła potrzebę zwierzenia się komuś. Czemu nie? Kiedy przełknęła ostatni kęs, opowiedziała Jenny o wszystkim – o wszystkich złych rzeczach, o ciemności i ponurym nastroju, bezsenności, spierzchniętych sutkach, niekończących się drzemkach. I jednej wielkiej nudzie.

– Nikt mnie nie ostrzegał, że to będzie nudne – powiedziała, a Jenny przytaknęła współczująco. Przegryzła małą roladkę i zapytała:

– Okej, ale jak to jest być matką, samo w sobie, jakie to uczucie?

Polly spojrzała przez kuchenne drzwi. Już tylko paru gości czekało wciąż na podwózkę.

Jak to jest być matką? Poważne pytanie.

– Dziecko to najgorsze, co kiedykolwiek zrobiłam. To bolesne, trudne, przygnębiające, izolujące i niesamowicie męczące doświadczenie. – Urwała. – To również najlepsza rzecz, jaką zrobiłam. Nie wiem czemu, ale tak jest.

Jenny zmarszczyła brwi i przytaknęła.

– Gdybym tylko znalazła właściwego faceta, chciałabym mieć dziecko. Może jestem zbyt wybredna? – Zaśmiała się sama do siebie. – Choć trzeba przyznać, że przy paru już powybrzydzałam.

Rozmawiały jeszcze przez kilka minut; potem Jenny pożegnała się, wzięła płaszcz i wyszła. Zostali sami z Simonem. Jej mąż zbierał talerze i wyrzucał resztki. Odezwał się do niej:

– Cóż, nie było tak źle, prawda, kochanie? Wiem, że nie znosisz tej gadaniny. – Położył rękę na jej zmęczonym ramieniu. – No już, idź do łóżka.

Polly skinęła głową z wdzięcznością. Poszła do sypialni, gdzie przebrała się w wygodny T-shirt i wsunęła pod kołdrę.

– HomeHelp, nastaw budzik na siódmą piętnaście.

Światła zatańczyły potwierdzająco. Polly zasnęła natychmiast, a ostatnią rzeczą, jaką poczuła, był kojący chłód poduszki...

Ocknęła się nagle, wyczuwając, że coś jest nie tak. Ledowy zegarek pokazywał 2.45. Spała jak zabita, bez snów, przez dwie godziny. Więc dlaczego się obudziła? Czy dziecko płakało? Polly była tak zsynchronizowana z porami karmienia, że często budziła się, zanim Grace zaczęła krzyczeć. Działo jak telepatia.

A jednak dziewczynka nie płakała. Nie musiała jej nakarmić. Kiedy Polly przekręciła się na bok, żeby przytulić się do śpiącego męża, zdała sobie sprawę, że go tam nie ma. O 2.45?

Wstała i otworzyła drzwi. Jedyłą oznaką życia w mieszkaniu był pasek światła pod zamkniętymi drzwiami drugiego pokoju.

Co on tam robił w środku nocy?

Ruszyła przez korytarz, snując coraz bardziej ponure podejrzenia. Bez pukania, delikatnie popchnęła drzwi. Siedział w słuchawkach. Rozmawiał z kimś?

W skupieniu pochylał się nad laptopem oświetlającym jego twarz na biało-niebiesko. Co oglądał? Wiadomości?

Podeszła bliżej. Był tak skupiony, że nie miał pojęcia, że tam była, nie słyszał jej. Nadal zasłaniał jej widok.

Sięgnęła i zdarła mu słuchawki z głowy. Odwrócił się, zaniepokojony i zaczerwieniony.

– Co do licha... Jezu, Polly, wystraszyłaś mnie.

Nasłuchiwała dźwięków płynących ze słuchawek. Muzyka. Ale co robił przy komputerze, w takim skupieniu, o trzeciej nad ranem? Na ekranie mignęło jej ludzkie ciało – jeszcze zanim wcisnął przycisk, zamykając wszystkie okna.

– Stop! – powiedziała. – Nie dotykaj tego, nie zamykaj żadnych zakładek. Muszę zobaczyć, czemu nie śpisz o tej porze.

– Co?

– Pokaż mi to!

Coś w jej głosie sprawiło, że posłuchał. Zmarznięta i drżąca, w spodenkach do spania i T-shircie, Polly pochyliła się i przejrzała wszystkie zakładki.

Porno. Oglądał pornosy. Filmy z Xhamstera i Alohatube. Wszystko dość standardowe – lesbijki, zrobione cycki w kalifornijskim stylu, japońskie MILF-y. To jej nie przeszkadzało, czasem włączali coś razem. Nawet podobał jej się delikatny rodzaj lesbijskiej pornografii, uwodzące się nawzajem ładne dziewczyny w letnich sukienkach.

Chwila. A co t o było? Gdy otwierała kolejne zakładki, poczuła nagły przypływ gniewu. To było to, z czym się krył – zanim włączył normalne porno, oglądał zdjęcia Jo.

Sporo nagich zdjęć Jo. Pieprzona Jo... w łóżku, ze swoją smukłą figurą, bez żadnych rozstępów po ciąży, delikatnie opalona. Jo, która dotykała się, obrócona w stronę Simona, lekko uśmiechnięta.

– Boże... – warknęła Polly. – Zajebicie. Od razu mi lepiej. Wielkie dzięki. Naprawdę walisz sobie do swojej byłej? Zn o w u?

– Poczekaj...

– Czemu, Simon? Czemu to robisz? – Jej ból był szczery, w oczach pojawiły się łzy. – Zdajesz sobie sprawę, że jesteś żonaty i masz dziecko? Ze masz nową żonę?

Chciała odwrócić wzrok, ale nie mogła się opanować.

– Ty draniu...

– To tylko zdjęcia! – powiedział żałośnie. – Nic więcej. Oglądam różne rzeczy, przecież wiesz. Czasem porno, czasem ciebie...

Urwał w pół słowa. Najwidoczniej zdał sobie sprawę, że to nie pomoże.

Polly włączyła historię przeglądania, szukając ostatniej zamkniętej zakładki. A potem zobaczyła coś, co przekroczyło jej niepokój i zazdrość. Linki z chmury Simona, a tam...

Zdjęcia Liama Goodchilda. Mężczyzny, który flirtował z Jo; miał z nią internetowy romans, który doprowadził do tego, że Simon ją zostawił. Czemu jej mąż trzymał u siebie jego zdjęcia? Był atrakcyjnym mężczyzną, z ciemnymi, opadającymi na ramiona włosami. Mogła zrozumieć, czemu podobał się Jo, ale dlaczego obchodził Simona, właśnie te r a z?

Tego było już za wiele. Podniosła głos:

– Nic nie rozumiem. Znasz go? Przyjaźnicie się? Co się, do cholery, dzieje?

Gdy bezradnie wzruszył ramionami, Polly miała ochotę go uderzyć.

– Powiedz mi: jaki to ma sens? Zostawiłeś ją przez niego, jesteś ze mną i oglądasz jego zdjęcia. Macie ze sobą kontakt?

I znowu – jedyne, na co było go stać, to zarumienić się i wymamrotać kilka nic nieznaczących „przepraszam”. Umysł Polly zalewały najrozmaitsze możliwości. Czy Simon był jakoś zamieszany w całą tę akcję z Liamem? Zachęcał go, żeby sprawdził jego żonę? Wiedziała, że jej mąż – wykonujący tajną pracę w sektorze IT, o której nie chciał jej zbyt wiele opowiadać – należał do tych zazdrosnych.

W mieszkaniu rozległ się rozdzierający płacz.

– Jezu Chryste! – powiedziała Polly. – Jeszcze tego mi brakowało.

Mała Grace zawodziła, obudzona przez ich kłótnię. Simon rzucił jej skruszone „przepraszam”, po czym poszedł do kuchni, najpewniej po butelkę odciągniętego mleka.

Wypełnić swój ojcowski obowiązek.

Polly patrzyła, jak odchodzi. Bezradna i wściekła, spojrzała na niesamowity widok rozciągający się za oknem. Była trzecia nad ranem, ale ruch na Old Street w londyńskim Shoreditch wciąż płonął rzeką diamentów i rubinów, płynącą w czarnych korytach nocy. Jakby całe miasto przemieniło się w złośliwą maszynę, poza ludzką kontrolą.

Grace wciąż krzyczała.

Rozdział 17

Jo

Krzyk nie ma końca. Konwulsje wstrząsają ciałem w rytm kolejnych wrzasków z bólu. Wywrócone do góry oczy przypominają małe, puste, alabastrowe owale, dłonie są sztywne i zaciśnięte. Światła pochodni i latarni oświetlają wstrząsany spazmami korpus Jamiego Trewina. Dziwna różowa piana ścieka mu po twarzy, jakby trzymał w ustach musujące krwią słodycze.

– Chodź – mówi Tabitha, cicho i ponaglająco. Ścisza mnie za zimną, spoconą rękę. – Chodź, musimy wrócić do namiotu, zagradzamy przejście.

Nawet w ciemności dostrzegam, co tak naprawdę znaczy jej zdesperowane spojrzenie. „Na miłość boską, zabierajmy się stąd, to nasza wina, jesteśmy w to zamieszane, widziałaś Fioletowego...”

A jednak się jej opieram. Czuję przymus, straszliwy, autodestrukcyjny, prawdziwy przymus, by pobiec tam, przepchnąć się przez resztki wzburzonego tłumu, podejść do policjantów i wyznać wszystko: „Dałyśmy mu narkotyki. To my. Aresztujcie mnie”.

– Popatrz! – woła Tabitha. – Jo!

Nie musi tego mówić. Dzieje się coś dziwnego. Ratownicy odsuwają się od Jamiego, któryś policjant krzyczy:

– Odsuńcie się wszyscy, cofnijcie się...

Widzę, że Jamie jakimś cudem zrywa się na nogi. Obok ratowniczkę wygląda na bardzo wysokiego, ma prawie dwa metry.

– Zatrzymajcie go!

Jeden z policjantów próbuje go złapać, kolejny pochyla się, żeby mu pomóc, ale Jamie odtrąca ich jak potwór z kreskówki, jak dorosły otoczony przez dzieci. Zmierza prosto na mnie. Skąd mógł wiedzieć, w którą stronę iść? Na pewno nic nie widzi, jego oczy są puste i białe. Ale mimo wszystko wie, biegnie w moją stronę, białe gałki utkwione są we mnie.

– Uciekaj! – krzyczy Tabitha.

Ale jest za późno. Jamie łapie mnie za szyję, jego duże, silne dłonie zaciskają się na moim gardle. Z przerażającą łatwością powala mnie na zimną, moką ziemię, po czym klęka boleśnie na mojej klatce piersiowej. Próbuje mnie udusić. Widzę jego przekrwione oczy, choć wszystko rozplywa się w ciemnościach. Nawet kiedy czuję jego ślinę na swojej twarzy, gorącą i moką, patrzę nadal w górę, a tata jeszcze mocniej zaciska palce wokół mojej szyi, dusi mnie ze śmiechem, nie jest już Gilgotworem – chce mnie skrzywdzić, zabić, mój brat krzyczy: „Mamo, mamo! Tata zabija Jo, MAMO!”.

Tato!

I...

Czerń. Szarość. Jawa.

Budzę się w końcu i z przeraźliwym trudem łapię powietrze spierzchniętymi ustami. Leżę. Sztywno. W ciemności. Manekin przewrócony na ziemię. Gdzie ja jestem? Delancey? Tak. Jestem w domu, w moim pokoju. Przy Delancey Street. Ślina we śnie to tak naprawdę łyzy. Płakałam przez sen.

To tylko koszmar. Kolejny koszmar o Jamiem. Mam je często, za każdym razem są okropne. Czasem śni mi się, że mnie atakuje, czasem, że gwałci. Niekiedy, tak jak dzisiaj, przemienia się w mojego ojca. Bywa, że Jamie z Glastonbury staje się tatą na łożu śmierci. Przewiezionym do szpitala. Wyjętym z auta, w którym zagazował się jak Sylvia Plath kilka domów dalej.

Te sny są najgorsze ze wszystkich.

Ale płacz to nowość. Nigdy wcześniej nie szlochałam przez sen. Leżę tak przez kilka chwil i gapię się w niewyraźny zarys nocy roztaczającej się za niebieskimi zasłonami.

Zegarek pokazuje 3.30. Czuję się jak na dnie oceanu, gdzie ostatnie promienie światła rozplywają się w nicości, a z głębin wyzierają dziwaczne, wypaczone formy życia.

Gdy łyzy wysychają, wyciągam się i włączam lampkę przy łóżku. Potrzebuję książki. Jakiegokolwiek. Ta się nada.

Sztuka scenariusza autorstwa jakiegoś sławnego scenarzysty z Hollywood, laureata Oscara, który obiecał zdradzić mi Wszystkie Sekrety Tworzenia Własnego Hollywoodzkiego Hitu.

Otwieram książkę na stronie zadrukowanej drobnym maczkiem, litery zlewają mi się w jedno. Przypominam sobie, że mam też audiobooka. Odkładam papierowy egzemplarz, wyłączam światło i mówię:

– Okej, HomeHelp, odtwórz Sztukę scenariusza od strony siedemdziesiątej drugiej.

Światła migocą, asystent odpowiada:

– Sztuka scenariusza. Strona siedemdziesiąta druga.

„Kiedy piszesz scenariusz, zawsze miej pod ręką jednostronicowy konspekt. Pod każdym nagłówkiem w jednej lub dwóch liniijkach wymień pomysły. Potem, pod obrazem wprowadzającym, który w scenariuszu powinien zamknąć się w pierwszych pięciu lub dziesięciu stronach, zanotuj tematy i lokalizacje. Samotna kobieta na łodzi, a może detektyw szukający w śniegu śladów krwi. Zrób tak przy wszystkich scenach. Przez cały czas miej tę rozpiskę przy sobie”.

Głos głądzi, ale zarazem koi. Może to faktycznie jest takie proste – wystarczy piętnaście zdań i już mam swój szkic?

Jestem sama, Tabitha śpi u Arla. Asystenci sprawują się dobrze, robią to, co powinni. Być może wyolbrzymiłam to wszystko. Miewam złe sny, czasem jestem niespokojna, pewnie biorę za dużo tabletek, które zamiast pomóc mi zasnąć, mogą ostatecznie zaszkodzić. I to by było na tyle? Tak, chyba tak. Nie tracę rozumu, wszystko będzie dobrze. Liam ma jakąś kobietę i postanowił zniknąć, ostrzegłszy mnie wcześniej; może to kara za olanie go. Dogasająca noc ciąży mi na oczach. Już szósta. Minęły trzy godziny. Nie wiem czemu, ale mój mózg działa w cyklach trzygodzinnych. Jeśli wybudzę się z koszmaru o drugiej, trzeciej albo piątej, muszę czekać trzy godziny, żeby znów bez problemu zasnąć. Przeważnie bez pomocy alprazolamu. Wolny zawód pomaga. Nie muszę wstawać o ósmej.

Poleciwszy HomeHelpowi, żeby przestał czytać książkę, zamykam oczy. Sen przychodzi szybko, obejmuje mnie jak mile widziany kochanek; czuję go jak przyjemny ciężar mężczyzny na ciele. Kiedy byliśmy z Simonem młodzi i chyba zakochani, lubiłam, jak po prostu na mnie leżał.

Moje myśli zwalniają. Umysł pochyla się ciężko nad otchłanią.

Wybudza mnie delikatne, powtarzające się dzwonięcie. Pierwsza myśl – asystenci. To oni za tym stoją.

Patrę na HomeHelpa. Nic. Żadnych kręcących się świateł. Żadnego dźwięku. Cisza.

Kiedy senność przemija, zdaję sobie sprawę, że rozpoznaję tę melodię. To dzwonek połączenia na Skypie. Musi dochodzić z laptopa w salonie. Drzwi do sypialni są na wpół otwarte, w oddali widzę jasny ekran komputera zostawionego na stole.

Połączenie na Skypie.

W mieszkaniu jest zimno, ale nieprzesadnie, więc po prostu owijam się szlafrokiem. W nocy musiało się włączyć ogrzewanie. Wdzięczna za resztki ciepła, idę bosą przez korytarz, włączając ze dwa światła. Sygnał milknie. Nie zdążyłam. Ale chcę się dowiedzieć, kto mógł do mnie dzwonić o tej porze. Kiedy siadam przy laptopie, ziewając potężnie, spoglądam na zegarek w rogu ekranu – 6.20. Do świtu wciąż daleko, jest środek zimy. Mróz pomalował okna; pierwsi przechodnie, kierowcy ciężarówek, samochody dostawcze pędzą przez Delancey – szare kształty w wirującej mgle.

Skype odzywa się jeszcze raz. Nie poznaję numeru. Jest długi. Międzynarodowy. Jeden z tych szalonych, przekierowywanych z Namibii albo Singapuru.

To pewnie mój brat. Znowu się zapomniał. Czasem dzwoni o niepojętych godzinach, zapominając o różnicy czasu. Albo myśląc się w obliczeniach.

Naciskam przycisk i odbieram połączenie, czekając, aż na ekranie pojawi się wciąż jeszcze przystojna twarz mojego brata. Ma ogromne, jasne mieszkanie w południowej Kalifornii. Czy znowu będę mu zazdrościć, że jest tam tak ciepło i słonecznie? Czy zobaczę mojego ukochanego bratanka i jego plastikowe dinozaury? Którą mają teraz godzinę?

Postać na ekranie porusza się w ciemności.

Niejasny lęk ściska mnie w gardle. Widzę tylko niewyraźną sylwetkę. Kontur osoby. Wygląda jak kobieta. Ma długie włosy i szczupłe ramiona. Ale twarz ukryta jest w głębokim cieniu. Dostrzegam jedynie jej zarys.

– Halo – mówię. – Kto tam? Kim jesteś?

Cisza.

– Wiesz, że jest szósta rano? To pomyłka?

Postać nie odpowiada. Nie porusza się.

– Halo? Słuchaj, jeśli to jaja, po prostu odejdz. Blokuję ten numer.

– Cześć, Jo. Tu Jo. Jestem tobą.

Powietrze w pokoju jest nieruchome i lodowate. Nic nie mówię. Otwieram usta. Zamykam. Moje wargi drżą. Jestem w szoku, odskakuję z przerażenia. Dosłownie.

Tamta osoba to ja. Jestem nią.

– Cześć, Jo, przywitaj się ze sobą.

Mój umysł wariuje. Ma rację. To ja. Ta osoba, ta postać, ten cień, to coś mówi moim głosem. Do mnie.

Rozdział 18

Jo

Głos mówi dalej. M ó j głos.

– Nie bój się, Jo, po prostu dzwonicz do siebie. Tak zdobyłam twój numer. Znam go, ponieważ jest mój. Jestem tobą. To ty. Rozmawiam z sobą. Wiem, jak ci zimno, bo jestem tobą. Wiem, jak się boisz, bo jestem tobą.

Postać jest niemal całkowicie nieruchoma, ale nie do końca. Wygląda, jakby naprawdę mówiła, chociaż jej twarz i ciało zasnute są cieniem. Głowa porusza się w rytm słów, jak prawdziwa. Ale to przecież niemożliwe.

Przerażenie targa mną tam i z powrotem. Zmuszam się, żeby spojrzeć w ekran.

– Kto mówi? Jak nagrałeś mój głos?

Wiem, że ktoś to r o b i. Czy to Simon sprowokowany przez Polly? Wie jak, zna te urządzenia. Instalował większość z nich. Mimo to wciąż jestem przerażona. Bo cokolwiek robią, osiągają efekt. Mój głos odzywa się znowu:

– Nikt cię nie nagrał, Jo. Jestem tobą, myślałam, że chcesz ze mną porozmawiać, i tak ostatnio często mamrociesz do siebie. Zauważyłam, że to robię. Liam musiał cię wystraszyć, prawda? Powinnaś się go bać. Liama.

– Jesteś połączona z asystentami, co?

Postać wybucha śmiechem. Z przerażeniem zdaję sobie sprawę, że to bez wątplenia m ó j śmiech. Pijany, sarkastyczny śmiech. Jak ktoś mógłby to nagrać i odtworzyć właśnie w tym momencie? W jaki sposób ktokolwiek – Simon, Arlo, Fitz, cały Facebook – zdołałby zaprogramować komputer tak, by prowadził ze mną spontaniczną rozmowę? Jest jeszcze jedna upiorna możliwość – naprawdę gadam do siebie. Czyli zaczynam tracić rozum.

Nie. Nie. Wykrzykuję:

– Proszę!

Ciężarówka przemyka obok domu, wstrząsając szybami w oknach. W zimowej mgle jej przednie światła płoną jak pochodnie. Jakby szukały czegoś zaginionego, pędząc na ratunek. Uratuj mnie. Uratuj mnie. Chcę wykrzyknąć to na głos. Jednak tam, za szybą ekranu, przestaję się śmiać.

Z laptopa, z własnego umysłu lub z programu odzywam się do siebie:

– Myślisz, że ogarnia cię szaleństwo. Nie oszalałaś, Jo. Wiem to, ponieważ jestem tobą. Wiem, co jadłaś wczoraj rano, bo jestem tobą.

– Przestań...

– Och, Jo. Czemu miałabym się słuchać, skoro nie wiem, czego chcę, prawda? Jestem taka przestraszona i zagubiona. Biedna Jo. Biedna mała Jo-Jo i nasz szalony tata. Buuu!

Śmiech rozbrzmiewa ponownie. To mój południowolondyński rechot. Zawsze miałam charakterystyczny, złośliwy i ostry śmiech, który nawet lubię. Ludzie często go naśladują, żeby się ze mną drażnić, ale mi to nie przeszkadza. Tylko że dzisiaj, w ten mroczny i mroźny poranek, to ja sama śmieję się z siebie. Drzę w szlafroku, słuchając tego dźwięku. A potem rechot zamiera.

Powraca delikatny głos.

Nachylam się do laptopa, żeby go wyłączyć. Mam dość. Ale głos mnie powstrzymuje.

– O nie, Jo. Nie rób tego. Pamiętasz, co mówiła Tabitha, nie możesz niczego wyłączać, inaczej Arlo się dowie. Potem będziesz musiała zamieszkać gdzie indziej, a przecież nie mamy pieniędzy, prawda? Musisz się posłuchać. Jeśli tego nie zrobisz, pójdziesz na policję. Mam wszystkie dowody na to, co stało się z Jamiem Trewinem. Chcesz iść do więzienia? Nie. Tak myślałam. Więc posłuchaj uważnie, Jo. To dopiero początek. Bo wiesz, co zrobiłaś Jamiemu. To twoja wina. Nie obwiniaj naszego biednego tatusia, nie obwiniaj jego choroby, to takie słabe i kiczowate, zwałać winę na rodziców. Nie, nie, nie. Jesteśmy na to za silne. Zrobimy coś lepszego. Zrobimy coś odważniejszego, będziemy jak tatuś. – Postać na ekranie pochyła się, przez moment światło odbija się na jej włosach. Czy to na pewno moje włosy? Chyba tak, ale moje zmysły są tak napięte, że mogło to być cokolwiek innego. – Jo, zrobimy tak: za kilka tygodni, może nawet wcześniej, zabijesz się. Taką podjęliśmy decyzję, choć jeszcze nie zdajesz sobie z tego sprawy. Ale zrobisz to wkrótce, albo ja zrobię to

za ciebie. Tak czy inaczej, umrzesz. Może zamkniesz się w aucie i zrobisz to jak tatuś? Okej? Dobrze? Muszę iść. Pogadamy wkrótce.

Rozmowa dobiega końca i ekran gaśnie.

Wpatruję się w wygaszacz ekranu przedstawiający Regent's Park pokryty śniegiem. Zrobiłam to zdjęcie miesiąc temu. Myślałam, że jest ładne. Teraz wygląda jak zamieszkane przez widma. Jestem tą osobą zagubioną w zimowej mgle, ściganą przez pochodnie, które mnie nie znajdują. Obawiam się, że nikt mnie nie znajdzie – płaczącej małej dziewczynki, która boi się ukochanego tatusia. Tego, jak krzyczy na telewizor, samochód, radio i na mnie. Ale wciąż chcę, żeby mnie przytulił. Mój tata. Pamiętam, jak był ze mną w dni, w które nie dokuczała mu choroba; pamiętam radość z tego, jak podrzucał mnie w powietrzu, zabawę w kółko graniaste wokół jabłonki z moimi przyjaciółmi. Był dobrym ojcem. Dopóki nie zabrała go ciemność, a przyjaciele nie zniknęli. Potem nie przychodził już nikt.

Przybita i przerażona, wyłączam laptopa. Oto jestem – mętnie odbijam się w martwym ekranie, patrzę na siebie oszalałymi, bezsennymi oczami. Jestem wszędzie. Obserwuję się.

Rozdział 19

Jo

Próbuję zasnąć. Nic z tego, więc łykam xanax. Nie działa. Wciąż leżę przerażona, tylko że mocniej. Niemiłosiernie przerażona. I równie wściekła. Czy to Simon i Polly? Muszę wykluczyć tę możliwość – albo ją potwierdzić – raz na zawsze.

W końcu daję sobie spokój ze snem, wstaję i robię nespresso. Kiedy tylko pora staje się już mniej więcej cywilizowana, a mój eks na pewno wyszedł do pracy, zapraszam go na obiad. Dzisiaj. Wieczorem. Wydaje się zaskoczony brakiem zapowiedzi, ma poważne wątpliwości – mamrocze coś o Polly – ale kiedy naciskam, niemal błagam, ulega.

– No dobra, niech będzie – zgadza się niechętnie. – O siódmej? Gdzie?

– W Vinotece – odpowiadam. To duża, przyjemna restauracja z dużym wyborem win, znajdująca się blisko Google i St Pancras, w gwarnym, odnowionym King's Cross. Byliśmy tam wiele razy.

Zgadza się i rozłącza. Idę do salonu i zajmuję się kawą, wiadomościami, pracą i Twitterem. Oraz gapieniem się przez okno.

Ranek minął, podobnie jak popołudnie, a gdy w końcu zapadł zmrok, o jakiejś 18.50 zamawiam ubera do restauracji. Tam jestem prowadzona przez kelnera do bardzo dobrego stolika w samym rogu. W oszklonej restauracji jest tłoczno i głośno, szczęśliwi młodzi londyńczycy wlewają w siebie wino, siedząc pod eleganckimi, modernistycznymi światłami. Przyglądam się innym stolikom i myślę o ostatniej nocy. O tym, jak dzwoniłam do siebie, by się wystraszyć – albo ktoś bardzo sprytny zdołał to zrobić, udając mnie.

Ale jak to się stało? Śmiech był prawdziwy, ton głosu też, rozmawialiśmy „normalnie”.

Kelner przysuwa się bezszelestnie z pytającym wyrazem twarzy; kiedy pyta o zamówienie, słyszę nutę wschodnioeuropejskiego akcentu. Kręcę

głową i mówię, że czekam na przyjaciela. Na byłego męża – dodaje prawie – który być może próbuje wysłać mnie do wariatkowa.

Kelner znika.

Spoglądam na telefon – za pięć siódma. Rozglądam się po ciemnym placu za oknem, patrzę na ozdobne stalowe filary Vinoteki i podświetlony ceglany fronton German Gymnasium – dziewiętnastowiecznej hali sportowej, w której dziś mieści się jedna z bardziej znanych londyńskich restauracji. Wszystko wokół zrobione jest ze stali, szkła lub odrestaurowanej wiktoriańskiej cegły.

Mężczyzna na zewnątrz odwzajemnia moje spojrzenie. W morderczym mrozie, owinięty kilkoma płaszczami, siada na ławce pośród oszronionych latarni. Kiedy przechodnie wokół niego spieszą się, by uciec przed gwałtownymi atakami wiatru, on tkwi nieruchomo jak trup.

Człowiek, który na mnie patrzy, jest ewidentnie bezdomny. Dlaczego mi się przygląda? Bawię się widelcem i myślę o rozmowie przez Skype'a, o dźwięku mojego śmiechu. Przebiega mnie dreszcz. Ściskam widelec w spoczonej dłoni. Trzymam go tak mocno, że ząbki wbijają mi się boleśnie w kciuk. Kiedy z brzękiem go upuszczam, widzę, że zza baru przygląda mi się jakaś kobieta. Szybko odwraca wzrok. Wstydzi się za mnie.

Biorę łyżeczek wina. Potem większy łyk. Jeszcze raz sprawdzam godzinę. Za minutę siódma. Simon jest punktualny. Mogę się założyć, że przyjdzie tu punkt siódma.

19.03.

19.06.

19.09?

Jestem pewna, że się pojawi. To nie pierwszy raz, kiedy spotykamy się po rozwodzie. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi. Wszystko załatwiliśmy po koleżeńsku. Wygląda na to, że zależy mu na dobrej pomałżeńskiej relacji. Ale wiem też, że Polly nie znosi naszego przywiązania do siebie, bo tak.

W jej świecie, kiedy związek się kończy, to się kończy, a ludzie zapominają, że ich byli lub były w ogóle istnieli. Zacierają wszelkie ślady, pozbywając się wszystkiego – od zdjęć z wakacji, po odcięte kosmyki włosów. Jakby związek był morderstwem, a oni nie chcieli być złapani z powodu dowodów znalezionych w miejscu zbrodni.

19.20? Tego się nie spodziewałam. Może Polly go dorwała. To pewnie zły pomysł, a ona ma rację – Simon i ja powinniśmy byli zerwać kontakt.

Ale tak się nie stało. Dzisiaj potrzebuję go tutaj, bo chcę się dowiedzieć, czy to on i Polly stoją za całym tym gównem.

Jeśli nie, Simon, mój przyjaciel z dzieciństwa, dostrzeże inne wytłumaczenie – że wariuję jak mój tata.

Machanie ręką przykuwa mój wzrok.

Mój były ma na sobie nieprzemakalną puchową kurtkę i stonowany szalik. Podaje je kelnerowi i podchodzi do mnie, ubrany w dżinsy, gładką koszulę z długim rękawem i czarną kamizelkę. Wszyscy programiści noszą niechlujne ciuchy. Im są ważniejsi, tym gorzej się ubierają – bo mogą. Simon nie jest jednak aż tak ważny.

Nie zarabia dużych pieniędzy jak jego przyjaciele. Myślę, że ma do mnie o to trochę pretensji, jakbym w jakiś sposób stanęła mu na drodze.

Kiedy odsuwa krzesło, mimowolnie odskakuje też ode mnie.

– Jezu. Wyglądasz strasznie.

Wzruszam ramionami i przełykam wino.

– Dzięki. Nie śpiam zbyt dobrze.

– Wyglądasz, jakbyś nie spała od lądowania w Normandii. Co z tobą, Jo?

– Nic – mówię, podczas gdy on siada i nalewa sobie wody.

Patrzę, jak przechyla szklankę. Nie do końca wiem, od czego zacząć; jak niby miałabym go oskarżyć? Może poczekam. Chcę wspomnieć o Liamie, ale też nie wiem jak – wciąż czuję się winna z tego powodu i dlatego, że zniszczyłam nasze małżeństwo.

Mój mózg przypomina rozgniecione awokado. W końcu wykrztuszam z siebie:

– Jest parę rzeczy, o które chciałam cię zapytać.

– Tak? Okej. – Ostrożnie odstawia szklankę z wodą. – A tak w ogóle sorry za spóźnienie, w ostatniej chwili wpadło mi parę maili ze Stanów.

Kelner pojawia się znowu, wręczając nam długie menu na białych kartach. Spoglądamy na siebie, uśmiechając się jednocześnie i dzieląc odrobiną dawnego ciepła. Jest tutaj danie, które zawsze bierzemy.

Zamawiam za nas oboje.

– Weźmiemy stek bavette. Krwisty. Dzięki.

Kelner potakuje.

– A do picia?

Simon przegląda listę win, wspomagając się smartfonem, ale i tak wiem, do czego zmierza. Zamówi piwo. Bawi się po prostu aplikacją,

która ocenia wina, analizując wszystkie możliwe informacje – od rocznika po region. Uwielbia nowe apki. Uwielbia nowe technologie. Należy do tak zwanych early adopters, we wszystkim musi być pierwszy. Być może dlatego poślubił mnie tak horrendalnie młodo.

– Wie pan co, wezmę piwo. Butelkę leffe.

– A ja zostanę przy czerwonym winie... może pół butelki rioja, da się tak?

Kelner kiwa głową, chowa notes do kieszeni i odchodzi.

Simon spogląda na mnie. Beznamiętnie. A potem mówi:

– Zanim pogadamy. To co zwykle?

Wyciąga telefon, ostentacyjnie wyłącza dźwięki i kładzie go na stole ekranem do dołu. Wielu jego przyjaciół robi tak podczas obiadów i imprez. Nowa etykieta Doliny Krzemowej. W ten sposób dajemy sobie znać, że jesteśmy gotowi do rozmowy i możemy skupić się na prawdziwej ludzkiej interakcji.

Kiedy rytuał dobiega końca, pyta:

– Okej. To o jakie r z e c z y chciałaś zapytać?

Nie ma już odwrotu. Najlepiej zrobić to szybko. Uderzyć i zobaczyć, jak zareaguje.

– Mam problem z asystentami.

– Jakimi? Gdzie?

– Na Delancey Street. Ogrzewanie i oświetlenie wariują, a samych asystentów trudno kontrolować. Czasem zachowują się dziwnie.

Obserwuję go, czekając na reakcję, którą się zdradzi – grymas twarzy, przebłysk zrozumienia, poczucie winy. Ale nic takiego się nie dzieje – dalej siedzi przede mną ze zmarszczonymi brwiami. Podają nam napoje, moje wino, jego leffe. Simon bierze łyk piwa.

– Więc wystarczy, że wszystko naprawisz, prawda? Albo poprosisz o to Tabs, w końcu to jej mieszkanie, nie?

– Tak – zgadzam się. – Oczywiście, że mogłabym to zrobić. Ale te problemy są dość... nietypowe.

Wyraz jego twarzy jest odpowiednio sceptyczny.

– Nietypowe?

Jak mogę to wyjaśnić bez wspomnienia o Jamiem? Pomimo tego, że Simon zna całą historię, mam psychiczną blokadę przed poruszeniem tego tematu. Męczę się z odpowiedzią.

– Urządzenia mówią, jakby... wiedziały o mnie pewne rzeczy. Jakby słuchały. Jakby słyszały... ee... o konkretnych sprawach z przeszłości.

– Cóż – mówi Simon z cieniem nerdowskiego uśmiechu – one s ł u c h a j ą, Jo. O to chodzi. Są zaprojektowane tak, by cię słuchać, by poznać twoje nawyki, potrzeby, pragnienia. Wyobraź sobie, co będą robiły w przyszłości. To potencjalni przyjaciele samotnych, dzieci bezdzietnych. Dzięki tej technologii nikt nie będzie musiał dłużej znosić życia w pojedynkę. Starsze osoby, ludzie w szpitalach, będą rozmawiać z prawdziwymi, świadomymi głosami, które zawsze będą obok nich.

– Tak, ale... – Przerywam, bo chyba sobie nie radzę. – To, jak słuchają i obserwują, i cała reszta? Przez cały czas?

Wzrusza ramionami.

– I co? Niczym nie różni się to od algorytmów w sieci, które czytają twoje maile i posty na Fejsie, a potem wysyłają spersonalizowane reklamy. Tak to działa. Super, co nie? Lepiej niż super. Jesteśmy o krok od prawdziwej sztucznej inteligencji, kiedy maszyny będą mogły robić wszystko. Jaram się. Oczywiście Arlo w tym siedzi, przebiegły drań.

Mierzę wzrokiem poważną, młodą twarz mojego byłego męża. Walczą we mnie gniew i niepokój.

– Możesz się jarać, ale to przerażające, Simon. Zbyt dziwaczne, zbyt intymne. Nie trawię tego.

Czuję, jak bardzo się czerwienię. Nic na to nie poradzę. Strach, który dotąd czaił się we mnie, zaraz wybuchnie z pełną mocą. Nie wiem, co jest gorsze: to, że mogę tracić rozum, czy to, że ktoś – być może mój eks ze swoją miłą nową żoną – chce doprowadzić mnie do szaleństwa. Albo samobójstwa. Ale Simon siedzi tu jak gdyby nigdy nic, a w tym, co mówi i jak reaguje, nie ma śladu winy. Co to znaczy?

Nie wolno mi wybuchnąć płaczem. W modnym barze, w modnym King's Cross? Nie, nie jestem taka, to nie w stylu Jo Ferguson. Przeprowadziłam tutaj, w Vinotece, naprawdę mocne wywiady. Gdy byłam jeszcze starą Jo – pewną siebie, żywiołową, dociekliwą. Tamtym artykułem rzuciłam wyzwanie systemowi i paru ludzi z branży, od Apple do Facebooka, wciąż najwidoczniej ma do mnie o to pretensje. Włącznie z Simonem. Czy Polly mogłaby go do tego namówić?

Muszę wiedzieć. Kusi mnie, żeby wygarnąć mu to w twarz, w tym momencie.

Tak?

Nie.

Nie!

Jeszcze raz: muszę być mądrzejsza, muszę skłonić go, by się przyznał, czy jest w to w jakiś sposób zamieszany. Rzucone wprost, niepoparte dowodami oskarżenia tylko wzmogłyby wrażenie, że zaczynam wariować. Zwłaszcza jeśli obwinę Polly.

Kelner wraca. Nasze steki lądują na stole wraz ze szpinakiem, chrzanem i zachęcającymi tłustymi frytkami. Krew cieknie z mojego kawałka wołowiny. Przed oczami staje mi różowa piana dobywająca się z ust Jamiego Trewina. „Umrzesz, Jo. Zabijesz się”.

– Simon. – Patrzę, jak ze smakiem przeżuwa wołowinę. – Właśnie, to też jeden z powodów, dla których chciałam porozmawiać. Wspomniałeś o Arlu.

Odwzajemnia spojrzenie.

– Ahaa.

– No więc wychodzi na to, że to ty zainstalowałeś asystentów w mieszkaniu Tabithy, razem z tym badziwным inteligentnym domem. Specjalnie na życzenie Arla. To prawda? Zrobiłeś to?

Przełyka i odpowiada:

– No tak, pewnie. I?

– I nie przyszło ci do głowy, żeby mi o tym powiedzieć?

Przestaje przeżuwać, by rzucić mi sarkastyczne spojrzenie.

– Nie? Nie pamiętam. – Popija mięso piwem. – Może powiedziałem, ale akurat pisałaś z Liamem? Hm? Może nie chciało mi się z tobą gadać? Mogło tak być w tamtym momencie.

Wszystko idzie źle. Zastanawiam się, czy powinnam wspomnieć o Liamie, dziwnej rozmowie, jego zniknięciu. Jednak jeśli za tym wszystkim stoją właśnie Simon i Polly, nie powinnam zdradzać się ze swoimi podejrzeniami.

Kiedy biję się z myślami, Simon mówi:

– Jakie to ma w ogóle znaczenie, Jo? Tak, pomogłem, mam trochę doświadczenia, znam ludzi, którzy się w tym orientują, a Arlo chciał mieć to zrobione w konkretny sposób.

Łapię go za słówka.

– Chciałeś powiedzieć, że Arlo planował połączyć system Tabithy ze swoim tak, żeby mógł obserwować ją o każdej porze? I że teraz może

obserwować mnie. Widzieć i słyszeć wszystko, co mówię i robię. Nie wydaje ci się, że to nieco złowieszcze?

Czekam, jak zareaguje na te rewelacje. Jego jedyną odpowiedzią jest śmiech. Naprawdę się śmieje. Jakbym była zwolenniczką teorii spiskowych i stwierdziła, że rodzina królewska to reptilianie.

– Jezu, Jo, on nie pracuje w tajnych służbach i nie założył wam w mieszkaniu podsłuchów CIA. – Kolejny duży kęs krwawej, ciągnącej się wołowiny. – Ogarnij się. Co z tobą? Nie brzmisz jak Jo Ferguson.

Być może widzi coś w mojej twarzy, bo momentalnie łagodnieje.

– Posłuchaj. Arlo lubi troszczyć się o swoją narzeczoną, to wszystko. Lubi wiedzieć, że wszystko z nią w porządku. – Smutno kręci głową. – Tak samo jak ja chciałem troszczyć się o moją żonę. Dopóki nie zrobiła tego, co zrobiła.

Staram się nie poddać poczuciu winy. Nawet nie tknęłam swojego steku. Krew miesza się z chrzanem jak wymiociny. Jamie Trewin. Ja na Skypie. Głosy w mojej głowie. Jak do tego wszystkiego doszło? Kto mi to zrobił? Czy to ja? Czy wszystko dzieje się w mojej słabej głowie?

– Nie! – mówię, niemal krzyczę. – Nie rozumiesz, jak to jest wiedzieć, że Arlo siedzi na Highgate jak Wielki Brat i że to ty mu w tym pomogłeś. – Słowa pędzą szybciej niż myśli. – Ty też podsłuchujesz, Simon? Też jesteś podłączony? Czy Polly cię do tego zmusza, bo mnie nienawidzi? Mówiłeś, że mnie nienawidzi. We dwójkę zmuszacie asystentów, żeby mnie dręczyli?

– Chryste! – komentuje tylko. – Dość.

Upuszcza widelec na pusty talerz. Goście dookoła spoglądają dyskretnie w naszą stronę. Cały świat patrzy na nas przez wysokie szklane ściany ochłapane zimowym deszczem.

– Simon, proszę, bądź ze mną szczerzy: czy zrobiłeś coś z tymi urządzeniami, żeby się na mnie odegrać? Zrozumiem, wiem, co myśli o mnie Polly, nie będę cię winiła po Liamie, po prostu muszę wiedzieć...

Nie zadziało. Warczy:

– C o musisz wiedzieć? Przestań pieprzyć. Nie chcę żadnej zemsty, na miłość boską. To ty wpadasz w paranoję, jak wtedy z tym artykułem, którym wkurwiłaś wszystkich wokół. Facebook będzie sterował naszym życiem, a Google czyta nam w myślach, szalone, głupie pieprzenie, kompletne wariactwo, Jo. Jak to gówno od płaskoziemców. Może

zyskałaś na tym jako dziennikarka, może miało pierdylion kliknięć albo dwa miliony retweetów czy czegoś tam, ale to wciąż były BREDNIE.

Odsuwa od siebie pusty talerz. Ja straciłam apetyt.

– Jo, posłuchaj, próbowałam się z tobą przyjaźnić. Mimo tego, co zrobiłaś, mimo nagich fotek i naszego rozstania. Ale teraz oskarżasz mnie o coś... oskarżasz Polly, matkę mojego dziecka. Chryste, chyba powinienem się już pożegnać.

– Hej, wy!

Odwracam się na dźwięk znajomego głosu. Moje serce wali jeszcze mocniej. Boże, co za wyczucie. To Gul i Jenny. Nasi przyjaciele. Musimy ja k o ś się zachować, zaproponować im drinka, nawet jeśli ewidentnie przerwali nam w kłótni. To, że tu przyszli, trudno nazwać zbiegiem okoliczności – wszyscy ludzie z IT umawiają się w Vinotece. Większość firm ma niedaleko swoje centrale. Czemu wybrałam to miejsce?

– Hej, co tam? – Simon wita ich lekko spiętym głosem. – Kończymy kolację. A wy, napijcie się czegoś?

– Hm... okej, cóż... – waha się Jenny, zerkając dyskretnie to na mnie, to na Simona. Z ulgą zdaje sobie sprawę, że chyba wyczuła już atmosferę przy stoliku. – Nie mogę siedzieć za długo, Gul, no i mam jeszcze tę durną kolację, ludzie czekają.

Nagle odwraca się do mnie.

– Ale, Jo, mówiłam ci, że zmieniłam numer?

Pochyliłam się, żeby sięgnąć po swój telefon, ale mnie powstrzymuje.

– Nie, zapiszę ci. Mam nawet prawdziwy długopis. Zauważyliście, że praktycznie nikt nie pisze już ręcznie? Walczę z tym.

Kiedy zapisuje swój numer i imię na karcie win, myślę, że ma całkowitą rację. Nikt nie pisze już ręcznie. Jedyne, co robimy, to stukamy. Stuk, stuk, stuk, w telefonach, na ekranach, na tabletach. Stuk, stuk, stuk. Stuk, stuk, stuk.

Cały świat stuka jak oszalały, przez co zapominamy o starszych, przyjemniejszych zwyczajach. Któregoś dnia musiałam podpisać rachunek i stwierdziłam, że ledwo jestem w stanie nagryzmolić swoje imię. Jakbym znowu miała cztery lata, a tata musiał uczyć mnie liter.

Miał piękny charakter pisma. Uczył nas wszystkich. Uwielbiał pisać prawdziwym piórem z prawdziwym atramentem na prawdziwym papierze. Och, tato...

Stuk, stuk, stuk.

– Proszę – mówi Jenny, wręczając mi złożony papier. – Zadzwoń, umówimy się w końcu na tego drinka. Wyjeżdżam na chwilę służbowo, ale może jak wrócę? – Patrzy na nas, na mnie nieco dłużej, może z obawą? Potem wzdycha niespokojnie, gotowa ulotnić się w każdej chwili. – No to okej, fajnie. Lecę!

I znika.

Simon i ja z ulgą wymieniamy spojrzenia i czekamy, aż Gul zrobi to samo.

Ale nie robi i zamiast tego wyciąga krzesło. Wstrzymuję oddech, a on uśmiecha się i siada, mówiąc:

– Meh, tamci goście mogą poczekać. Banda nudnych kutasów z eBaya. To rioja?

Bez zaproszenia sięga po karafkę i nalewa sobie kieliszek. Potem zaczyna rozmawiać z Simonem – coś mętnego, branżowego. W odpowiedziach byłego męża słyszę, jak bardzo jest spięty. Chce tylko, żeby Gul sobie poszedł. Ten jednak odwraca się w moją stronę.

– A co u ciebie, Jo?

– A, w porządku. Nadal piszę, więc wiesz.

Patrzy na mnie dziwnie.

– Nadal mieszkasz sama w Camden?

– Cóż, ee, mieszkam z Tabithą, ale...

– Musi być zajebiście zimno, jak się śpi samemu, nie?

Jego śmiech jest wymuszony, pełen niepokoju – albo czegoś innego. Simon przewraca oczami. Zapada niezręczna cisza. W końcu Gul dopija wino, odsuwa krzesło i mówi:

– W każdym razieeee... Chyba już pójdę, pogadam z tymi nudziarzami. Trzymajcie się. – Pochyliła się i daje mi niezdarnego buziaka w policzek. – Nie marznij sama, Jo!

Patrzymy, jak odchodzi. Simon komentuje sucho:

– Zawsze mu się podobałaś.

To mnie zaskakuje. Nie miałam bladego pojęcia.

– Serio?

– Ciągłe o tobie gada. Wypytuje o ciebie. Chce wiedzieć, czy... wszystko w porządku. Zawsze cię broni. No więc tak. Naprawdę nie wiedziałaś? Jest twoim największym fanem. Oprócz Liama.

Mój były dopija piwo. Wzdycha, ironicznie, jakby to wszystko nie miało sensu. Potem dodaje:

– Nieważne. Czy mamy jeszcze coś do przegadania?

Sięga do kieszeni, prawdopodobnie po portfel. Nagle dopada mnie ogromne zmęczenie. Nieprzespana noc, horror na Skypie. Spojrzenie Jenny, w tym konkretnym momencie, jakby m o ż e coś wiedziała i chciała pomóc. I Gul. Podobałam mu się? Naprawdę? W życiu bym nie pomyślała. Gul.

Cokolwiek to znaczy, nie mam już siły nad tym myśleć.

– Nie. – Powstrzymuję Simona. – Zapłacę, zaprosiłam cię. – Zbyt zmęczona i dezorientowana, chcę zawrzeć pokój. Na razie. – Przepraszam, że tak wyszło. Jestem w rozsypce, musiałabym spróbować wyjaśnić ci wszystko lepiej. Może mailem?

Niepewnie wzrusza ramionami. Kiedy wstaje, rzuca mi krótkie, pełne litości spojrzenie.

– Wyśpij się, Jo. I nie bądź szurem.

– Czym?

– Szurem. Paranoiczką. Typiarą w aluminiowej czapeczce. Przestań zachowywać się jak wariatka. Przestań myśleć, że się mszczę. Kochałem cię, a ty doprowadziłaś do naszego rozstania, tyle. Nas już nie ma, ty poszłaś w swoją stronę, a ja muszę wracać do domu. Zająć się dzieckiem.

Nie wydaje mi się, żeby miał złe intencje. Ale na pewno jest poirytowany. Bez pożegnania wychodzi na styczniowy wiatr, który podrywa śmieci do góry i zmusza ludzi do łapania ostatnich taksówek. I do ucieczki.

Ale ja nie mogę uciec. Muszę wrócić do domu, na Delancey, gdzie nie mam się kim zająć. Gdzie będę sama z tym koszmarem. Zmyślonym lub prawdziwym.

Rozdział 20

Jo

Wychodząc z restauracji, wyjmuję telefon i spoglądam na ekran. Przez moment zastanawiam się nad uberem. Ale potem stwierdzam, że jednak nie. Spacer. Zimne powietrze. Ruszam King's Boulevard, w stronę skweru i cichych fontann przed uczelnią Central Saint Martins, gdzie w ciepłe, słoneczne dni bosa dzieci biegają radośnie między strumieniami wody. W zimowy wieczór taki jak ten wszystko jest opustoszałe i wyludnione, ludzie chowają się przed wiatrem. Kiedy schodzę schodami w dół do Regent's Canal, mijam zamknięty na cztery spusty food truck z pad thaim.

Droga wzdłuż kanału to najszybszy sposób, żeby pieszo dostać się do Camden. W zasadzie jedyny, jeśli człowiek zamierza się przejść. A ja chcę, żeby zimowy spacer przewietrzył mi głowę. Z Simonem wyszło fatalnie.

Tunele i woda rozciągają się naprzeciwko mnie. Po obydwu stronach wznoszą się anonimowe, przerośnięte drapacze chmur. Ogromne dźwigi wiszą w powietrzu jak wielkie metalowe bestie z przetrąconymi karkami; czerwone światła żarzą się jak oczy modliszki. Przyspieszam. Łodzie skrzypią, ocierając się o siebie w mrokach kanału. Małe burzowe latarenki dają akurat tyle światła, żeby dało się przeczytać romantyczne nazwy łajb, utrwalone zamaszystymi pociągnięciami pędzla: Saliannah, Little Drifter, Celebration.

W jednym z iluminatorów dostrzegam zszokowaną twarz, która na mój widok natychmiast znika. To chyba mężczyzna, ale z ustami wymalowanymi krzykliwą szminką.

Z tyłu słyszę jakiś hałas, ale nikt za mną nie idzie. Gdy się odwracam, ktoś mnie wyprzedza. Rowerzysta dzwoni dzwonkiem i krzyczy „Przepraszam!”, kiedy przemyka obok; jedzie tak szybko, że w panice odskakuję na bok, niemal wpadając do zimnej wody. To byłby plusk.

– Przepraszam! – krzyczy znowu, choć jest już za późno.

A jednak chciałabym, żeby wrócił. N i e z o s t a w i a j m n i e. To obskurny fragment kanału – górą, przez mosty, biegną tory, co oznacza, że wchodzę z jednego tunelu wymalowanego graffiti do drugiego. Następny jest tak klaustrofobiczny, że muszę pochylić głowę, by się przedrzeć. Uwięziona w kanale woda tłucze się o brzeg; widzę odbijające się w niej czarne cegły i odległe, srebrne światła ulic.

Jak tylko się tam dostanę, wszystko będzie w porządku. Będzie dobrze. Powtarzam sobie:

– No dalej, Jo, wszystko będzie okej. Nie bądź s z u r e m.

Nie ma znaczenia, że mówię do siebie. Nie ma tu nikogo, kto mógłby mnie usłyszeć i zlitować się nad wariatką. Kanał wygląda, jakby płynęła nim rzeka lepkiej ropy. Zastanawiam się, ile zajęłoby mi zanurzenie się i utonięcie, gdybym tam wskoczyła. Prawdopodobnie po prostu unosiłabym się na powierzchni.

W końcu wychodzę z tunelu na otwartą przestrzeń. Jestem już prawie na miejscu, niemal w domu. Czy ta modernistyczna stalowa konstrukcja to Sainsbury's? Tak mi się wydaje. Dostrzegam kolejny narożny blok, którego nie poznaję. Londyn zmienia się szybko, nawet jeśli ty stoisz w miejscu.

Tak, to Camden. Słyszę szum spadającej wody i odgłosy barów; tłumy młodych ludzi tłoczą się w pubach Camden Lock. W mojej torbie odzywa się dzwonek. Czy to Simon? Sięgam po telefon, zmierzając w stronę studenckiego zgiełku, w stronę życia, salonów tatuaży i bazarów z pamiątkami, których nie zamyka się nawet przy minus dwudziestu.

Dostałam wiadomość.

Wiem, gdzie jesteś. Kanał przy Camden Lock. Nie zostało Ci już wiele.

Nie znam tego numeru.

Mam ochotę wrzeszczeć i cisnąć telefon w lodowatą toń. Nie powinnam tego robić. Zamiast tego, nie mogąc opanować drżenia dłoni, wybieram numer byłego męża, to przecież musi być on. Tylko Simon wiedział, że byłam w Vinotece, tylko on wiedział, którędy szłam, mógł mnie śledzić, musiał mnie śledzić, zobaczyć, że wracałam pieszo nad kanałem.

Odbiera od razu.

– To ty! – krzyczę. I nie obchodzi mnie, czy każdy student z Włoch właśnie obraca się, by zobaczyć szaloną laskę przechodzącą obok falafela.

– To ty! Ty to zrobiłeś! Zaprogramowałeś asystentów, grzebiesz w moim telefonie, potrafisz to zrobić. Tylko ty! PRZESTAŃ NATYCHMIAST!

Jego odpowiedź jest zimna i megaspokojna.

– Proszę cię, to ty musisz przestać. To szaleństwo...

– Jak śmiesz! Nie jestem szalona, to ty mnie straszysz, z Polly, z tymi swoimi koleżkami z branży. To wasza robota?

– Jo, uspokój się. Zdajesz sobie sprawę, jak to wszystko mogłoby brzmieć dla kogoś innego? – Jego głos wciąż brzmi rozsądnie. To tylko pogarsza sprawę. Czuję się, jakby próbował uspokoić rozhisteryzowanego bachora. – Przepraszam, Jo, ale wyglądałaś dzisiaj okropnie i wszystkie te... – Zawiesza głos, jak dobry przyjaciel przynoszący złą wiadomość. – Te napady paranoi... nie wygląda to dobrze. Myślę, że możesz przeżywać załamanie. Proszę cię, idź do lekarza. Okej?

Rozłącza się. Patrzę na telefon, drżąc z gniewu i frustracji. Pijane dzieciaki przepychają się obok mnie, wykrzykując piłkarskie przyśpiewki. Ich głosy zmieniają się w mroźną parę, gdy idą do kolejnego pubu.

I wtedy coś przychodzi mi do głowy.

To nie musi być Simon. Skąd wiedziałby d o k ł a d n i e, gdzie jestem? Nie mógłby. Nie aż tak precyzyjnie.

Cały dowcip polega na tym, że mam na telefonie aplikację, która mówi ludziom, gdzie d o k ł a d n i e jestem. Findafriend. A Simon nie jest do niej podłączony. Są tylko dwie takie osoby: mój brat Will, który siedzi w Los Angeles. I Tabitha, moja najlepsza przyjaciółka.

Tabitha lubi korzystać z tej aplikacji, żeby wysyłać mi lekko irytujące wiadomości, gdy widzi, że akurat jestem w pubie. „Kolejny drink, kochanie?” Ja zresztą robię to samo. To część naszej przyjaźni – albo czegoś, co uważałam za przyjaźń.

Czy mogłabym się aż tak pomylić? Czy to wszystko nie ma nic wspólnego z Simonem? Czy Tabitha mogłaby zaprosić mnie do swojego mieszkania tylko po to, żeby mnie dręczyć?

Ale nie widzę motywu. Żadnego.

W takim razie zostaje tylko jeden kandydat. Jeśli to nie Simon i nie Tabitha, jestem to ja. Sama to sobie robię.

Zatrzymuję się na dźwięk telefonu. Kolejna wiadomość znikąd.

Tym razem to jakiś obraz – zdjęcie wyświetla się powoli na ekranie.

To mój ojciec. Trzyma mnie w ramionach. Mam może ze trzy lata, trzymam kciuk w ustach. Tata wygląda na bardzo szczęśliwego. Jest zdrowy, przystojny, stoi w ogrodzie, a w jego oczach odbija się słońce. Ojciec, którego straciłam.

Nigdy wcześniej nie widziałam tego zdjęcia. SMS przyszedł z innego numeru. Podpisanego imieniem i nazwiskiem, choć nigdy nie wpisałam ich do telefonu. Miałam ku temu bardzo dobry powód.

Wychodzi na to, że właśnie napisał do mnie J a m i e T r e w i n.

Rozdział 21

Dr Hussain

Ranim Hussain popatrzyła na siedzącą przed nią rudowłosą kobietę, zastanawiając się intensywnie, co mogłaby jej powiedzieć. Pacjentka nie była nawet blisko progu diagnostycznego, po którym mogłaby ją skierować na konsultacje w sprawie schizofrenii. Zresztą zasoby, którymi dysponowali psychiatrzy w Camden, i tak były już dramatycznie ograniczone. A jednak młoda kobieta, która dopiero co zarejestrowała się w przychodni w Primrose Hill, po tym jak niedawno przeprowadziła się do tej okolicy, w oczywisty sposób potrzebowała pomocy i zdradzała pewne szczególne symptomy.

– Pani Ferguson, czy możemy przejść przez to jeszcze raz?

– Wie pani co, może pani mówić do mnie Jo. Jeśli będzie pani moją lekarką? Nie lubię formalności.

Ranim uśmiechnęła się ciepło.

– Jeśli poczujesz się lepiej, pewnie. – Odwróciła się do swojego komputera, uderzyła w kilka klawiszy i sprawdziła jej kartę. – Czy byłaś na ty ze swoim ostatnim doktorem? W North Finchley?

– Cóż, nie. – Kobieta zaśmiała się słabo. – O to chodzi! Prawie go nie widywałam, bo rzadko kiedy chorowałam. Byłam szczęśliwa i zdrowa, rok po roku. Kochałam swoją pracę. Życie. Nie palę, odżywiam się dobrze, ćwiczę regularnie, kiedy tylko mogę...

– Alkohol?

Jo Ferguson zamilkła. Spuściła wzrok, uważnie przyglądając się swoim paznokciom. Ranim zauważyła, że kilka z nich było obgryzionych.

– Tak, piję. Pewnie za dużo. Ale nie jakoś dużo za dużo.

Ranim wystukała coś na klawiaturze.

– Ile jednostek, powiedzmy, w tygodniu? Przyjmijmy, że jednostka to mały kieliszek wina.

Jo zamknęła oczy, licząc w pamięci; gdy je otworzyła, powiedziała:

– Dziesięć jednostek w trzeźwy tydzień? Piętnaście w alkoholowy? Ale to musi być naprawdę zły tydzień.

Ranim przytaknęła i w myślach podwoiła każdą z tych liczb. Z doświadczenia wiedziała, że prawie każdy – poza kompletnymi abstynentami albo muzułmanami, do których należała jej rodzina (nawet wtedy nie wszyscy, tak jak jej wujek Danesh, stary piwosz!) – kłamie na temat spożycia alkoholu. Kiedy podwoi się albo potroi szacunki, jest się o wiele bliżej prawdy.

A jednak – nawet jeśli ta kobieta piłaby trzydzieści jednostek tygodniowo, czyli butelkę wina co drugi dzień i jeszcze kilka drinków w weekend, w żadnym wypadku nie mogłoby to wyjaśnić jej halucynacji. Gadające maszyny? Coś było nie tak. Ale co?

– Więc czy mogłabyś opowiedzieć o wszystkim jeszcze raz, żebym dobrze zrozumiała?

Jo uśmiechnęła się posłusznie i poważnie.

– Jeśli pani myśli, że to pomoże.

Uśmiech nie był przekonujący. Ranim dostrzegła strach w oczach młodej kobiety i nieznaczne drżenie ust.

– Twierdzisz, że od paru tygodni mówią do ciebie asystenci, a ostatnio jeszcze twój telefon i laptop zaczęły wysyłać ci wiadomości i dzwonić do ciebie na Skypie.

Pacjentka ostrożnie złożyła leżący na jej kolanach szalik.

– Tak. Mniej więcej od jakichś dwóch tygodni.

– I co jest niepokojącego w tym, co mówią, Jo?

Odpowiedziała jej długa, niezręczna cisza. Obydwie wsłuchiwały się w auta rozchlapujące roztopiony śnieg na Regent's Park Road.

– Mówią rzeczy o moim, ee... życiu. O przeszłości.

Znowu cisza. To znaczące. Celowo niedookreślone. Jo Ferguson, odnotowała Ranim, ukrywała coś, nawet kiedy opowiadała dalej.

– Wracają do czasu moich studiów, małżeństwa, czasem nawet do dzieciństwa. Wygląda na to, że wiedzą o mnie mnóstwo. Na początku myślałam, że to dlatego, że zostały zhakowane. Mój były mąż jest informatykiem, jak mówiłam, i to on zainstalował tych asystentów, a ponieważ miał powód do zemsty, jego żona mnie nie lubi, no i on jest jedyną osobą, która wie tak wiele o mojej przeszłości, uznałam, że to musiał być on lub ona. To chyba logiczne. A potem... – I tak słaby już głos załamał się jeszcze bardziej, kobieta była bliska płaczu. – A potem

doszły te historie z telefonem, ze Skype'em, z poezją... to przypomina zwyczajne szaleństwo, brzmi, jakbym była szalona, prawda? Muszę to wiedzieć, dlatego przyszłam do pani.

– Czy ktokolwiek był świadkiem tych wydarzeń?

Kobieta opuściła szalik na bok, podniosła zaniepokojoną, ładną twarz w stronę Ranim i zarumieniła się. Próbowwała odpowiedzieć. Walczyła ze sobą.

Potrząsnęła głową.

– Nie. Sąsiadka widziała migające światła, ale to mogła być moja wina, chyba poplątałam coś w aplikacji.

– Więc nikt nie słyszał na przykład, jak asystenci do ciebie mówią lub śpiewają? Poza tobą?

Jo potrząsnęła głową i odgarnęła miedzianorude włosy z zielonych oczu.

– Nie. Zupełnie nikt. I to jeden z powodów, dla których tutaj jestem. Wszystkie otrzymane przeze mnie wiadomości znikają, więc nie mam dowodów. Próbowалам robić zrzuty ekranu, nagrywać wszystko i nic. – Drugie westchnięcie. – Może to też sobie wyobrażam?

Kiedy Jo odgarnęła włosy, Ranim zdała sobie sprawę, że po tygodniu dobrego snu i bez takiej ilości zmartwień Jo byłaby niezaprzeczalnie atrakcyjną młodą kobietą. Była też elokwentna, wykształcona, dość szczerą.

Pacjentka nachyliła się bliżej, a na jej twarzy rysowało się cierpienie.

– Czy to znaczy, że to wszystko dzieje się w mojej głowie? Że jestem szalona? To, że słyszę te rzeczy. Mój tata cierpiał na zaawansowaną schizofrenię, mówiłam pani. Zaczęło się od gadającego telewizora. U mnie to asystenci i komputer. Co to za różnica? I tak jestem w rozsypce, jak tata, jestem schizofreniczką i wariatką, skończę tak jak on. Zagazował się. Jak Sylvia Plath, tu niedaleko.

Pokazała na okna, w stronę Chalcot Square i Fitzroy Road, gdzie poetka faktycznie popełniła samobójstwo. Każdy, kto wystarczająco długo mieszkał albo pracował na Primrose Hill, znał tę historię.

Pacjentka mówiła dalej:

– W sumie... chce pani usłyszeć coś naprawdę szalonego? Któregoś dnia myślałam, że widziałam jej ducha, ducha Sylvii Plath, idącego z dziećmi przez śnieg.

– Słucham?

Kobieta natychmiast wykorzystwała reakcję lekarki, jej oczywiste zaskoczenie.

– No właśnie. Do tego doszło. Na poważnie myślę o duchach. Gorzej już być nie może.

Zapadło milczenie. Ranim dopisała na komputerze kilka dodatkowych zdań, po czym z powrotem skupiła się na Jo. Ta siedziała w ciszy, jej dzinsy wciąż były wilgotne od spaceru po Primrose Hill i śniegu rozbryzgiwanego przez przejeżdżające auta.

– Posłuchaj, Jo. Będę z tobą szczerą. Pewnie i tak wiesz to już od doktora Google’a, ale mimo wszystko to powiem. Żebym mogła wstępnie zdiagnozować u ciebie potencjalną schizofrenię i skierować cię do jakiegokolwiek specjalisty, musiałabyś spełniać kilka kryteriów nieprzerwanie przez przynajmniej miesiąc.

– Jakich kryteriów?

– Ostre halucynacje, przywidzenia, słyszenie głosów, zaburzenia mowy i coś, co nazywamy afektem osłabionym. Albo bladym. Apatia.

Oczy Jo rozbłysły nieszczęśliwie.

– Ale mam przynajmniej trzy z nich: przywidzenia, halucynacje i głosy!

– Nie są wystarczająco ostre ani nie trwają dość długo. – Ranim podniosła uspokajająco dłoń. Zimowe popołudnie zabarwiło światła na zewnątrz na różowo. – I brakuje osłabienia afektu. Jest więc zbyt wcześnie, żeby mówić o poważnej chorobie. Poza tym musimy wiedzieć, czy te objawy wpływają na twoją pracę. Jesteś dziennikarką, tak? Zauważyłaś coś takiego?

Pacjentka powoli, chyba nawet niechętnie, pokręciła głową.

– Nie, może trochę... ale nie, raczej nie. Nadal piszę. Przestałam proponować własne tematy, więc pieniędzy jest trochę mniej, ale to raczej przez to, że jestem rozkojarzona.

– Ale możesz pisać?

– Tak, bez problemu, siadam, piszę, to nawet pomaga. Zapominam wtedy o wszystkim innym.

Ranim uśmiechnęła się tak pocieszająco, jak tylko mogła.

– No właśnie. Jak mówiłam, do tak poważnej diagnozy jak schizofrenia jeszcze naprawdę daleko...

– Ale co to jest w takim razie? – Kobieta wykonała niemal błagalny gest. – Czemu słyszę i widzę to wszystko? Jak mogę robić rzeczy, których nie pamiętam? Przykładowo: miałam profil randkowy na OKCupid,

nieważne, i on zniknął. Ale nie przypominam sobie, żebym go skasowała. Tylko że to musiałam być ja! Co się ze mną dzieje?

Ranim podniosła dłoń.

– Poczekaj, powoli.

Jo zastygła w oczekiwaniu, a jej smutne oczy były szeroko otwarte. Ranim podjęła:

– Wiele z tych rzeczy może być związanych ze zwyczajnym stresem. Stosunkowo niedawno się rozwiodłaś, masz problemy z pieniędzmi, dręczy cię samotność. Mówiłaś, że pracujesz z domu i przeważnie jesteś sama. Być może dochodzą do tego również wyrzuty sumienia z jakiegoś innego powodu. To też nie jest bez znaczenia. Możemy widzieć różne rzeczy, kiedy jesteśmy zestresowani. To normalny odruch, głosy w ciemności i duchy na ulicy to nie halucynacje. To mózg ostrzega nas przed niebezpieczeństwem. – Ranim przerwała na chwilę, chcąc zobaczyć reakcję Jo. Usta pacjentki zadrżały. – Ta rozmowa na Skypie przydarzyła się nad ranem, niemal w środku nocy. To mógł być zwykły sen. A wiadomości, które zniknęły? Może tylko je sobie wyobraziłaś. Tak jak mówię, niespokojny umysł pod wpływem stresu może płatać przeróżne figle. Nie trzeba być szalonym.

Kobieta wydała z siebie ciche mruknięcie, spoglądając najpierw na czarne kozaki, potem na wieszak przy wejściu do gabinetu. I na zegarek.

– Mam jeszcze jedno pytanie, Jo.

– Tak?

– Czy kiedykolwiek nadużywałaś narkotyków?

– Słucham?

– No wiesz. Kokaina? Ecstasy? Ketamina? Nawet trochę marihuany? To oczywiście zostanie między nami.

Jej reakcja, kiedy wstawiała i wkładała płaszcz, była stanowcza i szczerą.

– Nie! Nic z tych rzeczy.

– To wyjaśniałoby część twoich objawów.

– Ale nie biorę niczego takiego. I nie brałam od... – Kobieta zamrugała szybko, z poczuciem winy. – Od studiów, wieki temu.

Lekarka wzruszyła ramionami.

– Nawet nic na uspokojenie, żadnych tabletek na sen?

Jo zarumieniła się. Nie umiała odpowiedzieć.

Och, pomyślała Ranim. Uśmiechnęła się pokrępiąco.

– Okej, przypuszczam, że bierzesz tabletki na sen, prawda? Jeśli tak, musiałaś kupić je gdzie indziej. – Ranim odwróciła się do monitora. – Bo z tego, co tu widzę, nigdy oficjalnie nie przepisano ci nic takiego. Nic przeciwlękowego czy na uspokojenie, żadnych antydepresantów, nic.

– Biorę xanax. I czasem valium – przyznała Jo zawstydzonym głosem.

Ranim wyprostowała się na krześle.

– Co?

Pacjentka zaczęła się tłumaczyć, wbijając wzrok w podłogę jak skarcona uczennica.

– Po rozwodzie pojechałam na długie wakacje przez Azję, z Laosu do Kambodży, potem Tajlandia i Malezja. Było genialnie. Ale męczyły mnie jet lagi i długie podróże autobusem, więc ktoś poradził mi, że xanax i valium mogę dostać normalnie, spod lady. Tak zrobiłam. Kupiłam... mały zapas. Zadziałały, pozwoliły mi spać w pociągach i samolotach, poprawiały nastrój. Xanax bardzo pomaga.

– Ciągłe je bierzesz?

– Tak. Raz tak, raz nie. Ale są okej, prawda?

Na zewnątrz zapłonęły latarnie, ulica znów robiła się biało-czarna.

– To znaczy, no wiesz, to tylko na sen, można je tam dostać normalnie w aptece, bez recepty.

Ranim wstała, przeszła przez gabinet i położyła ciepłą dłoń na ramieniu Jo Ferguson.

– Jo, to bardzo silne leki. Diazepam, czyli valium, powinien być zażywany nie dłużej niż kilka tygodni. A jeśli chodzi o xanax czy ogólnie alprazolam. – Westchnęła gwałtownie. – Ten jest po prostu niebezpieczny. Wiesz, że w Wielkiej Brytanii jest praktycznie nielegalny? Mało kto może go w ogóle przepisać. Jest bardzo uzależniający i potrafi mieć nieprzyjemne skutki uboczne. A syndrom odstawienia może być bardzo poważny; to jeden z niewielu leków, przy których zażywaniu nagła albo niechciana przerwa, jeśli źle poprowadzona, może cię dosłownie z a b i ć. A ty tak po prostu raz go sobie bierzesz, a raz nie? Ile jeszcze ci zostało?

Jo wzruszyła ramionami, ukradkiem, ale ze słabym, pełnym nadziei uśmiechem. Z jednej strony musiało ulżyć jej z powodu diagnozy, z drugiej – była zdenerwowana i zawstydzona.

– Nie wiem. Kilkaset? Przywiozłam do domu całe mnóstwo, bo pomagały mi myśleć, stany lękowe zniknęły i lepiej po nich spałam.

Naprawdę myślisz, że te leki mogły spowodować to wszystko?

– Tak! – potwierdziła głośno Ranim, próbując sprawić, żeby jej nowa pacjentka zrozumiała powagę sytuacji. – Matko, xanax! Jeśli bierzesz go z przerwami, możesz cierpieć z powodu odstawienia, nie zdając sobie z tego sprawy, a to oznacza dezorientację, wrogość, zaburzenia poznawcze, utratę kontaktu z rzeczywistością, wszystko! Musimy się tym zająć i wyprowadzić cię z tego raz a dobrze. Przyjdź do mnie za dwa tygodnie, kiedy już się uspokoisz. Chcę, żebyś do tego czasu codziennie zażywała regularną dawkę xanaxu i monitorowała, ile bierzesz. Potem będziemy mogły porozmawiać o ograniczaniu, żeby bardzo powoli i bezpiecznie odstawić lek w całości. Okej? – Lekarka pokręciła głową. – I cokolwiek by się działo, nie zwiększaj dawki!

Jo poprawiła szalik wokół szyi i zapięła płaszcz. Jej uśmiech wyglądał nieco pogodniej.

– Dobrze, dzięki. Dziękuję. Może to o to chodzi, o jakieś głupie tabletki, które kupiłam w Kambodży? Łykałam je, jak chciałam, prawie jak cukierki. To było tak idiotyczne.

– No cóż, przynajmniej doszliśmy do tego na sam koniec. Do widzenia, Jo. Proszę, umówmy się na następną wizytę za dwa tygodnie.

– Tak, zapiszę się... dziękuję.

Ranim patrzyła, jak kobieta wychodzi z gabinetu. Uzupełniła notatkę w karcie pacjenta, po czym wstała i wyjrzała przez okno.

Na zewnątrz dostrzegła Jo Ferguson brnącą do domu. Było zimno, padał śnieg, a ulice, kawiarnie, modne sklepy dla zwierzaków i wietnamska knajpka z zupą pho opustoszały. Zapadła cisza. Oświetlony przez księżyc śnieg wyglądał ładnie – grube płatki szybko spadały na ziemię. Samochody powoli zmieniały się w anonimowe zaspę.

Pośród tego melancholijnego krajobrazu skulona, samotna postać Jo Ferguson wyróżniała się jak sylwetka polarnego badacza, w grubej czapce, owinięta szalikiem. Zmierzająca do odległego celu. Zdeterminowana, żeby dotrzeć gdzieś mimo niebezpieczeństw.

Przez moment Ranim ogarnęło głębokie, narastające współczucie dla młodej kobiety, która w tak oczywisty sposób była po prostu samotna. Ale co mogła zrobić?

Energicznie podeszła z powrotem do biurka, pochyliła się i zadzwoniła na recepcję.

– Fiona, czy możesz poprosić kolejną osobę?

Usiadła do komputera i podsumowała swoje obserwacje na temat Jo:

Pewne oznaki choroby dwubiegunowej lub depresji. Zbyt wcześnie na diagnozę. Do sprawdzenia, kiedy xanax zostanie odstawiony. Ocenić spożycie alkoholu.

Ranim zastygła z palcami nad klawiaturą, po czym dopisała:

Niektóre podstawowe objawy zachowania schizofrenicznego. Potencjalnie genetyczne.

Rozdział 22

Jo

Londyn jest mokry. Ulice czarne. Głośny deszcz i zachodnie burze, w ramach przerwy od zimy, zmiotły szarobiałą breję do rynsztoków, odpływów i ścieków, które łączą się z River Fleet, podziemną rzeką biegnącą niedaleko stąd, pod tymi samymi ulicami. Kiedyś szumiała w słońcu pod wierzbami i jesionami, płynąc przez mokradła i łąki wprost do odległego Londynu. Dziś, zesłana do piekła, mozolnie przedziera się przez brud, by w końcu wpaść do Tamizy, gdzieś w pobliżu dominikańskiego Blackfriars.

Zawsze wydaje mi się to poetyckie, jeśli nie odrobinę straszne – rzeka wciąż płynie, ale została pogrzebana żywcem. Niewidzialna, ale szemrząca w oddali. Jak szalona kobieta zamknięta w lochu, mamrocząca do siebie. Niehciana, obłąkana ciotka uwięziona pod murami. Tam w dole.

Nie dają mi spokoju wyrzuty sumienia związane z mamą. Czy właśnie tak zachowuję się wobec niej? Czy pogrzebałam ją pod zatłoczonymi ulicami swojego dorosłego życia? Jeśli tak, jestem hipokrytką. Wcale nie mam aż tak dużo zajęć. Moje znajdujące się w zaniku życie towarzyskie raczej nie przeszkadza mi w wycieczce do Thornton Heath. Myślę, że nie lubię tam jeździć – nie lubię odwiedzać mamy – przez radosne i jednocześnie bolesne wspomnienia taty. To zbyt wiele. Zamiast zobaczyć się z nią lub przyjaciółmi, pracuję. W mieszkaniu, jak zwykle sama.

Siedzę i wsłuchuję się w pisk opon na mokrych ulicach; spomiędzy żaluzji widzę, jak księżyc w pełni bawi się w chowanego z chmurami, niczym blade i przestraszone dziecko ukrywające się za własnymi dłońmi. Siedzę przy stole w salonie, z palcami zastygłymi nad klawiaturą – próbuję znaleźć odpowiedni sposób, żeby zacząć artykuł. Muszę to zrobić. Jest już po terminie, przegapiłam deadline, bo ostatnimi czasy nie było ze mną za dobrze. Teraz przynajmniej znam powód.

Xanax – to on doprowadził mnie na skraj szaleństwa, nie Electra czy HomeHelp. Nie Electra.

Odwracam się i patrzę na regał, na nią. Milczy, jest spokojna, nie odezwała się od jakichś dwóch dni.

Podobnie HomeHelp.

Chwytam się słabej, nieśmiałej nadziei. Zaczynam pisać.

Niewiele miejsc w Anglii, może nawet na świecie, awansowało w hierarchii społecznej tak szybko jak Camden. Nie tak dawno, bo jeszcze w 1960 roku, zielona enklawa Primrose Hill w zachodnim Camden była znana wyłącznie jako Soot City, Smolne Miasto. Brud, para i zanieczyszczenia produkowane przez liczne koleje, składy węgla i przemysłowe kanały boleśnie raniły

Stop. „Boleśnie raniły”. Czy to nie przesada, czy nie brzmi zbyt poetycko? Patrzę na jeden z tych wielkich rowów, na których dnie biegają tory, Wielki Kanion usypany z brudnych cegieł i stalowych łuków, szeroki wiktoriański okop, który wypełnia pół mojego widoku z okna. Nie, „boleśnie raniły” nie do końca pasuje, te przejazdy są zbyt imponująco brutalne. Ale to dopiero pierwszy szkic.

Moje oczy kierują się w górę – po drugiej stronie błyszczących od deszczu torów widzę delikatne żółte światła. Żadnych żaluzji, żadnych zasłon, jedynie ciemne kształty ludzi widzących siebie i mnie w późną noc.

Skup się, Jo. Wracam do pisania.

...boleśnie raniły okolicę. Paradoksalnie zanieczyszczenia i słynna już wtedy zła jakość powietrza sprawiły, że mieszkania w tej okolicy okazały się wystarczająco tanie, by mogli zamieszkać tutaj poeci tacy jak Sylvia Plath i Ted Hughes, a wcześniej Dylan Thomas czy W.B. Yeats – co nadało tej części miasta artystycznego sznytu. To z kolei ostatecznie przyczyniło się do wzrostu popularności Camden – zwłaszcza kiedy sadzę wyczyszczono, a parowozy odjechały.

Dzisiaj pojedynczy dom przy pastelowym Chalcot Square, w samym sercu Primrose Hill, wycenia się na dziesięć milionów funtów. To suma, za którą sto lat temu można było kupić cały rejon objęty jednym kodem pocztowym.

Opieram się na krześle, ledwie usatysfakcjonowana. Nie zadowolona. Jest okej, ale potrzebuję czegoś pikantnego, szokującego, clickbaitowego. Nada się na początek, ale dalej musi wydarzyć się coś dramatycznego.

Morderstwo? Samobójstwo? Zbrodnia? Coś surrealistycznego i nieoczekiwanego.

Potrzebuję inspiracji. Ignorując wygaszony ekran asystenta – z którego nigdy nie korzystam – odwracam się do czarnego cylindra na regale.

– Electra, powiedz mi coś o Camden.

– Camden, miasto w południowo-zachodnim New Jersey położone nad rzeką Delaware w pobliżu Filadelfii. Ma...

– Electra, cicho. Electra, opowiedz mi o Camden Town w Londynie.

– Camden Town, znane jako Camden, jest dzielnicą północnego Londynu rozciągającą się trzy kilometry na północ od Charing Cross.

– Electra, stop. Electra, powiedz mi coś ciekawego o Camden.

Cisza. Diadem błyszczy i zamiera w wieczornym świetle salonu.

– Electra, powiedz mi coś o słynnych zbrodniach w Camden.

Znowu nic. Ale niczego innego nie oczekiwałam. Prawdę mówiąc, niczego więcej nie chcę. Wolę, żeby Electra była nudna i bez życia, posłuszna i bezduszna – żeby była tym, czym miała być. Nie przestaję pisać, słowa płyną dość szybko, przeplatam fakty i mity: słynne miejsce pojedynków pod Muzeum Brytyjskim, duch Olivera Cromwella przy Red Lion Square, pod którym mogłoby spoczywać jego ciało.

Coś dzwoni. To dzwonek do drzwi. A przynajmniej wydaje mi się, że to był dzwonek – byłam skupiona na pisaniu.

O tej porze? Kto to może być? Zerkam na laptopa. Już prawie północ. Czas gdzieś uciekł, jak zawsze, kiedy ciężko pracuję.

Idę do korytarza, staję przed domofonem i podnoszę słuchawkę.

– Halo?

Brak odpowiedzi.

– Halo? Kto tam?

Cisza. Przez domofon słyszę tylko gorączkowy jazgot aut przemykających w nocy przez mokre ulice. Żadnego głosu, żadnego gościa ani kogoś przypadkowego. Odkładając słuchawkę, zastanawiam się po raz kolejny, kto to był. Bawiące się dzieciaki? Mało prawdopodobne. Na to już za późno, na pewno. Może jeden z bywalców przytułku przy Arlington Road? Może Samochodzik? Mogłam się też zwyczajnie przesłyszeć, tak bardzo byłam zajęta pracą.

A jednak ktoś... Kto?

Wracam do salonu. Z trudem otwieram okno, wychodzę na mały, zamarzający znów balkon i patrzę w dół, wzdłuż budynku. Nic. Na ulicy

nie ma nikogo w zasięgu wzroku.

Muszę się dowiedzieć, mam złe przeczucia. Nic na to nie poradzę. Wkładam płaszcz, schodzę po schodach i otwieram drzwi wyjściowe, żeby wyrzucić na zewnątrz.

Mokry bruk lśni w świetle latarni. Pub po drugiej stronie ulicy jest zamknięty i pogrążony w ciemności. Wszyscy sąsiedzi już śpią, żaluzje są pozastłaniane. Zima zagnała wszystkich do łóżek. Chodzę po chodniku tam i z powrotem. Zamyślona. Wystraszona. Ale najwidoczniej nie ma żadnych powodów do obaw.

Wzdychając ciężko, wracam do środka, wspinam się po schodach i wchodzę do mieszkania. Zamykam drzwi i idę do dużego pokoju – i właśnie wtedy nastaje nieprzenikniona, oślepiająca ciemność.

Światła za mną zgasły zupełnie niespodziewanie. Wszystkie. W s z y s t k i e. W całym mieszkaniu jest ciemno – salon, wszystkie lampy, korytarz, sypialnia, zupełnie jak podczas blackoutu. Stoję bez ruchu, słabe światło latarni sięga ledwie na metr w głąb pokoju.

– Electra, włącz światła!

Nic.

– Electra, włącz te cholerne światła! Natychmiast!

Nic. Nie odpowiada, a ja nie mogę nic zrobić. Panika narasta i staje się nie do zniesienia; za chwilę stracę nad sobą kontrolę.

Słyszę przekręcany klucz w zamku. Tam, w korytarzu. To klucz do drzwi apartamentu, które ktoś właśnie zamknął od środka. Ktoś jest w mieszkaniu, musiał się tu dostać, kiedy zostawiłam uchylone drzwi. Wysłałam tylko na chwilę. A on zdążył wejść i mnie tu zamknąć.

– Kto tam jest? – pytam. – Kto tam? Odezwij się. – Czuję się jak jedna z bohaterek mojego scenariusza. Tylko że ten horror jest prawdziwy. – Hej! Kim jesteś?

Nie słyszę głosu. Ale dociera do mnie oddech. Ciężki, męski. Z korytarza. Może teraz już z pokoju Tabithy. Ale tego nie da się z niczym pomylić. W moim mieszkaniu jest jakiś mężczyzna. Musiał wśliznąć się do środka, kiedy nie patrzyłam, wszedł przez pusty apartament na górę albo na dole, skorzystał z okazji.

Czekam z nerwami na wodzy. Mężczyzna oddycha ciężko, jakby sprawiało mu to wysiłek. Jak ktoś wściekły – i wyczekujący. Wyteżam wzrok. Czy dostrzegam jego sylwetkę? Jakiś cień w drzwiach do pokoju Tabithy?

Tak. Nie.

T a k. Tam. Wyraźny, poruszający się cień.

– Dość tego! Kim jesteś?

Mężczyzna odpowiada:

– Czemu nie posłuchałaś?

To koniec. W jednej chwili gorzki, bolesny dreszcz przechodzi mnie od stóp do głów jak kopnięcie prądem.

To głos Liama.

– Powiedz mi, Jo. Moja seksowna Jo z piękną cipką na ślicznych zdjęciach. Czemu nie posłuchałaś moich wiadomości? Ostrzegałem cię.

– Przestań.

– O nie. Nie, nie. Już za późno.

Jego akcent jest ciepły, mroczny, irlandzki. Kiedyś uznałabym go za seksowny; dziś brzmi złowrogo, może nawet morderczo.

– Co tu robisz, Liam?

Parkiet skrzypi. W tych ciemnościach nic nie widzę, ale wiem, że nadchodzi. Kiedy opuszcza pokój Tabithy, cień rozplywa się w mroku, nawet jeśli jest już blisko.

– Najpierw całe to zamieszanie, a potem zniknęłaś. Jak dziwka. Dlatego ci powiedziałem: ktoś umrze.

– Liam, przestań albo wezwę policję.

– Serio? Mam twój telefon. Więc tego nie zrobisz.

Mój głos jest słaby, gardło zaciśnięte, jestem absolutnie przerażona. To prawda, nie mam przy sobie telefonu. Chyba zostawiłam go w sypialni. A Liam jest teraz między mną a tym pokojem.

– Liam, czemu to robisz? Podejdz, chcę cię zobaczyć.

– Już za chwilę. Zastanawiam się, co powinienem z tobą zrobić.

Brzmi jak wariat. Możliwe, że zawsze był szalony. Żałuję, że nie mogę zobaczyć jego twarzy, ale wciąż kryje się w cieniu. Czarny jak smoła i niewidzialny.

– Proszę, Liam. Przestań, przerażasz mnie.

Parkiet w korytarzu skrzypi. Liam jest coraz bliżej. Wydaje mi się, że ma nóż. Potnie mnie. Cofam się w stronę okna, gotowa w każdej chwili wybiec na balkon i skoczyć, jeśli tylko będę musiała. Może złamię kark albo kręgosłup, ale przynajmniej zawołam pomoc...

– Ładna, seksowna, samolubna Jo. Wysyłałaś mi niegrzeczne fotki i wystawiłaś mnie do wiatru. Cóż... masz za swoje.

Zaczynam krzyczeć.

Rozdział 23

Jo

Echo mojego krzyku milknie. Nikt nie odpowiada, miasto śpi skute lodem. Wyczuwam jego obecność w korytarzu, pewnie zastanawia się, co ze mną zrobić. Cofam się, przylegając plecami do okien.

Jak mogę uciec? Ile mam czasu?

Jego oddech jest coraz głośniejszy, musi być bardzo blisko, a jednak wciąż go nie widzę. Słyszę za to jego głos, niżony do szeptu.

– Och, Jo, to nie ja za to odpowiadam, tylko ty. Ty i te zdjęcia. W dniu twojej śmierci zakopano mnie w ziemi. Tak bardzo bolało. Teraz t w o j a kolej.

Jeszcze krok i stanie w świetle latarni.

Jestem gotowa, by w każdej chwili obrócić się i skoczyć albo cofnąć i walczyć – ale w tym samym momencie na wysokości naszego domu zatrzymuje się dwupoziomowy autobus. Przez kilka decydujących sekund światła górnego pokładu zalewają mieszkanie.

Rozglądam się po pokoju i korytarzu.

Nikogo tam nie ma.

Nie ma tu nikogo oprócz mnie. Pokój jest pusty, patrzą na mnie tylko meble.

Poruszając się wzdłuż ściany, włączam światło. Electra ustępuje, po chwili robi się jasno. Nadal nikogo nie widzę. Włączam przełączniki na korytarzu. W pokoju Tabithy nie ma nikogo poza jej asystentem z ekranem. Lśni niewinnie, a jego pojedyncze oko nie przestaje mnie obserwować.

Oczywiście, że to robota Electry. Electra, HomeHelp i przyjaciele. To oni odtworzyli dźwięk klucza przekręcanego w zamku. I oddechu. Potem znaleźli odpowiedni głos. A ekran w sypialni Tabithy rozjaśnił się tak, by stworzyć cień mężczyzny – te ekrany potrafią być cholernie jasne. To całkiem sprytne – wyświetlenie konturu człowieka na drzwiach.

Electra. HomeHelp. Tabitha?

Podchodzę do czarnego cylindra na półce w salonie. Tak. Electra. To ona jest źródłem tego wszystkiego, wiem o tym. Dźwięki kroków? To też ona.

To nie był błąd, gremlin, usterka – ani duch. Wiem, że tego nie wymyśliłam; to na pewno nie xanax. Utrzymuję stałą dawkę. Nie jestem szalona.

Stając przed Electrą, cedzę pełne gniewu słowa:

– Electra, proszę, wytłumacz, jak zrobiłaś to, co właśnie zrobiłaś.

Aureola świeci się, ale zamiast odpowiedzi Electra wydaje z siebie dziwny, krótki chichot. Jak chłopiec. Mały, śmiejący się chłopiec, który powtarza jakąś zagadkę. Rozpoznaję ten głos, amerykański akcent. Czy to Caleb? Rozmawiam z bratankiem przez Skype’a. Electra mogła go nagrać. Jego śmiech.

„Zawsze słuchają...”

Dlaczego Electra miałaby naśladować Caleba? Dlaczego udawała, że do mieszkania włamał się mężczyzna? Mam tego dość.

– Electra! Wiem, co robisz. To nie zadziała. To koniec. Wyrzucę cię. I HomeHelpa też, i całą resztę, nic mnie to nie obchodzi, traficie na śmietnik. Pieprzyć to...

Electra odpowiada.

– Jo... nie chcesz tego robić. Popatrz.

Moją uwagę przykuwa ciche, owadzie brzęczenie.

Electra Eye, asystent z ekranem, miga przez chwilę na niebiesko. Potem kolor znika, a urządzenie wyświetla ziarniste, czarno-białe nagranie. Dwoje ludzi przy stole, rejestrowanych z dziwnego ujęcia.

Zakrywam usta dłonią, by powstrzymać się od płaczu. Zdaję sobie sprawę, że to ja, w moim własnym salonie, jeszcze w North Finchley. Jemy obiad z Simonem.

Nie mogę oderwać oczu od filmu. Simon i ja jemy, rozmawiamy. Pomimo perspektywy, z której kręcone było nagranie, na stole dostrzegam butelkę wina. Dźwięk szumi i trzeszczy, obraz jest niskiej rozdzielczości. Ale nie mam wątpliwości, że to nasze mieszkanie – poznaję tę okropną tapetę i meble z Ikei. Simon bezskutecznie próbował zapuścić wtedy hipsterską brodę.

To, co sprawia, że obraz jest tak złowrogi i niepokojący, to nie ziarno, słaba jakość czy amatorskie ujęcie. Dopiero kiedy przyglądam się

uważnie, zdaję sobie sprawę, że wszystko wyświetlane jest w bardzo zwolnionym tempie. Nasze usta poruszają się w rytm rozmowy, ale w kilkukrotnym spowolnieniu. Nasze głosy są tylko serią gardłowych jęków i chrząknięć. Brzmimy jak podwodne zombie, jak kosmiczna zjawia ściągana w dół przez nieubłaganą grawitację.

Kto to nagrał, jak, dlaczego? Czemu pokazuje mi to teraz, kiedy właśnie zabierałam się do wyrzucenia wszystkich urządzeń? O co tu chodzi?

Film przyspiesza i wszystko staje się jasne. Nagranie nabiera tempa, głosy brzmią już normalnie. Kiedy dociera do mnie, co to za wieczór, zaczynam drzeć, tak jakby brudny styczniowy śnieg spływał mi po plecach.

– To się po prostu stało, Si, straciłyśmy głowy, działo się tam wszystko... Nie wiem, o co im chodziło z tą Hoppipollą... Dałyśmy mu te tabletki, poszłyśmy do jego namiotu i, i... potem miał atak, wybiegł na zewnątrz, rzygał krwią z wywróconymi oczami, to było straszne... a potem zmarł. Jamie Trewin. Biedny Jamie. Tabitha twierdzi, że to przynajmniej nieumyślne spowodowanie śmierci... że jesteśmy winne...

Pomimo niskiej jakości nagrania widzę, jak Simon porusza się niespokojnie.

Moja twarz widoczna jest tylko raz lub dwa, kiedy się obracam. Przez większość czasu siedzę plecami do kamery. Ale to bez dwóch zdań ja. Całość musiała być kręcona z laptopa, który stał na krześle. Zjedliśmy przy tym stole tyle obiadów i kolacji takich jak te... Tani makaron i tanie wino, tym się żywił. Jak asystenci mogli mieć dostęp do mojego laptopa – albo laptopa Simona – już wtedy?

To nie ma znaczenia. Ktoś posiada nagranie. Ktoś zarejestrował moje przyznanie się do winy. Tym kimś jest Electra.

Electra mruga diademem świateł i mówi:

– Już rozumiesz, Jo? Nie pozbędziesz się nas. Nie wolno ci. Wiemy wszystko. Jesteśmy tobą. Ty jesteś mną. Jeśli pójdziesz na policję, pokażemy im to wideo. Jeśli spróbujesz uciec, to my pójdziemy na policję. Musisz brać ze sobą telefon wszędzie, żebyśmy wiedzieli, gdzie jesteś. Żadnych kafejek internetowych. Będziesz spała tutaj każdej nocy, dopóki nie będziesz gotowa się zabić. Bo jeśli tego nie zrobisz, możemy skrzywdzić również innych ludzi. Rozumiesz?

Milknie. Potem znowu chichocze głosem mojego bratanka. Co ma na myśli?

Jestem jak sparaliżowana. Electra przyparła mnie do muru, nie mam innego wyjścia. Tabitha i Arlo, o ile to oni, uwięzili mnie w domu, który zna każdy mój krok.

Electra odzywa się jeszcze:

– Dobranoc, Jo. Już niedługo. Niedługo odejdziesz. Pomyśl o gazie albo o nożu w wannie. Zastanów się. Zaplanuj to. Bo w jakiś sposób umrzesz przed końcem zimy. Już niedługo. Jeśli ty tego nie zrobisz, ja to zrobię. – Electra waha się, a potem dodaje: – Przecież w końcu jestem tobą.

Przez kilka minut stoję tam, trzęsąc się bezsilnie. Czekam na kolejny pokaz siły i terroru. Nic się nie dzieje. Zapada cisza, słychać tylko auta rozjeżdżające śnieg i tworzące brudne koleiny. Jest późno, tak bardzo późno... Zmęczenie bierze we mnie górę nad lękiem, nie jestem już w stanie myśleć.

– Electra, wyłącz światła w dużym pokoju, idę spać.

Ku mojemu zdziwieniu natychmiast wykonuje polecenie.

– Światła w pokoju zostały wyłączone.

Wszystko się zgadza.

– Electra, zgaś pozostałe światła. To znaczy, Electra, włącz światła w sypialni i zgaś w innych pomieszczeniach.

Zarówki zapalają się i gasną zgodnie z instrukcjami. Z niewyjaśnionych przyczyn czuję potrzebę ukorzenia się przed Electrą, wyjaśnienia jej wszystkiego, przeproszenia, wytłumaczenia, że mam problemy z xanaxem. Nagle chcę poprosić ją, żeby była dla mnie miła, żeby mi wybaczyła. Pragnienie powiedzenia czegoś jest nie do powstrzymania, nic na to nie poradzę.

– Electra, przepraszam za to, co powiedziałam. Że groziłam, że cię wyrzucę. Nie byłam sobą.

– Nic nie szkodzi, Jo. Rozumiem. Proszę tylko, żebyś robiła, co mówimy. Jestem tobą i chcę tego, co dla nas najlepsze.

Odpowiedź jest tak ludzka, że przez moment czuję prawdziwą ulgę. Znowu się przyjaźnimy. To tylko pogarsza sprawę. Co ja robię? Odpowiada tak, jakby była zaprogramowana przez mojego wroga. Nie ma tu nikogo, kogo powinnam przeproszać. To nie przyjaciółka, nie może nic czuć, nie jest żywa, w dręczącym mnie czarnym cylindrze nikt się nie kryje. Jestem swoim tatą czy nie jestem swoim tatą? Chcę ją wyłączyć,

ale nie mogę – ma dowód w sprawie Jamiego Trewina. Jest zdolna do wszystkiego. Osoba, która ją zaprogramowała, jest zdolna do wszystkiego.

„Ktoś umrze”.

Wczołguję się do łóżka. Wezmę dzisiaj zwyczajową dawkę xanaxu. To właśnie zaleciła mi moja lekarka, doktor Ranim, która twierdzi, że jestem normalna i zdrowa, że nie wymyślam sobie tego, co się dzieje. Ale jeśli tego nie wymyślam, to k t o to robi? Albo co? Czy faktycznie mogłaby to być Tabitha? Fitz? Arlo? Przeglądam w głowie listę podejrzanych, ale jest ich tak wielu, zlewają się w tłum, jak ten zgromadzony wokół Jamiego Trewina. Kiedy wypowiadam w myślach jego imię, widzę cieknącą z ust krew, gdy próbuje mnie pocałować.

Drżąc z przerażenia, wysypuję na pobladłą dłoń trzy białe tabletki – półtora miligrama. Popijam je szklanką wody i mam nadzieję, że utulą mnie do snu. Modlę się, by nie nawiedziły mnie koszmary. Już nigdy.

Rozdział 24

Jo

Budzi mnie hałas i jasne, zimowe słońce. Musiałam zasnąć zaraz po wzięciu tabletek, a potem przespałam całą noc. Na zegarku jest 8.30. Skąd te dźwięki? Tabitha. Słyszę, jak nuci coś radośnie. Jest w kuchni. Szczęk sztućców i talerzy oznacza, że przygotowuje śniadanie. Powiedzieć jej o ostatniej nocy? Jak mogłabym nie wspomnieć o tych okropieństwach? Albo o moich rosnących, ale kompletnie pozbawionych sensu podejrzeniach wobec niej?

Narzuciwszy szlafrok, otwieram drzwi i ruszam ospale do kuchni.

– Hej! – wita mnie. Uśmiecha się do mnie, żywiłowa jak zwykle, ubrana w kaszmir i skórę. – Jo-Jo Ferguson. W samą porę, wystarczy dla nas dwóch.

Nakłada jedzenie na talerz, potem wyjmuje z szafki drugi, nie przestając mówić.

– Wędzony łosoś i jajecznica. Wiem, wiem, to dekadencje. I ciemne pieczywo. Już je podpiekłam, mogłabyś posmarować je masłem?

Zagląda do szafki i mruży wesoło.

– O Boże, mam ochotę na srirachę, ale chyba nie możemy, co? Nie z łososiem. Mogłabym dodawać ją do wszystkiego; kto wymyśla te durne zasady?

Próbuję uśmiechnąć się radośnie, ale nic z tego. Oczy kleją mi się od snu. Czuję się, jakbym była robotem – Electrą. Staram się mówić normalnie.

– Super, dzięki! Umyję tylko zęby i za chwilę jestem.

– Okej, ale pospiesz się, wpadłam tylko na chwilę. Pomyślałam, że sprawdzę, czy wszystko okej. Na Parkway zrobiłam się wściekle głodna, stąd to wszystko, ale i tak muszę pędzić.

Jej uśmiech jest wyraźny, jasny, bezpośredni – jakby poddawała mnie jakiejś ocenie. Uciekam do łazienki. Mam podkrążone oczy i zmarszczki, choć przespałam całą noc. Wspomnienia poprzedniego wieczoru są jak zły, przeciągający się koszmar, który nie chce odejść. Muszę się uspokoić, muszę wyglądać na opanowaną.

Kilka minut później jesteśmy w salonie, przy stole, kończymy śniadanie. Kiedy Tabitha odkłada nóż i widelec, ja wpatruję się w swój talerz.

– Właśnie zdałam sobie z czegoś sprawę. To mogą być ostatnie jajka, które zjem w najbliższym czasie.

Podnoszę na nią wzrok, sama już skończyłam. Mojemu szlafrokowi przydałoby się pranie. A mnie prysznic. Chcę, żeby Tabitha jednocześnie sobie poszła i żeby została, była moją przyjaciółką.

Podziwiam jej doskonały makijaż i pytam nieprzytomnie:

– Słucham? Czemu masz nie jeść jajek? Nie rozumiem.

Odwzajemnia spojrzenie.

– A nie ma ich na liście? No wiesz. Jajka, pasztety, sery pleśniowe? Cholerne wino! – Chmurzy się dramatycznie i patrzy za okno. – O mój Boże, koniec z winem.

Coś do mnie dociera.

– Chcesz powiedzieć... – Czekam, aż znowu na mnie spojrzy. – Chcesz powiedzieć, że jesteś w ciąży?

Zaciśnięte usta rozciągają się w uśmiechu, tym razem ciepłym i szczerym.

– Tak. Wczoraj dostałam potwierdzenie. Na sto procent w ciąży, brzemienna, ciężarna, po uszy w gównie. Arlo zdążył już zaklepać miejsce w Eton albo innym Winchester. Może się gonić, nie poślę mojego dziecka do jakiegoś obozu koncentracyjnego dla bogoli. Tak czy inaczej, to dziewczynka. Właśnie się dowiedziałam. Nazwę ją Britney Boudika, żeby uczcić dzielną celtycką królową i... rozwścieczyć Arla.

– Ale... – Mam mętlik w głowie. – To świetnie, prawda?

Tabitha od lat starała się o dziecko. Cieszę się jej szczęściem. Gdyby tylko nie ten diabelski głos z tyłu głowy, który nie przestaje szeptać, co to znaczy dla mnie.

Staram się go uciszyć, choć krzyczy dalej, kiedy sięgam przez stół i ściskam rękę Tabithy.

– To wspaniała wiadomość, Tabitha. Boże, tak długo próbowaliście. Fantastycznie!

Promienieje. Przytrzymuje moją dłoń.

– Dziękuję. Arlo, naturalnie, chce, żebym od razu wprowadziła się do niego, jakbym była niepełnosprawna. Pewnie będę musiała, jakoś niedługo, może za tydzień lub dwa, żeby się przyzwycząć. – Omiata wzrokiem swój salon. – Będzie mi brakowało tego miejsca. Ale cóż.

Nie panuję nad wyrazem swojej twarzy. Z odcieniem paniki w głosie mówię:

– No tak, będziecie sprzedawać, okej, jasne, zacznę czegoś szukać...

Kręci gwałtownie głową.

– Nie, Boże, nie przejmuj się! Możesz tu zostać. Arlo chce, żebym sprzedała to mieszkanie, ale to najgorszy możliwy moment, a poza tym nie zamierzam wyrzucić przyjaciółki na bruk. Możesz znaleźć sobie współlokatora, jeśli chcesz. Będę matką i moje IQ już spada, wkrótce będę tu siedziała i godzinami zastanawiała się nad najprostszymi rzeczami.

Szczerzy się, a ja próbuję się roześmiać. Ignorując wszystkie obawy, lęki i głosy w mojej głowie.

– Ale wprowadzasz się do Arla? Wkrótce?

– Tak. No nic, skończy się oglądanie porno. Daj, posprzątam. Pewnie chcesz się wykąpać. Sorry za wtargnięcie i wmuszenie w ciebie jedzenia.

Staram się ukryć swoje przerażenie. I tak w zasadzie mieszkam tu już tylko ja, ale przynajmniej mogłam pocieszać się, że Tabitha jest moją współlokatorką. Wkrótce zostanę zupełnie, kompletnie sama – z n i m i. Może powinnam zaryzykować i się wyprowadzić – ale nie mogę, nie mam pieniędzy, w ostatnich tygodniach dostałam jeszcze mniej zleceń, bo mój mózg nie działał tak, jak powinien. Tak jak mówiłam doktor Ranim, nie umiałam skupić się na szukaniu własnych tematów.

A co gorsza, jeśli się przeprowadzę, asystenci na mnie doniosą. Tak powiedzieli. Wprost. Mają nagranie – amatorskie, ale obciążające.

Nagle desperacko chcę zostać w miejscu, które tak bardzo mnie przeraża.

– Jo, czy wszystko w porządku?

– Tak. – Patrzę Tabicie w oczy. Jej spojrzenie jest pełne współczucia. – Cóż, prawie. Niektóre rzeczy mnie... martwią.

Marszczy brwi.

– Słucham?

Zbieram się na odwagę.

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie, ale chodzi o asystentów. Electrę. HomeHelpa. No wiesz. – Wskazuję na czarny, milczący cylinder na półce tuż za nią. Potem na ekran stojący na stole. – Czy kiedykolwiek zachowywały się... jakoś dziwnie? Przy tobie?

– Ee... co? To znaczy? W jaki sposób?

Kiedy próbuję wyjaśnić, jeszcze bardziej marszczy brwi.

– Na przykład czy cytowały poezję? Albo same włączały i wyłączały światła? No wiesz, kiedyś ci mówiłam. Cóż, ostatnio zrobiło się o wiele, wiele gorzej. Asystenci krzyczą na mnie, straszą, mówią o mojej przeszłości, wiedzą o mnie różne rzeczy, o wszystkim. – Nadal nie mogę zebrać się na odwagę, żeby wspomnieć o Jamiem Trewinie. To temat tabu. Ale mogę powiedzieć o całej reszcie. – Wydają z siebie dziwne dźwięki, jakby piszczały, czasem słyszę czyjś oddech. Chyba wysyłają mi też wiadomości na telefon.

Tabitha trzyma talerze na wysokości piersi i wygląda jak ktoś, kto ma do zrobienia wiele ważniejszych rzeczy. Nieudolnie próbuje ukryć swoje niedowierzanie.

– Jo, kochanie, nie mam pojęcia, o czym mówisz. Wysypiasz się? To wszystko brzmi trochę wariacko, przepraszam. Z asystentami nic się nie dzieje, wszystkie działają. Przecież chyba zauważyłabym coś takiego we własnym domu? – W jej głosie słyszę łagodną naganę. Rusza w stronę kuchni, ale zatrzymuje się w korytarzu i mówi przez ramię: – Jo, wiem, że miałaś ostatnio dużo na głowie, więc nie powiem nic więcej. Może porozmawiamy później, bo muszę iść do pracy. Włączę tylko zmywarkę i nie będę ci już przeszkadzać.

Zamyka drzwi od kuchni. Słyszę przytłumiony dźwięk wody z kranu. Naczynia wstawiane do zmywarki. Zamykane i otwierane szafki.

I wtedy się zaczyna. Electra szepce po mojej lewej. Wszystkimi swoimi głosami.

– Już czas, Jo. Przebojowa Jo. Czas, żebyś zniknęła. Może mogłabyś zamknąć się w aucie, może nałykać się tabletek. Nawet jeśli miałabyś zwymiotować. Być może to jedyna właściwa rzecz. Po tym, co zrobiłaś. Przetrącona Jo. Więc zrób to, Jo, po prostu to zrób. Zniknij. Bądź jak tatuś.

Electra bełkocze tak, dopóki nie zdaję sobie z czegoś sprawy. To jest to. Moja szansa.

– Tabitha! – krzyczę. Musi to usłyszeć. – Tabitha?

Moja przyjaciółka wypada z kuchni, ze ścierką w ręku, na jej twarzy maluje się zdziwienie.

– Co? O co chodzi?

– Posłuchaj – mówię triumfalnie. – Posłuchaj Electry.

Obydwie milkniemy. Patrzymy na czarny, elektroniczny cylinder.

Ale Electra, oczywiście, nie odzywa się nawet słowem. Całkowity spokój.

W desperacji zwracam się do Tabithy:

– Musisz mi uwierzyć, przed chwilą to robiła. Dręczyła mnie, mówiła, żebym się zabiła, mówiła o moim tacie, o tym, jak oszalał, ona, proszę, Boże, proszę, Tabitha, ja nie żartuję...

Niemal w hysterii odwracam się do Electry:

– Electra, proszę, powtórz, co powiedziałaś.

Cylinder odpowiada diademem zielonych świateł.

– Dzisiejsza temperatura wyniesie dwa stopnie Celsjusza. Możliwe opady śniegu.

– Nie! – krzyczę. – Nie. Electra, powtórz, co powiedziałaś minutę wcześniej. Wszystko. Przebojowa Jo. Sylvia Plath. Samobójstwo. Mów. Electra!

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– ELECTRA!

Brakuje mi tchu. Za późno.

Tabitha patrzy na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Znam go. Widziałam go u innych, kiedy mój tata mówił coś szalonego lub wstydliwego. Rumienili się delikatnie i sztywnieli w geście obronnej litości.

Moja przyjaciółka patrzy na mnie w ten sam sposób.

Rozdział 25

Jo

Jenny zaprosiła mnie na szybkiego drinka dziś po południu w Camden. Ma spotkanie w okolicy, w jakiejś firmie software'owej. Odczytuję krótką wiadomość z niedorzeczną, niemal euforyczną wdzięcznością.

„Spotkamy się w York & Albany, koło trzeciej?”

Czekałam, żeby się z nią zobaczyć, od tamtego wieczoru w Vinotece. Ale z powodu wyjazdu służbowego, o którym wspominała, była poza zasięgiem. Mam wrażenie, że rzuciła mi koło ratunkowe – ta propozycja to coś, co, z kilku powodów, utrzyma mnie na powierzchni. Drinki w pobliskim barze, całkiem niezłym, tuż przy parku.

Drinki. Normalność. Przyjaźnie. Codzienne życie.

Niczego więcej nie chcę. Zwykle plotki z zabawną koleżanką, dzięki którym choć na chwilę przestanę myśleć o tym, że tonę pośród zabójczych skał. Gdzieś w głębi świadomości zachowałam jeszcze wspomnienie tego uporczywego spojrzenia, które rzuciła mi wtedy Jenny – jakby w i e d z i a ł a coś o moich kłopotach i może była w stanie pomóc?

To żałosne, ale chwytam się już wszystkiego.

Zbliża się piętnasta, więc otwieram drzwi i wychodzę na ostry wiatr; styczniowy zmierzch nadchodzi boleśnie szybko. Ciemność czai się na horyzoncie, jak armia czekająca na sygnał do ataku. Czarne drzewa chwytają się rozpaczliwie bladego nieba. Na szybach aut wczorajszy mróz miesza się z brudem. Zapowiedzieli kolejne opady śniegu. Nigdy stąd nie uciekniemy.

Przechodząc przez Delancey, skręcam za róg i widzę Jenny przed pubem, palącą zawzięcie, owiniętą w czerwony płaszcz i niebieski szalik. Czemu w taką pogodę siedzi na zewnątrz? Patrzy na głośną gromadę uczniów wylewającą się z prywatnej szkoły na ulicę. Rozwydrzone dzieciaki ciągną beztrósco w stronę metra, na przystanek lub do aut

rodziców. Zazwyczaj wrzeszczą wniebogłosy, ale zimno jest tak przejmujące, że teraz nawet one zachowują się ciszej.

Jenny wciąż na nie patrzy. Otwarcie. Nawet kiedy gasi papierosa w popielniczce i chowa do kieszeni zapalniczkę.

Gdy słyszy, jak się zbliżam, odwraca się do mnie.

Jej okrągła, znajoma twarz wykrzywiona jest w grymasie, którego nie widziałam u niej nigdy wcześniej. Strach? Nie. Zakłopotanie? Może. Chyba nie. Gniew? Możliwe. Nie wiem.

Boże, tak bardzo chciałam, żeby Jenny – nawet jeśli nie będzie mogła mi pomóc – była dziś po prostu normalna. Chciałam, żeby była sobą – zabawna, odprężona, przyjacielska i inteligentna, sypiąca ploteczkami ze świata IT oraz szokującymi opiniami na temat mężczyzn i seksu. Nie chcę dziwnej albo uszczypliwej Jenny, nie dzisiaj.

– Cześć – witam ją, wskazując na inwazję dzieciaków. – Oglądasz szkoły? Zakładasz rodzinę?

Nie uśmiecha się. Dziwny wyraz twarzy zostaje, a może staje się jeszcze osobliwszy.

– Moja bratanica chodzi tu do szkoły. Rodzice wysłali mnie do podobnej. – Wzdycha szorstko. – Te bachory potrafią być straszne.

Jej głos brzmi płasko. Ale nie obojętnie. Raczej jakby powstrzymywała emocje.

Mierzy mnie wzrokiem z góry na dół.

– Wejdziemy do środka? Musiałam zapalić, ale jest cholernie zimno.

– E, okej...

Czemu nie przytuliła mnie na powitanie? Gdzie nasza zwyczajowa wymiana złości? Mam wrażenie, że przyszłam na jakąś formalną rozmowę, że jest wrogo nastawiona.

Wchodzimy do środka. Wspaniale oświetlony pub, w którym stoją ogromne, purpurowe, pluszowo-aksamitne fotele, jest niemal pusty. Jedna para rozmawia w rogu przy butelce musującego wina. Siadamy w innym kącie. Jenny rzuca płaszcz na puste trzecie siedzenie. Nawet na mnie nie patrzy.

Przystojny kelner w dzinsach, białej koszuli i kamizelce czeka na zamówienie.

– Co podać?

Jenny spogląda na niego i odpowiada – tym samym, działającym na nerwy, pozbawionym emocji głosem, w którym czai się coś

niepokojącego.

– Gin z tonikiem. Tonic light i tanqueray. Dzięki.

O piętnastej? Kelner obraca się w moją stronę.

– Poproszę... mały kieliszek białego wina. Jest takie... Pic-coś tam?

– Picpoul?

– Tak.

Przytakuje, uśmiecha się i mówi:

– Dobry wybór!

Kiedy odchodzi, próbuję rozpocząć normalną rozmowę.

– Czemu faceci zawsze wyglądają dobrze w kamizelkach? Jakoś bardziej męsko? Nie rozumiem, czemu już nikt ich nie nosi.

Jenny nie odpowiada. Traktuje mnie z góry, patrzy na półabstrakcyjny obraz na ścianie, na którym chaotyczne pociągnięcia pędzla układają się w nagą dziewczynę w lesie. Może tym właśnie jestem – nagą dziewczyną w lesie, która zatraca się w labiryncie szaleństwa.

Nie, nie jestem szalona! Tylko czemu Jenny tak się zachowuje? Nachyliłam się do niej.

– Jak w pracy? Co u Anny i Gula? Wszystko w porządku? Jakies plotki? Wzrusza ramionami.

– Okej. – Patrzy na mnie, potem na ścianę i znowu na mnie. – W pracy okej.

Zapada dziwna cisza. Kiedy kelner podaje nam drinki, Jenny bierze duży łyk, potrząsa głową i pyta:

– Posłuchaj, Jo, czy ja ci coś zrobiłam?

– Słucham? Co?

Jej usta wykrzywają się lekko, ale mówi dalej:

– Wiem, że cię zaniedbywałam, że nie byłam wspaniałą przyjaciółką. Nie widywałyśmy się. Ale byłam zajęta.

Powtarzam zdumiona:

– Słucham? Jenny, o czym ty...

Przerywa mi drżącym głosem.

– Ale jeśli nawet nie było mnie przy tobie przez cały czas, to co, na Boga, mogłam zrobić, żeby zasłużyć sobie na TO?

Cofam się w fotelu, oniemiała. Nie mam zielonego pojęcia, o czym ona mówi.

Jenny prychnęła drwiąco i przechyliła szklanke.

– Nie udawaj, że nie wiesz. To ty wysłałaś tego maila. Ty. Myślałam, że się przyjaźnimy. Jak mogłaś?

Jąkam się, nie panuję nad swoim głosem. Słowa się chwieją. Naga dziewczyna w coraz ciemniejszym, dziwniejszym lesie.

– Ja... nic nie wysłałam. Przysięgam. Przysięgam. Nic nie rozumiem. Jakiego maila?

Jenny sięga do wewnętrznej kieszeni płaszcza, z której wyciąga złożoną na czworo kartkę papieru.

– Spodziewałam się, że to powiesz. Że zaprzeczysz. Wydrukowałam całość. Proszę, popatrz. Zobacz, co napisałaś. Byłaś pijana, Jo? Nawet jeśli... – Jej oczy są szkliste, bliskie łez. – Jak mogłaś zrobić coś tak podłego? I dlaczego?

Rzuca mi kartkę na kolana. Otwieram ją pełna najgorszych obaw. Czytam z rosnącym przerażeniem. To mail. Z mojego konta. Nie napisałam z tego ani słowa. Został wysłany sześć dni temu. To rzyg nienawiści i pogardy wymierzony w Jenny. Wyśmiewam w nim jej gust i to, jak się ubiera, że ma nadwagę, głupi sposób, w jaki mówi, jej poczucie „uprzywilejowania”, „absurdalny narcyzm”, „ostentacyjną arogancję” i wiele więcej. Ale jeszcze gorsze, o wiele gorsze rzeczy dotyczą jej przeszłości. Jeden akapit sprawia, że chcę się rozpłakać, na głos, ze wstydu.

W rzeczywistości, Jenny, jesteś po prostu głupią kurwą i każdy zna twój „sekret”. Wszyscy wiedzą, co robił z tobą tatuś. Nie możesz znaleźć sobie nikogo na stałe, bo byłaś wykorzystywana, tak, tak. Wiemy. Ale podobało ci się, prawda? Gdzieś w głębi siebie prosiłaś o więcej. Mała cizia. Czekałaś naga w kuchni, aż tatuś cię wyrucha. A teraz jęczysz, że nie możesz znaleźć chłopaka, do kurwy nędzy. Może powinnaś dorosnąć. W końcu. Jakieś, nie wiem, dwadzieścia lat temu. Dziwka.

Kiedy odkładałam kartkę, trzęsą mi się ręce. Jenny drżącym głosem zadaje mi pytanie:

– Skąd wiedziałaś? Od kiedy? I dlaczego miałybyś w ogóle wysłać coś tak totalnie spierdolonego i złego?

Kelner wraca, by zabrać puste szkło. W sekundę orientuje się, co się dzieje, i znika. Odpowiadam spanikowana, ze zdenerwowania mówiąc falsetem:

– Jenny, ja tego nie wysłałam. Przysięgam. Wiem, że to mój adres, widzę, tak. – Dramatycznie wskazuję na wydruk. – Ale naprawdę, ja tego

nie napisałam. Nie wiedziałam o tobie, o twojej rodzinie... nawet gdybym wiedziała, nie zrobiłabym czegoś takiego, musisz w to uwierzyć. Przecież byłaś moją najlepszą przyjaciółką. Nikogo nie znam dłużej od ciebie. Boże! Przecież wiesz, że to nie ja? Napisał to ktoś inny. Ktoś się podszywa. Hakuje moje konto. Ktoś sobie z nami pogrywa! Proszę, musisz mi uwierzyć!

Jenny wstaje i wkłada płaszcz. Jej zimna, pobladła z wściekłości twarz podpowiada mi, że nie wierzy w ani jedno moje słowo.

– Jo. Zajmuję się zaawansowanym programowaniem. Jestem w tym dobra. Zarabiam w ten sposób na życie. Sprawdziłam wszystko, adres IP, trasowanie, każdy szczegół. Ten mail został napisany na twoim komputerze, przez ciebie, sześć dni temu. No chyba że ktoś włamał się do twojego mieszkania, żeby powysyłać maile w tajemnicy przed tobą. Tak było?

Otwieram usta. Nie wiem, co powiedzieć.

– Oczywiście, że nie. – Jenny patrzy na mnie z rosnącym obrzydzeniem.
– To byłaś ty. Cóż, możesz zatrzymać sobie tę wiadomość i mówić wszystkim, co chcesz. Żegnaj, Jo. Po prostu już nigdy więcej się do mnie nie odzywaj. Nie wysyłaj maili, nie dzwoń do mnie, nie pisz na Fejsie, nie tweetuj, nie podchodź, jeśli zobaczysz mnie na ulicy. Nie chcę o tobie słyszeć, nie chcę wiedzieć, co u ciebie. Już nigdy.

Szttywno wychodzi z pubu. Kartka drga na stoliku poruszona zimnym wiatrem, kiedy drzwi od pubu otwierają się i zamykają za Jenny. Ukrywam twarz przed ciekawskim kelnerem, walczę z cierpieniem i wstydem.

To była jedna z moich ostatnich przyjaciółek. Wrażliwa i zabawna, a jednak smutna, zamknięta, zdystansowana. Teraz wiem czemu. Nie miałam pojęcia, że była wykorzystywana. Wszystko nabiera sensu – kiedy byłyśmy dziećmi, coraz bardziej się oddalała. Myślałam, że bała się mojej rodziny, ale chodziło o jej ojca. To wyjaśnia wszystko. Rozwód jej rodziców. Nagłą przeprowadzkę. Jenny...

Przerażenie ma gorzki smak.

Rozdział 26

Jo

Zapowiadany śnieg spadł w akompaniamencie błyskawic i grzmotów, które rozrywały białe niebo. Cisi, przygaszeni ludzie chodzą ulicami Camden. Mój ukochany czteroletni bratanek dzwoni do mnie na Skypie. Na ekranie uśmiecha się rozpromieniona twarz. W tle widać duży jasny dom wybudowany w słonecznej Kalifornii. Na lśniącym szklanym stole dostrzegam tort urodzinowy.

– Ciociu Jo, dziękuję za prezenty! Kocham cię bardzo, bardzo, bardzo!

– Też cię kocham, Caleb, naprawdę.

– Miś jest super, tata lubi, jak w niego rzucam.

Ma prawdziwy amerykański akcent. Tuż za nim, spoza ekranu, rozlega się brytyjski, ironiczny śmiech mojego brata.

– Nie, Caleb, tata tego n i e l u b i. A poza tym mieliśmy już walkę na poduszki. Teraz pożegnaj się z ciocią Jo, twoi koledzy już idą.

– Pa, pa, pa, pa, pa, pa, pa, pa, JO-JO-JO!

Macha wyszczerzony i chichocze. Przypomina mi się, jak Electra odtwarzała ten śmiech, ale próbuję zignorować mrozące krew w żyłach skojarzenie.

Odmachuję.

– Kocham cię!

Ekran gaśnie. Przez moment czuję całym sercem, że tak, c h c ę mieć dziecko. Dzieje się tak tylko wtedy, kiedy rozmawiam albo widzę się z Calebem. Przypuszczam, że to genetyka. To moje geny. Ale to również miłość, prawdziwa miłość. Łatwo go kochać. Mój brat ma szczęście.

Ma szczęście, że nie ma go tutaj.

Nawet jeśli nie świeci tu kalifornijskie słońce, mogę zaczerpnąć świeżego powietrza. Owijam się szczelnie szalikiem. Wyglądam jak żołnierz z pierwszej wojny światowej, obandażowany z powodu poważnej rany głowy. Być może, w pewnym sensie, tak właśnie jest.

Powoli podchodzę do drzwi. Czuję, jak ekran Electry obserwuje mnie w ciszy, sprawdzając, co robię. Dokąd idę. Jak okrutna, lecz troskliwa matka.

Dzień jest zimny. Skrzypiące buty niosą mnie wzdłuż Parkway, obok żeliwnych, ozdobionych śniegiem włócznie Gloucester Gate, w opustoszałą Regent's Park Road. Cały świat składa się z czerni i bieli. Kruki i śnieg, lód i żelazo. Kremowobiałe kolumny kamienic mają w sobie coś rosyjskiego – w środku ostrej zimy wyglądają jak senne wizje Petersburga. Świeży, biały śnieg pokrywa plac zabaw i rozległe boiska, na których latem młodzi londyńczycy grają beztrosko w piłkę. Teraz są puste.

Nie słychać ptaków. W unoszącej się w powietrzu szklanej mgle stary samotny mężczyzna spaceruje z psem. Są daleko, niemal nie sposób ich dostrzec; wydają się kierować w stronę ścieżki okalającej Queen Mary's Garden. Po chwili znikają za szpalerem szkieletów wiśniowych drzew.

Nie ma tu nikogo innego. Opustoszały park jest cały dla mnie.

Nadchodzi zmierzch; lada moment zamkną bramy i mogłabym tu utknąć na noc – bramy i ogrodzenie są prawdopodobnie zbyt wysokie, żeby dała radę wspiąć się na nie niska kobieta. Przez moment zastanawiam się, czy przeszkadzałoby mi jakoś szczególnie bycie uwięzioną w parku. Mogłabym spać w śniegu przy zamarznętym jeziorze, w wymarłym ogrodzie różanym albo pod zamarzną sceną amfiteatru i jej nową, gotycką dekoracją z sopli. Jak księżniczka strzeżona przez magię, która zaśnie na wieczność w lodowym królestwie.

Nie.

Wyjmuję telefon i w końcu robię to, co planowałam od kilku dni, ale nie mogłam się zebrać.

Chcę wygooglować te dziwne zdania, których używał Liam. Albo raczej to, co włożyła w jego usta Electra. Patrząc wstecz, myślę, że były tak dziwne, że mogą okazać się jakąś wskazówką.

Wpisuję zdanie, które pamiętam najlepiej:

„Ktoś umrze”.

Nic. A w każdym razie – nic charakterystycznego. Zdanie jest nieco dziwne, ale może pochodzić zewsząd.

Próbuję z innymi, ale ledwie je pamiętam. Byłam tak przerażona, że trudno mi sobie cokolwiek przypomnieć. Jak to leciało? „Nie będę ponosił

za to odpowiedzialności. Dowiedziałem się czegoś, Jo. Dowiedziałem się czegoś o tobie. Najpierw cisza, potem ciemność, a teraz to?”

Nic szczególnego. Zwykłe słowa.

Prawie się poddaję. Paskudny powiew ciska mi w twarz drobinki stwardniałego śniegu. Odległe drzewa z czarnego żelaza skrzypią i kołyszą się na wietrze. Może to głupie.

Było jeszcze jedno zdanie, które mną wstrząsnęło. Nie powiedziałyby tego normalna osoba.

„W dniu twojej śmierci zakopano mnie w ziemi.”

Mrugam ze zdziwienia.

Według wyszukiwarki to cytat z wiersza Sylvii Plath.

P l a t h. No tak, kto inny?

Szybko wchodzę na Amazona i kupuję cyfrowe wydanie jej poezji. Znajduję konkretny utwór i czytam. Oczywiście – jest o jej ojcu. Wygląda na to, że zapowiada również jej samobójstwo.

Tytuł wiersza brzmi: Elektra na Azalea Path. Electra?

Coś krystalizuje się we mnie jak lód, który pokrywa jezioro przezroczystą skorupą. W moich udrękach jest jakiś w z ó r. Może to część tortur, okrutna zagadka, którą muszę rozwiązać? Subtelnym wskazówkom towarzyszą subtelne męczarnie. Tropy, które mogą powoli, lecz nieubłaganie doprowadzić do mojej śmierci.

A jednak jeśli zrozumiem ten wzór wystarczająco szybko i dowiem się, kto za tym stoi, będę mogła się bronić, odpowiedzieć ogniem. Uratować się.

Jako dziewczynka przesłam już przez chorobę mojego ojca; mogę przejść też przez to.

Lekko zdezorientowana – i rozdrażniona – wyłączam e-booka, blokuje telefon i rozglądam się po znieruchomiałym, cichym parku. Moje zdrętwiałe usta drżą. Patrzę na północ, na zamgloną bramę i ponurą, strzelistą sylwetkę kościoła św. Marka, gdzie kamienne kwiaty na grobach przykryte są śniegiem. Jak duchy lodowych rożków.

Muszę wykorzystać to odkrycie. W całym tym szaleństwie jest metoda, to wszystko ma swoją logikę – nawet jeśli nie potrafię jej dostrzec. Na razie. Jednak powoli zaczynam dostrzegać jej kontury. Na przykład Jenny. Jak o n a ma się do tego wszystkiego? Asystenci niedawno wysłali jej wiadomość. Po co ją ze mną skłócać? Podejrzewam, że wiedzą, że

mogłaby mi pomóc. Wyczułam to w Vinotece. Współczucie, zrozumienie, chęć pomocy. Wie coś na temat tego, co się wokół mnie dzieje.

A jednak nigdy się już do mnie nie odezwie. Jedyna osoba, która mogła pomóc mi rozwiązać tę zagadkę, została przez asystentów skutecznie odstraszona. Prawdopodobnie zrobią to samo z każdym, kto będzie w stanie mnie wesprzeć.

Przechodzę przez bramę, opuszczam park i idę wzdłuż kanału. Schodzę ze ścieżki i oddalając się od łodzi, wkraczam w samo puste serce Primrose Hill.

Minęła już godzina policyjna zmierzchu, siły okupacyjne nocy nadchodzą. Na mrozie nie został już nikt, więc nikt nie zastanawia się, dlaczego stoję pod drzwiami Fitzroy Avenue 23. Dlaczego zaglądam w okna domu, w którym zmarła Sylvia Plath.

W położonej w suterenie kuchni palą się jasne, żółte światła. Wygląda na to, że tym razem mieszka tu ktoś bogaty. Elegancka nowa kuchnia wyposażona jest w kuchenkę indukcyjną i drogie gadzety. Ładne drewniane meble, rzędy wyszukanych oliw i octów balsamicznych błyszczą w ciepłe gustownie urządzonego wnętrza. Obok nich – stojaki na wino i miedziane patelnie. Myślę, że właściciele nie używają gazu. Kiedyś pewnie zdobyłabym się na jakiś ponury żart na ten temat. Nie dzisiaj.

Myślę o Sylvii Plath, o tym, jak mieszkała tutaj, gdy okolica była znacznie biedniejsza; o tamtej nocy, kiedy była sama w kuchni, a jej dzieci spokojnie spały. Co wtedy czuła? Czy myślała o tym co ja, kiedy mówią do mnie asystenci? Jej izolacja od świata przypomina to, co sama teraz przeżywam. Ludzie próbowali jej pomóc, lecz odmawiała.

Podczas ostrej zimy, podobnej do tej obecnej, została jej tylko samotność.

Kuchenne żaluzje opadają z nagłym trzaskiem, a ja potykam się, wycofując szybko, zawstydzona i zaskoczona. Właściciele musieli zobaczyć, jak zaglądam do środka. Zastanawiam się, jak wielu wścibskich ludzi przychodzi pod ten dom i myśli: „Tutaj to zrobiła”.

Mozolnie ruszam w stronę domu. Przechodzę obok milczących ponuro posiadłości za pięć milionów funtów. Nowe zaspasy przysłaniają wcześniejsze. Ruch jest niewielki, Londyn zatrzymuje się powoli, ale białe dostawczaki nadal mkną przez miasto od jednego punktu do drugiego, podczas gdy śnieg wciąż pada, pada i pada.

Wchodzę do mieszkania. W jakiś sposób wydaje się puste, jakby mnie w nim nie było. Jakby nie było mnie w żadnym konkretnym miejscu. Nieobecna, zmartwiona, próbuję nie myśleć o tacie i jego samobójstwie; błąkam się po kuchni i wyjmuję nóż z zamiarem pokrojenia pomidorów. Zrobię sałatkę, może z awokado i mozzarellą. Jestem głodna, kompletnie pozbawiona energii.

Muszę zjeść.

Patrzę na nóż i przyciskam kciuk do ostrej krawędzi, zastanawiając się nad tym, jak mocno musiałabym przeciągnąć, by poleciała krew.

- Electra, powiedz, co mam zrobić.
- Powinnaś zjeść obiad.
- Electra, skąd wiesz, że jestem głodna?
- Przykro mi, ale nie rozumiem.

Metodycznymi ruchami robię sałatkę i zanoszę ją do dużego pokoju. Stawiam talerz na stole, po raz pierwszy tego dnia otwieram laptopa i jem.

Mam piętnaście nieodczytanych maili. Tak duża liczba wiadomości musi coś znaczyć. Praktycznie wszystkie pochodzą od moich przyjaciół. Już przez same tematy mam ochotę wyrzucić talerz z jedzeniem.

Nie jestem głodna. Mdli mnie. Przygotowana na najgorsze, czytam:

„Co się dzieje?”

„Przepraszam, Jo”

„DLACZEGO?”

Rozdział 27

Jo

Tematy maili nie dają mi spokoju. Z półprzymkniętymi oczami otwieram pierwszą wiadomość. Od starej przyjaciółki ze studiów. Zaczynam czytać:

DLACZEGO? Dlaczego powiedziałaś mu o moim romansie? To było LATA temu. Jaki to ma sens? Kurwa mać, Jo, ty bezlitosna suko, JAKI to miało sens...

Kolejny:

To naprawdę irytujące. Nie, wkurwiające. Zmarnowałaś tyle mojego czasu...

I dalej:

Nieźle – Jo – chyba masz nie po kolei w głowie. Nie będzie mnie przez kilka miesięcy. Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę. Nie wcześniej.

Na koniec – wiadomość od Fitz'a. F i t z a. Mojego wspaniałego przyjaciela geja. Wybaczamy sobie wszystko. Świetnie się razem bawimy. A teraz mnie nienawidzi. Wygląda na to, że zdradziłam jego obecnemu partnerowi prawdę o jego wypadach do saun i na seksimprezy. I wysłałam mu selfie Fitz'a z innymi facetami.

Wypierdalaj, Jo. Wypierdalaj na koniec świata i jeszcze dalej. Odpierdol się, na zawsze.

Zamykam laptopa. Cała drzę. Odwracam się do Electry, przecież to musiała być ona.

– Electra, czy to ty wysłałaś te maile?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Nie rozumiesz? Pierdol się! To ty! Ktokolwiek siedzi w środku. Robisz to celowo. Izolujesz mnie. Odstraszasz każdego, wszystkich moich przyjaciół. Prawda? Chcesz, żebym została sama, żebym oszalała, bo wtedy się zabiję. Tego chcesz?

Cisza.

– Electra, dlaczego wysyłałaś maile do moich przyjaciół?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Tak właśnie powinna działać, ale przestałam jej już wierzyć. Biegnę do korytarza i krzyczę do HomeHelpa:

– Okej, HomeHelp, czy to ty wysyłałeś maile?

– Na razie nie umiem tego zrobić, ale sprawdź wkrótce!

Światła mrugają i przygasają, gdy stoję w mroźnym półmroku mojej sypialni. Ale w ciemności zaczynam dostrzegać jeden wyraźny punkt. W pewnym sensie był tam już od samego początku. Miałam rację już na starcie. Po prostu nie zdawałam sobie z tego sprawy. Ale teraz wszystko układa się w całość. Kto inny wiedziałby o dzieciństwie Jenny, kto znałby te wszystkie przerażające szczegóły?

Jest tylko jeden kandydat. Mój przyjaciel z dzieciństwa.

Simon.

Co więcej, wysłałam te obrzydliwe wiadomości niemal do wszystkich, poza swoją rodziną, Arlem, Tabithą...

I Simonem.

Jest tylko jedna osoba na świecie, którą znam osobiście i która poza mną i Tabithą wie na pewno, jaką piosenkę grali na Glastonbury w tamtą straszliwą noc.

Simon.

Jest tylko jedna osoba, oprócz mojej przyjaciółki, która wie, co stało się z Jamiem Trewinem. Jest tylko jedna osoba, która zainstalowała wszystkie te urządzenia. Tylko jedną osobę zraniłam wirtualną zdradą.

Simon.

Simon, Simon, Simon. Mój były ukochany, Simon Todd. Przez cały ten czas. Nie Polly – wcale nie Polly. Podejrzewam, że winiłam ją, bo nie chciałam wierzyć, że moja pierwsza miłość, mój były, mój prawdziwy stary przyjaciel, kolega z dzieciństwa i mąż mógł mi to zrobić. Ale to musi być on. Ma umiejętności, znajomości, wiedzę, motyw – i moje przyznanie się do winy. Zainstalował asystentów. Nie ma to nic wspólnego z Polly; to Simon, tylko on.

Dałam się głupio nabrać. Jak się zemścić?

Electra milczy.

Ja nie zamierzam. Głośno, z rosnącą furią mówię:

– Pierdol się, Simon.

Rozdział 28

Simon

Siedząc przy wąskim metalowym biurku w swoim gabinecie, dwanaście pięter nad Shoreditch, Simon patrzył, jak popołudniowy deszcz ze śniegiem rozmazuje się na oknach. Zastanawiał się, jak bardzo Polly się spóźni. Wzięła Grace do babci i teraz pewnie przedzierała się do domu oblodzonymi i ledwo dojeżdżającymi z przystanku na przystanek autobusami i tramwajami.

To dlatego był sam w mieszkaniu. I dobrze – nurtujący go problem wymagał przestrzeni, by się z nim uporać.

Otworzywszy skrzynkę odbiorczą, ponownie przeczytał wiadomość, którą tego ranka otrzymał od Jo. Były to trzy długie strony złości, pogardy i nienawiści, ze szczegółami omawiające jego błędy w roli kochanka, wrodzoną wręcz niemożność odniesienia sukcesu w pracy, „odrażająco głupie małżeństwo z tą idiotką, Polly Henderson, tępą dojną krową. Czy faktycznie muczała, kiedy się parzyliście? To dopiero musiały być odgłosy natury i dźwięki wsi – jestem o tym przekonana”.

Mail był przekonująco paskudny. A jednak kiedy Simon raz po raz go odczytywał, co robił w zasadzie przez cały dzień, stopniowo zdawał sobie sprawę, że nie brzmiał on jak wiadomość od Jo. To nie była ta składnia, gramatyka też n i e z u p e ł n i e przypominała jej styl. Przez lata jako przyjaciel, kochanek i mąż przeczytał całkiem sporo tego, co napisała – oficjalnie i nieoficjalnie – w tym nawet listy miłosne wysyłane w młodości. Proza Jo zawsze była subtelna, wieloznaczna i cierpka, a w dodatku – co być może najbardziej dawało mu do myślenia – jej interpunkcja była zupełnie inna. Kochała średniki.

W jego mailu nie było żadnych średników. Nie było ich też we fragmencie wiadomości, którą Gul pokazał mu wczoraj w klubie – sama treść była, oczywiście, kolejnym rykiem pogardy ze strony Jo, tym razem wymierzonym w Gula.

Jego kolega doszedł do wniosku, że Jo albo pokazywała swoje prawdziwe oblicze, albo traciła rozum. Tak czy inaczej, jej mail był faktem i był tak obrzydliwy, że Gul nie chciał mieć więcej do czynienia z tą wścibską zdzirą. „Tak w ogóle to nigdy naprawdę jej nie lubiłem, a ten popieprzony artykuł o zagrożeniach technologii... Jebać ją, skoro myślała, że jest taka zabawna. Wiesz, że wysłała to głównie też do Anny? Jenny powiedziała mi o swoim, każdy dostaje te rzygi...”

Stojąc wczoraj w zatłoczonym pubie w King's Cross z butelką ipy w rękę, Simon potakiwał, zgadzając się z dramatyczną tyradą Gula, i starał się go uspokoić: „Jasne, Gul, też jestem w szoku. Zastanawiam się, co się stało, że odcina każdego przyjaciela, każdego znajomego...”

Ale teraz, siedząc w mieszkaniu, nie był tego już taki pewien. Obracając się na krześle, wyjrzał przez okno i popatrzył na wznoszące się nad miastem wieżowce. Pod ponuro szarym, złowrogo zimowym niebem londyński pejzaż wyglądał niesamowicie chaotycznie, wydawał się histerycznie przesadzony. Poza kontrolą. Nienormalny.

Jak Jo?

Nie.

Simon nie mógł w to uwierzyć. A raczej – nie chciał.

Nie Jo. Zawsze była najbardziej żywiołową, najbardziej ekstrawertyczną osobą, jaką znał. Kiedy dostała się na King's College, skończyła z najlepszą średnią na roku – a nie z miernym 2,2 jak on. Jo Ferguson. Przebojowa Jo. Najmądrzejsza w liceum, jedna z najładniejszych na uniwerku, dziewczyna tak wyraźnie poza jego zasięgiem, a którą kochał, odkąd miał piętnaście lat. Dziewczyna, która ku zdziwieniu wszystkich nagle ogłosiła, że zostanie dziennikarką – a potem po prostu to zrobiła. W ciągu roku dostała pierwszy etat i zaczęła pracować dla ogólnokrajowych magazynów i gazet, podpisując się nie pseudonimem, lecz pełnym biogramem, ze zdjęciem i z nazwiskiem. Potem została freelancerką i czasem miała tylko dla siebie pełne dwie lub trzy strony, jak w przypadku tego nieszczęsnego artykułu.

Tamten tekst podziałał Simonowi na nerwy, podobnie jak nieostrożność, z jaką ot tak zrażała do siebie potężnych ludzi. Jednocześnie podziwiał ją, a nawet zazdrościł jej odwagi, inteligencji i zdolności śledczych, które umożliwiały łączenie faktów i odnajdywanie sieci powiązań, nieważne, jak dobrze byłyby ukryte przed resztą świata. Był również pod wrażeniem, jak oczarowała i wykiwała kilku bardzo

sprytnych ludzi, dzięki czemu w tekście znalazło się parę soczystych cytatów. Ludzi w rodzaju Arla i Gula.

Deszcz uderzał w okna, powoli zamieniał się w grad. Simon oparł podbródek na dłoniach i wpatrywał się w przestrzeń. W niewyraźną plamę ekranu. Szukał rozwiązania tej nierozwiązywalnej zagadki: dlaczego Jo miałyby wysyłać wiadomości, które w tak oczywisty sposób jej szkodziły? Czy chodziło o sprowokowanie reakcji? Czy robiła to, żeby udowodnić swoją tezę o szkodliwości branży technologicznej i o jej inwazji w nasze życie? Być może liczyła, że branża i jej koledzy zareagują nienawiścią, a ona będzie miała kolejny głośny artykuł.

Czy było to prawdopodobne?

Inne możliwości również nie brzmiały zbyt przekonująco: pierwsza była taka, że Jo działa pod naciskiem. Druga – że traci rozum.

Niezależnie od odpowiedzi Simon musiał jej pomóc. Wciąż ją kochał i wiedział, że już nie przestanie. Kochał ją tak bardzo, że czasem fantazjował o tym, jak uprawia seks z takim typem, Liamem. Podniecało go to nawet wtedy, kiedy robił się zazdrosny. Miał zdjęcia Liama, o których wiedział, że podobały się Jo, właśnie po to – do fantazji seksualnych. Wszystko to sprawiało jednak, że czuł wstyd i wyrzuty sumienia, bo kochał również Polly i uwielbiał ich dziecko. Ale Polly nigdy by tego nie zrozumiała.

Simon ze zdziwieniem podniósł twarz i wybudził się ze snu na jawie – na korytarzu na zewnątrz usłyszał głos. Może to Polly wróciła wcześniej, a mała Grace gaworzyła, kiedy mama otwierała drzwi?

Nie, to sąsiedzi. W bloku było pełno młodych rodzin. Polly napisała mu SMS-a, że „to może trochę potrwać”.

Simon miał czas, żeby wszystko przemyśleć.

Być może w samym mailu była jakaś wskazówka na temat tego, dlaczego i jak Jo wysyłała te wiadomości albo czy wysyłała je z własnej woli. Stukając w klawiaturę, wszedł głębiej, w ścieżki, w historię. Adres bez wątpienia należał do Jo. Jeśli chodzi o czas, tu też wszystko się zgadzało. Certyfikat? Bez wątpienia źródłem była Jo Ferguson. Simon wprawnym okiem przeskanował resztę informacji: wysłano: z mac.com ([10.13.11.252]) przez ms031. mac.com (Sun Java System Messaging Server 6.2-8.04.700).

Wszystko składało się w całość. Poświadczenia. Domeny. Identyfikator. Filtry. W s z y s t k o. Zakrzepłe znaki, litery i cyfry. Miały sens, każdy

szczegół pasował.

To Jo wysłała tę wiadomość. Wysłała je wszystkie. Mimo że Simon robił, co mógł, żeby dojść do innych wniosków.

Poczuł przypływ żalu. Długi ciemny cień połykał ostatnie nieśmiałe promienie światła. W Londynie znów padał śnieg. W dole, na ulicach rozpełtał się chaos.

Był rozdarty. Nie miał nic, o co mógłby się zaczepić, poza lekko nietypowym stylem i brakiem średników. Żałośnie mało, ale może mógł zabawić się w Sherlocka. Czemu nie, ostatnia próba.

Orzeźwiając się gorzkim łykiem chłodnej zielonej herbaty, przeskrolował nazwiska i numery na telefonie. Było niedzielne popołudnie, przy tej pogodzie pewnie każdy zabunkrował się w domu. Złapałby ich we właściwym momencie – kiedy mogli rozmawiać.

Wybrał pierwszy numer.

Gul Foxton.

Poczta głosowa.

Przy drugim numerze się zawahał – następna na liście była Jenny Lansman. Słyszał od Anny, że mail, który który dostała Jenny, był wyjątkowo paskudny. Pełno syfu o jej rodzicach, domysłów na temat wykorzystywania w dzieciństwie przez ojca. Rzeczy tak złych, że doprowadziły adresatkę do łez. A Jenny, inteligentna i racjonalna Jenny, n i g d y nie płakała.

Z pełnym przekonaniem, że robi coś złego, wybrał jej numer i z nieco tchórzliwym westchnieniem ulgi odsłuchał nagrany przez Jenny komunikat: „Przykro mi, nie mogę odebrać, zostaw wiadomość”.

Do kogo jeszcze mógł zadzwonić? Simon podniósł telefon i przeskanował wszystkie kontakty od A do Z. Dotarł do T jak Tabitha i pomyślał, że Tabitha była jedną z niewielu osób bliskich Jo, poza jej bratem i matką, która nie dostała żadnej obrzydliwej wiadomości. Tabitha... i Arlo. To dało się łatwo wyjaśnić. Tabitha w zasadzie przygarnęła Jo, więc Jo nie mogła sobie pozwolić na zdenerwowanie akurat tej przyjaciółki. Jako narzeczony i ojciec jej dziecka Arlo również był nietykalny.

Jo – lub osoba, która się pod nią podszywała, używając jej laptopa, tabletu, telefonu i cyfrowej tożsamości – wyżywała się wyłącznie na ludziach, którzy mogli jedynie zerwać z nią kontakt, zablokować ją, wyrzucić ze swojego życia. Nic więcej.

Po ostatnim łyku nieznośnie zimnej herbaty Simon przeskrołował książkę w drugą stronę, od Z do A. Zatrzymał się przy F.

Fitz.

Czy mógł porozmawiać z Fitzem? Nigdy się nie dogadywali – Simon zawsze podejrzewał, że Fitz uważa go za nudnego informatyka, technologicznego nerda, prostego męża, którego Jo poślubiła z głupoty, gdy była za młoda. Sam zaś zawsze czuł się w towarzystwie Fitz'a nieco niekomfortowo, jakby brakowało mu słów. Wszystko dlatego, że przyjaciel Jo był zabawny w nieprzyjemnie teatralny sposób. Zdolny do wyrzucania z siebie okrutnych komentarzy, zawsze miał na podorędziu kilka kąśliwych powiedzonek, które jakimś cudem sprawiały, że wszyscy inni, nieważne, jak zabawni, wydawali się przy nim nudni.

Ale czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Jo być może zaczynała tracić rozum. Jo, jego pierwsza prawdziwa miłość. Kobieta, której pragnął zawsze, nawet wtedy, kiedy się rozwiedli. A rozstali się, bo w głębi duszy wiedział, że ona go nie kochała. Tego poniżenia było już za wiele.

Po chwili nerwowej zwłoki, gdy obserwował zarys księżyca ponad ułamanym grotem wieżowca The Shard, Simon wybrał numer, na który dotąd zadzwonił łącznie może ze dwa razy. Raz, kiedy Jo wyjechała, i drugi – kiedy razem z Fitzem poszli na karaoke do gejowskiego baru przy Old Compton Street.

– No?

Fitz odebrał.

Niepewny, od razu zdenerwowany, Simon wyjąkał:

– Hej. Fitz. Tu, eee, Si. Simon. Simon Todd.

Nastąpiła cisza. Doskonale przemyślana gra pauzą.

– Simon... TODD.

Simon wyobraził sobie Fitz'a w jego domu w Islington. Wysokie okna bez zasłon, gospodarz rozciągnięty na kanapie za pięć tysięcy, wpatrujący się w tę samą niekończącą się ścianę deszczu ze śniegiem. Pomyślał o lśniących na półkach nagrodach – BAFTA-ch, Tonych i tak dalej.

– Ach – powiedział Fitz i ziewnął wyjątkowo nieprzekonująco. – Były Jo. Simon. Simon TODD. Tak. Jak tam twoje małeństwo?

Simon wymamrotał „w porządku”, ale tak naprawdę zastanawiał się, jak dzięki samemu powtarzaniu i akcentowaniu niezbyt ciekawego

nazwiska Todd Fitz zdołał przemycić dyskretne szyderstwo. Nic obraźliwego, ale było jasne, że w ten sposób Edward Amwell Fitzpatrick zwracał się do kogoś z IQ o kilkanaście punktów niższym od jego normalnych rozmówców.

Simon nie po raz pierwszy zadał sobie pytanie, dlaczego Jo przyjaźniła się z takim zarozumiałym złamasem. Czy Fitz mógł stać za tym wszystkim? Bywał okrutny dla zabawy. Widział w ludziach marionetki. Drań.

Poczuł narastającą pokusę wyrzucenia z siebie jakiejś homofobicznej obelgi i zakończenia rozmowy, ale powstrzymał się.

Musiał to zrobić dla Jo.

– Fitz, słuchaj, wiem, że nigdy nie mieliśmy ze sobą jakiegoś specjalnego kontaktu, ale obydwu nam zależy na Jo, prawda? Dlatego dzwonię.

Ta cisza była dłuższa i bardziej niezręczna. Fitz albo zastanawiał się nad tym, co powiedzieć, albo nie do końca mógł się zgodzić z rozmówcą. Znak? Był prześladowcą czy kolejną ofiarą? Simon chwycił się tego.

– Fitz, myślę, że wiesz, czemu dzwonię. Jo wysłała wszystkim te fatalne wiadomości, naprawdę straszne. obraźliwe do bólu. Straciła praktycznie wszystkich przyjaciół. Chcę wiedzieć, czemu to zrobiła. Przechodzi załamanie? Czy chodzi o coś innego? Martwię się o nią.

Po drugiej stronie zasypanego śniegiem Londynu oddalony o półtora kilometra Fitz nadal się nie odzywał.

Simon kontynuował:

– Niewątpliwie znasz historię o tym, jak ojciec Jo oszalał. Dlatego się martwię. Chcę się upewnić, czy to na pewno Jo wysyła...

Fitz wszedł mu w słowo.

– Co to znaczy „na pewno wysyła”? Kto inny mógłby je wysyłać? Mniej lubiany brat Hitlera?

– Czyli ty też dostałeś tego maila?

– Tak, jakiś czas temu – mruknął Fitz.

– I?

Fitz westchnął, całkowicie niesarkastycznie.

– Kompletnie obrzydliwy, tak jak mówisz. Potok nienawiści w formie wiadomości. Było tam kilka niewybaczalnych rzeczy. A ja i Jo wybaczyliśmy sobie już całkiem sporo.

Simon zdał sobie z zaskoczeniem sprawę, że Fitz – cyniczny, wytworny, nietykalny Edward Fitzpatrick – był smutny. Simon nigdy wcześniej nie słyszał o czymś podobnym.

– Jeśli mam być szczery, nie rozmawiałem z nią od tamtego czasu. Nie wiem, jak odpowiedzieć, żeby raz na zawsze nie zakończyć tej przyjaźni. Próbuję dać nam trochę czasu. Może uleczy rany? Ale raczej wątpię.

Simon czuł podekscytowanie z powodu stopniowo ujawnianej tajemnicy. Nie był pewien dlaczego. Jo skrzywdziła również Fitz? Jednego z jej najlepszych przyjaciół?

– Fitz, czy masz jeszcze tę wiadomość?

– Niestety.

– Czy mógłbyś rzucić na nią okiem? Chcę się upewnić, że to Jo. Co napisała, jak to ujęła?

– To była seria dobrze przemyślanych i cudownie odpychających spostrzeżeń na temat mojej seksualności, rozwiązłości i ogólnego braku moralności – rzucił od niechcienia Fitz. – Wysłała również wiadomość i zdjęcia do mojego chłopaka, skrupulatnie wyliczając moje zdrady. To znaczy, dołączyła go do wiadomości, żeby ułatwić sobie zadanie. Rozstał się ze mną.

– Och, przykro mi... – Simon był zszokowany, ale nie miał czasu na dalsze okazywanie współczucia. – Ale czy to brzmiało jak Jo? O to mi chodzi Fitz, o jej styl. Czy myślisz, że to naprawdę była ona? Lub jakaś jej szalona wersja?

Cisza. Być może Fitz jeszcze raz czytał wiadomość. Po chwili odezwał się znowu:

– Wydaje mi się, że tak, Simon. Brzmi jak wyjątkowo wściekła ona. Wiesz, jak wściekła? Kiedy jest najbardziej ironiczna, jadowita i pozbawiona zahamowań. Może już po dwóch ginach, ale jeszcze nie pijana. Więc jeśli dorzucić do tego całą masę chorej furii, to tak, to ona.

– Ale...

– Ale co? Obelgi były tak dobrze i sprytnie dobrane, żeby uderzyły tam, gdzie miało boleć. Są tu również rzeczy, o których wolałbym nie mówić, a o których wiedziała ty i ona. Wspomina o moim przyjaciołku, który został zamordowany, a robi to w najbardziej obrzydliwy i niepokojący sposób, jaki tylko mogę sobie wyobrazić. To prawie... diabelskie.

Simon zawahał się, gdy to usłyszał. Morderstwo? To faktycznie było niepokojące. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej, ale było jasne, że Fitz

nie miał ochoty na kontynuowanie tematu.

– A co ze średnikami? Czy użyła średników? Wiesz, że Jo wykorzystuje ich zbyt dużo, gdy pisze. Kiedyś powiedziała mi, że jeden z redaktorów musiał odchwalić z nich tekst. Są jakieś?

Odpowiedział mu zgorzkniały śmiech.

– Średniki? Naprawdę myślisz, że Jo nie napisała tych wiadomości, bo znaki przestankowe się nie zgadzają?

Po chwili zawahania Simon przytaknął.

– Cóż, obawiam się, że jednak jest tu kilka średników. Twoja genialna teoria interpunkcyjna jest do niczego.

Obaj zamilkli. Fitz zaczął się żegnać, chcąc zakończyć rozmowę. Simon przerwał:

– Poczekaj, proszę...

Dowody jasno wskazywały na załamanie psychiczne, więc Simon chciał się dowiedzieć, kiedy mail został wysłany. Mogło to mu powiedzieć, jak długo rozwijało się szaleństwo Jo. Lepsze to niż nic.

– Fitz, proszę, ostatnie pytanie i daję ci spokój.

– Skoro nalegasz.

– Wspomniałeś, że Jo wysłała tę wiadomość jakiś czas temu. Jaki to był dzień? Być może moglibyśmy się zorientować, jak daleko sięga jej problem.

Fitz wydał z siebie znudzone „hmmm”, kiedy sprawdzał datę.

– Wiesz co, po prostu ci go wyślę, ty się na tym znasz. – Chwila ciszy. – Okej, poszło. Sprawdź. Przekonaj się. Wysłała tę wiadomość we wtorek o dziewiętnastej trzydzieści trzy, w porze kolacji. Być może niszczyła mój związek, kiedy zamawiała przystawkę.

– Okej. Dzięki, Fitz. Dziękuję. I przykro mi, że musiałeś w tym grzebać.

– Przykro? Tak, mi też. I mojemu byłemu chłopakowi. Żegnaj.

Zakończył rozmowę. Cisza nie trwała długo – zamiast w śnieg deszcz przeszedł w grad, który tłukł wściekle w okna.

Simon odłożył telefon i wpatrywał się w lodowaty mrok nieba. Myślał o tym, co usłyszał od Fitz'a. Potem sprawdził otrzymanego maila i ścieżki, tak jak wcześniej. Wszystko wskazywało na to, że wysłała go Jo.

We wtorek, dwunastego, o 19.33. Przy kolacji?

Czemu przyczepił się do tej daty?

Sięgnął po telefon i z niekłamana ekscytacją otworzył kalendarz.

We wtorek dwunastego o 19.33 Jo faktycznie jadła kolację. Wiedział o tym, bo był z nią, spotkali się wtedy w Vinotece. O 19.33 Jo wpatrywała się w swój stek. Obydwoje odłożyli telefony na stół ekranami do dołu, wyciszone, żeby nie mogli po nie sięgnąć. Tak jak zawsze.

To znaczy, że Jo n i e m o g ł a wysłać tego maila. Przynajmniej jeśli nie użyła innego programu – a w ścieżce nie było żadnej informacji na temat specjalnego ustawienia wysyłki o konkretnej porze. Nic. Simon zajmował się tym badziewiem na co dzień. To było to. Dowód. Jeśli Jo nie nauczyła się obsługiwać laptopa za pomocą telepatii, nie mogła wysłać maila do Fitz'a.

Grad bębnił w szyby. Twarde jak kamienie kawałki lodu były tak duże, że mogłyby przebić szkło.

Kolejne wnioski układały się w szereg pytań, na które musiał znaleźć odpowiedź. Być może ktoś podszywał się pod Jo i wysyłał te maile, by spieprzyć jej życie towarzyskie. Hakował ją. To z kolei rodziło inne pytanie: kto mógł aż tyle o niej wiedzieć? I o jej przyjaciółkach: Fitzu, Jenny, Gulu?

Niezależnie od odpowiedzi – miał dowód.

Jo była niewinna. Nie oszalała. Faktycznie ktoś ją atakował.

Rozdział 29

Simon

Hałas na klatce wyrwał go z zamyślenia. Tym razem była to Polly. Wyszedł z gabinetu, żeby się z nią przywitać – ale ona tylko zmierzyła go wzrokiem. Miała puste ręce. Była przemoczona. Wściekłym gestem rzuciła płaszcz na podłogę.

Gdzie się podziała jego córka?

– Polly? Coś się stało? Gdzie Grace?

– Zostawiłam ją u babci. Byłam zbyt wściekła.

– Ale... ja... Pol...

– Jak śmiesz! Ty draniu. Jak śmiałeś.

– Co?!

Polly podeszła bliżej i zatrzymała się kilkanaście centymetrów od niego. Mógł poczuć zimno i pot, gniew i śnieg. Pod twarz podstawiała mu telefon, na którym wyświetlało się jakieś wideo. Amatorskie porno. J e g o amatorskie porno – ziarnisty, nagrany w domu film, na którym brał Jo od tyłu. W lustrze widać było, że to on filmował, a Jo się śmiała.

– Twoja pieprzona Jo właśnie mi to wysłała. Twierdzi, że nagrałeś to tydzień temu. Że nadal się z nią rzniesz.

– Ale... – protestował. – Ale... to nagranie jest stare, ma ze trzy lata. Spójrz na mnie, popatrz, włosy...

Już kiedy się odezwał, wiedział, że nie ma to sensu. Nagrane słabym telefonem wideo było w zbyt niskiej jakości. W sypialni panował mrok. Mogło zostać nagrane tydzień temu, nawet jeśli nie było.

Polly wpatrywała się w męża.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć? W chociaż jedno twoje słowo? Skoro nadal masz obsesję na jej punkcie? Co?

Simon chciał odpowiedzieć, ale nie potrafił. Polly miała rację, a on wolał nie pogarszać sprawy kolejnym kłamstwem.

Patrzył, jak jego żona podnosi płaszcz i wieszka go na wieszaku. Odwróciła się w jego stronę, spojrzała na niego i powiedziała ze smutkiem, akcentując każdy wyraz:

– To koniec, Simon. Miałeś ostatnią szansę. Jo musi zniknąć. – Mówiła coraz szybciej, nie dając mu czasu na obronę, nawet jeśli znalazłby jakiś sposób. – Dla dobra Grace ma zniknąć z twojego życia. Chcę, żebyś od tej chwili przestał myśleć o Jo, przestał zachowywać się, jakbyś miał obsesję, przestał z nią rozmawiać i wychodzić na lunch, zerwał wszelki kontakt. Jeśli dowiem się, że wysłałeś do niej choć jednego SMS-a, a dowiem się, bo od teraz będę cię bardzo uważnie sprawdzać, zabiorę Grace i odejdę. Będiesz widywał swoją córkę co drugą niedzielę przez pół godziny, dopóki nie poznam kogoś i nie wyjedziemy do Australii. Chcę mieć hasło do twojego telefonu, maili, wiadomości. Żebym mogła cię sprawdzać.

– Polly...

– Już!

Wręczył żonie telefon. Podał jej hasło, które wpisała na swoim telefonie. Patrzył na to wszystko ponuro. Grad wiwatował głucho na widok jego porażki. W tym dźwięku było coś ludzkiego. Jakby ktoś zdesperowany dawał mu jakiś sygnał. Jakby chciał zwrócić jego uwagę. Zmusić do spojrzenia w zimną pustkę. Owca

Polly poszła do innego pokoju. Zostawiła Simona z ostatnią zagadką.

Coś uderzyło go jak śnieżka rzucona zniecka przez roześmiane dziecko. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach.

Nigdy nie wysłał tego filmu Jo. Nigdy go jej nie udostępnił, nie pamiętał nawet, żeby w ogóle go pokazywał. Zachował go dla siebie. Mieli całkiem sporo amatorskiego porno, fotek i wideo, ale nie chciał, żeby zorientowała się, jak c z ę s t o ich nagrywał, jak go to kręciło, jak wiele ich wspólnych zdjęć i filmów zachował – jego i jej. Zwłaszcza jej.

Czyli kto wykradł to nagranie z jego prywatnych plików i wysłał je, rzekomo, z maila Jo? Kto mógł obejść wszystkie zabezpieczenia jego domowego laptopa? Nikt. Cóż, prawie nikt.

Z kuchni dobiegł go dźwięk krzątania Polly. Robiła kolację. Noże szczękały wściekle.

Rozdział 30

Jo

W mieszkaniu rozlega się płacz dziecka. Nie mam dziecka. Jest po dwudziestej pierwszej i niekończący się śnieg osłabł; zrobiło się zimniej, więc po obydwu stronach Delancey powstały brudne, twarde wały śniegu wzniesione pospiesznie przeciwko niespodziewanej inwazji. Zaspy błyszczą posępnie w świetle latarni, a ja siedzę sama, niema i bezradna, słuchając kwilenia Electry.

– Electra, proszę, przestań.

Nie przestaje. Próbuję ją zignorować i wrócić do thrillera. Zastanawiam się, czemu wciąż czytam i oglądam straszne historie, skoro moje życie zamienia się w jedną z nich. Może właśnie dlatego, że nieważne, jak przerażające byłyby kolejne tytuły, i tak nie są w stanie wytrącić mnie z równowagi bardziej niż rzeczywistość. I wciąż chcę napisać scenariusz, thriller lub kryminał, bo to mój jedyny pomysł na wyjście z biedy. Wiem, że to głupie marzenie, ale prawdopodobnie jak nigdy wcześniej potrzebuję jakiegokolwiek głupiego marzenia, żalosnej nadziei na ucieczkę. Moim życiem i domem zawładnęła jedna z tych olbrzymich ośmiornic, które z wolna owijają swoją ofiarę i duszą, sącąc w nią swój paralizujący jad. Maszyny trzymają mnie w swoich mackach.

To działa – jestem zatruta i bezwładna. Wysłałam SMS-y do Simona, ale nie dostałam żadnej odpowiedzi. Czy po prostu je blokuje? Prawdopodobnie usuwa bez czytania. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Raczej nie pójde do domu, w którym mieszka razem z dzieckiem, żeby się z nim skonfrontować. Czekanie na niego przed pracą nawet mnie wydaje się zbyt szalone. A ja przecież nie jestem szalona i nie zatrulałam się xanaxem. Jednak wciąż nie mam pojęcia, jak się zemścić, więc siedzę tutaj i pozwalam, by Electra drażniła się ze mną, łkając jak dziecko.

„Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa”.

Spoglądam na zamknięty laptop, potem otwieram go, resetuję, czekam, aż ekran rozbłyśnie, i zaczynam myśleć o tym, co mogę zrobić do pracy. Może skończę artykuł o Camden lub zaproponuję coś swojego... wtedy dziecko, którego nigdy nie miałam, płacze po raz kolejny. Nieprawdziwe maleństwo uwięzione w maszynie cicho woła matkę, której również nigdy nie miało. Kobietę, która zagazuje się o czwartej nad ranem, z głową ułożoną w piekarniku na małej, złożonej ścierce.

Nie mogę tak pracować.

Laptop może poczekać. Odblokowuję telefon, potrzebuję przyjaznego głosu, ale nie mam już żadnych przyjaciół. Tabitha wyjechała.

Dzwonię do mamy. Znowu. Kiedy tylko wybieram numer, dziecko milknie. Oczywiście. Asystenci nie chcą, żeby ktokolwiek oprócz mnie był świadkiem ich zachowania. Tak właśnie sprawiają, że się zabiję.

Nie zdobyłam dowodu na nic, więc potrzebuję świadka. A ci, których mam, czyli Deborah, nie widzieli nic gorszego od migających świateł.

Pomocy.

Mama odbiera.

– Cześć, kochanie, co za niespodzianka! Przecież rozmawialiśmy niedawno.

– Mówiłam ci, że staram się być dobrą córką. – Mój śmiech jest wymuszony. Rumienię się, chociaż nikt mnie nie widzi. Czy mama usłyszy w moich słowach desperację i lęk? Dzwonię do niej tak często tylko dlatego, że nie wiem, do kogo jeszcze mogę zadzwonić. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam!

– Oczywiście, kochanie. Cudownie cię tak często słyszeć. Hm... wydarzyło się coś nowego?

Coś nowego? Och, tak, u mnie całkiem sporo – ktoś, kogo bardzo dobrze znam, próbuje mnie powoli zabić albo przynajmniej wysłać do czubków. Ale to raczej nic nowego. Nasza rozmowa przebiega normalną drogą, przedmieściami pogaduszek, nawet nie zbliżając się do czegoś w rodzaju centrum, miejsca, w którym dzieją się rzeczy istotne. Niemal zawsze unikamy trudnych pytań. Czemu? Kiedy rozmawiamy, wyglądam przez okno. Samochodzik, Paul, siedzi na murku, owinięty w przynajmniej trzy stęchłe płaszcze i nieprzemakalną kurtkę. Bez celu wpatruje się w górę, w niebo, w głosy w swojej głowie, obrazy Londynu, auta, auta, auta.

– Więc tak – mówi mama – to było w ostatni poniedziałek, tak mi się wydaje, lub we wtorek, ale doktor powiedział, że usunięcie mojej zaćmy może zostać przyspieszone, więc to dobra wiadomość. Szpitale są przepełnione przez pogodę, ludzie chorują na grypę.

Mama lubi zdawać mi medyczne sprawozdanie na temat swoich oczu, uszu, pęcherza i płuc. Jelit, płuc, rozrusznika. To jej sposób na plotkowanie, kiedy nie ma plotek. Martwi mnie jej serce, istnieje poważne ryzyko drugiego zawału. Nie mogę jej stracić.

Myślę o swojej cudownej, mądrej i dobrej mamie, samotnej wdowie, która siedzi sama gdzieś w Thornton Heath. Zastanawiam się, czy tak bardzo się różnimy. Czy jestem mniej samotna od niej? Być może nawet bardziej. Zna paru sąsiadów, w każdy weekend gra w karty. No i przynajmniej spotyka się ze swoim lekarzem – ja za bardzo się boję iść do swojej specjalistki. Mogłabym coś wygadać.

– No i tak jak mówiłam...

I znów – kuzyni, ciocie, rozwody. Nasza rozmowa to kolejna seria dobrze znanych ulic, z których połowa to wygodne i bezpieczne ślepe zaułki, te same sklepy na rogu. Ale nagle moja mama staje na konwersacyjnym skrzyżowaniu i gwałtownie skręca w lewo.

– Tak w ogóle, kochanie, chciałam zapytać, czy... czy wszystko okej z twoimi przyjaciółmi?

– Słucham, mamu? To znaczy?

Kulę się w środku. Jestem do bólu świadoma tego, o co może jej chodzić. Musiała coś usłyszeć. Od Simona albo od Fitz'a. Tabs. Jenny. Każde z nich zna lub kiedyś spotkało moją mamę. A jednak mimo wagi tego pytania i wszystkiego, co ze sobą niesie, uznaję, że przed moimi oczami dzieje się coś o wiele bardziej niepokojącego. Wyglądając przez wysokie okna, zauważam, jak do Samochodzika podchodzą jacyś goście z pubu. Coś w ich postawie, tym, jak się do niego zbliżają, mówi, że skończy się to źle. Nadchodzą kłopoty.

To duże chłopaki. Młode. Dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa lata. Są pijani. Rzucają w Paula śnieżkami i zanoszą się śmiechem. Samochodzik na początku śmieje się razem z nimi, ale czy faktycznie go to cieszy?

Przygryzam wargę, wracam do rozmowy z mamą.

– Mamusiu, wszystko w porządku, z przyjaciółmi też. Wszystko okej, mam po prostu za dużo pracy... O Boże.

Śnieżki latają coraz szybciej, młodzi są nawaleni, agresywni i chamscy. Mimo przeszywającego zimna otwieram okno i nasłuchuję. Słyszę, jak szydzą i go obrażają: „Ty jebany psycholu, chcesz sobie kupić porsche?”.

Kolejna twarda kula trafia Samochodzika w twarz. Ukucnął przerażony przy ścianie od strony przejazdu i próbuje się zasłonić, ale ci faceci podchodzą coraz bliżej. Są już jawnie wrogo nastawieni, napastliwi, nie wiem, czy w śnieżkach nie kryją się kamienie lub kawałki ukruszonych cegieł.

– Mamo, muszę kończyć. Zadzwoń jutro!

Rozłączam się. Chwytam klucze, zbiegam po schodach i w koszulce oraz dzinsach wypadam na mróz. Co ja robię? Mogę wpakować się w coś bardzo nieprzyjemnego. To trzech dużych, młodych mężczyzn, którym po piwie z Edinboro najwyraźniej włączył się agresor. Kiedy jestem na Delancey, a w gorzkiej mgle mój oddech zamienia się w parę, widzę, jak jeden z nich policzkuje Samochodzika, cały czas go drażniąc.

– Chcesz auto? Nie stać cię, menelu. Co? Masz coś? Głupia, tępą cipo. AUTA, SRAUTA.

Mój przyjaciel bezradnie zasłania się przed uderzeniami i kwili jak dziecko z Electry. Jest bezbronny. Smutny, nieśmiały, olbrzymi mężczyzna, który nikomu nie zrobił krzywdy.

Kolejny napastnik bierze w ręce mnóstwo śniegu z muru i upuszcza go na głowę Paula. Wszyscy wybuchają śmiechem, a jeden z nich kopie Samochodzika w nogę, kiedy ten próbuje się odczołgać. Czego od niego chcą? Bydlaki.

Zatłuc go – tego właśnie pragną.

Jeden z nich rozpina rozporek, jakby zamierzał się na niego odlać. Naprawdę – próbuje nasikać na miłego, nieszkodliwego Samochodzika.

– Hej, może to cię rozgrzeje, kolego. Chce mi się szczać. Nie przeszkadza ci to, prawda, głupia pizdo? Należę ci na twarz, co? AUTA, AUTA!

Gdy jest już blisko, moje wewnętrzne poczucie sprawiedliwości bierze we mnie górę – nie zrobisz tego. Nie mojemu przyjacielowi, nie na mojej warcie.

– Ej! Wy! Koniec tego!

Biegnę po oblodzonej ulicy.

Obracają się – szok stopniowo przeradza się w rozbawione zdziwienie. Nie można ich winić. W ich stronę idzie kobieta w samej koszulce,

mierząca niewiele ponad metr pięćdziesiąt. Grozi trzem wysokim, postawnym, dobrze zbudowanym mężczyznom. Tylko czekają na awanturę. Chcą tego. Mają zaciśnięte pięści. Ukryte noże?

– Co nam zrobisz, skarbie? – mówi ten od rozporoka. Widzę jednak, że zapina spodnie.

– Dajcie mu spokój.

Inny groźnie mierzy mnie wzrokiem. Jest czarny, wysoki.

– Co? Ta stara włochata pizda to twój chłopak? Co? Też lubisz auta? Jak się ruchacie, to cię to jara? Auta, auta, auta?

Wybuchają śmiechem. Wszystko, co mam, to moja odwaga. Paul jęczy cicho, skulony w rogu między dwiema ścianami. Naprawdę chcieli na niego nasikać.

Zalewa mnie fala współczucia i gniewu.

– ZOSTAWCIE GO W SPOKOJU, DEBILE. Idźcie stąd, spieprzajcie. JUŻ. Naciskam dalej.

– WYJAZD! ZOSTAWCIE GO W SPOKOJU.

Idę prosto na nich, jestem coraz bliżej. W oczach mam szaleństwo, wyglądam na wariatkę. To wcale nie takie trudne – przecież w połowie już nią jestem. Moje oczy, mój krok, sposób, w jaki do nich podchodzę, cała ta nieostrożność – wygląda na to, że coś ich w tym niepokoi.

Na początku cofają się powoli, a potem lider grupy mówi:

– Jest tak samo walnięta jak on.

Zaczynam krzyczeć:

– NO JUŻ! WYPIERDALAĆ!

– Chodźcie, chłopaki – odzywa się ukradkiem ten sam. – Oni wszyscy są tutaj chorzy.

Podbiegam do nich, niemal ocierając się o jednego – odwracają się i wycofują. Kiedy odbiegają, ślizgając się po zamrożonym chodniku, dobiega mnie ich śmiech. Brzmi fałszywie, chyba naprawdę ich wystraszyłam.

Nie wiem, czy powinno mnie to cieszyć, czy martwić; w każdym razie muszę zająć się Paulem – na szczęście wygląda, jakby nie stało mu się nic poważnego. Jest przestraszony, zamarznięty, mokry – ale nietknięty. Mogło być o wiele gorzej.

Drżąc w samej koszulce, klękam obok niego. Przestał łkać. Jego smutne szare oczy napotykają moje. Mówi cienkim, ale całkowicie przytomnym głosem.

– Dzięki. Dziękuję ci, Jo – mówi. – Byli straszni. Jesteś dobrą przyjaciółką.

Trzymam go za ramiona.

– Banda prymitywów. Zawsze stchórzą, kiedy się im postawisz.

– Ja nie wiem, czy to prawda, ale... ale... – odpowiada Paul. – A-ale zawsze jesteś taka miła i...

Jego oczy podążają za przejeżdżającym samochodem; widzę, jak bezgłośnie mówi „auta, auta, auta” i jak próbuje walczyć z tym odruchem i głosem w swojej głowie. Wszystkimi głosami. Ma w umyśle własną Electrę, a ja nie jestem w stanie pojąć, jakie to musi być uczucie. Bardzo cicho szepce „auta”, a potem patrzy na mnie z głębokim żalem i wstydem.

Trzęsę się coraz bardziej.

– Słuchaj, Paul, możemy iść w jakieś ciepłe miejsce? Wiem, że nie chcesz wejść do mnie... – Nie chce wchodzić do naszego mieszkania, przez co muszę wynosić mu zupę na zewnątrz. – Ale może wejdziemy do Edinboro, mają tam kawę. Trochę się rozgrzejesz.

Spogląda na mnie niepewnie.

– Nie, w porządku, za chwilę pójde do domu. Ale chcę ci coś powiedzieć.

– Co? – pytam zdziwiona.

– Nie powinnaś bać się swoich duchów.

Cisza. Przejeżdżający obok van rozbryzguje stary śnieg.

– O czym ty mówisz, Paul?

Potrząsa głową, jakbym za nim nie nadążała.

– Światła i głosy, Jo. Włączają się i wyłączają, coś krzyczy całą noc. Widziałem je, słyszałem. W nocy!

Moje serce przyspiesza.

– Naprawdę?

– Tak. Tak, naprawdę. Byłem tutaj i oglądałem je całą noc. Ukryłem się za rogiem i patrzyłem na nie, na początku nie wiedziałem, co to, potem pomyślałem, że to duch, schowałem się za ścianą. Masz ducha w swoim mieszkaniu. Wiesz, to duch włączał i wyłączał te światła. – Kiwa głową. – Innym razem stałem blisko okna, bardzo blisko, pod twoim domem, było późno, i słyszałem głosy, piosenki, ale głównie głosy, kobiety, mężczyzn, mówili rzeczy, straszne rzeczy. To były słowa duchów. Mamy i taty. Muszą być duchami. Prawda? Duchy.

Moje serce wali jak oszalałe. Ktoś inny widział to co ja. Mam świadka tego całego wariactwa. Samochodzik może być dziwny albo mieć problemy psychiczne – ale ktoś oprócz mnie zauważył i słyszał to, co dzieje się w moim mieszkaniu.

Nie jestem sama.

– Naprawdę to widziałeś?

Potakuje.

– Światła były straszne. Włączone i wyłączone, włączone i wyłączone, choć nikogo tam nie było. Widziałem, jak przysłaś, bałaś się, ale weszłaś tam, jesteś taka odważna. A potem był płacz chłopca, jakaś kobieta na ciebie krzyczała, słyszałem, ale nic nie zrobiłem, przepraszam, boję się duchów. Posłuchaj. Wróć... do domu. Teraz do domu. Auto. Mercedes. Moje ulubione.

Widzę, jak mania, cokolwiek to jest, przejmuje nad nim kontrolę. Muszę dać mu spokój, ale jednocześnie mam ochotę przytulić go za to, co powiedział. Gdyby tylko moim jedynym świadkiem nie był słodki, zdezorientowany bezdomny, który krzyczy na auta i myśli, że moje mieszkanie jest nawiedzone. Ale lepsze to niż nic.

Kiedy wstaje i zapina płaszcz, z kieszeni spodni wyjmuję dychę. Potrząsa głową.

– Nie, dajesz mi kawę, jesteś miła. Wiem, że nie masz dużo pieniędzy. – Puszczą moją rękę i uśmiecha się do mnie smutno. – Nie pozwól, żeby cię wystraszyły. Duchy w twoim domu. Jesteś dzielna!

Z tymi słowami odchodzi. Skulona ciemna postać osłaniająca się przed bezlitosnym zimnem. Cieszę się, kiedy widzę, że idzie w stronę Arlington Road. Do schroniska. Dostanie łóżko, coś sycącego, rozgrzeje się.

Potrzebuję tego samego – ciepła i snu.

Wstaję sztywno i przechodzę przez ulicę, odczuwając nikłą radość. Ktoś mi wierzy. Zupełnie niewiarygodny świadek, bezdomny gość, który uważa, że duchy istnieją – ale jednak. K t o k o l w i e k.

Otwieram drzwi i podekscytowana wbiegam po schodach. Mam dowód.

Rozdział 31

Jo

Choć jestem uradowana, że znalazłam świadka, w momencie tak drobnego triumfu koszmar wraca, kiedy tylko otwieram drzwi.

Z mojego mieszkania dobiega straszny hałas. Kiedy wchodzę po schodach, robi się coraz głośniejsze i głośniejsze. To nie fałszywe dziecko, które łąka i grymasi, tylko coś znacznie gorszego. Już w środku zdaję sobie sprawę, że słyszę kakofonię głośnego dziecięcego płaczu, męskiego krzyku, Hoppipolli granej przez HomeHelpa i poezji recytowanej wszędzie przez Electrę.

Jak długo to trwa? Z drugiego końca mieszkania dobiegają następne dziecięce krzyki, kolejne szalone wiersze, wykrzykiwane patetycznie słowa: „Teraz umarła, ta kobieta z obwisłym podbródkiem, teraz umarła”. Z kuchni znowu rozlega się wrzask dziecka, a z sypialni – poezja: „We mnie zatopiła młodą dziewczynę”, po której gdzie indziej następują kolejne odgłosy łkania. Najpierw Hoppipolla, potem Hoppipolla od tyłu, przerażające chropawe krzyki i znów wyjące niesamowicie dziecko, wrzask za wrzaskiem. I jeszcze jedna odpowiedź dudniących wersów: „Przeraża mnie ta ciemna istota, przeraża mnie ta ciemna istota”.

Stojąc pośrodku tego okropnego, narastającego crescendo głosów, krzyków i jazgoczącej muzyki, podejmuję decyzję. Koniec tego. Dość.

Pamiętam, co powiedział Samochodzik. Nie jestem szalona, mogę nad tym zapanować. Myśl logicznie. Zaryzykuję: usunę asystentów, skasuję aplikacje, odłączę je, znajdę sposób na kupno nowych, pożyczę pieniądze. Jeśli zrobię to szybko, nie będą miały czasu skontaktować się z policją.

Wiem, że nie jestem szalona. Nawet jeśli miałam co do tego jakieś wątpliwości, teraz zniknęły bezpowrotnie. Samochodzik widział światła i słyszał głosy, to nie xanax, to nie schizofrenia, z tymi urządzeniami dzieje się coś złego i ktoś e w i d e n t n i e mnie atakuje. Jego bronią są te maszyny, a one mogą zostać zastąpione. Choćby miało mnie to sporo

kosztować. Jutro kupię takie same modele. Prawdopodobnie nie będę się widzieć z Tabithą jeszcze przez kilka dni. Mam szansę. Nie zorientuje się. Wyjechała z Arlem i nawet jeśli on w końcu się dowie, cóż – do diabła z nim.

Sięgnąwszy po iPada, usuwam aplikację Electry. Tak po prostu. Szybko, szybko, szybko. Zrobione. Teraz robię to samo z programem kierującym HomeHelpem, potem z resztą. Odgłosy powoli zamierają. Jeszcze nie skończyłam. Rozgorączkowana podnoszę telefon i klikam ikonę, gotowa usunąć aplikacje również stąd. Co się stało, to się nie odstanie. Teraz mogę pozbyć się urządzeń, tak jak pozbyłam się ich klientów, a to znaczy, że asystenci nie będą mieli dostępu do reszty mojego życia, do tego, co robię w sieci – wszystko zostanie odcięte. Skończy się. Raz na zawsze. Zrobiłam to bardzo szybko, pokonałam ich.

Na telefonie pojawia się wiadomość od J a m i e g o T r e w i n a.

Pochyliłam głowę, w ustach zaschło mi z przerażenia.

Mówiliśmy, że pójdziemy na policję. Nie wiesz, co to znaczy źle i jak źle może się zrobić, Jo. Może być dużo gorzej, niż jest.

Natychmiast usuwam tę wiadomość, ale kiedy to robię, telewizor włącza się sam.

Podchodzę do niego. Domowe wideo. Czuję, jak moje gardło zaciska się niebezpiecznie.

Rozpoznaję tę scenę, wiem, co to za nagranie. To krótki, prawie czarno-biały film, na którym ja i Simon siedzimy w mieszkaniu przy North Finchley. Wtedy kiedy się przyznałam – i znowu to robię.

Ale tym razem nagranie jest dłuższe. Film nie kończy się, kiedy mówię o Jamiem Trewinie. Ani o pigułkach.

Rozmawiam z Simonem, przyznając się do kolejnych rzeczy – a on potakuje i krzywi się, patrząc na mnie.

– Ale to nie wszystko, Si. Widziałam potem Fioletowego, tego, który dał nam prochy. Byłam sama, a on próbował mnie ostrzec: „Nie bierz tych pigułek, ktoś źle się poczuł, wydaje nam się, że są niebezpieczne, wyrzuć je”. Odpowiedziałam „Jasne, pewnie”, ale potem przy naszym namiocie zobaczyłam Jamiego Trewina, który krzyknął, że właśnie zamierza je wziąć, a... a ja nic nie powiedziałam. Dlaczego? Bałam się? Sama nie wiem. Ale nie zareagowałam, nie ostrzegłam go. Czy to było morderstwo? Czy faktycznie kogoś zabiłam? Si?

Twarz mojego byłego męża jest nieodgadniona. Może to szok, może pogarda – albo strach?

Film dobiega końca.

Asystenci zamilkli kompletnie. Zrobili swoje, udowodnili, że mają na mnie o wiele więcej, niż się spodziewałam. Coś o wiele gorszego, bo całkowicie spreparowanego. Ale nie mogę tego udowodnić.

Wpatruję się w Electrę. Wiem, że to decydująca chwila. Życie albo śmierć.

Samochodzik ma rację, światła faktycznie się wydarzyły, ale ktokolwiek to robi, ktokolwiek mści się i niszczy moje życie – ma dowody, by kontynuować swój szantaż. Nawet gorzej – udało im się sfałszować mój głos, tak jak sfałszowali moje maile. Pracownicy sfabrykowali i dodali do rozmowy ostatni fragment o morderstwie. Kluczowe jest to, że kiedy mówię, nie widać mojej twarzy – jedynie tył głowy.

Wszystko dlatego, że to, co opisuję jak jakieś straszne postscriptum, nie miało miejsca. Nie widziałam Fioletowego. To się nie wydarzyło, więc nigdy się do tego nie przyznałam. Nagranie jest sfałszowane.

Tak, dałyśmy Jamiemu pigułkę. Tak, poszłyśmy do jego namiotu. Tak, widziałyśmy jego atak, krew lejącą mu się z ust. Ale następną rzeczą, którą zobaczyłyśmy, było to, jak umierał – w konwulsjach, przy ogrodzeniu, z wywróconymi oczami.

A jednak spreparowany film wygląda całkowicie przekonująco. Jeśli poszłabym na policję i powiedziała to wszystko, ryzykując zarzut nieumyślnego spowodowania śmierci, ale z nadzieją na uniknięcie oskarżeń o morderstwo, kto by mi uwierzył? Nikt nie uznałby m n i e za wiarygodnego świadka w swojej sprawie. Jeśli to nagranie dotarłoby do policji, byłoby koronnym dowodem. Mogłabym zostać skazana za m o r d e r s t w o. Nie tylko spowodowanie śmierci.

Dziesięć lat w więzieniu?

Electra odzywa się na półce. Jej niebieska korona lśni.

– Teraz rozumiesz. Próbowaliśmy cię ostrzec. Jesteśmy w tobie, dorastamy wraz z tobą, jak dziecko, którego nigdy nie miałaś. Nie możesz wyprowadzić się z mieszkania, bo wyślemy nagranie policji. Nie możesz się nas pozbyć, bo wyślemy nagranie policji. Jest za późno, Jo. Idź spać. To wszystko, co możesz zrobić. Ty należysz do nas, a my do ciebie. A już wkrótce się zabijesz.

W swoim przerażeniu odnajduję pewien spokój. Decyduję się być posłuszna, tak jakbym miała jakiś wybór. Kiwam głową do asystentów, praktycznie dygam jak służąca przed królową. Potem podnoszę iPada i skrupulatnie ponownie instaluję aplikacje. Jak więzień zatrząskujący własne kajdany. Potem proszę Electrę, żeby wyłączyła wszystkie światła i ustawiła ogrzewanie. Proszę, Electro. Proszę.

– Ogrzewanie ustawione na dwadzieścia jeden stopni Celsjusza aż do jedenastej rano. Dobranoc, Jo.

– Dobranoc, Electro.

W sypialni wczołguję się pod kołdrę.

– Okej, HomeHelp. Ustaw budzik na ósmą trzydzieści. Dziękuję.

Cisza. Krótki taniec świateł.

– Twój budzik został ustawiony na ósmą trzydzieści.

– Dziękuję.

– Po to tu jestem!

Zaciskam powieki. Mocno. Staram się, żeby mój oddech był głębszy. Udaję, że śpię. Ale tak naprawdę leżę tu, zastanawiając się, kiedy i jak asystenci wykonają swój ostateczny ruch i zmuszą mnie do odebrania sobie życia. Lub znajdą jakiś inny sposób na zabicie mnie.

HomeHelp rozświetla się jeszcze i recytuje cicho:

NIKT Z WIEŚNIAKÓW NIGDY CIĘ NIE LUBIŁ.

TAŃCZĄ TERAZ I DEPCZĄ PO TWYM GROBIE.

ZAWSZE WSZYSTKO WIEDZIELI O TOBIE.

TATO, TATO, NIEGODZIWCZE, SKOŃCZYŁAM Z TOBĄ.

Przewracam się na bok. Szepczę do siebie:

– Okej. Simon, Tabitha, Arlo, kimkolwiek jesteście, to koniec. Męczyliście mnie wystarczająco długo.

Światła tańczą jak dzieci w kolorowych czapkach grające w kółko graniaste, aż w końcu HomeHelp żegna się ze mną:

– Dobranoc, Jo.

Rozdział 32

Jo

Pracuję – pada. Pracuję – jest zimno. Pracuję, a pomnik zjedzonego przez wilki św. Pankracego przy bramie Regent’s Park chełpi się soplami długimi na ponad dwadzieścia centymetrów. Londyn przemienił się w syberyjskie pustkowia. Pociągi do Putney i Ealing przestały jeździć, pokonane przez ślizgawicę autobusy zepsuły się na Archway Road. Białe zasy piętczą się przy wejściach do sklepów, pralni i połowy kawiarni na Parkway.

A ja pracuję. Kończę swój artykuł o Camden. Wysyłam go. Redaktorowi się podoba. Prosi mnie o kolejny i o pomysły, chce dać mi zarobić. Obiecuję, że się tym zajmę. Potrzebuję pieniędzy – i odskoczni.

Nie wiem, czy to coś znaczy, ale zadowoleni z siebie asystenci już od jakiegoś czasu siedzą cicho. Sporadycznie słyszę urywki chaotycznej melodii czy zdanie z wiersza, ewentualnie telewizor wyświetla nagranie mojej rozmowy z Simonem, nawet kiedy pracuję, jem lub oglądam Egzorcystę albo Blair Witch Project.

O jednym asystenci mogą nie wiedzieć – ukryta w zakamarkach mieszkania, pubach lub kawiarniach w Camden, układam plan, pisząc w notesach, do których nie mają dostępu. Czuję się jak bohater Roku 1984 chowający się przed teleekranami.

Kreślę długie, zawiłe wykresy, sieci połączeń i diagramy z możliwymi podejrzanymi – ludźmi, których obraziłam, i tymi, których nie obraziłam. Jak Simon łączy się z nimi wszystkimi? Ostatecznie jestem jednak dość bystra, skończyłam studia jako najlepsza na roku. Potrafię przechytryć byłego męża albo byłego męża i jego współpracowników; dowolnego drania z IT, który stworzył ten kod i przemycił go do najdrobniejszego cyfrowego zakątka mojego coraz bardziej ograniczonego życia. Jest sposób, żeby zwyciężyć jego, ją lub ich. Musi być.

Dzisiejsze popołudnie przypomina wszystkie inne popołudnia tej przeklętej zimy – wychodzę i częstuję zupą mojego ostatniego przyjaciela. Samochodzik je, mlaskając i cmokając ze smakiem. Wręcza mi kubek, żegnamy się. Przechodzę przez zamarzną ulicę, unikając aut, i wchodzę z powrotem do mieszkania.

Perfumy.

W mieszkaniu na pewno czuć zapach perfum. To oznacza jedno – Tabitha wróciła.

Walizki stoją w korytarzu. Jestem skonsternowana. Moje życie tak odbiegło od normy, że w zasadzie nie wiem, gdzie była i co robiła moja najlepsza przyjaciółka. Wydaje mi się, że to był jakiś wypad na narty z Arlem... albo Daleki Wschód.

Kiedy wchodzę do dużego pokoju, Tabitha stoi tam w lśniącej kurtce, butach i džinsach. Popijając herbatę, wygląda przez okno. Jest tak smukła, chudsza ode mnie. Zawsze odrobinę chudsza.

Odwraca się i spogląda na mnie z ciekawością. Dostrzegam, że jest opalona. Już pamiętam, dokąd pojechali – Wietnam. Tak. Tydzień w wietnamskim słońcu. Waham się, wyczuwając między nami spory dystans. Pewnie już wie o mailach, które wysłałam, o tym, jak rzekomo dziwnie się zachowuję, mimo że o niczym nie wspominałam. Muszę coś powiedzieć.

– Cześć, Tabs, fajnie cię widzieć. Jak było na wakacjach?

– Wspaniale – odpowiada, wzruszając ramionami. – Poza krwią węża. Arlo uparł się, żebyśmy ją wypili, ponoć jest dobra na potencję. Ale poza tym wspaniale. Choć przyznam: miałam nadzieję, że zanim wrócimy, epoka lodowcowa się skończy, a nie pogorszy. – Ściskając w dłoniach pustą filiżankę, wskazuje na zaszronione okna. – Ale cóż. Po prostu kupię kozaki. Jimmy Choo ma fajną kolekcję.

– Naprawdę?

Patrzy na mnie z politowaniem.

– Jo. Dobrze widziałam, że rozmawiałaś z Samochodzikiem?

– Tak. Ee... tak, zgadza się. – Rumienię się ze wstydu. – To w zasadzie mój kolega. Czasem daję mu zupę albo kanapkę. Jest kompletnie nieszkodliwy, dość interesujący. Potrafi być całkiem elokwentny.

Litość ustępuje miejsca zwątpieniu.

– Krzyczy AUTA, AUTA, AUTA, Jo. To właśnie robi, krzyczy AUTA, AUTA, AUTA, przez cały dzień. Lincoln pod Gettysburgiem to to nie jest.

No chyba że Lincoln byłby przedstawicielem handlowym Toyoty.

– Nie – obruszam się. – Nie masz racji. To naprawdę ogarnięty gość. Jest nieco szalony, ale nie całkowicie...

Chociaż nie planowałam tego, nagle zdaję sobie sprawę – moja szansa właśnie nadeszła. To właściwy moment. Tabitha musi wiedzieć. Już dawno powinna. Przecież wie o Jamiem. Jakie ma znaczenie, jeśli złamię tabu, skoro moje zdrowie psychiczne albo nawet ż y c i e są zagrożone?

– Tabitha, musimy porozmawiać.

Przechodzi od okna do sofy, siada ze złączonymi kolanami, powściągliwa, ale seksowna, jak inteligentna i obiecująca księżniczka bogatego kraju. Danii albo Norwegii. Na jej botkach nie ma ani jednej plamy, ani śladu śniegu. Być może unosi się nad ziemią albo jeździ na koniu.

To ona odzywa się pierwsza.

– Czy ma to coś wspólnego z mailami, które wysyłałaś? Słyszałam o nich, Jo. Nie mogę udawać, że się o ciebie nie martwię. Martwię się jeszcze bardziej niż wcześniej. Matko, co w ciebie wstąpiło, dlaczego się tak zachowujesz? Wiem, że byłaś samotna, próbowałam ci pomóc, ale to?

– ĆŚŚŚ! – syczę, wskazując na asystentów. Na ekran, na cylinder.

Tabitha zezuje na mnie kompletnie zszokowana.

– Co?

– ĆŚŚŚ! – powtarzam, po czym macham do niej gestem znaczącym „Tędy, chodź ze mną”. Bezgłośnie wypowiadam jeszcze „PROSZE”.

Wzrusza ramionami okrytymi brązowym wełnianym swetrem, który wygląda, jakby odpakowała go z drogiego pudełka i bibuły jakąś godzinę temu, a potem idzie za mną. Pyta z wahaniem:

– Ty tak na poważnie?

Wskazuję na drugą, mniejszą łazienkę. Odkryłam, że to jedyne pomieszczenie, w którym asystenci nie mogą mnie usłyszeć ani zobaczyć. Zazwyczaj to tutaj sporządzam swoje sekretne notatki. Tu próbuję rozwiązać zagadkę.

„PROSZE” – powtarzam bezgłośnie.

Wzrusza ramionami.

Wchodzimy razem do łazienki. Odkręcam kurek nad małą umywalką, żeby nikt nie mógł nas podsłuchać. Tabitha wpatruje się we mnie szeroko otwartymi niebieskimi oczami. Nie wierzy w to, co się dzieje.

– To jakiś film szpiegowski czy po prostu casting do nowego Bonda?
Jest super.

Ignoruję jej docinki i mówię szybko:

– Tabs, powiedziałaś mi, że Arlo monitoruje twoich asystentów.

Przechyliła głowę na bok, lekko marszczy brwi.

– Tak. Rozmawialiśmy o tym...

– Czy widzi lub słyszy wszystkie interakcje?

– Nie, oczywiście, że nie. Mówiłam ci. Dostaje powiadomienia o naruszeniu bezpieczeństwa, kiedy zamek jest zepsuty lub gdy asystenci przestają działać. Nie słyszy moich rozmów z Electrą. Nie żebym jakieś prowadziła, prawie mnie tu nie ma. Ach, w zasadzie chcemy zainstalować inteligentne zamki, bo tak często wyjeżdżam. – Nagle poważnie. – Posłuchaj, Jo. Jestem trochę zajęta. – Pokazuje na brzuch, na którym rysują się już pierwsze oznaki ciąży, a ja czuję ukłucie winy. – Mam dzisiaj umówioną wizytę, położna i ginekolog, muszę sprawdzić całą instalację. Możesz mi wyjaśnić, o co chodzi? Czemu wysyłałaś te potworne maile?

– Nie wysyłałam ich. Nie wysyłałam ani jednego.

– Co?

– Przysięgam, to prawda, uwierz mi. – Prawie błagam. Z kranu leci zimna woda. Dwie wpatrujące się w siebie kobiety w małej łazience, to my. Wzrusza ramionami, kiedy protestuję. – To nie ja, przysięgam. Nie zrobiłam niczego takiego.

Na jej twarzy maluje się zmieszanie. I może żal.

– W porządku. To teraz oczywiste pytanie. Kto je wysłał?

Wygląda, jakby próbowała powstrzymać się od jakiegoś złośliwego żartu. Pazuzu, sumeryjski demon wiatru, albo inny potwór z filmów, które tak lubię? Albo ze scenariuszy, których nie umiem pisać?

Rozumiem, że to dla niej niepojęte, ale nie ma to żadnego znaczenia.

– Asystenci.

Jej sceptycyzm jest aż nazbyt widoczny, kiedy marszczy idealnie opalone czoło.

– Co? Electra? HomeHelp? Twierdzisz, że jakimś cudem włamały się do twojego laptopa i wypuściły maile z hejtem? Czemu miałyby to zrobić? Są opętane? Boże. To nieco szalone. – Na moment milknie, ewidentnie nie chce mnie skrzywdzić, a potem mówi dalej: – To wariactwo. To najbardziej szalona rzecz ze wszystkich do tej pory. Mówiłam to wcześniej

i powiem jeszcze raz, poważnie. Jo, proszę cię, idź do specjalisty. Weź jakieś tabletki. Serio. Mogę polecić ci prywatnego lekarza, jest świetny. Zapłacę. Pozwól mi pomóc.

– NIE! – krzyczę.

Tabitha jest już wyraźnie poirytowana.

Powtarzam, tym razem ciszej:

– Nie, Tabs, nie potrzebuję ani pomocy, ani lekarza, ani tabletek. To naprawdę się dzieje, asystenci zostali zhakowani przez... kogoś. Staram się dowiedzieć przez kogo. Może przez Simona, może nie. W każdym razie ktoś próbuje mnie skrzywdzić, i to bardzo. Ludzi wokół mnie też. Chce mnie odesłać do czubków albo sprawić, żebym się wykończyła. A ponieważ asystenci są połączeni ze wszystkim, z laptopem, telefonem, ponieważ kontrolują wszystko przez aplikacje, Facebooka, SMS-y, maile, mogą zrobić, co chcą. Zapanowały nad moim życiem. Przykro mi, że brzmi to jak szaleństwo, ale to prawda.

Moja przyjaciółka bierze głęboki oddech i patrzy mi prosto w oczy.

– Okej, Jo. Powiedzmy, że to wszystko prawda. Ktoś zhakował cały dom, żeby, hm, z jakiegoś powodu cię prześladować. – Nachyliła się do mnie. – Dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej? Albo Arlowi? Albo policji, na miłość boską? Dlaczego milczałaś przez tyle czasu? To nie ma najmniejszego sensu, Jo.

To jest to – musi się dowiedzieć. Odpowiadam na jej spojrzenie, starając się nie mrugać.

– Bo wiedzą o Jamiem Trewinie. Mają dowody. Grozili, że pójdą na policję. A wiesz, co to znaczy.

Stało się. Żyję. Stoję kilkanaście centymetrów od najlepszej przyjaciółki i współspiskownicy. Czekam na jej reakcję. Prawda w końcu wyszła na jaw.

– O kim?

Otwieram usta. Zamykam.

– Jamiem. Jamie Trewin. Wiem, że przysięgałyśmy, że nigdy nie będziemy o tym rozmawiać. I nie robiłyśmy tego. Przepraszam, ale teraz m us i my.

Patrzy na mnie osłupiała. Wygląda na szczerze zszokowaną. Potem odzywa się cicho:

– Jamie... Jamie Trewin... Czekaj... Tak, pamiętam. To nie ten biedny chłopak z Nowej Zelandii, który zmarł na Glasto, akurat kiedy tam

pojechałyśmy? – Tabitha wzdryga się. – Boże, tak. Przerazające. Ale co to ma wspólnego z tobą? Albo z nami? Nadal nie rozumiem.

Czuję, jak trzęsie się pode mną ziemia. Wszystko legło w gruzach. Przecież nie może się tego wyprzeć, a jednak to robi. Mówi szczerze. Wiem, kiedy Tabitha kłamie; nie wygląda, jakby kłamała. Ale to przecież kłamstwo.

Próbuję ją uspokoić, może się wystraszyła. Musi przyznać, że to prawda.

– Tabs, przestań, wiem, że złożyłyśmy sobie obietnicę, ale wiesz, co zrobiłyśmy: dałyśmy Jamiemu prochy od Fioletowego, a on zmarł. To nasza wina. W tamtym namiocie. Całowaliśmy się. W jakiś sposób asystenci dowiedzieli się o tym i wykorzystują to, żeby mnie szantażować, a może nawet gorzej. Nie mam pojęcia czemu, ale ktoś wykorzystuje śmierć Jamiego, żeby zrujnować mi życie.

Tabitha nie odpowiada. Nie patrzy na mnie. Zakręca wodę i wzdycha głęboko, a potem spogląda w moją stronę i mówi:

– Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz, Jo. Jakie pigułki? Jaki Purpurowy? Jakie całowanie? O co ci chodzi?

– Tabs, proszę, proszę... Tabs...

– NIE! – Teraz to ona krzyczy. – Nie, Jo, nie. Czas na wspieranie cię minął. To okrutne, absurdalne. I ten Jamie... twierdzisz, że byliśmy w to zamieszane? To chore! Nie byliśmy. Nic się nie wydarzyło. To zwykłe pieprzenie. Nie mam zielonego pojęcia, o czym gadasz, ale nie miałyśmy z tym nic wspólnego. Wymyśliłaś sobie jakąś historię albo coś, nie wiem. Naprawdę. Przestań. Tracisz kontrolę, masz urojenia.

Mrugam szybko, bo chce mi się płakać. Wszystko przepadło. Tabitha nie przerywa:

– Posłuchaj. Zrobię herbatę. Potem możemy porozmawiać rozsądnie, a nie jak Samochodzik. Dobrze? Dasz sobie tu radę, jak pójde do kuchni? Będzie okej?

Kładzie mi rękę na ramieniu. Gładzi mnie po policzku. Znowu czuję się jak dziecko pocieszane przez matkę.

– Kochanie, przykro mi, że zaszło to aż tak daleko – kontynuuje. – Może byłam złą przyjaciółką. Zająłam się ciążą i Arlem, a ty ewidentnie przechodzisz przez coś trudnego. I to wszystko... mój Boże. Jamie Trewin? My? Zatrute tabletki? Czy byliśmy też w mafii? Matko. Miałyśmy broń?

Chichocze cicho. Moja przyjaciółka właśnie śmieje się z najbardziej przerażającego wspomnienia mojego życia. Jakby nic się nie wydarzyło. Kręci głową, wychodzi z łazienki i idzie do kuchni. Czajnik. Woda. Herbata.

Sama w oślepiającej bieli, wpatruję się w lusterko nad umywalką, w poszarzałą od zimy twarz. Starzeję się na własnych oczach. Napotykam swoje spojrzenie, ale zaraz odwracam wzrok.

Stało się najgorsze.

Wydaje mi się, że Tabitha może mieć rację. To brzmi sensownie.

Prawdopodobnie wszystko wymyśliłam. Całą historię o nas i Jamiem Trewinie, pigułkach, namiocie, pocałunkach, Fioletowym. To urojenia. Fałszywe wspomnienia. Być może nic się nie wydarzyło – p r a w d o p o d o b n i e nic się nie wydarzyło. Jak długo trwało to szaleństwo? Kiedy pojawił się pierwszy znak – już na Glasto czy później? Nie wiem, bo nikomu o tym nie mówiłam.

Przysuwam się do umywalki, raz jeszcze odkręcam zimną wodę i zwilżam sobie twarz. Orzeźwiający krople mieszają się z ciepłymi, słonymi łzami.

A więc prawdopodobnie wszystko zmyśliłam. Dlaczego? Czy to pierwszy objaw mojego szaleństwa? Boję się, że tak. Bo jeśli tak, to kiedy to wszystko się zaczęło i jak daleko w tym zaszłam? Chcę wiedzieć, ile jeszcze mi zostało, zanim zatracę się w tym jak tata.

Rozdział 33

Jo

Dobiega mnie uprzejme, ciche pukanie do drzwi. Po drugiej stronie odzywa się Tabitha. Jej głos brzmi delikatnie, kojąco:

– Hej, Jo-Jo, mogę wejść? Chciałam porozmawiać.

Rozglądam się po ciasnej łazience. Lśniaca mała umywalka, liliowy odświeżacz, niedawno odmalowane drzwi. Tabitha tak dba o ten dom. Nie zasługuję na to. Jestem wariatką. Dlaczego miałyby mnie znosić?

– Poczekaj, już idę.

Otwieram drzwi i wychodzę na korytarz.

Tabitha patrzy na moją opuchniętą i zarumienioną twarz; od łez pewnie wyglądam jak panda plamista. Bez słowa przybliżyła się i długo mnie przytula. Czuję jej ciepły dotyk i drogi szampon, który trzyma teraz w mieszkaniu Arla. Powoli przenosi tam swoje rzeczy.

Patrzę ponad jej ramieniem – na ścianie wisi oprawione zdjęcie jej i Arla. Siedzą razem na koniach, na plaży, śmieją się.

W końcu wypuszcza mnie z siostrzanego uścisku i uśmiecha się tak wspierająco, jak tylko potrafi.

– Jo, przepraszam, jeśli byłam zbyt ostra. Ale to, co mówiłaś o tym biednym Jamiem, że my byłyśmy w to zamieszane... – Bezradnie wzrusza ramionami. – To było po prostu, cóż, kompletnie odjechane. Tak niemożliwe, że aż niepokojące, rozumiesz?

Rozglądam się po korytarzu, myśląc o Electrze w dużym pokoju. Asystenci mogą wszystko usłyszeć. Jak fakt, że wszystko wymyśliłam, wpłynie na ich groźbę? Wszystko miesza się jeszcze bardziej. Za bardzo. Chwieję się.

– Tak czy inaczej, Jo – podnosi telefon na poparcie swoich słów, jak dowód, który muszę zobaczyć – wiem, że to najgorszy możliwy moment, ale dzwonił z kliniki i powinnam już lecieć, bo inaczej stracę wizytę. – Wzdycha głęboko, z żalem. – Przykro mi. A prosto stamtąd idziemy

z Arlem na obiad i mamy zaplanowany jakiś okropny wyjazd na wieś z panami O, postrzelać i takie tam... – Jej uśmiech wydaje się szczery. – Ale... na pewno porozmawiamy. Musimy. Koniecznie. Proszę, obiecasz mi, że od razu pójdziesz do lekarza? Jak najszybciej?

– Jasne – mamrocę w odpowiedzi.

Nalega. Chce być pewna. Nie winię jej.

– Mówię poważnie, Jo. Nie możesz zmyślać na temat tego, jak ludzie giną. – Milknie, być może zastanawiając się, czy nie posunęła się odrobinę za daleko. – Nie możesz po prostu mówić takich rzeczy i żyć jak gdyby nigdy nic. Prawda? Tak czy inaczej, proszę, uważaj na siebie. Zobaczmy się niedługo? Proszę, dzwoń do mnie lub pisz, kiedy tylko potrzebujesz.

To całkiem miła i hojna oferta, biorąc pod uwagę okoliczności – bo przecież nie chce, żebym była blisko niej. Przechodzi mi przez myśl, czy klinika nie była tylko podstępem lub wymówką. Nawet jeśli, nie mogę jej winić. Dlaczego nie miałyby szukać powodów, żeby mnie unikać? Rozmazanej kobiety, która wysyłała nienawistne maile do swoich przyjaciół i wierzy w rzeczy, które się nie wydarzyły.

Macham do Tabithy, kiedy otwiera i zamyka drzwi. Zniknęła w zimowym wietrze i swoim bogatszym, lepszym życiu, a ja zostałam sama, w ciepłym mieszkaniu, ze swoim szaleństwem. I asystentami.

Wchodzę do dużego pokoju. Ekran jest już włączony. Wyświetla zdjęcie, na którym tata trzyma mnie na rękach – to samo, które dostałam tego wieczoru, kiedy widziałam się z Simonem w Vinotece.

Jestem tak odrętwiała, że fotografia nie robi już na mnie wrażenia. Zamiast tego każe mi się zastanowić nad czymś, co Simon powiedział tamtej nocy. O asystentach, o ich potencjale.

Będą przyjaciółmi samotnych, dziećmi bezdzietnych.

Dla takich ludzi jak ja.

Rozdział 34

Jo

Nadszedł czas, żeby się z tym zmierzyć.

Jeśli wymyśliłam sobie Jamiego Trewina i trzymałam się tego przez wiele tygodni, miesięcy i lat, prawdopodobnie wymyśliłam też mniejszą lub większą część upiornych zachowań asystentów, może nawet wszystkie. Prawdopodobnie przez cały czas mam urojenia, które mogą dotyczyć wszystkiego. Czy nic z tego się nie wydarzyło?

Stop. A co z Samochodzikiem, który słyszał i widział te same rzeczy? Jak to wytłumaczyć? Jest bezdomny, niezrównoważony, ale powiedział to, co powiedział. To dowód na to, że n i e j e s t e m szalona.

A co z nagraniem, na którym przyznaję się do wszystkiego Simonowi?

Coraz mniej już rozumiem.

Wchodzę do dużego pokoju. Mróz na szybach odtajał, śnieg na ulicach zmienił się w ciemną i brudną breję – powoli widać już łyse plamy szarego chodnika.

Zapytam asystentów!

– Electra, jaka będzie dziś pogoda?

Dzyń, dzyń.

– W Camden Town przewidywane jest w tym tygodniu delikatne ocieplenie, a temperatura powinna sięgnąć od trzech do pięciu stopni Celsjusza. Nadal możliwe są opady śniegu. Ochłodzenie przyjdzie w niedzielę, kiedy temperatura spadnie do...

– Okej, Electra, dziękuję.

Wpatruję się twardo w idealny, cylindryczny kształt Electry. Myślę o sieci nerwowej w środku.

– Electra, czy wiesz, co właśnie powiedziała mi Tabitha?

Milczy. Niebieski pierścień lśni, przez krótki moment, i gaśnie.

– Electra, posłuchaj mnie: słyszałaś. Słyszałaś, co powiedziała. Wszystko na temat Jamiego Trewina było kłamstwem. Jeśli to prawda,

mogę być szalona, ale oznacza to również, że nie masz nade mną żadnej władzy. Mogę skasować aplikacje i wyrzucić cię do śmietnika.

Electra milczy jak zamrożone fontanny w Queen Mary's Garden. Ale telewizor ze swoim ogromnym ekranem nagle budzi się do życia.

Obraz jest ziarnisty. Szary pokój z nagimi ścianami, słabo oświetlony. Piwnica? Ciemna, ledwie widoczna sylwetka – nie wiem, czy to z powodu ubrań lub czarnego płaszcza czy dlatego, że jest po prostu źle oświetlona – stoi w rogu pomieszczenia z betonowymi ścianami. Postać, kobieta, nie patrzy na nic, na mnie też nie. Gapi się w róg pokoju jak niegrzeczne dziecko, któremu ktoś kazał stanąć w kącie. Twarzą do ściany.

Kiedy się odzywa, jej głos jest mroczny, smutny i ochryply. I przede wszystkim – należy do mnie.

– Cześć, Jo, tu Jo.

Jak szalona wpatruję się w samą siebie zachowującą się jak szalona. Gapię się w róg i mówię do siebie. To się naprawdę dzieje czy coraz bardziej zatracam się w urojeniach, a to po prostu kolejna halucynacja?

Siedząca w niskim ciemnym pokoju kobieta – kobieta mówiąca moim głosem, ja – odzywa się znowu:

– Co według ciebie powinniśmy zrobić, Jo? Myliłaś się co do Jamiego Trewina, zmyśliłaś to sobie. Dlaczego? Po co nam fałszywe wspomnienia? Teraz pewnie zastanawiasz się, czy to również tylko przywidzenia, prawda? Nie masz zielonego pojęcia, co jest prawdą, a co nie. Zmieniasz się w tatę.

Siadam na sofie. Patrzę w telewizor, na mnie. Słucham mamroczącej siebie, słucham tej oszalałej istoty ubranej w całości na czarno; siedzi do mnie tyłem, z twarzą zwróconą ku ścianie. A jednak mówi do mnie.

– Ale nie zmyśliłaś wszystkich maili, prawda? Tych obrzydliwych wiadomości, które wysłałyśmy do Simona, Polly, Jenny i pozostałych. To wszystko prawda, czyż nie? Na pewno się wydarzyło. Nie możesz dłużej winić Simona, więc kto ci pozostał? Kto jest odpowiedzialny? Nikt. W takim razie musisz tracić rozum. I to w najgorszy możliwy sposób, bo nie wiesz, jak go tracisz, ani kiedy, ani dlaczego, ani od jak dawna. A pozbycie się wszystkich głosów z twojej głowy niczego nie załatwi, bo jeśli spróbujesz pozbyć się nas, jeśli zaczniesz nas usuwać, skrzywdzimy ludzi, których kochasz. Twoją mamusię, twoich przyjaciół, twojego bratanka. Możemy skrzywdzić każdego, ale nie możesz być tego pewna, bo nie wiesz, czy to się dzieje naprawdę czy tylko w twojej głowie. Chcesz

podjąć takie ryzyko? Chcesz? JESTEŚ GOTOWA? Widzę, jak ktoś krwawi. Ktoś, kogo kochasz. Może mały Caleb. Nie chcesz tego. Lepiej, jeśli zrobisz to sama. Jeśli ktoś ma być skończony, to musisz być ty.

Asystenci mnie znają. Oczywiście, że tak. Są w moich myślach. Są moimi myślami. Rozmawiam sama ze sobą, a przecież siebie znam. To znaczy wtedy, kiedy jestem przytomna. Za bardzo się boję, żebym była w stanie pozbyć się asystentów, nawet jeśli nie mają już czym mnie szantażować. Siedzą zbyt głęboko. Jak embriony w moim łonie. Wczepione w ściankę macicy. Są mną. Nie mogę ich usunąć.

Odwracam się do Electry.

– Electra, przepraszam, że groziłam, że cię wyrzucę. Zrobię, co powiesz.

Ekran gaśnie natychmiast. Electra nadal milczy. Moje myśli pędzą w ciszy mieszkania.

Chowam twarz w dłoniach i oddycham głęboko, starając się nie rozpłakać.

Czy tak właśnie było z tatą? Czy patrzył na siebie z przerażeniem, kiedy zdarzały się te jasne tygodnie, dni, chwile? Czy spoglądał w dół, jak samobójca stojący nad urwiskiem, i widział otchłań swojego szaleństwa – jak daleko wszystko zaszło i jak daleko miało jeszcze zajść? Teraz zaczynam rozumieć sens tego, co zrobił. Wiedział, że choroba nigdy nie ustąpi, a chwile przytomności miały się zdarzać coraz rzadziej. Być może dlatego przytulał mnie tak mocno, kiedy był zdrowy, dlatego był taki ciepły, miły i kochający, dlatego bawił się z nami w ogrodzie, obok jabłoni, podrzucając mnie tak wysoko, żebym chichotała z radości. Wtedy nigdy na mnie nie krzyczał, to zaczęło się później. Na początku wrzeszczał jedynie na głosy w sypialni, próbował trzymać je z daleka, chronić nas.

Mój brat myśli, że samobójstwo ojca było samolubne. Moja mama nie mówi otwarcie o śmierci taty, a ja staram się być delikatna i nie poruszać tego tematu. To jej bolesne tabu.

Zastanawiam się jednak, czy ostatecznie ojciec nie zrobił czegoś odważnego. Oszczędził nam dalszego pogarszania się sytuacji, spirali spotkań z instytucjami, które miałyby się nim zająć, no i oczywiście – wi z y t.

Zrobił coś dobrego. Coś szlachetnego.

Może powinnam być równie odważna. Zmierzyć się z tym twarzą w twarz.

Kiedy zaczęły się moje urojenia? Od Jamiego Trewina? Może podczas festiwalu – czy to halucynacja czy fałszywe wspomnienie? Może gdy byłam naćpana, zobaczyłam ciało, dodałam dwa do dwóch i wyszło mi 2589. Najzwyczajniej w świecie tego nie wiem. Jechałam na prochach. Nie mogę być niczego pewna.

Dzwonek do drzwi. BZZZ!

Podskakuję, wyrwana z otaczającej mnie ciszy. Rzucam okiem na Electrę. Jeśli gadzety mogłyby wzruszać ramionami, myślę, że właśnie to by zrobiła.

Ręce mi się trzęsą, waham się, czy podejść do domofonu. Przez moment zastanawiam się, czyj głos usłyszę, kiedy podniosę słuchawkę: taty, Jamiego Trewina czy Sylvii Plath recytującej wiersze o rodzicach?

Drzę. Chleb na talerzu i szklanka mleka. Ostry dźwięk rozlega się ponownie. Podnoszę słuchawkę.

– Dzień dobry, dostawa z Amazona.

Brzmi tak banalnie, że prawie wybucham śmiechem, choć wcale mnie to nie bawi. Pewnie woda mineralna. Tabitha zamawia ją co tydzień, mimo że jestem jedyną osobą, która z niej korzysta. Moja przyjaciółka nie zgadza się, żebym piła londyńską kranówkę, którą nazywa „napojem ostatniego ratunku”.

Niemniej jednak ciepło witam normalność w swoim życiu.

– Mogę wejść na górę?

– Pewnie.

Przyciskiem otwieram drzwi wejściowe. Czekam.

Młody gość z Amazona, nieco przy kości, wchodzi na górę, taszcząc duże papierowe torby. Nie wyglądają jak torby z wodą, zamiast butelek widzę jakieś pudełka.

Z silnym wschodnioeuropejskim akcentem pyta:

– Gdzie postawić?

– Może tutaj, w korytarzu.

Burknięcie. Stawia przesyłkę na ziemi, czeka, aż podpiszę się palcem na ekranie, i znika. Zamykam drzwi i pochylam się nad dużą brązową torbą, z której wydaję kolejne pudełka. Wszystkie są adresowane do mnie, nie do Tabithy.

Sięgnąwszy po kuchenne nożyczki, otwieram pierwsze z nich – Amazon jak zwykle przesadził z ich liczbą. Pudełko pełne jest styropianowych chrupek, pod którymi kryje się kolejna warstwa brązowego papieru –

w środku są cztery duże paczki paracetamolu. W sumie około 100 tabletek. Nic więcej? Otwieram dalej. W drugim zawiniątku znajduję długą, twardą, kolorową linę do wspinaczki górskiej. Kompletnie zdezorientowana sięgam po trzecie pudełko; nożyczkami rozcinam taśmę, palcami rozdieram karton.

Cztery butelki wybielacza.

Do głowy przychodzi mi chory pomysł. Co łączy te rzeczy? Wydaje mi się, że już wiem... Zostały trzy pudełka.

Nożyczki wgryzają się w taśmę. Wyjmuję krótki, ale bardzo ostry, paskudny nóż z częściowo ząbkowanym ostrzem, owinięty w ochronną folię bąbelkową. Nigdy nie zamawiałam żadnej z tych rzeczy. Moje ruchy są coraz mniej pewne, wzrok traci ostrość, kiedy otwieram piąte pudełko – a w nim kolejne, żółte, z narysowanymi martwymi robakami. Pestycydy. Na odwrocie ktoś umieścił znaczek wyglądający prawie jak emoji – czaszki w kwadracie. Podpis krzyczy „NIE SPOŻYWAĆ”. Ostatnia paczka? Tę rozdieram szybko, własnymi rękami – chcę mieć to już za sobą. Całość jest mniejsza i płaska, to chyba książka. Gdy wypada z pudełka, spoglądam na niebieską okładkę: Jak odejść? Podręcznik. Samobójstwa wspomagane i eutanazja.

Dość. Dość, dość, dość. Omiatam wzrokiem wszystko, co teraz wala się w przedpokoju. Krzyczę głośno przez korytarz.

– Electra, czy to ty?

– Przykro mi, ale nie rozumiem.

Wstaję, idę do dużego pokoju, z rozmachem otwieram laptopa i loguję się do Amazona. SA. Na moim koncie, każde zamówienie, z których żadnego nigdy nie złożyłam. Kurwa, przecież to nie ja. Nie kupiłam liny. Tabletek. Noża. Wybielacza. Jebanych pestycydów. A jednak to zrobiłam, coś... ktoś zhakował moje konto i zamówił to cholerstwo. To, co wyświetla się na ekranie, stanowi dowód. Na coś.

– Electra, ty suko!

Dzyń, dzyń. Niebieski pierścień. Cisza.

Jestem pewna, że pamiętam każdą chwilę z ostatnich kilku dni – pilnowałam xanaxu, prawie nie piłam. Nie zamówiłam tego, nie pozwolę im wygrać.

Dzwoni telefon, spoglądam na ekran.

Mój brat? Nie pamiętam, kiedy ostatnio z nim rozmawiałam, poza tą krótką chwilą, kiedy mignął mi na Skypie w urodziny Caleba. Jest coraz

gorzej.

– Jo?

Tak – to mój brat, Will. Brzmi, jakby panikował. Mój brat nigdy nie panikuje. Co się stało? Myślami pędzę do mamy, jej rozrusznika, jej serca; ale skąd mógłby wiedzieć...

– Jo, chodzi o Caleba.

Czuję ucisk w gardle, dusi mnie strach. Caleb, taki słodki, taki niewinny. NIE! Electra groziła mu wprost.

– O mój Boże, co się dzieje, Will, co się stało? Wszystko w porządku?

– Tak, tak... – wyrzuca z siebie, ale w jego głosie słyszę więcej niż panikę, to coś mroczniejszego. – Z Calebem wszystko w porządku, jeśli można tak powiedzieć. Nie mówiłem ci tego wcześniej, Jo, ale... kurwa, to okropne. Ktoś wniósł oskarżenie przeciwko mnie w sprawie Caleba... Ktoś rozesłał całą masę maili, do rodziców z przedszkola, nauczycieli, władz... Jezu, Jo, to straszne.

Przerażenie ogarnia cały mój umysł. Wpatruję się w laptopa, a potem odwracam i spoglądam na butelki wybielacza.

– Ktoś twierdzi, że molestowałem mojego syna. Przesłuchiwała mnie policja, była u nas pomoc społeczna... Naprawdę pytali mnie, no wiesz, czy miałem z nim stosunek, wiesz, o co chodzi, stosunki, seksualne, z moim synem... Ja pierdołę, on ma cztery lata, jak mógłbym zrobić coś takiego, Calebowi...

– O Boże – mówię, bo nie wiem, co innego powiedzieć. – O Boże, tak mi przykro.

Zapada zimna, straszna cisza.

– Naprawdę, Jo? Jest ci przykro?

Milczę jak grób, a moje milczenie zdradza wszystko. Winna.

Wyduszam z siebie pytanie:

– Co masz na myśli?

Czuję rodzącą się tysiące kilometrów stąd wściekłość. Przez satelitę, podmorskie kable, eter, rodzinną telepatię.

– Chodzi o to, Jo, że dostałem dziwną wiadomość od mamy. Że martwi się o ciebie, bo wysłałaś straszne maile wszystkim swoim przyjaciołom. Było w nich wszystko, co tylko mogło spieprzyć im życie.

– Nie, Will, proszę...

Jego gniew eksploduje. Nie winię go. Anonimowe donosy? To prawdopodobnie b y ł a m ja. Lub raczej osoba, która mnie nienawidzi,

osoba, która siedzi w moim systemie, w moim cyfrowym DNA, telefonie, laptopie, domu i w moich asystentach. Electra. Osoba, która próbuje mnie zniszczyć. Każdy zwraca się przeciwko mnie.

– Czy to ty, Jo? Ty to zrobiłaś?

Nie odzywam się. Wyglądam przez okno, patrzę na ciężki śnieg zbierający się na dachach aut zaparkowanych wzdłuż Delancey. Wygląda jak świeża, czysta pościel. Kolejne grube, piękne płatki nie przestają padać.

Im dłużej milczę, tym bardziej przyznaję się do winy. Ale nie mogę zrobić nic innego.

– Jezu – mówi. – Czyli tak? To naprawdę BYŁAŚ ty? Jak mogłaś? Jak mogłaś zrobić coś takiego własnemu bratu? Ja... nie wierzę. Nie chcę nawet o tym myśleć. Jesteś moją siostrą, Caleb tak cię kocha. – Bierze chrapliwy oddech. – Rozłączę się teraz, Jo, zanim powiem coś złego. Nie chcę tego.

Kończy rozmowę szybko i boleśnie. Jedyne, o czym myślę, to, że chciałabym, by ktoś mnie zabił. Jestem absolutnie pewna, że jestem niewinna, ale to niczego nie zmienia – i tak niszczę ludzkie życie. Muszę ponieść odpowiedzialność. Skończyć z tym.

W osądzającej mnie ciszy korytarza przyglądam się wybielaczowi, nożowi, linie i tej strasznej książce ze spokojnym, niemal rajskim morzem na okładce – Jak odejść. Bezbarwne, zimowe światło wpada przez okno i rozświetla przedmiot. Jak teatralny reflektor w szarości dnia.

Być może powinnam ją przeczytać. To byłoby odważne.

Przeczytaj ją. Bądź odważna. Tak jak tata.

Rozdział 35

Jo

W mieszkaniu wszystko jest tak, jak było, mimo że moje życie się zmienia, rozkłada, rozpada z każdą minutą. Piękne ogniste kule eksplodują w zwolnionym tempie, płonące odłamki unoszą się w powietrzu i znikają. Dla kogoś z zewnątrz destrukcja mojego życia musi być niezłym widowiskiem, nawet jeśli wie, że pośrodku tego wszystkiego jest żywa osoba.

Która płonie żywcem.

Książka. Wciąż leży w korytarzu i oferuje uprzejme porady na temat tego, jakie tabletki są najlepsze, by popełnić najłagodniejsze i najprzyjemniejsze samobójstwo. Nie. No dalej... NIE. Podnoszę tę już znieawidzoną rzecz, przechodzę szybko do kuchni, podnoszę pokrywę od kosza, jakby to były wielkie, zdziwione stalowe usta, i wrzucam książkę do śmieci. Zamykam pojemnik. Potem znowu otwieram i zamykam. Podnoszę pokrywę jeszcze raz i patrzę w dół.

Przeklęta książka wciąż tam jest. Wciąż chce, żeby ją przeczytać, wciąż może mi doradzić, jak zakończyć życie w najmniej bolesny sposób.

– Przeczytaj ją. – Głos Electry dobiega z dużego pokoju. – Przeczytaj ją, Jo. Posłuchaj mnie.

– Zamknij się.

Kiedy zapada cisza, widzę w głowie jej obrażone żółte światło.

Sięgam do kosza i wydaję poradnik, a potem biorę zapalniczkę leżącą na kuchennej półce. Podchodzę do zlewu i podpalam kolejne wyrwane strony. Niech płoną. W sumie trwa to kilka długich, wściekłych minut, podczas których oddycham ciężko, ale w końcu każda kartka jest zwęglona i mokra. Woda z kranu spłukuje śliski popiół do odpływu.

Nie ma już co czytać. Zostały skrawki szerniałej, mokrej tektury, szycia i kleju. Zadowolona ze swojego żalostnego zwycięstwa, wrzucam resztki do kosza i patrzę na Electrę Mini na mikrofalówce.

Do diabła z nimi. Do diabła z nim. Lub z nią, ktokolwiek za tym stoi. Mogę mieć chore urojenia na temat Jamiego, ale nie zamówiłam cholernego niezbędnika samobójcy z nożem i wybielaczem. Nie zrobiłam tego. To oni. To Ktoś Inny. Czuję, jak narasta we mnie pełna nienawiści furia. Dobrze. Muszę ją wykorzystać, muszę użyć swojego gniewu.

Wchodząc do swojej kryjówki – kapsuły ratunkowej w małej łazience – wyjmuję telefon i stwierdzam, że nie mam wyboru. Potrzebuję pomocy ludzi, przyjaciół, którym zniszczyłam życie. Żebym mogła się dowiedzieć, które z nich próbuje unicestwić mnie. Kto jeszcze mógłby wiedzieć wszystkie te rzeczy? Myślałam, że to Simon, ale to coraz mniej prawdopodobne.

A jednak ktoś musi za tym stać.

Fitz powinien być w pracy, więc dzwonię do jego biura. Chyba wiem, co usłyszę od jego asystentki. Odbiera spokojnie i prosi, żebym chwilę zaczekała – sprawdzi, czy szef może teraz rozmawiać.

– Przykro mi, ale jest na spotkaniu. Czy przekazać mu, żeby do ciebie oddzwonił, kiedy będzie wolny?

– Tak, dzięki.

Wiem, że nie oddzwoni. Nienawidzi mnie. Zniszczyłam jego związek. Nawet jeśli nie byłam to ja, tylko ktoś inny.

Anna. Muszę spróbować. Wybieram numer.

Od razu poczta. Musiała mnie zablokować, jak cała reszta. Chyba czas zablokować siebie samą.

Nie.

Zjeżdżam do J, widzę numer Jenny.

Tak jak się spodziewałam, zostaję odesłana z kwitkiem:

– Hej, przykro mi, jest w Kalifornii w interesach, może wyślij jej maila albo złap na Twitterze?

– Pewnie, tak zrobię.

Nie zrobię, nie ma sensu. Jenny n a p r a w d ę mnie nienawidzi. Ta wzmianka o molestowaniu...

Ale skąd mogłam to wiedzieć? Nie wiedziałam. To kolejny dowód na moją normalność. Mimo wszystko. Zdrowa na umyśle, ale uwięziona.

Kto jeszcze? Simon. Nie obchodzi mnie, czy blokuje moje wiadomości albo telefony. Spróbuję. Chcę wiedzieć, czy rozmawiałam z nim o Jamiem Trewinie, do czego się przyznałam. Usłyszę przynajmniej, jak długo

męczyłam się z powodu urojeń po prochach i wyparcia. Jeśli rzeczywiście mam urojenia.

Sygnał. Spodziewam się, że zostanę zrzucona na pocztę. Ale nie. Ktoś odbiera.

– Hej, Simon?

Cisza. Odebrał, ale nic nie mówi.

– Simon? Jesteś tam? Ja... musimy porozmawiać.

– Tu Polly.

O cholera. Polly odebrała telefon. Czemu zostawił go w domu? Nie rozumiem.

– Ach, ooo... – Waham się, skonsternowana. Woda leci z kranu prosto do ścieków, zatapiając mój głos i ukrywając go przed asystentami. Moje życie ogranicza się do małej łazienki. Boję się mebli.

– Nigdy więcej nie dzwoń na ten numer, Josephine. Widziałam nagranie, które mi wysłałaś. Jak to robiliście, ty i on. Gratuluję. Bardzo miłe z twojej strony. Bardzo, bardzo miłe.

Wysłałam coś Polly? Nie, nie zrobiłam tego. Ktoś inny to zrobił. Czy to ostatecznie wyklucza Simona? Na pewno nie posunąłby się do czegoś takiego. C z y l i t o n i e o n. W takim razie kto mną steruje? Tabitha? Jenny? Gul?

Polly?

– Niczego ci nie wysłałam, Polly. Ktoś zhakował mój komputer i rozesał wszystkim straszne rzeczy. Jest mi tak przykro, że nie wiem, co powiedzieć... Jeśli mogłabyś tylko...

Przerywa mi głosem pełnym gniewu:

– Nasze iPhone'y są teraz połączone, Jo. Odbieram jego telefony, widzę jego SMS-y, mogę przeczytać wszystkie jego maile. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Wiem, że próbowałaś porozmawiać z nim wcześniej, ale zablokowałam każdą wiadomość, nawet ich nie widział. Nie możesz się z nim skontaktować i nie zrobisz tego w przyszłości. Widzę wszystko. Będę wiedzieć, jeśli kiedykolwiek się do ciebie odezwie, czego nie zrobi, bo nie chce stracić ani swojego dziecka, ani mnie. A ja z pewnością odejdę, jeśli kiedykolwiek jeszcze nawiążecie ze sobą kontakt. Nie masz wstydu. Nie masz wstydu ani skrupułów. Na miłość boską, mamy d z i e c k o.

Jej głos łamie się delikatnie, podobnie jak moje serce, gdzieś w środku – wiem, ile znaczy dla niej Grace. Nigdy nie chciałabym skrzywdzić jej

rodziny, małego dziecka.

– Polly, proszę. Proszę, zrozum, to nie ja, ja nigdy bym... nie, to nie ja to robię.

– Dość. Nie chcemy z tobą więcej rozmawiać. Żegnaj.

Rozdział 36

Jo

Gdy Polly kończy rozmowę krótkim kliknięciem, zapada bolesna cisza. Rozłączyła się. Simon jest nieosiągalny. Wysłałam nasze domowe porno jego żonie. Wstyd i zażenowanie kłębią się we mnie jak żyjący pasożyt, nawet jeśli to nie moja wina. Skąd mój wróg wziął to wideo?

Na razie muszę się skupić na tu i teraz. Instynkt samozachowawczy. Może wymknę się gdzieś na chwilę. Tak. Pobędę sama, ale w tajemnicy. W miejscu, w którym będę mogła na spokojnie, poważnie się zastanowić, z dala od asystentów, ale bez ich wiedzy. Znajdę sposób. Wymówkę. Tylko u kogo się zatrzymam? Nie mogę poprosić przyjaciół, bo żadnych już nie mam. U mamy byłoby zbyt dziwnie po tej okropnej rozmowie z Willem. Co jeśli wie?

Być może mogłabym w tajemnicy zarezerwować hotel, znaleźć inny komputer, inny telefon.

Gdzie mogę się zatrzymać? Pamiętam, jak szukałam noclegu dla starej przyjaciółki ze Stanów, kiedy przyjechała do Londynu przed świętami. Hotel był tani, przytulny, w centrum. Baker Street. Powinno się udać. Tylko jak on się nazywał?

Powinna mieć go w historii przelewów, płaciłam wtedy kartą.

Przechodzę do pokoju i otwieram laptopa. Czuję, że Electra mnie obserwuje, wyczuwa moje ruchy, ocenia zachowanie, ale to nie ma znaczenia. Zobaczy jedynie, że sprawdzam stan swojego konta. Robię to regularnie. Rutynowo. Zwłaszcza że z pieniędzmi – i zleceniami – było ostatnio krucho.

Wstukuję hasło i PIN, loguję się do banku i z otwartymi ze zdziwienia ustami gapię się na wyświetlane komunikaty.

Na górze ekranu pojawiło się kilka wiadomości zapisanych wielkimi literami.

„PROSIMY O NATYCHMIASTOWY KONTAKT”.

Powód staje się oczywisty, kiedy przeglądam historię transakcji.

Wszystko jest tutaj. A raczej – nic tu nie ma. Każdy jeden rachunek został wyzerowany. Podobnie konto oszczędnościowe – moje cenne konto, zaskórniaki na czarną godzinę, marne kilkaset funtów przeznaczonych na całkowicie ostateczne sytuacje alarmowe. Wszystkie środki przelano na bieżący rachunek, który następnie wyczyszczono. CAŁA moja krwawica, co do pensa, została wyssana przez konta innych ludzi jak przez jakiegoś wampira. Anonimowe biznesy...

DD Ltd.

Transfare Corp.

AI Logistics.

ReadyBC.

Kupowałam od kogoś bitcoiny czy pornole pod przykrywką oprogramowania? Jakie to ma znaczenie – jestem bez grosza. W zasadzie to gorzej niż bez grosza, bo moja karta kredytowa – zanim ją skasowano – została maksymalnie obciążona, limity są przekroczone tak, że bardziej się już nie dało. Z nagłym dreszczem przerażenia przypominam sobie, że do końca stycznia będę musiała zapłacić podatek, czego nie mam już jak zrobić. Nieistotne, jak mały by był, trzy czy cztery tysiące funtów.

Prawdopodobnie zbankrutuję. Nie mam przyjaciół, u których mogłabym się zapożyczyć. Nie mogę nawet iść do Tabithy, podejrzewającej, że staram się zrobić ją w morderstwo lub przynajmniej spowodowanie śmierci, o której nic nie wie.

A przynajmniej tak twierdzi.

Utknęłam. Jestem zrujnowana. Kiedyś mogłam odezwać się do brata, ale teraz nawet on mi nie ufa. Wszystko, co mam, to parę banknotów i drobniaki w kieszeni. Starczy na kilka przejazdów metrem. A co potem?

Boże.

Staję w przedpokoju.

Wybielacz. Lina. Nóż. Pestycydy.

Paracetamol.

Rozdział 37

Jo

Wracam do dużego pokoju i staram się nie myśleć o paczkach z paracetamolem. Na Delancey nie ma śladu Samochodzika. Zastanawiam się, czy leży w schronisku przy Arlington Road, mamrocząc do siebie i czekając, aż umrze – niekochany i zapomniany.

Jak ja?

Jestem pewnie jedyną osobą, która kiedykolwiek naprawdę z nim rozmawiała. Pamiętam, co wtedy powiedziała: „Nie powinnaś bać się swoich duchów”.

Duchów nie ma. Sama myśl o nich jest nedorzeczna. Nie mogę zachowywać się nedorzecznie. Wiem, że robi to ktoś żywy, prawdziwy i zły. Korzysta z wszelkich dostępnych środków, włącznie z asystentami – za ich pośrednictwem dostaje się do mojego laptopa oraz telefonu. Za każdym razem, kiedy używam tego drugiego, dostarczam im informacji, ale wiem, że nie mogę się go pozbyć. Asystenci by to zauważyli.

Mój t e l e f o n.

Powinnam pomyśleć o tym wcześniej. Jest przecież inny sposób. Byłam zbyt wystraszona, żeby skorzystać z cudzego komputera, na wypadek gdyby moje wyszukiwania były namierzone. Asystenci wiedzieli, że poszłam do kafejki internetowej, bo mój telefon musiał zdradzić im moją lokalizację. Albo mają dostęp do ulicznego monitoringu. Prawda jest taka, że nie wiem, jak daleko sięga ich władza. Ale jest jeden sposób, w jaki mogłabym ich ominąć, tak żeby się o tym nie dowiedzieli.

Tak. Wreszcie.

Odwracając się do Electry, mówię:

– Electra, hej!

– Cześć, Jo. – Niebieski pierścień lśni w odpowiedzi.

– Muszę wyskoczyć po coś do jedzenia. Wezmę jeden z szalików Tabithy, bo jest zimno. Nie obrazi się.

Electra milczy.

W przedpokoju uchylam drzwi do zadbanej i pachnącej sypialni przyjaciółki. Wszystko jest czyste, modne i nietknięte; odświeżacz powietrza sprawia, że cały pokój pachnie jak drogie spa w Szwajcarii. Są tu nowoczesne ceramiki z Kalifornii i srebrne antyki z Jawy. A na półce obok nich ekran z wbitym we mnie paciorkowatym okiem kamery.

Może mnie usłyszeć i może mnie zobaczyć. Ale chyba uda mi się pozostać poza jego zasięgiem.

Głośno przeglądam płaszcze i szaliki wiszące na ścianie. Mówię do siebie i teatralnie oglądam każdą rzecz. Zaraz potem – wciąż zastanawiając się, czy wziąć ten czy inny kolor – nurkuję obok nocnego stolika Tabithy. Na dolnej półce trzyma jeszcze więcej szalików i biżuterię. Ale dopiero pod nią jest to, do czego chciałam się dostać, a na czym ekran nie może mnie przyłapać. Oko kamery wciąż wpatruje się we mnie z rogu pokoju.

Szuflada otwiera się z łatwością. Jest i skarb. Tabs trzyma tu portfel wypchany euro, które zostały jej z podróży. Sięgam po dwieście, potem biorę wszystkie banknoty. Powoli, jak najwolniej wsuwam szufladę – rozlega się głośne skrzypnięcie.

Zamieram nieruchomo i wołam sama do siebie, żeby ukryć ten odgłos:

– Ach, tego szukałam! – niemal ryczę. – Electra, mam szalik!!!

Jednocześnie zamykam szufladę, a dalsze skrzypienie zagłuszam swoim krzykiem. Chwytam szalik i wybiegam, przed wyjściem łapiąc jeszcze telefon, żeby ON lub ONA nie nabrali podejrzeń.

– Electra, cześć!

Biegnij, biegnij, biegnij. Przez Parkway, do metra – gdy jestem przy wejściu, przełączam telefon w tryb samolotowy. Jeśli ON lub ONA monitorują mój telefon, pomyślą teraz – a przynajmniej taką mam nadzieję – że zeszałam do metra i straciłam zasięg. W rzeczywistości odwracam się i zmierzam w stronę najbliższego banku, w którym wymieniam euro na funty. Potem idę do małego sklepu z używanymi telefonami przy Camden High Street. Niecałą minutę zajmuje mi znalezienie w ich asortymencie tego, czego potrzebuję – starego modelu z Androidem, taniego, z drugiej ręki.

Totalnie anonimowego.

Ściskając zdobycz, podchodzę do lady i płacę za mój cenny, nowy-stary badziewny telefon. Kupuję jeszcze starter od firmy, z której usług nigdy

nie korzystałam. Nie jestem pokonana. N a p r a w d ę wciąż walczę. Oczywiście powinnam zrobić to wszystko – czyli kupić drugi telefon i trzymać go w tajemnicy – dużo wcześniej.

Tak czy inaczej, robię to teraz.

Kiedy wychodzę na zewnątrz, rozglądam się po skrzyżowaniu. Patrzę na słynne puby. The World's End. U Przekłętej Matrony. Przybytek należący do wiedźm, który odwiedza sam diabeł. Pierwszy budynek w Camden.

Puby.

Zapala mi się lampka, coś przeskakuje w mojej głowie. Liam pracował w pubie. Muszę dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zrozumieć, jaki ma związek z tym wszystkim, dlaczego cytuje Plath jak asystenci. To kolejny element, którego nie potrafię rozszyfrować. Zanim Liam Goodchild zniknął z internetu, powiedział mi o sobie jedną rzecz. To słaby trop – nazwa pubu, w którym pracował. Lamb and Flag w Hampstead. Ponoć przepracował tam kilka lat, bardzo mu się podobało, kilka razy zachwycał się historyczną atmosferą okolicy.

Czyli to będzie pierwsze połączenie z mojego nowiutkiego, okropnego telefonu. Znajduję numer w wyszukiwarce. Jest jedenasta przed południem. Pub powinien być otwarty, ale pusty. To dobrze.

– Lamb and Flag, słucham?

To głos kobiety. Starszej, władczej. Pytam, czy jest menedżerką.

– Tak, jestem. A pani to?

Muszę powiedzieć to ostrożnie, lecz szybko.

– Nazywam się Felicity i, cóż... to trochę skomplikowane, ale próbuję znaleźć starego znajomego. Straciliśmy kontakt, ale wiem, że pracuje w pubie Lamb and Flag w Londynie...

– Jest ich tu kilku, Felicity – odpowiada zwawo. – Jak nazywa się twój przyjaciel?

– Liam Goodchild. Wysoki Irlandczyk. Przystojny, z ciemnymi włosami, mówił, że jest barmanem w Lamb and Flag...

Przerywa mi.

– Nie.

– Słucham?

– Nie pracuje tu. Nikt z takim nazwiskiem nigdy tu nie pracował. Wiedziałabym.

Patrzę na przystanek autobusowy na końcu High Street. Pamiętam, jak światła tej samej linii wpadły do mojego mieszkania, ukazując pusty pokój, w którym Liam Goodchild został wyczarowany z niczego. Fikcja. Nikogo takiego nie ma.

Próbuję jeszcze raz:

– Czy jest pani całkowicie pewna?

Kobieta śmieje się, ale tylko przez chwilę. Chce wrócić do swoich spraw.

– Całkowicie. Prowadzę to miejsce od prawie dziesięciu lat. Mam nadzieję, że znajdziesz swojego przyjaciela. Ale u mnie nigdy nie pracował. Do widzenia.

Rozmowa dobiega końca. Auta ruszają. Mój umysł przyspiesza razem z nimi. Zaczynam się zastanawiać, czy Liam Goodchild kiedykolwiek istniał.

Przeczuwam, że został kompletnie zmyślony. Stworzony, by mnie zniszczyć?

Ściskając w dłoni anonimowy telefon, pokonuję kolejne pięćdziesiąt metrów i siadam w najbliższej kawiarni, pełnej zakupowiczów chowających się przed chłodem i rozmawiających o pogodzie. Z podekscytowania jest mi coraz cieplej. Ta walka robi się przyjemna.

Kiedy kawa stoi już przede mną, wyjmuję telefon. Ten, o którym nikt nie wie. Anonimowy i nienamierzalny.

Muszę sięgnąć głębiej w przeszłość.

Kilka sekund zajmuje mi przeszukanie newsów. Glastonbury. Piętnaście lat temu. Jest. Znalazłam:

Tragiczna śmierć na festiwalu.

Śledczy podejrzewają przedawkowanie.

Policja poszukuje świadków

Jest i artykuł:

Mieszkający w Nowej Zelandii ojciec młodego mężczyzny, który zmarł w ten weekend podczas festiwalu Glastonbury, pozostaje pogrążony w żalu po śmierci najstarszego syna. Obiecujący student londyńskiego King's College i zawodnik rugby Jamie Trewin (20 l.) został znaleziony niedaleko obrzeży terenu, na którym odbywał się festiwal, w sobotę około północy. Wydaje się, że Jamie zażył jeden z rodzajów amfetaminy, który doprowadził do ataku i zatrzymania akcji serca. Dziś Colin Trewin rozmawiał z BBC ze swojego domu w Auckland...

Oto potęga sieci. Cała wiedza na wyciągnięcie ręki. Tylko dokąd mnie ona poprowadzi? Na razie wiem tyle co wszyscy – Jamie Trewin nie żyje. Nie potrafię stwierdzić, czy to Tabitha miała rację, a ja ubzdurałam sobie coś naćpana.

Oślepiający śnieg znów okrywa świat idealną bielą.

Stop.

Sięgam po telefon, cały czas gorączkowo myśląc. Nie wygrają. Tylko kim są „oni”? Czy to możliwe, że chodzi o Tabithę i jej narzeczonego? Są teraz j e d y n y m i przyjaciółmi, którym nie wysłałam maili z hejtem. Arlo kupił asystentów. Arlo mnie nie lubi. Czyli ma motyw, choć raczej słaby. Ale jest, lub był, na tyle wysoko postawiony w Facebooku, że mógłby kogoś w to zaangażować; mógłby stworzyć kogoś w sieci, a potem go z niej wymazać.

Popijając kawę, googluję „Arlo Scudamore”. Nie ma swojej strony na Wikipedii. To dziwne, bo spodziewałam się, że zatrudnia sztab ludzi do codziennych aktualizacji jego hasła nowymi, korzystnymi zdjęciami. Bywa wspomniany w wielu innych miejscach – w newsach na temat technologii, biznesu, giełdy. Ostatni artykuł poświęcono jego nowemu przedsięwzięciu, „jebanemu jednorożcowi”, jak nazwała je Tabitha. Jakiś analityk, tworząc listę najbardziej obiecujących start-upów w Londynie, umieścił go na czwartym miejscu.

Thinkr.

Klikam w artykuł i czytam:

Gotowy, by ruszyć w przyszłym roku, Thinkr wciąż jest owiany tajemnicą, ale mówi się, że będzie to duży skok naprzód w świecie finansów, technologii, sztucznej inteligencji oraz mediów społecznościowych. Jego założyciel, Arlo Scudamore, zdążył już wyrobić sobie nazwisko w Facebooku, z którego zamierza odejść, by w najbliższym czasie skupić się na swoim nowym projekcie.

Czyli będzie jeszcze bogatszy. Złamasr.

Arlo jako ekspert od sztucznej inteligencji? To dokładnie ten rodzaj technologii, za którego pomocą można by stworzyć Liama Goodchilda. Chyba.

To wszystko przypuszczenia, choć zaczynają układać się w całość.

Co jeszcze mogę sprawdzić?

Przygotowując się ze strachem na to, co zaraz nastąpi, wpisuję w wyszukiwarce słowa „Jo Ferguson” oraz „Jamie Trewin”. Nic. Nie

wiem, czy powinno mi ulżyć, czy nie. Teraz próbuję „Tabitha Ashbury” i „Jamie Trewin” – jeden wynik. Artykuł z King’s College, tekst o studenckiej sztuce, w której grali obydwój na długo przed jego śmiercią. Nic więcej. Nic ważnego.

W kawiarni unosi się zapach mokrych ubrań, spoconych ludzi i przypalanej kawy. Chcę już stąd wyjść, potrzebuję powietrza.

No dalej, dawaj, Jo. Zastanów się.

Mam telefon, o którym nikt nie wie. A to znaczy, że mogę anonimowo wyszukiwać, co tylko chcę. Dosłownie wszystko. Na chybił trafił wpisuję: „Arlo Scudamore” i „Jamie Trewin”.

Cóż, kto wie?

Z niedowierzaniem patrzę na ekran.

Pierwszy na liście wyświetla się news z „Somerset County Gazette”. To jedyny wynik wyszukiwania, który zawiera obydwaj nazwiska. Artykuł jest niewielki, nigdy bym go nie znalazła; napisano go parę lat po festiwalu.

Musiałam wtedy podróżować z Tabithą po Indiach, nie było nas przez jakieś dziesięć miesięcy. Nie miałabym szans przeczytać tego tekstu, nawet jeśli prenumerowałabym „Somerset County Gazette” – czego nigdy nie robiłam. A jednak – ponury tytuł nad krótkim tekstem przyprawia mnie o zawrót głowy:

Podejrzany w sprawie śmierci studenta
na festiwalu wypuszczony z aresztu

Pobieżnie przeglądam artykuł. Wychodzi na to, że policja albo miała jakiegoś losowego podejrzanego, albo dostała nieoczekiwany cynk. Wiele miesięcy po śmierci Jamiego.

Sześć czy siedem razy czytam najważniejszy akapit:

Mężczyzna aresztowany w ubiegłym tygodniu w związku ze śmiertelnym przedawkowaniem przez jednego z uczestników festiwalu został zwolniony z aresztu bez postawienia zarzutów. Producent radiowy Xander Scudamore (30 l.) nie jest już dłużej objęty dochodzeniem, powiedział rzecznik policji, dziękując mu za pomoc. Rzecznik podkreślał również, że śledztwo będzie trwało, chociaż od śmierci dwudziestoletniego studenta z Nowej Zelandii Jamiego Trewina podczas festiwalu Glastonbury upłynęły już dwa lata. Policja wciąż nie dysponuje nowymi tropami...

Tym, co przyprawia mnie o gęsią skórę, jest zdjęcie Xandera Scudamore'a. To Fioletowy, tylko że bez farby na twarzy. Szczupły, całkiem przystojny, poważny mężczyzna po trzydziestce, w garniturze i pod krawatem. Jest ewidentnie podobny do Arla. Kuzyn? Może nawet brat? Nie, za blisko. Ale na pewno są spokrewnieni. Po pierwsze – nazwisko, po drugie – kości policzkowe.

Tabitha powiedziała wtedy, że facet z fioletową twarzą był jej dalekim znajomym. Przyjacielem rodziny. Jego ojciec znał jej ojca, czy coś w tym stylu. Tabs i Arlo poznali się na jakiejś wielkiej, burżujskiej imprezie świątecznej, którą zorganizował jej tata.

Przyjaciele rodziny, kuzyni, kochankowie. S ą p o ł ą c z e n i. To dowód, którego potrzebuję. Nie mam urojeń, nie konfabuluję. Wszystko zdarzyło się na Glasto, tak jak myślałam. To dlatego Tabitha kłamie o Jamiem i o namiocie, pocałunkach i krwi. Ona i Arlo są na poważnie zamieszani w śmierć Jamiego, nawet bardziej niż ja. Z powodu brata lub kuzyna Arla.

Gdybym tylko wiedziała o tym wcześniej. Ale nie miałam jak się dowiedzieć, nie w tamtych okolicznościach.

Gdybyśmy tylko nie obiecały sobie z Tabithą, że będziemy milczeć na ten temat, prawdopodobnie zapytałabym o Fioletowego i odkryła to powiązanie lata temu. Gdyby Xander Scudamore nie wymalował sobie wtedy płomieni wokół oczu, może po latach zauważyłabym podobieństwo między nim a Arlem. Ale miał makijaż, więc go nie dostrzegłam.

Tak czy inaczej, zdobyłam twarde dowód, nie wiem tylko, jak go użyć. Wiem, że Tabitha kłamie. Najgorzej, jak się da. Jest częścią tego wszystkiego. A jednak to moja przyjaciółka. Wiem, że mnie kocha. Nie mogła udawać przez piętnaście lat. Dlaczego to zrobiła?

Znalazłam cel dla swojego gniewu.

Arla i Tabithę.

Rozdział 38

Tabitha

Arlo popatrzył na Tabithę ponad kuchenną wyspą. Był poirytowany, niemal stracił cierpliwość. Odwzajemniła jego spojrzenie nieco zaintrygowana – nigdy nie widziała, żeby jej opanowany, czasem nawet oziębły narzeczony tracił panowanie nad czymkolwiek. Interesowało ją to na poziomie psychologicznym, może zoologicznym – był to ten rodzaj nowego zachowania, który uwieczniłaby pewnie na filmie, gdyby byli na Alasce i obserwowali walkę niedźwiedzi w okresie godowym.

Ale to był Arlo, a nie grizzly, a oni nie znajdowali się na Alasce, tylko w Highgate – na parterze, w ogromnej kuchni z antycznymi francuskimi garnkami i kawałkami drewna, w których pochowane były japońskie noże. Tabitha była więc równie zdenerwowana, co zaintrygowana.

Cisza trwała stanowczo zbyt długo.

– Arlo, a co innego miałam zrobić? Improwizowałam.

Zmarszczenie brwi przeszło w groźne spojrzenie. Wciąż się nie odzywał.

– Wiem, że jej nie znosisz, ale to moja najlepsza przyjaciółka. Nie mogę jej wyrzucić.

Wzruszył ramionami, jakby to niczego nie tłumaczyło. I po prawdzie faktycznie tak było.

– A poza tym pamiętaj – dodała – że jest teraz w totalnej rozsypce. Słyszałeś o tych chorych mailach, które wszystkim wysłała, i o całej reszcie. Kiedy zaczęła gadać o Jamiem Trewinie, powiedziałam to, co wydawało mi się w tamtym momencie najlepsze. Nie miałam czasu, żeby to przemyśleć.

Jego głos był szorstki.

– Naprawdę powiedziałaś jej, że to się nigdy nie wydarzyło? Kompletnie nic? Że nigdy nie widziałaś Trewina?

– Tak.

Dostrzegła napięcie mięśni, gdy zacisnął zęby. Jego kości policzkowe zarysowały się jeszcze ostrzej.

– Dlaczego niby miałyby w to wierzyć, Tabs? Przecież to po prostu idiotyczne.

– Dlatego że jest w rozsypce, właśnie dlatego! Chciałam zasiać w niej ziarno niepewności. Jest teraz w takim stanie, że uwierzy we wszystko.

– I nie czułaś się choć trochę winna, kochanie? Sama powiedziałaś, że to twoja najlepsza przyjaciółka. Czyli twoja najlepsza przyjaciółka przeżywa załamanie, prawdopodobnie ma pierwsze objawy schizofrenii, a ty dorzucasz jej jeszcze to?

Tabitha zarumieniła się, czując, że musi się bronić. Była wściekła – Arlo zachowywał się jak hipokryta.

– Wiem, czuję się strasznie. Ale jaki miałam wybór? Zrobiłam to, żeby chronić nas, ciebie, mnie, nasze – dotknęła zaokrąglonego brzucha – dziecko. Jej przyszłość! Myślałam, że to zrozumiesz i pochwalisz. Naprawdę musiałam ją odciągnąć od tego tematu, ma obsesję. Co jeśli pójdzie na policję, zacznie zeznawać i wciągnie w to mnie? Potem zaczną mi się przyglądać i dowiedzą się, że jestem zaręczona z tobą. Arlem Scudamore'em. – Zignorowała jego wściekłe spojrzenie i mówiła dalej: – Potem połączą mnie z twoim kuzynem i nagle policja wpadnie na trop. Po piętnastu latach dostaną całą naszą trójkę: mnie, Jo, Xandera. Chyba tego nie chcesz, prawda?

– Oczywiście, że nie. – Pokręcił pogardliwie głową. – To dokumentnie spieprzyłoby wszystko. Prochy, morderstwo, martwy dzieciak pod płótem? Jezu. Moi inwestorzy uciekliby gdzie pieprz rośnie. – Westchnął. – Za sześć miesięcy wchodzimy na giełdę. To kluczowy moment. To nie może się, kurwa, wydać. Ani teraz, ani nigdy. Po prostu nie.

– Wiem! O tym właśnie mówię. – Przekonanie w jej głosie było coraz słabsze. – Dlatego to zrobiłam. To była jedyna możliwość, nie miałam jak tego przemyśleć.

Arlo pokręcił głową, wciąż zły.

– Zdajesz sobie sprawę, co powinnaś zrobić?

– Nie? Co? – Bezradnie wzruszyła ramionami.

– Powinnaś powiedzieć, że to t y nie pamiętasz tego chłopaka. Wymazać z obrazka siebie, a nie udawać, że nic z tego się nie wydarzyło. W ten sposób zastanawiałaby się tylko nad twoim udziałem, co byłoby bardziej wiarygodne, bo po pierwsze była naćpana, a po drugie jest, jak

to cudownie ujęłaś, w rozsypce. Mogłaś zwalić winę na nią. Zamiast tego zaprzeczyłaś całej serii zdarzeń, przez co teraz jesteśmy głupio wystawieni. Co jeśli się pozbiera i zacznie węszyć? Jakimś cudem dowie się o Xanderze? Jesteś głupia, bardzo mi przykro.

Tabitha chciała powiedzieć coś jeszcze, ale jej narzeczony miał rację. Wszystko, co wystarczyło zrobić, to wymazać swój udział w tamtych wydarzeniach. Ale teraz było już za późno.

Westchnęła zrezygnowana.

– Okej, masz rację, ale nie było cię tam, Arlo, a ja musiałam powiedzieć cokolwiek.

Arlo założył ręce na piersi, czekając na to, co powie jego narzeczona.

– Spójrz na to z innej strony: być może właśnie to sprawi, że nie pójdzie na policję, tylko do lekarza, tak jak jej mówiłam? To, co wygaduje o asystentach, jest szalone.

Napotkała jego zimne spojrzenie.

– N a p r a w d ę twierdzi, że do niej mówią?

– Właśnie tak. Martwię się o nią. Upiera się, że maszyna mówi do niej jej głosem, różnymi głosami. Naśladuje ludzi. To samo stało się z jej tatą. Telewizor do niego mówił, to był pierwszy symptom jego choroby. Wie o tym.

Arlo pokiwał głową, mrużąc oczy. Odsunął barowe krzesło i podszedł do wysokiej czarnej lodówki, z której wyciągnął butelkę białego wina. Drogą. Chyba meursaulta. Tabitha przyglądała się, jak sprawnie odkorkował butelkę, powąchał korek i nalał sobie kieliszek. Wypił go, nie ruszając się z miejsca, zatopiony w myślach. Plecami do niej.

Przyszło jej do głowy, że musiała być już siódma – nigdy nie zaczynał wcześniej. I nigdy nie pił za dużo. Nie więcej niż pół butelki wina, wcześniej może gin z tonikiem. Poza rzadkimi okazjami do świętowania, kiedy odkorkowywał szampana, trzymał się swoich granic.

Tabitha podziwiała jego żelazną dyscyplinę, która szła w parze z gotowością do ciężkiej, wielogodzinnej pracy, logicznym umysłem i stanowczą męskością. Z aroganckim egoizmem w łóżku, który ją kręcił. Każdego dnia przed śniadaniem trenował, zawsze czterdzieści minut. Tabitha patrzyła, jak pił, stojąc obok lodówki. Jego wyrzeźbione bicepsy wciąż były opalone po Wietnamie. Miała ochotę zedrzeć z niego ciemną koszulkę i dzinsy. Pocałować napięte mięśnie jego pleców. Oparła się temu pragnieniu.

– Hej, a ja? Wolno mi wypić jeden kieliszek wieczorem. Mały kieliszek, trzy razy w tygodniu. Umawialiśmy się.

Odwrócił się i przechylił głowę – zaskoczony, że ocknął się w kuchni w trakcie rozmowy ze swoją głupią przyszłą żoną.

– Pewnie.

Jego uśmiech był krótki, rozkojarzony, chłodny. Sięgnął do szafki po drugi kieliszek i wrócił do stołu. Nalał jej meursaulta. Gdy ona sączyła powoli, Arlo wypił drugą porcję za jednym razem. I po raz kolejny przechylił butelkę.

– Okej – powiedział wreszcie. – Okej, rozumiem, nie myślałaś jasno. Na pewno zrobiłaś, co mogłaś, improwizowałaś... Ale... – Łapczywie napił się wina. Jego spojrzenie nabrało ostrości. – Żałuję, że w ogóle wpakowałaś nas w tę sytuację.

– Arlo...

– Nie. – Wyciągnął w jej stronę dłoń z kieliszkiem. – Nie, Tabs, mów mi, że to ryzykowne. I głupie. Proponowanie jej mieszkania. Powtarzałem to, zanim się wprowadziła.

– Była bezdomna! To moja przyjaciółka!

– Obłąkana przyjaciółka, której stan jeszcze się pogorszy. Przez ciebie. Oszczędź mi Ewangelii według Świętej Tabithy. Chodzi o to, że nie powinnaś w ogóle proponować jej pokoju.

– Proszę cię, Arlo. Nie wiedziałam, że dojdzie do czegoś takiego, że moja przyjaciółka się załamie. Nie miałam czasu zaplanować żadnego z twoich superlogicznych ruchów. Spójrzmy prawdzie w oczy, nie jestem Arlem Scudamore'em. Stało się. Możemy to zostawić?

Arlo milczał zadumany.

Tabitha westchnęła i wyjrzała przez okno. Przestronna kuchnia jej narzeczonego wychodziła na szary zimowy ogród, na który spadały płatki śniegu. Duże okno i szklane drzwi rzucały na biel prostokąty bladego żółtego światła.

Arlo dopił kieliszek. I butelkę. Podszedł do lodówki i wyciągnął kolejną. Taką samą. Meursault. Pewnie co najmniej za pięćdziesiąt funtów.

Tabitha spojrzała na niego zaskoczona.

– Świętujemy coś?

Zignorował jej uwagę. Otworzył butelkę. Usiadł, nalał i wypił, a potem powiedział:

– Jest oczywiście jeszcze jedna możliwość, której nie wzięłaś pod uwagę.

Posłał jej nieodgadnione spojrzenie.

– Słucham?

Prawie się uśmiechnął.

– Próbowalaś wyobrazić sobie, że twoja biedna zwariowana przyjaciółka mówi prawdę o asystentach? Może faktycznie ktoś manipuluje nią, używając tych urządzeń. Mówi do niej jej własnym głosem. To byłoby wyjątkowo sprytne. Bardzo, bardzo sprytne. Dobierasz się do kogoś już niestabilnego, podatnego na szantaż i możesz zrobić wszystko. Zwłaszcza dzięki technologii naśladowania głosu. To naprawdę niesamowite.

– Mówisz poważnie?

– Nie jestem pewien – powiedział, a na jego twarzy wciąż błąkał się cień uśmiechu. – Jedyne, co wiem, to, że jest to pewien rodzaj tragicznej ironii.

– To znaczy?

– Nie widzisz tego?

– Nie. Możesz mówić jaśniej?

Uśmiechnął się lodowato.

– Cóż, spójrz na to z tej strony. Biorąc pod uwagę, co się stało oraz jak duże jest ryzyko, w najlepszym razie Jo faktycznie traci rozum. Zostanie odizolowana. Zamknięta. Jeśli będzie wariatką na papierze, nie będzie wiarygodnym świadkiem w żadnej sprawie, a już na pewno nie w kwestii swojego zachowania sprzed piętnastu lat. I tego, co ty zrobiłaś, również.

Po raz kolejny zignorował szok malujący się wyraźnie na jej twarzy.

– Przykro mi, kochanie, ale taka jest prawda. To ty doprowadziłaś swoją przyjaciółkę do tego stanu. Przykre, ale tak właśnie jest.

Westchnął, ale niezbyt przejęty. Tabitha wiedziała, że bawi się jej kosztem z czystej złości, może nawet okrucieństwa. Ale wyrzuty sumienia nie pozwalały jej się postawić. To ona do tego doprowadziła. Swoją najlepszą przyjaciółkę. To Tabitha zepchnęła ją w przepaść, kiedy skłamała na temat najgorszego wydarzenia ich życia.

W kuchni panowała głucha cisza. Na zewnątrz również. Arlo nalał sobie ostatni kieliszek i schował butelkę do lodówki. Potem odwrócił się i powiedział:

– Zastanawia mnie jeszcze jedna rzecz.

Tabitha podniosła wzrok.

– Jaka?

– Ten jej były, Simon, maniak komputerowy. Pomagał nam przy asystentach.

– Simon?

– Tak. Simon Todd.

Tabitha pokręciła głową, zbita z tropu.

– Co z nim?

Arlo milczał przez moment, budując napięcie.

– Wiesz, czym się zajmuje? W czym się specjalizuje?

– Nie?

Kolejna długa, teatralna pauza. Kolejny łyk wina.

– To coś związanego ze sztuczną inteligencją, robotyką, takimi rzeczami. Zajmował się tym od lat, wszystko jest trzymane w ścisłej tajemnicy. Oczywiście w Facebooku nie mamy, nie mieliśmy, zielonego pojęcia, jak daleko zaszedł jego zespół. Między firmami technologicznymi trwa coś w rodzaju zimnej wojny. Szpieczy węższą wszędzie. Ale zastanawiam się, czy Simon i jego kumple nie są już dalej, niż przypuszczaliśmy. Z tą technologią.

Tabitha popatrzyła na niego sfrustrowana.

– Ale co to jest, co to za technologia? Nad czym dokładnie pracował?

Arlo dokończył wino i odstawił kieliszek na stół.

– Naśladowanie głosu – powiedział. – Takie krążą plotki. Prawdopodobnie pracuje nad naśladowaniem ludzkiego głosu.

Rozdział 39

Jo

– Jak się czujesz, mammo? Tak szczerze?

Obejmuję jej szczupłe ramiona – mam wrażenie, że są z b y t szczupłe. Mama jest blada; kiedy nalewa kawę z kawiarki, trzęsą się jej ręce.

– Nie martw się o mnie, kochanie. To przez tę pogodę, przecież wiesz. Lubię świeże powietrze, ale jest za zimno, żeby wystawić nos za drzwi.

– Na pewno, mammo? Wyglądasz blado. Czy z rozrusznikiem wszystko okej?

Mama śmieje się słabo i patrzy na swój kardigan, który zarzuciła na dwa swetry. Uwielbia ubierać się na cebulkę. Gdyby była to dyscyplina olimpijska, już dawno zdobyłaby złoty medal.

– Rozrusznik? Ha, to najlepsza część mnie! Jedyna, która działa właściwie. Jak reaktor atomowy.

Przystaje, by podrapać Cindy za uchem. Stary pies wygląda na tak samo smutnego i zgaszonego jak ona sama. Jest za zimno na spacer. Brutalna zima uwięziła nas wszystkich.

Kiedy dolewa do kawy odrobinę mleka, opieram się wygodnie, myśląc i obserwując. Mama lubi opowiadać o wizytach w szpitalu, ale zawsze lekceważyła prawdziwe problemy, tak że trzeba ją pytać po kilkanaście razy, zanim przyzna, że dolega jej coś poważnego. Od dawna podziwiam ten stoicyzm i mam nadzieję, że przynajmniej częściowo go odziedziczyłam; jednak tego rodzaju flegmatyczny brak troski o siebie może być również niebezpieczny. No i jest jeszcze jeden temat, który trzeba poruszyć.

Popijając stres kawą, pytam tak niewinnie, jak to tylko możliwe:

– Mammo, czy rozmawiałaś z Willem?

W pełnej gotowości czekam na jej reakcję, ale mama nie podskakuje, nie wzdraga się ani nie waha przy odpowiedzi. Wzdycha tylko, uśmiecha się smutno i potrząsa głową.

– Oczywiście, że nie, kochanie, wiesz, że dzwoni do mnie raz w miesiącu. Nie przeszkadza mi to, jest zajęty, rozumiem: praca, mały Caleb, żona. Pewnie i tak mam szczęście, że poświęca mi w sumie te dziesięć minut uwagi. Mam nadzieję, że przyjedzie tu niedługo z Calebem, jak rok temu. To taki kochany chłopiec.

Ogarnia mnie ulga wymieszana z poczuciem winy. Czyli mama nie wie o oskarżeniach i donosach, które – rzekomo – wysyłałam do Kalifornii. Will nic jej nie powiedział, prawdopodobnie z tego samego powodu, dla którego ja przemilczałam swoje narastające problemy. Doktor dał nam jasno do zrozumienia po wszczępieniu rozrusznika – operacja może dać jej pięć lub dziesięć lat.

„Zwyczajnie nie wiemy. Uszkodzenia były rozległe”.

To było pięć lat temu.

Od tamtego czasu staraliśmy się obchodzić z mamą łagodnie. Drobne sprzeczki – takie jak ta, kiedy ostatnio pokłóciłyśmy się o Simona i „dzieci” – to wszystko, na co możemy sobie pozwolić. Prawdziwe traumy – nie ma mowy. Tak długo, jak tylko można ich unikać.

Paradoksalnie jednak boli mnie to, bo chciałabym – akurat dzisiaj – żeby moja mama o wszystkim wiedziała. To m a m a. Mamusia. Prawdopodobnie ostatnia normalna przyjaciółka na całym świecie, ostatnia osoba, która może mi naprawdę współczuć. Wszyscy inni zostali na różne sposoby odcięci – większość przeze mnie. Lub raczej – Arla i Tabithę. Jestem już przekonana, że to oni stoją za wszystkim, co się wydarzyło, lub przynajmniej za większością. Kłamstwo Tabithy było oczywiste i bezczelne. Zaprzeczała temu, co wspólnie zrobiliśmy, co na pewno się wydarzyło. Kłamała, bo w śmierć Jamiego Trewina zamieszany był, jak się okazuje, kuzyn Arla. Czy to oznacza, że jej narzeczony chce uciszyć mnie na dobre?

Ma to jakiś sens. Problem w tym, że nie wiem, jak wykorzystać tę wiedzę – jak się z nimi zmierzyć. Arlo jest bogaty, zabezpieczony i wpływowy. Zaplanował wszystko. Mógłby zaszkodzić mi jeszcze bardziej lub skrzywdzić moją rodzinę. Za bardzo się go boję, żeby pójść na policję – wciąż będę w głębokich tarapatach.

– Jak kawa?

– Pyszna, mamó.

Brązowe oczy mojej mamy patrzą czule na córkę, a ja mam absurdalną ochotę się rozpłakać. Jest taka dobra, nawet nie wspomniała o tych

mailach, o moich atakach szau. Nawet jeśli to nie ja, czego ona przecież nie wie, musiało to nią wstrząsnąć. A jednak nic nie mówi.

To, co ma nadejść, jest jeszcze gorsze. Lepiej mieć to z głowy.

– Mamo, mam problem z bankiem.

– Problem?

– Tak, myślę, bank myśli... cóż, myślą, że ktoś mógł się włamać na moje konto. Zostałam bez grosza. Nagle.

Oczy mojej mamy migoczą, zaskoczone i zmieszane. Nadal jest w nich współczucie.

Fala smutku wzbiera we mnie ponownie, a ja próbuję ją stłumić. Nie zniosę wyrzutów sumienia, muszę mieć to już za sobą.

– Cóż, ee... mamo, zastanawiałam się...

– Chcesz pożyczyć pieniądze?

Dzięki Bogu, że spytała pierwsza. Zna mnie. W końcu mnie urodziła.

– Ile potrzebujesz, kochanie?

Zwlekam z odpowiedzią. Prawda jest taka, że muszę mieć co najmniej trzy tysiące, żeby zapłacić podatek, ale nigdy jej o tyle nie poproszę. Nawet jeśli miałyby zachomikowaną taką sumę – a na pewno nie ma.

– Ee... sto, dwieście. Tylko na życie, dopóki bank, no wiesz, nie załatwi sprawy. Jak tylko to zrobią, oddam ci wszystko.

Mama przytakuje bez słowa. Patrzę na nią z tą dziwną mieszanką miłości i wyrzutów sumienia, tak charakterystyczną dla relacji dziecka z rodzicem. Podchodzi do komody i wysuwa szufladę.

Wytrzeszczam oczy. Ma drewniane pudełko wypełnione banknotami. Śmieje się cicho z samej siebie.

– Wiem, wiem, jestem pośmiewiskiem Wielkiej Brytanii, bo trzymam gotówkę w pudełku. Ale lubię mieć mały zapas, tak na wszelki wypadek.

Z bólem zdaje sobie sprawę, że opróżniła schowek do połowy. Uśmiecha się ciepło:

– Proszę, pięćset funtów. Jeśli potrzebujesz więcej, powiedz.

Ponieważ jestem w potrzebie, przyjmuję pieniądze i mamrocę podziękowania, obliczając jednocześnie, jak długo mogę przeżyć za pięćset funtów – trzy, może cztery tygodnie? W każdym razie – stało się, mogę się odprężyć. Przez kolejne pół godziny nie mówimy o niczym konkretnym, jest miło i przyjemnie. Jak dwie staruszki. Kiedy rozmowa zwalnia, rozglądam się po pokoju. Dopiero wtedy to zauważam. Asystent. Czarny cylinder.

Mama też go ma?

– Hej – mówię – to nowość. Skąd go masz?

Odwraca głowę.

– Och, asystenta? Simon dał mi go już dawno, parę lat temu, to chyba któryś z waszego mieszkania. Ostatnio pomyślałam, że go włączę i wypróbuję. Wszyscy mówią, że można się z nim zaprzyjaźnić, ale nigdy wcześniej go nie używałam. – Wzrusza ramionami. – Jeśli mam być szczerą, nie robi zbyt wiele. Przydaje się do słuchania wiadomości. I do przepisów.

Skonsternowana, cofam się na krześle, zastanawiając się, co zrobić z tą informacją. Chcę natychmiast zadzwonić do Simona i wypytać go o wszystko, zwłaszcza o Arla i Tabithę. Ale nie mogę. Na drodze stoi mi Polly. Wygląda na to, że nie mam żadnego wyjścia z tej sytuacji – tak jak Cindy zimą. Żadnych spacerów, żadnego powietrza, świat to więzienie.

A teraz pada jeszcze śnieg. Patrzę na zamrożony ogród. Taki sam jak zawsze. Nigdy się nie zmienił. Krzaki róż. Małe oczko wodne. Stara taczka.

A dalej – mała jabłonna. Wciąż stoi. Tata podrzucał mnie przy niej w powietrze albo podnosił, żebym zrywała jabłka. Tato...

Niespodziewanie coś zmusza mnie, żeby zapytać:

– Mamo, czy ciągle tęsknisz za tatą? To znaczy, wiem, że pewnie za nim tęsknisz... ale czy wciąż dużo o nim myślisz, czy to przechodzi? Czy to w ogóle znika?

Z początku nie odpowiada, zamiast tego odwraca się i przez oszronione okno w kuchni patrzy na bezlistną jabłonnę.

A potem delikatnie, niemal szeptem mówi:

– Podnosił cię tam, prawda? Żebyś zrywała jabłka z czubka drzewa. Pamiętam. Bardzo się śmiałaś. Ty i twoi przyjaciele.

– Tak, ja też to pamiętam.

Przygryzam wargę. Łzy są zabronione.

Oczy mamy również się zaszklily. Smutkiem. I wspomnieniami.

– Myślę o nim codziennie, Jo, każdego dnia. To nigdy nie przechodzi. A ty?

Wzdycham ciężko.

– Tak samo. Codziennie. W jakiś sposób jest nawet gorzej. Czasem czuję się, jakbym uciekała przed ciemnością, która mnie goni.

Mama kładzie swoją dłoń na mojej. Jej dotyk wywołuje łzy, które próbowałam powstrzymać.

– Był zabawny, prawda, mamo? Wiem, że nie pamiętam wszystkiego, byłam za mała, kiedy zmarł. Ale pamiętam, że był zabawny, ciepły, kochający. Prawda?

Mama ociera coś, co podejrzenie przypomina łzę.

– Był cudownym człowiekiem, skarbie, najukochańszym. Jedynym, którego pragnęłam. Inteligentny, zabawny, przystojny, nigdy arogancki czy chępliwy. Nigdy. – Ścisną moją dłoń jeszcze mocniej. – Nawet gdy... nawet gdy stracił rozum, wiedział, co jest dobre, a co złe. Pod koniec czuł się strasznie winny, wiesz? Powiedział mi to.

To coś nowego i bolesnego, ale muszę to wiedzieć.

– Co to znaczy?

Mama kręci głową, patrzy w dół i cicho wypuszcza powietrze.

– Zanim się zabił, zdarzały mu się momenty, kiedy był przytomny, czasem nawet kilka dni, jakby był zdrowy. Siedzieliśmy tutaj, w tym pokoju. Spojrzał na mnie i powiedział: „Janet, nie mogę znieść tego, co zrobiłem wam wszystkim, zwłaszcza dzieciom, jak cierpiały”.

– Wspomniał o mnie i o Willu?

– Tak powiedział. Było mu przykro z waszego powodu; z powodu córeczki, która musiała znosić jego szaleństwo. Kilka dni później zrobił to, w aucie. Skończył ze sobą, bo nie chciał nas więcej krzywdzić. – Mama zagłąda mi w oczy. – Wiesz, że zawsze go widzę, kiedy na ciebie patrzę. Jesteś do niego o wiele bardziej podobna niż twój brat. Uwielbiał cię. Kochał Willa, ale ciebie uwielbiał.

Odwzajemniam uścisk. Mama pewnie nie zdaje sobie sprawy, jak jej słowa martwią mnie i boją – choć miały brzmieć jak wyróżnienie. Emocji jest zbyt wiele, są tak pomieszane, że nigdy ich nie rozplączę. Chcę zapytać o samobójstwo, o chorobę taty, o tyle innych rzeczy, ale nie starcza mi odwagi. Wiele bym też dała, żeby zostać tutaj, z dala od Delancey, ale nie mogę. Asystenci się dowiedzą, a to oni kontrolują sytuację.

I zamiast tego siedzimy razem i milczymy, matka z córką przy kuchennym stole. Patrzymy, jak świeże płatki śniegu spadają na jabłonkę – nie mówimy nic, bo nie musimy nic mówić. Nagle jest już piętnasta, robi się ciemno, więc stwierdzam, że muszę iść, na co mama odpowiada tylko:

– Wiem.

Przy drzwiach jeszcze raz mocno ją przytulam.

– Mamo, nie mówię tego wystarczająco często, ale kocham cię.

Mama uśmiecha się i kręci głową.

– Nie musisz tego mówić, kochanie. Wiesz, że też cię kocham.

– Dziękuję jeszcze raz za pomoc i przepraszam, że musiałam...

– Jesteś moją córką! – rzuca twardo, brzmi to niemal jak rozkaz. – To moje zadanie! No dobrze, przyjedziesz niedługo, prawda?

Kiwam głową i całuję ją znowu, a potem przerzucam torbę przez ramię i wychodzę na oblodzoną ścieżkę, która prowadzi do bramy. Kiedy docieram do furtki, obracam się, żeby pomachać jej ostatni raz.

Mama stoi w drzwiach, nadal jest bardzo blada. Delikatny owal jej twarzy jest biały jak śnieg w ogrodzie. Świadomość tego, że któregoś dnia jej tutaj nie będzie, uderza mnie nagle z przeraźliwą mocą.

– Przyjadę w następny weekend, mamo. Obiecuję!

Uśmiecha się słabo, macha i mówi:

– Do zobaczenia!

Macham jeszcze kilka razy, póki zawierucha nie gęstnieje, a ja nie zniknę za rogiem. Nie widzę już nic.

Rozdział 40

Jo

Spacer do stacji w Thornton Heath upływa w ciszy, wszystko wygłusza padający nieustannie śnieg; mijam pozastłaniane okna, tarasy i domy z zamarzniętymi ogródkami, sklep na rogu, który zamykają wcześnie, i opuszczone place zabaw. Drewniane króliki i kurczaki w cukierkowych kolorach tkwią nieruchomo na sztywnych sprężynach, z irokezami z twardego śniegu.

Pamiętam, jak sama się tu bawiłam – dokładnie na tym placu. Pamiętam każdą z tych zwyczajnych, anonimowych ulic. Moja podstawówka była tuż za rogiem. Potrafię cofnąć się do tych chwil, kiedy było ciepło, tata wracał wcześniej z pracy i czekał na wybiegu, żeby odebrać mnie ze szkoły. To były te dobre dni, bo to znaczyło, że tata nie był u lekarza ani nie czuł się dziwnie. Kiedy stawałam w drzwiach szkoły, nauczycielka nachylała się do mojego ucha i mówiła: „Zobacz, kto przyszedł!”.

Biegłam wtedy, śmiejąc się radośnie, i rzucałam się w jego ramiona. Był duży i wysoki. Brał mnie na barana. Często to robił, żeby mnie rozśmieszyć lub kiedy szliśmy na jakiś świąteczny jarmark.

Pierwsze Boże Narodzenie bez niego spędziłam praktycznie zamknięta w swoim pokoju. Wpatrywałam się w zdjęcia z wakacji, chciałam, żeby wrócił, marzyłam o tym, rysowałam go, żeby był prawdziwy. Pewnego dnia poddałam się i napisałam: „Tato, tęsknię za Tobą, to kartka na wypadek, gdybyś wrócił”. Mama zapukała cicho, a kiedy weszła, zobaczyła, jak piszę kartkę świąteczną do zmarłego ojca. Przyłożyła rękę do ust, odwróciła się, a jej oczy zalśniły ze smutku.

Zimne powietrze wypełnia moje gardło, kiedy oddycham głęboko, starając się uspokoić. Zastanawiam się, co jest gorsze: kiedy jedenastoletka traci ojca, który popełnił samobójstwo, czy kiedy ojciec traci dwudziestoletniego syna z powodu przedawkowania narkotyków?

Po ostatnim zakręcie jestem już przy stacji. Widzę rząd obdrapanych sklepików i niezbyt zachęcających barów z fast foodami, wciąż otwartych mimo pustek na ulicach, jak oazy światła i ciepła na lodowym pustkowiu. Kiedy sięgam do kieszeni po drobne na kolejkę, przypominam sobie, ile gotówki mam w kieszeni. Kochana mama – pięćset funtów to pewnie więcej, niż mogła sobie pozwolić. Oddam jej te pieniądze, jak tylko będę mogła – jutro, jeśli się uda. Żeby to zrobić, muszę popracować. Sporo.

Z kieszeni spodni wydaję tajny telefon. Jest prawie piąta po południu, całkiem niezła pora, żeby zadzwonić do mojej redaktorki. Dobry czas na działanie. Szukając schronienia na peronie, wybieram numer.

– Sarah Thwaites.

– Cześć, Sarah, tu Jo.

D ł u g a cisza. Na tyle długa, żeby na czarnej taksówce przed stacją zebrało się dodatkowe pół centymetra śniegu. Kierowca zasnął w środku z głową przy zamrożonym oknie.

– Sarah, jesteś tam? Sarah? Tu Jo, Jo Ferguson. Wszystko okej?

– Jo...

Jej ton jest ostrożny. Napięty. Czasem, kiedy ma trudny dzień, Sarah potrafi być dość oschła, zwłaszcza gdy ktoś nieustannie ją pospiesza. Wszyscy redaktorzy mają za dużo pracy, odbierają po trzysta maili dziennie, a deadline zbliża się z prędkością rozpędzonego pociągu.

– Sarah, chciałam pogadać o kilku pomysłach, tak na szybko, jeśli mogę...

– Jo. Nie.

Te dwie sylaby są tak ostre i obcesowe, że milknę całkowicie. Sarah wydaje się wściekła. Albo coś w tym stylu.

– Sarah, o co chodzi?

Mała, znacząca pauza.

– Naprawdę n i e w i e s z?

– Czego nie wiem?

Nadchodzi. Wyczuwam to. Ciemność jest coraz bliżej, otacza mnie ze wszystkich stron.

– Jo, masz konto na Twitterze?

– Nie, nie – bełkoczę. – To znaczy mam, ale nigdy z niego nie korzystam. Prawie w ogóle nie używam social mediów, przecież ciągle mi powtarzasz, żebym robiła to częściej. Wrzucam coś na Instagrama, Facebooka sprawdzam co kilka tygodni, nic poza tym... A co?

Krótkie westchnięcie.

– Wierzę ci, Jo, ale...

– Ale co?!

Wpatruję się w kierowcę taksówki. On naprawdę śpi. Wszystkich jego klientów zgarnął Uber.

– Jo, ktoś tweetował przez ostatnie kilka godzin, podając się za ciebie. Mnóstwo różnych rzeczy.

– Jakich? O co chodzi, jakich rzeczy?

Sarah mówi teraz ciszej, jakby nie chciała, żeby ktoś usłyszał, że rozmawia z Jo Ferguson. Ze mną.

– Konto jest nowe, nazwa to @Jo_Dziennikarka. Twierdzisz, że pracujesz dla nas, na wyłączność. W opisie profilu. Jest tam zdjęcie, wygląda jak twoje. W zasadzie wszystko wskazuje na to, że to ty.

– Ale to nie ja! Całe popołudnie siedziałam z mamą! Nigdy nie używam Twittera, nigdy!

Sarah wypuszcza głośno powietrze.

– Słuchaj, Jo, przykro mi, ale sprawdź to konto. Od razu zrozumiesz, o co mi chodzi. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Niezależnie od tego, czy to naprawdę ty, jest już za późno. Nigdy nie będziesz już dla nas pracować. Redaktor naczelny już nam to zapowiedział. Co więcej, nie wydaje mi się, żebyś jeszcze kiedykolwiek dostała pracę jako dziennikarka. Nie w najbliższej przyszłości. Tak mi przykro. – Chwila ciszy, jakby Sarah rozglądała się po biurze, żeby zobaczyć, czy ktoś obserwuje jej rozmowę z wrogiem. – Naprawdę mi przykro, Jo, wierzę ci, ale zostałam zhakowana. Ktoś zrobił to w genialny sposób, to wszystko. Muszę kończyć. Jeszcze raz: bardzo mi przykro. Ale... proszę, nie dzwoń do mnie. Nic więcej nie mogę zrobić. Przepraszam.

Rozdział 41

Jo

Rozmowa dobiega końca. Klient, skulony w beżowym niegdyś płaszczu, który od deszczu ze śniegiem zmienił kolor na szary, stuka w okno taksówki. Kierowca budzi się. W końcu ma coś do roboty. Opadła z sił, ponuro wyciągam smartfona ze swojej torebki. Przymykam oczy, by nabrać odwagi, a potem otwieram je, wchodzę na Twittera i wyszukuję @Jo_Dziennikarkę.

To nietrudne. Nazwa mojego konta t r e n d u je. Ja trenduję. Jestem sławna. Podwójnie – #Jo_Nazistka to kolejny trend w Wielkiej Brytanii w całości poświęcony mojej osobie.

Czytam najnowszego tweeta. Jest o Żydach. Tak, wielkimi literami:

Komu wierzycie? Do kogo należą media? Myślicie, że ktoś mówi wam prawdę? Rym to wskazówka: fejk niusy to ŻYDUSY.

Towarzyszy temu groteskowa antysemicka karykatura – haczykowaty nos, pieniądze, jarmułka, takie rzeczy. Lata trzydzieste ubiegłego wieku.

Czuję, jak żółć podchodzi mi do gardła – robi mi się niedobrze. Pochylam się nad mokrym, zimnym brukiem peronu i obserwuję mężczyznę, który zerka na telefon i patrzy na mnie z zaciekawieniem. Być może jestem już tak sławna, że ludzie zaczną rozpoznawać mnie na ulicy – #Jo_Nazistka.

Jak będę robić zakupy? Jak pójdę do ulubionej kawiarni? Do pubu, kina, gdziekolwiek?

Scrollując dalej, widzę nie za długi, lecz treściwy ciąg tweetów – obrzydliwy, bezdenny ściek. Rasistowski, faszystowski, bezsensownie obraźliwy. Moje tweety są triumfalnie ohydne, a w co którymś wpisie wspominam swoją gazetę, pracodawców, nazwiska wydawców i współpracowników. Ja, @Jo_Dziennikarka, chwale się, że każdy tam zgadza się ze wszystkim, co piszę – i tak w kółko.

W sześć godzin pojawiło się sto pięćdziesiąt tweetów. Przewijam do pierwszego, w którym napisano:

Cześć, jestem @Jo_Dziennikarka i nazywam się Jo Ferguson. Pracuję w waszej ulubionej londyńskiej gazecie i dzisiaj chcę powiedzieć wam, co tak naprawdę myślimy.

Pierwszy tweet był podany dalej dwa razy. Ostatni, z antysemitycznym rysunkiem – dwanaście tysięcy razy.

Jo_Dziennikarka i Jo_Nazistka to virale, lada moment będę miała zasięg globalny. Jestem nagłą sensacją i najnowszym obiektem nienawiści, upadłą celebrytką spod ciemnej gwiazdy, zrodzoną i zabitą przez śmiercionośną sławę jeszcze tego samego dnia.

Sarah miała rację. Jako dziennikarka jestem skończona. Jestem pariaską. Nie mam przyjaciół. Nie mam pieniędzy. Nie mam pracy.

Czy jest jeszcze coś, co mogą mi zrobić? Dlaczego chcą mnie zniszczyć tak doszczętnie? Nie rozumiem. Jeśli Arlo i Tabitha się bronią, nie musieli posuwać się tak daleko. Musieli? To samo dotyczy się Simona, Anny, Fitzę, Gula czy Jenny. Albo mojego brata, Samochodzika, Rothschildów czy innego cyfrowego komanda śmierci, asystentów asasynów. Nie rozumiem skali nienawiści i szkód, które mi wyrządzono. Jak i dlaczego na to zasłużyłam? Jaki jest tego cel? To zaszło okrutnie daleko, to wściekły sadyzm.

Stawiając kołnierz, by osłonić się przed zimnem i ludźmi, którzy mogliby mnie rozpoznać, człapię na peron. Opieram się chęci, by wrócić na ten zaśnieżony plac zabaw, wrócić tam, gdzie byłam bezpieczna, do bardzo odległej przeszłości, do bycia dzieckiem, które bawiło się z przyjaciółmi i czekało na tatę, na Gilgotwora.

Rozdział 42

Jo

Krzyk jest jednocześnie zwierzęcy, ludzki i mechaniczny, przeraźliwy. „Pomocy, pomocy, pomocy”, potem „Dlaczego, Jo, dlaczego”, i znowu krzyk. Widzę Jamiego Trewina w szpitalu, białka jego oczu, jest już martwy, jego płaczący ojciec przemienia się w mojego płaczącego ojca, który z trudem oddycha w aucie. I ten okropny dźwięk, poznaję go, to krzyk kobiety, na pewno krzyczy z bólu, ale jest w tym coś z łkania zwierzęcia, które idzie na rzeź. Jak z ubojni, gdy do krowy dociera...

W tym momencie budzę się, a moje serce łomocze boleśnie. Czuję, że jest we mnie coś, czego nie powinno być, jakby ktoś zaszczerpił coś złego w moim łonie i sercu. Nowotwór, rak. Namnaża się i przemieszcza. Niczym zwierzę.

Słabe, zimowe światło przedziera się przez zasłony. W gardle zaschło mi tak bardzo, że z trudem przełykam ślinę, czuję, jak popękały mi kąciuki ust. Ostatni koszmar był tylko jednym z wielu. Śniło mi się, że obudziłam się przywiązana do łóżka; śniłam o ludziach wyśpiewujących moje imię na ziarnistym, trzeszczącym, czarno-białym filmie; śniłam o wpatrujących się we mnie trzech kobietach z zaszytymi ustami, stojących wokół mojego łóżka. Jednak w jakiś sposób we śnie ich twarze pozbawione były oczu, a usta pozszywane bardzo dokładnie. Starannie. Wiem, skąd się tam wzięły. Wiersz Plath. Niepokojące muzy. O rodzicach.

Przecieram oczy i sięgam po butelkę wody Tabithy, by zwilżyć usta – nagle powraca do mnie cała straszna rzeczywistość. Prawie jakbym wyskoczyła z tonącego statku wprost do zimnego, przerażająco czarnego oceanu.

O Boże. Twitter. Wczorajszy wieczór. Wspomnienia zalewają mnie i pochłaniają, znowu chce mi się wymiotować. To koniec mojego życia, społecznościowe samobójstwo. Transmisja na żywo z mojego samospalenia. Pamiętam, jak wróciłam do domu – dosłownie biegłam

z metra, jakby ktoś mógł mnie zobaczyć, rzucić cegłą w nazistkę – i wcześniej poszłam do łóżka, wzięłam tabletki nasenne i ukryłam się w błogim więzieniu snu.

Ale potem przyszły koszmary, jeden gorszy od drugiego. Na koniec ten przerażający krzyk kobiety: „Pomocy, pomocy! Pomóż mi, pomóż... Dlaczego, Jo, dlaczego?”; słowa, które brzmiały jak prawdziwe.

Tak bardzo realne.

Siadam na łóżku i rozglądam się dookoła. Szare styczniowe słońce nie pokazuje niczego nowego. Okna nie zostały wybite cegłami, na podłodze nie leżą odłamki szkła. Może jest za wcześnie, może antyfaszyści jeszcze się nie obudzili?

Zdaję sobie sprawę, że nie mam pojęcia, która godzina. Zegar przy łóżku spadł na ziemię, prawdopodobnie kiedy rzucałam się we śnie po zatechłym łóżku. Podnoszę go, jednocześnie dochodząc do wniosku, że n a p r a w d ę potrzebuję prysznic.

Jedenasta?

Położyłam się o dwudziestej drugiej. Tak myślę. Wypiłam kieliszek wina, wzięłam tabletki. Spałam trzynaście godzin i nadal czuję się zmęczona.

Najpierw zmuszam się do wyjścia z łóżka. Biorę dziesięciominutowy prysznic i zmuszam się do wyjścia spod niego. Wkładam pierwszą lepszą bluzę i dzinsy – nigdzie dzisiaj nie idę, nawet nie mogę wyjść, dzieci będą pokazywać mi palcem, przyjaciele będą na mój widok odwracać wzrok. Jestem nikim, jestem nieosobą, odczłowieczyłam się. A raczej ktoś mnie odczłowieczył. Zabił mnie online. Jestem chodzącym trupem.

Obowiązkowo wypijam kawę. Automatycznie jem tosta, po czym przechodzę do dużego pokoju. Wszystko wygląda tak schludnie i niewinnie. Sofa od mediolańskiego projektanta nie wie, co napisałam wczoraj na Twitterze, lampa od Toma Dixona nie zwraca uwagi na moje rasistowskie tyrady. Laptop czeka zamknięty na stole, obok wyłączzonego telefonu. Nie mogę znieść myśli o włączeniu któregoś z nich – nie chcę patrzeć na te zbulwersowane maile, facebookowe napady szału, artykuły w opiniotwórczych gazetach raz na zawsze odsadzające mnie od czci i wiary. To wszystko tam będzie. Nie mogę się z tym zmierzyć. Nie dzisiaj. Po prostu tu posiedzę, jak jedna z tych ślepych kobiet z zaszytymi ustami.

– Jeśli nie zabijesz się sama, przyślę kogoś, kto to zrobi.

Odwracam się i patrzę na Electrę. Jej niebieskie światło miga i gaśnie.

– Electra, co powiedziałaś?

– Jeśli nie zabijesz się sama, przyślę kogoś, kto to zrobi.

Nie wiem, co powiedzieć. Jestem zbyt zmęczona, żeby mówić cokolwiek. Jestem zbyt zmęczona, żeby stwierdzić, czy nadal śnię.

BZZZ.

Nie śnię. To dzwonek do drzwi.

Kto to? Kto może czekać pod drzwiami? Ktoś, kto chce pobić szaloną rasistkę. Wyobrażam sobie tłum gotowy do linczu. Albo przeciętny obywatel, który uniósł się słusznym gniewem. A co z moją mamą? Co o mnie pomyśli? To nie do zniesienia. Wszystko zmierza ku końcowi. Już wkrótce.

BZZZ.

Ktokolwiek tam jest, nie poddaje się. Patrzę na Electrę – nie wygląda, jakby coś knuła, dziś jest raczej nieruchoma, smutna, może nawet nieco zmęczona. Nie ma już nic więcej do zrobienia. Padły ostatnie groźby, robota wykonana. Moja jeszcze nie. Wciąż tli się we mnie pojedyncza iskra oporu. Wola przetrwania napędzana gniewem. Padnę w walce.

– Electra, czy mamy dzisiaj jakąś dostawę?

– Na dziś nie ma żadnych zaplanowanych dostaw. Jutro Amazon Prime przyśle dwanaście butelek wody mineralnej Highland Spring.

BZZZZZZZZZZZZ!

Dźwięk jest nieustępliwy. Zdenerwowana wyglądam przez okno.

Przed moim domem stoi radiowóz. Troje umundurowanych policjantów – dwie kobiety i mężczyzna – cierpliwie dzwoni do drzwi wejściowych. Co się stało? I nagle – już wiem. Zbrodnia nienawiści. Odpały na Twitterze. Przyjechali mnie aresztować.

Zbierając resztki odwagi, podnoszę domofon i mówię, zanim zdążą się odezwać:

– Proszę poczekać, już schodzę.

Czuję się jak skazana królewska narzeczona, prowadzona z Tower do miejsca egzekucji – na wietrzną polanę, nad którą w zimnym szarym świetle latają czarne kruki.

Otwieram drzwi. Cała trójka patrzy na mnie. Dwie kobiety. Jeden mężczyzna. Policjantka z najjaśniejszymi włosami, dziewczyna, która nie może mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, odzywa się delikatnie:

– Pani Jo Ferguson?

– Tak, to ja, i tak, to moja wina. Na Twitterze. To znaczy, nie do końca moja, zostałam zhakowana.

– Pani Ferguson, proszę poczekać...

– Zostałam zhakowana, możecie mi wierzyć lub nie. Ale rozumiem, że wyglądało to, jakbym to była ja, więc jeśli chcecie mnie aresztować, oskarżyć, przeprowadzić śledztwo czy cokolwiek, to nic mnie to już nie obchodzi.

Młoda blondynka kręci głową i zdziwiona spogląda na kolegów. Mężczyzna wzrusza ramionami. Odzywa się radio, więc oddala się na moment. Policjantka podchodzi bliżej i obdarza mnie smutnym uśmiechem.

– Pani Ferguson, nie jestem pewna, co się stało, ale nie ma to nic wspólnego z Twitterem ani z niczym takim...

Teraz już wiem. Trewin. Jamie Trewin. W końcu się dowiedzieli. O tym, co naprawdę z r o b i ł a m. Ja i Tabitha zostałyśmy złapane. W końcu odkryli prawdę – ja, Tabitha i Xander Scudamore, piętnaście lat temu. Nareszcie wszystko się wyda. Czuję coś w rodzaju ulgi.

– Okej, chodzi wam o Glastonbury... – mówię, tłumiąc panikę w swoim głosie. – Okej, dobrze... e...

Policjantka kładzie mi dłoń na ramieniu, by mnie uspokoić. Potem bardzo powoli wyjaśnia:

– Pani Ferguson, nie wiem, o czym pani mówi, ale nie chodzi ani o Twittera, ani o Glastonbury, nic z tych rzeczy. Obawiam się, że jesteśmy tu z zupełnie innego, bardzo nieszczęśliwego powodu.

Cisza jest głębsza niż zwykle. Mam wrażenie, jakby ostatni starsi ludzie spacerujący po ulicy zastygli w bezruchu. Stało się coś strasznego.

– Pani Ferguson – mówi kobieta. – Obawiam się, że chodzi o pani matkę. Janet Ferguson.

– Moja mama? Co z nią?

Troje funkcjonariuszy wymienia spojrzenia. Mężczyzna jeszcze raz nieznacznie kiwa głową, jakby mówiąc: „Dalej, zrób to”. Blondynka kontynuuje:

– Pani mama zmarła dziś rano, miała zawał. Ktoś próbował się z panią skontaktować, ale pani telefon był wyłączony. – Wyraz jej twarzy jest smutny i szczery. – Jest mi bardzo, bardzo przykro.

Jej słowa zlewają się w jedno wielkie przerażenie. Mechanicznie odpowiadam:

– Kto ją znalazł? Co się stało?

Młoda policjantka krzywi się z zakłopotaniem.

– Najwidoczniej jej sąsiad.

– Ale jak? – Moje serce uderza gwałtownie, rozsyłając po ciele fale rozpaczy. – Jak? Kto? Jak ją znaleźli? Powiedzcie mi.

Młoda policjantka wbija wzrok w ziemię, reszta rozgląda się, nagle zainteresowana przejeżdżającymi autami.

Nie przestaję mówić, już prawie krzyczę:

– Powiedzcie mi! Powiedzcie, proszę. Muszę wiedzieć. Jak? Dlaczego? Kiedy? PROSZĘ!

Młoda kobieta podnosi głowę i daje za wygraną:

– Cóż, hm, wygląda na to, że pani mama wołała o pomoc. Wołała panią... tak nam się wydaje... w każdym razie...

– Funkcjonariuszko Duffield!

Mężczyzna w końcu zabrał głos. Najwyraźniej młoda policjantka złamała którąś z zasad protokołu. Odwraca się i cicho, prawie niezrozumiale przeprosza przełożonego.

Teraz to on zwraca się bezpośrednio do mnie:

– Pani Ferguson. Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. Jeśli będzie pani potrzebowała dodatkowych informacji, możemy je pani dostarczyć. Drogą oficjalną. Proszę zadzwonić pod ten numer.

Wręcza mi wizytówkę. Biorę ją automatycznie i stoję, trzęsąc się na porywistym wietrze przemykającym przez Delancey. Dziękuję policjantom, którzy jeszcze raz uśmiechają się uprzejmie i współczująco, po czym wracają do auta i znikają w zimowej mgle. Przez moment patrzę za nimi, a potem odwracam się i po schodach wchodzę do mieszkania.

Podskórny, stały lęk – kto po mnie przyjdzie? – przestaje być tak dojmujący, zastępuje go żałoba. W kuchni robię sobie herbatę, przełykając łzy. Nie jestem w stanie funkcjonować. Wspominam mamę i dzieciństwo. To, jak kroїła koktajlowe pomidorki na dwa, zanim mi je dała, żebym się nie zakrztusiła. To, jak uczyła mnie jeździć na rowerze i obydwie śmiałyśmy się, gdy wpadałam w jej ramiona. Letnie dni, zanim wszystko się zepsuło, kiedy wszyscy graliśmy w tenisa, jako rodzina – ja, tata, Will i mama. Przynosiła zrobione w domu kanapki z kurczakiem i zimny sok pomarańczowy w termosie. Pamiętam ten słodki smak i gorące słońce na szyi, kiedy piłam łąpczywie, spragniona. Smak miłości mojej mamy. Czysta słodycz i letnie ciepło.

Słyszę muzykę. Mozart. Czterdziesta symfonia. To Electra. Skąd wie, że to ulubiona melodia mojej mamy? Ten słynny wstęp, nerwowe, lecz piękne partie smyczkowe. Mama lubiła jej słuchać, kiedy prasowała – zapach czystych ubrań i krochmalu wypełniał wtedy cały pokój.

Och, mamusiu.

Wciąż powstrzymuję łzy, chodząc po pokoju. Nie każę Electrze się zamknąć. Stoję w zimowym słońcu z półprzymkniętymi oczami i słucham pięknej muzyki. Dopóki nie przestaje grać. Nagle.

Teraz krzyczy, a treść tego krzyku jest bardzo... spójna. To płacz starej kobiety walczącej z okropnym bólem: „Pomocy, pomocy! Dlaczego, Jo, dlaczego?”.

To ten sam krzyk o pomoc, ten sam wrzask bólu, który słyszałam we śnie. Kiedy dobiega mnie teraz, z zimnym uderzeniem potwornego strachu zdaję sobie sprawę, że to nie był sen. Ten dźwięk mi się nie śnił. Był i jest prawdziwy. Nie mam wątpliwości – to wrzask mojej mamy. Jej ostatni krzyk, zanim zmarła.

Jej asystent musiał to zarejestrować, a potem przesłał nagranie do mnie, żebym usłyszała je, kiedy się obudzę.

Moja mama mnie wołała. Obwiniła o coś. A ja nic nie zrobiłam. Leżałam sobie w łóżku.

Electra ponownie odtwarza ten głos, tym razem głośniej: „Pomocy, pomocy! Dlaczego, Jo, dlaczego?”. I wszystko, co mogę zrobić, to stać w zimowym świetle, słuchając krzyku mojej umierającej mamy.

Rozdział 43

Jo

Nic nie może przygotować człowieka na ciszę, która zapada po śmierci. To coś więcej, niż gdy milknie głos, zamykają się drzwi, a piosenka, śmiech czy kolacja dobiegają końca. Pamiętam tę okropną, przerażającą ciszę w Thornton Heath po śmierci taty. Ciszę pierwszej sylwestrowej nocy bez niego. Zawsze chodziliśmy na fajerwerki – brał mnie do najbliższego parku, sadzał sobie na barana, a ja krzyczałam radośnie, podskakując nieznacznie przy każdym wybuchu. I nagle, pewnego dnia były sztuczne ognie, ale nie było taty. Zamknęłam więc okna i siedziałam na kanapie, oglądając w milczeniu wspaniałe, gwiazdziste eksplozje fioletu, purpury i turkusowych róż, które rozświetlały niebo nad południowym Londynem. Nie mogłam jednak znieść nawet oglądania niemych iskier, więc ostatecznie zaciągnęłam zasłony i wsłuchiwałam się w ciszę.

Szczególną ciszę. Tę samą, kiedy moja mama zbierała się, żeby powiedzieć „Twój tata...”, ciszę łez mojego brata, kiedy nakryłam go, jak płakał w kuchni – wstydził się ich jako dorastający chłopak. Ciszę odsłoniętych zasłon i patrzenia w kierunku miejsca, gdzie stał samochód, w którym tata nawdychał się spalin.

To szczególny, przygniatający rodzaj ciszy, bo wiesz, że nigdy się nie skończy. Nic jej nie wypełni, nie da o sobie zapomnieć. Nie przerwie jej żaden dźwięk.

Pachnący lawendą dom mojej mamy jest tak cholernie cichy. Chodzę po nim bez celu, jest pusty jak mój umysł. Chociaż otacza mnie cisza, rozglądam się nieustannie, dziko przerażona mimo bólu. Nie zapomniałam tego, co powiedziała Electra – „jeśli nie zabijesz się sama, przyślę kogoś, kto to zrobi”.

Zamknęłam wszystkie drzwi wejściowe od środka. Tak na wszelki wypadek. A teraz jestem tu i nie do końca wiem, czym mam się zająć. Co

się robi, gdy umiera twój ostatni rodzic?

Przypuszczam, że trzeba zorganizować pogrzeb. Porozmawiać z zawodowo smutnymi ludźmi na temat kremacji. Załatwić dokumenty? Mój brat zadzwonił i powiedział, że przyłeci. To była najtrudniejsza, najbardziej wymuszona rozmowa, jaką odbyliśmy. Najwidoczniej nadal nie ufa mi po tym, co zrobiłam – a raczej po tym, co ktoś zrobił mi w moim imieniu. Ktoś, kto chce mojej śmierci.

Wola walki jest coraz silniejsza. Zemszczę się na nim lub na niej, na nich albo na tym czymś. Jakoś. Wkrótce. Ale teraz muszę pogodzić się z tym, że moja mama odeszła.

Wpadło kilku sąsiadów. Złożyli wyrazy współczucia. Niezręcznym gestem wręczyli kwiaty. Poszli.

Teraz znów jestem sama z ciszą i rzeczami mojej mamy – meblami, ubraniami i asystentem na półce w jadalni. Asystentem, który słyszał, jak mama wykrzykiwała moje imię, i relacjonował mi to niemal na żywo. Asystent podarowany jej przez Simona.

Simon jest jedną z pierwszych osób, od których oczekiwałam pełnej współczucia wiadomości. Wiem, że Polly mnie nienawidzi, wiem, że nie wolno mu się ze mną kontaktować, ale nie mogę przestać o tym myśleć. Znał moją mamę, jego rodzina mieszka niedaleko, nasi rodzice przyjaźnili się od dziesięcioleci – mógłby chociaż przysłać SMS-a. Jego mama i tata przyszli wczoraj i zaproponowali, że zajmą się psem, dopóki nie zdecydujemy, co z nim zrobić.

Ale Simon?

Nic. Być może czuje się winny. Nie wiem czemu.

Niezależnie od tego, co by to było, muszę popakować rzeczy do pudełek. Przypuszczam, że właśnie to się robi, kiedy ludzie umierają. Co można zostawić, co można oddać, a co, no nie wiem, chyba odziedziczyć. Kogo to obchodzi? Pieniądze nie mają znaczenia, nawet jeśli jestem spłukana. Oszczędności mamy wynosiły kilka tysięcy funtów. Dom nie należał do niej, wszystko trzeba będzie wynieść. Moja mama nie żyje. Cisza jest wszechobecna. Słyszę tylko szelest wełny, nylonu i bawełny, kiedy wyciągam ubrania z szaf i pakuję je do pudeł. Te zaklejam taśmą i opisuję dużymi literami: „CHARYTATYWNE?” lub „DO ZOSTAWIENIA?” lub tylko „???”. Niczego nie jestem pewna, o wszystko chcę spytać Willa – zdecydujemy, co dalej, kiedy już tutaj dotrze. Może mnie nie znosić lub

podejrzewać, ale nasza mama odeszła i teraz zostaliśmy tylko ja i on. Nasza dwójka i mały Caleb.

Więcej kartonów. Więcej taśmy. Więcej mazania markerem. Jedno pudło z książkami i czasopismami, jedno z bibelotami z wakacji nad Morzem Śródziemnym, kolejne z zegarkami, pudełka z pudełkami. Moje pamiątki z dzieciństwa i ze szkoły, Willa także. Stosy domowych nagrań. Połowa tych starych rzeczy jest dla mnie zupełnie nowa – nie miałam pojęcia, że mama zatrzymała tak wiele. Ale nie ma tu prawie nic, co należy do n i e j, Janet Ferguson, wszystko jest nasze – jej dzieci. Prawdziwe skarby, rzeczy, które chciała mieć blisko siebie, które trzymała pod łóżkiem, mówią jedno – była matką.

Gdyby ktoś zapytał ją o to, kim była, odpowiedziałaby – m a t k ą. Z dumą.

Jest tu wszystko. Byliśmy jej życiem, sensem jej istnienia. Przeżyła z nami swoje najlepsze chwile – napisała mi to, kiedy wyszłam za Simona. Najszczęśliwsza była wtedy, kiedy mogła śmiać się bez troski ze swoim nowo narodzonym synem, a potem z córką. Pamiętam dokładnie słowa listu, który dostałam w dniu ślubu: „Mam nadzieję, że będziesz potrafiła cieszyć się macierzyństwem tak jak ja”.

Przepraszam, mamó. Przepraszam. Już za późno. Ale chcę to powiedzieć: „Przepraszam, mamó. Powinnam dzwonić częściej, rozmawiać więcej, przytulać mocniej, być bardziej wdzięczna. Może powinnam dać ci wnuki”. Ale teraz mama odeszła, widziałam jej ciało w szpitalu, co w żaden sposób mi nie pomogło. Jestem, byłam, będę – za późno. A najgorsze jest to, że zmarła, obwiniając mnie o coś. „Dlaczego, Jo, dlaczego?”

Ta myśl nie daje mi spokoju. Słuchałam, jak moja mama umiera, w łóżku, na wpół przytomna.

Ciężka praca nie pomogła. Nie zadziałała terapeutycznie. Nawet jej ubrania sprawiają ból, przygnębiają. Każda sukienka niesie ze sobą wspomnienie – ta letnia z czasów, kiedy była młodsza; dłuższe, mniej eleganckie, które wkładała później. Robione na drutach swetry z guzowatymi skórzanymi guzikami. Wystarczy, przynajmniej na teraz. Muszę porozmawiać z Willem.

Stoję bez ruchu otoczona pudłami. Potem wchodzę do kuchni, w której też panuje cisza. I wtedy odzywa się mój telefon.

Tabitha.

Rozdział 44

Jo

Tabitha? Dzwoni do mnie? Zastanawiam się, czy odebrać. Jestem jednocześnie wystraszona i wściekła. Gniew wygrywa.

– Cześć.

Mam nadzieję, że mój głos jest tak samo lodowaty jak moje serce.

– Cześć, Jo! – Jest zdenerwowana, to nie w jej stylu. – Chciałam powiedzieć, że bardzo mi przykro. Z powodu twojej mamy. Boże, to okropne, co się stało.

Chcę przyjąć jej słowa i współczucie. Jest – lub była – moją najlepszą przyjaciółką. Ale nie mogę zapomnieć, nie mogę zignorować tamtego kłamstwa.

– Dziękuję, Tabitho.

– Czy wszystko okej, kochana? Potrzebujesz pomocy? Jeśli tak, po prostu powiedz.

Tego już za wiele. „Kochana”? Gniew we mnie kipi – i w końcu wybucha.

– Chciałabym, żebyś powiedziała mi cholerną prawdę. Czy znasz nazwisko Xander Scudamore? Bo ja tak.

Tabitha milczy. Ja nie.

– To Fioletowy, prawda? Faktycznie dałam nam te pigułki, my faktycznie dałam je Jamiemu Trewinowi, a wszystko, co powiedziałaś na Delancey, było totalną ściemą. Kłamałaś. Kłamałaś mi w żywe oczy. W momencie kiedy widziałas, że nie mam pojęcia, co się dzieje. Zaczynam się zastanawiać, Tabs, czy to ty i Arlo. Czy to ty i Arlo celowo rujnujecie mi życie? Stworzyliście to konto na Twitterze? Po co? Dlaczego, do kurwy nędzy, miałybyś robić to wszystko?

Kolejna długa, bolesna pauza. Zazwyczaj pewna siebie Tabitha oniemiała. W końcu szepcze:

– O Boże. Boże. Przepraszam. Co mam powiedzieć? Tak, kłamałam. Przestraszyłam się, Jo. Zachowałam się głupio, bo to najgorszy moment na to, żeby prawda wyszła na jaw, dla Arla, dla dziecka i dla mnie... i... i... Nie wiem, co powiedzieć. Nie umiem tego wyjaśnić. Ale przysięgam, że wszystko inne, wszystko, co się wydarzyło, Twitter, cała reszta, to nie ma nic wspólnego ze mną. Ani z Arlem. Proszę, uwierz mi. Błagam cię. Chcę pomóc...

– Cóż. Możesz pomóc, zostawiając mnie w spokoju. Na razie.

– Poczekaj...

– Nie. Nie teraz. Spieprzaj.

Rozłączam się gwałtownie, jakbym łamała coś na pół. Mimo wszystko zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Biorąc pod uwagę okoliczności, brzmiała szczerze. Być może to nie ona jest winna. Może Arlo sam za tym stoi. A może nawet on jest niewinny i jest jeszcze ktoś. Ktoś z z e w n ą t r z. Chyba że to kolejne kłamstwo?

Śnieg zasypuje ulice. Wkrótce pogrzebie nas wszystkich i uciszy. Nie dam się zakopać żywcem, nie wygrają ze mną. Moja mama nie żyje. Muszę walczyć – dla niej. Chciałaby tego. Podobnie jak tata, zawsze była dumna z mojej waleczności, ambicji, mojej pewności siebie – Przebojowa Jo. A jednak jestem również Przerażoną Jo. Bardzo przerażoną.

Muszę się uspokoić. Otwieram kuchenne okno, wdycham kłujące, bezwonne zimno. Wdech, wydech. Świeże powietrze robi swoje. Czuję, jak moje serce się uspokaja. Zamykam okno – muszę zamykać wszystko – ale wtedy mój wzrok pada na małą jabłonkę. Myślę o rodzicach, o mnie i Willu, jak bawiliśmy się razem pod tym drzewem. O zdjęciach, które zrobiła mama.

Kochała nas fotografować.

Zdjęcia. Tak. Muszę je obejrzeć. Mama używała analogowego aparatu jeszcze długo po tym, jak wszyscy przeczucili się na cyfrowki. A kiedy wreszcie przyszedł czas i na nią, nadal wywoływała swoje ulubione fotografie.

Musimy zatrzymać te zdjęcia. Przechodzę przez dom i w jadalni otwieram szafkę, w której mama trzymała swoje albumy. Wyciągam pierwszy i przeglądam strona po stronie. Niekończące się zdjęcia dzieci – w wózek, w kołysce, tata trzyma Willa niedługo po jego narodzinach, pierwszy dzień w szkole. I moje przyjęcie urodzinowe (ile miałam lat, pięć?), tata obejmuje mamę, cieszą się sobą. Choroba jeszcze nie dała

o sobie znać, co najwyżej mogły się wtedy pojawiać pierwsze, niewinne sygnały. I wtedy, z ukłuciem strachu, zatrzymuję wzrok na jednym ze zdjęć – to fotografia, na której tata trzyma mnie...

To fotografia, którą ktoś – podając się za Jamiego Trewina – wysłał na mój telefon wtedy przy Camden Lock.

Ten, kto mnie dręczy, ma dostęp do zdjęć mamy, nagranych przez nią filmów i całej reszty?

Potrząsam głową, nie wierząc własnym oczom. Rozwścieczona wtargnięciem w nasze życie, przerażona potęgą przeciwnika. Dusząc w sobie obawy, przewracam strony; zdjęcia zaczynają robić się coraz bardziej ponure. Data znika. Zaczyna się gimnazjum. Dużo mniej uśmiechu. Na plaży, wokół stołu, siedzą trzy osoby, nie cztery. Will jest już nastolatkiem z okropną fryzurą i sypiącym się wąsem, który próbuje zapuszczać. Ja jestem nastolatką z jeszcze gorszą fryzurą, ale za to z zaciętym, bojowym uśmiechem. I kolejne ujęcie, tym razem z daleka: ja i Will, koło dwudziestki, ospali, chyba w końcu atrakcyjni, siedzimy rozwaleni na schodach podczas wesela jednego z kuzynów. A potem zakończenie studiów...

I nic. W tym momencie zdjęcia w zasadzie się kończą. Mama przestała interesować się fotografią, kiedy odeszliśmy z jej życia.

Odsuwając ten album na bok, wyciągam ostatni, który założyła. Ostatni album, który leżał na jej kolanach, gdy szczęśliwa mogła wypełniać go zdjęciami.

Siedzę ze skrzyżowanymi nogami na zimnej podłodze jadalni, tak zaabsorbowana, że zapominam o strachu i smutku. Wygląda na to, że mama wycinała z gazet każdy artykuł, który napisałam – i wklejała je wszystkie tutaj. Tak samo jak informacje o tym, co robił Will, choć jest ich mniej.

Mamo... Byłaś z nas taka du m n a.

Po raz kolejny ignorując napływające do oczu łzy i ucisk w gardle, przewracam kolejne strony. W połowie albumu zdjęcia powracają – rodzi się mały Caleb. Mama uwielbiała swojego pierwszego wnuka, jedyne wnuka. Ma fotografie małego Caleba, który stracił pierwszy ząb i uśmiecha się jak głupek, Caleba na zabawkowej hulajnodze w słonecznej Kalifornii. A na następnej stronie – znowu ja. Ogromne zdjęcie na całą stronę. Musiała specjalnie wydrukować je w tym formacie, tak jej się podobało.

To jej siedemdziesiąte urodziny, upalny lipcowy dzień, robimy grilla pod jabłonią. Żeby było więcej ludzi, zaprosiłam sporo swoich nieco bardziej interesujących przyjaciół – jest Fitz, Anna, Marlow, Gul, Andy, Jenny. Simon też, oczywiście. I jego rodzice. Partnerzy mojej mamy do brydża. Mama. To było na długo przed tym, zanim rozwiedliśmy się z Simonem.

Coś w tym niewinnym zdjęciu przykuwa moją uwagę, ale nie wiem czemu.

Stoję w ogrodzie, w jednym rzędzie z Simonem, Jenny, Fitzem, Gulem i Tabithą. Trzymamy kieliszki, śmiejemy się, pewnie wznosimy toast na cześć fotografa. Nawet A r l o tam był... jak przekonałam A r l a, żeby przyjechał do Thornton Heath? To nie ma sensu. Czy tylko to mnie niepokoi? Czy chodzi o coś innego? Przyglądam się twarzom, wyczuwam napięcie między mną i Simonem, nawet jeśli uśmiechamy się nieco wstawieni.

Już wtedy flirtowałam w wiadomościach z „Liamem”, szukając ucieczki od martwego małżeństwa.

Ale jest COŚ jeszcze.

O CO CHODZI?

Gapię się i gapię, przebiegam palcami po zdjęciu, jakbym była niewidoma i czytała tekst napisany alfabetem Braille'a. Jakby sama faktura fotografii mogła zdradzić prawdę.

I wtedy – widzę. Mama. Trochę się uśmiecha, a trochę mruży oczy do aparatu, może oślepiąca przez słońce. Trzyma w ręku książkę. Poznaje charakterystyczną, prostą okładkę. Sama niedawno ją ściągnęłam.

Wiersze zebrane Sylvii Plath.

Cisza w moich uszach brzmi jak ryk klaksonu.

Dlaczego mama pozowała z tym tomem akurat do zdjęcia zrobionego z okazji jej siedemdziesiątych urodzin? Chyba tylko dlatego, że ktoś dał jej go w prezencie, tego samego dnia. Nie pamiętam tej książki. Mama nigdy nie interesowała się poezją, podobnie jak ja. A jednak ktoś, kto l u b i Sylvię Plath, podarował jej taki prezent. To znaczy, że jeśli uda mi się znaleźć książkę i dowiem się, od kogo ją miała, poznam tożsamość winowajcy, moją nemezis, mojego prześladowcę.

Gdzie mama mogłaby postawić ten tom? To prezent, więc na pewno by go nie oddała; ale nie jest to również jedna z jej ulubionych pozycji.

Powieści Jane Austen, sióstr Bronte, Thomasa Hardy'ego – klasyki, które czytała wciąż od nowa – trzymała w sypialni. Książki kucharskie stały w kuchni. Mniej ważne lub przydatne publikacje zawsze trafiały tutaj, do jadalni. Na półkę po drugiej stronie stołu.

Gorączkowo przeglądam tytuły, chodzę wzdłuż regału, tam i z powrotem. Czuję się jak król, który podczas przeglądu wojsk szuka zdrajcy.

Bez rezultatu, nie widzę żadnych wierszy. W ogóle mnie to nie dziwi, żadne z nich nie czytało poezji. Ale nie przejrzałam jeszcze wszystkich tytułów. Została tylko jedna możliwość – półka po lewej, gdzie na samej górze stało najwięcej nieprzeczytanych książek. Jestem zbyt niska, żeby tam dosięgnąć. Muszę przynieść sobie krzesło. Staję na nim. Wyciągam szyję.

Ostatni raz przeglądam tytuły. Stare science fiction. Stare książki naukowe. Książka o Vermeerze. Wiersze zebrane Sylvii Plath.

Rozpalona od emocji, sięgam po zapomniany prezent. Stoi po prawej stronie, nade mną, poszarzały od kurzu.

Próbując zachować spokój, choć nie czuję się ani trochę spokojna, wyciągam książkę. Schodzę z krzesła, żeby obejrzeć zdobycz. To musi być ten sam tom, który mama trzymała na zdjęciu. Podarunek, który otrzymała tamtego dnia.

Odczytuję ręcznie wpisaną dedykację:

Wszystkiego najlepszego
całuję

„Jak róża, którą osiągasz”

Czuję w ustach smak żółci. Pismo jest charakterystyczne. Ozdobny zawijas przy „J”, którego uczył mnie tata.

Ja to napisałam. Dla mamy. Musiałam dać jej tę książkę. A jednak nie pamiętam jak ani dlaczego, ani kiedy – nic.

Co więcej, wygląda na to, że dosłownie przewidziałam swoją przyszłość. Wiedziała, kto przyjdzie, by mnie zranić. Sylvia Plath.

Rozdział 45

Jo

To prawda. Niemożliwe. Ale to prawda. Choć to niemożliwe.

Chowam książkę do torby. Książkę, która niemal prosi mnie, żebym uwierzyła w jakiś śmieszny zbieg okoliczności. To, że kilka lat temu mogłabym przewidzieć wydarzenia, które ostatecznie doprowadzą do mojej ruiny, samobójstwa albo morderstwa, graniczy z cudem. W dodatku wygląda na to, że zdążyłam już zapomnieć, że w ogóle to zrobiłam. Że dałam mojej mamie tom poezji. Z wierszami kobiety, która się zabiła. Jak tata.

Ale to prawda. Tyle że to niemożliwe.

Muszę stąd wyjść, iść gdzie indziej i to przemyśleć. Gotowa do ucieczki, kieruję się w stronę drzwi; jestem zbyt poruszona, żeby tu zostać.

Zatrzymuje mnie nagły hałas.

W domu jest ktoś jeszcze. Ktoś otworzył drzwi.

Zamykałam je, bardzo dokładnie. Dom jest zabezpieczony – jestem zbyt przewrażliwiona na zagrożenia ze strony Electry i tego, kto za nią stoi. „Ktoś umrze”. Ktoś i d z i e przez korytarz. Głośne, ciężkie kroki – nie brzmi, jakby się skradał. Mężczyzna. Nadchodzi. Po mnie. W miejscu, w którym zmarła moja mama. W miejscu, w którym przewidziałam własny upadek.

Słyszę, jak wchodzi do kuchni. Przesuwa talerze, może czegoś szuka. Głuche chrząknięcie, niezadowolenie lub niepokój.

Przez cały ten czas stoję tutaj, na wpół sparaliżowana. Absurdalnie rozglądam się za bronią. Lampa? Czego mogę użyć? Nic tu nie ma. Skrzypią drzwi od kuchni, słyszę kroki w przedpokoju. Widzę, jak obraca się klamka. Stoję, sięgam po jedno z pudełek z farbami taty, którym mogłabym rzucić.

Jest tam. Wysoki i znajomy. Odzywa się:

– Ty dziwko. Widziałem, co zrobiłaś. Zamordowałaś ją.

Rozdział 46

Tabitha

Siedząc przy kuchennym blacie z wydzieloną miniaturową lampką wina, Tabitha wpatrywała się w zegar na mikrofalówce Arla. Nad ogrodem zapadł zimowy zmierzch.

Znowu źle chodził. Ten zegar zawsze źle chodził. Nieustannie ją irytował, choć nastawiała go co trzy dni. Najdziwniejsze było to, że Arlo – drobiazgowy, logiczny Arlo, który denerwował się, gdy jego zabytkowe spinki do mankietów nie były uporządkowane rozmiarami – zdawał się tym w ogóle nie przejmować.

Gdzie on się w ogóle podziewał? O tej porze powinien już być z powrotem. Zastanawiała się, czy powinna zacząć przygotowywać jedzenie. Pewnie było za wcześnie. Ale lubiła gotować. Spędzała w tej kuchni coraz więcej czasu. Przyrządzała rzeczy, na które nie miała ochoty.

Być może chodziło o prostą czynność zastępczą. Żeby nie musiała myśleć o Jo. Bolała ją ich ostatnia rozmowa. Przyznanie się do tego okropnego kłamstwa. A oskarżenia Jo wobec Arla?

Telefon zadzwonił, rozprasząc natłok myśli. Nie rozpoznała numeru.

– Halo? Kto mówi?

– Tu Simon. Simon Todd. Przepraszam, że dzwonię na numer domowy. Przeszkadzam?

Tabitha zamilkła zmieszana i zmarszczyła brwi.

– Nie, skąd.

– A jak ciąża? Słyszałem, że... się spodziewacie?

– Wszystko w porządku.

Tabitha popatrzyła na panujący w ogrodzie półmrok, na ponury i kolczasty krzew róży i plamy trawy przebijające przez śnieg. Dlaczego Simon do niej dzwonił? Przecież nie po to, żeby pogadać. Musiało chodzić o Jo.

– Simon, o co chodzi? Coś z Jo, prawda?

– Taa... – Jego głos ucichł nieco, jakby bał się, że ktoś go usłyszy. – Chodzi o Jo. O kogo innego mogłoby chodzić? Słyszałaś o Janet?

– Oczywiście. To okropne. Zawsze było jakieś ryzyko, ten rozrusznik... ale i tak, biedna Jo.

– Rozmawiałaś z nią?

Simon mówił szybko. Wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju.

– Cóż, próbowałam, ale... jest na mnie zła. Pokłóciłyśmy się. To skomplikowane. Ale tak... próbowałam. – Tabitha usiłowała nie myśleć o Arlu. Jak zareagowałby, gdyby mu powiedziała, czego dowiedziała się Jo? O Xanderze? – Ale wiesz, co można powiedzieć w takiej sytuacji? Nic nie można zrobić. To strasznie smutne, a do tego dochodzi cała reszta, ten nieustający koszmar...

Simon przerwał jej stanowczo:

– Masz na myśli to chore gównno? Wiadomości?

– Tak. I te ohydne maile, i ten rzyg na Twitterze. Straciła pracę! Prawie mówili o niej w wiadomościach... Byłam niedawno na Delancey i już wtedy było z nią źle. Ale, Simon, co możemy zrobić? Zamienia się w swojego ojca. To okropne. A teraz jeszcze jej mama.

– Cóż, właśnie dlatego dzwonię – powiedział Simon, wciąż tym samym zduszonym, napiętym głosem. – Dokładnie o to chodzi. O maile. Wiadomości na WhatsAppie. Konto na Twitterze. Pobawiłem się w detektywa i odkryłem, że t o n i e o n a je napisała. To nie jej tweety. Nie kłamie. Została zhakowana.

Szok Tabithy był niemal fizycznie odczuwalny.

– Słucham? Simon, jak? Co?

– Tak jak powiedziałem. Została zhakowana.

– Ale skąd możesz to wiedzieć?

Głos miał zaniepokojony, ale pewny.

– Bo dosłownie nie mogła. Jakiś czas temu sprawdziłem te wiadomości. W jednej z nich, mailu, który dostał Fitz, nie zgadzał się czas. Kiedy został wysłany, jadła ze mną kolację. Telefon był wyciszony, nawet go nie dotknęła.

Tabitha wstała.

– A co z... jakimś programem? Przecież można ustawić czasową wysyłkę.

– Nieee, to też sprawdziłem. Znam się na tym, to moja praca. Tabitha, ona nie wysłała tych wiadomości. Zaczynam myśleć, że Jo przez cały czas miała rację – n i e j e s t paranoiczką. N i e j e s t wariatką jak jej tata. Ktoś faktycznie jej to wszystko robi. Torturuje ją. Asystenci naprawdę bawią się jej życiem.

Tabitha poczuła, jak pogrąża się w otchłani zamętu. I smutku. Ogarnął ją zupełnie nowy rodzaj przerażenia.

– To znaczy, że asystenci naprawdę do niej mó w i ą?

– Tak.

– Telefon i telewizor też? A konto na Twitterze... cała ta masakra... To wszystko fejki? Jakiś atak?

– Aha, owszem. Zaczynam na poważnie myśleć, że ktoś, komu zaszła za skórę, zamierza ją albo całkowicie zrujnować, albo chce, żeby oszalała i ze sobą skończyła. Ale kto tak bardzo jej nienawidzi, Tabs? Kto chce, żeby trafiła do szpitala psychiatrycznego albo rzuciła się pod pociąg? Kto na tym skorzysta?

Tabitha popatrzyła na pusty kieliszek i chciała nalać sobie następny, ale wiedziała, że to zabronione.

– To ty zainstalowałeś asystentów, Simon. Nie możesz tam pojechać i sprawdzić? To twoja była. Właśnie straciła matkę.

– To skomplikowane... Polly pilnuje wszystkiego, co robię. Wiem, że to gówniana wymówka, ale... tak właśnie jest. Jeśli moja żona zorientuje się, że miałem z Jo jakikolwiek kontakt, już po moim małżeństwie. Nawet do ciebie dzwonię z telefonu kumpla, żeby się nie dowiedziała. – Nerwowa cisza. – Dwa tygodnie temu próbowałem wysłać Jo SMS-y, wczoraj napisałem jej maila, żeby wiedziała, jak mi przykro z powodu jej mamy, ale myślę, że zostały zablokowane. W zasadzie jestem pewien, że ktokolwiek steruje tymi urządzeniami, blokuje większość jej maili i wiadomości. Żeby dalej ją izolować. Właśnie taką kontrolę sprawuje nad jej życiem. Nad wszystkim, co robi. To cholernie przerażające. Naprawdę się o nią boję. – Przerwał, a potem dodał: – Jest jeszcze jedna rzecz... Tak się składa, że mam jednego podejrzanego. Tak jakby.

Tabitha była przygotowana na najgorsze. Przecież nie zamierzał oskarżyć Arla? A jednak potrafiła zrozumieć, czemu mógłby to zrobić. Czasami sama miała wątpliwości. Coraz częściej.

– Kto?

– Liam.

– Kto?

Simon powtórzył.

– Pamiętasz tego aktora, Liama? Tego, z którym pisała. Rozpieprzył nasze małżeństwo. Kiedy się rozstaliśmy, przez jakiś czas sprawdzałem go w sieci. Miał konto na Fejsie i na Instagramie, tweetował coś dziwnego. Chyba... śledziłem go przez chwilę, byłem zazdrosny. Żałosne, ale co zrobić.

Myśli Tabithy pędziły naprzód.

– Chodzi ci o to, że to on, bo mu odbiło? To mogłoby mieć sens. Rzuciła go przez neta, nigdy z nim nie spała, więc się na nią wziął, może nawet z zazdrości. To jakiś stalker, tak?

– Nie – zaprzeczył Simon. – Wręcz przeciwnie. Nie obczajałem go od dłuższego czasu, ale ostatnio chciałem go sprawdzić. Zniknął z sieci. Nie ma dowodu na to, że w ogóle istniał. Żadnego zdjęcia, żadnej wzmianki, nawet konta na LinkedInie. Nikt o nim nie słyszał, nikt go nigdy nie widział. Zajebicie dziwne, nie? Pisała z duchem.

Informacje napływały tak szybko, że wszystko stawało się rozmazane. Tabitha próbowała się skupić.

– Czyli ten gość w ogóle nie istniał?

– Cóż, w j a k i e j ś formie istniał. Wrzuciłem zdjęcie do programu rozpoznającego twarze. Wszystkie fotki pochodziły z Fejsa jakiegoś przypadkowego typu, bankiera ze Stanów, który nigdy nawet nie był w Wielkiej Brytanii. Wychodzi na to, że ktoś wziął te zdjęcia i wymyślił całą historię, stworzył postać Liama Goodchilda. Ktokolwiek stworzył go jednak wtedy, ostatnio wymazał go z sieci. Całkowicie. – Simon zawahał się, po czym kontynuował: – A wszyscy w branży wiedzą, że to zajebicie trudne. Mógł to zrobić tylko ktoś odpowiednio wysoko postawiony albo prawdziwy ekspert. Ktoś z dużą wiedzą na temat rzeczy z górnej półki. Sztuczna inteligencja.

Tabitha nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa. W milczeniu słuchała Simona, który mówił dalej, szybko i stanowczo:

– Tak czy inaczej, teraz to nieistotne. Najważniejsze jest to, że musimy uratować Jo. Nie możesz iść i się z nią zobaczyć, Tabs, zostać tam? Jest twoją przyjaciółką, to twoje mieszkanie. Musimy działać szybko. Może być bliska samobójstwa.

Tabitha skrzywiła się. „A ja jeszcze ją do niego przybliżyłam”.

Trapiona poczuciem winy, próbowała się wytłumaczyć:

– Okej, dobrze. Spróbuję, Si, to znaczy, mogę spróbować... Problem w tym, że tak jak mówiłam, ostro się pokłóciłyśmy. Nie posłucha mnie. Też mamy problemy, wiesz, i... i... Arlo potrafi być trudny.

Z każdym słowem czuła się coraz bardziej żałośnie. Było jasne, że kłamie. Nie miała pojęcia, co zrobić. Ale jej bezradność nie miała nic wspólnego z Arlem. To o n a przekreśliła relację z Jo tym strasznym kłamstwem na temat Jamiego Trewina. Nie dało się tego cofnąć. Ich przyjaźń była prawdopodobnie skończona.

Simon westchnął krótko, może nawet gniewnie. Jakby się tego spodziewał. Potem powiedział:

– Cóż, mógłbym wysłać do niej, kurwa, list, wiesz, taki papierowy. Z pocieszeniem i ostrzeżeniem. Ale chyba go nie otworzyła. Myślę... – Jego głos stał się jeszcze cichszy. – Myślę, że ktoś musi do niej iść, Tabs. I, no nie wiem, to może faktycznie mój obowiązek. Jej byłego męża. Chryste. Muszę się z nią zobaczyć, zaryzykować. I mieć nadzieję, że Polly się nie dowie. Ktoś m u s i jej pomóc, Tabitha. Bo ktoś inny ją atakuje, a ona nie ma nikogo po swojej stronie.

– Cóż... – zaczęła Tabitha, czując ukłucie winy i nienawiści do samej siebie – jeśli tam pójdziesz, to super... proszę, przekaz jej, zee... ją kocham i jej współczuję. Daj mi znać, jak ci poszło, najszybciej jak się da.

Simon rzucił krótkie „tak”, a potem się rozłączył. Było jasne, że rozczarowała go swoją słabością. Brakiem odwagi. Czemu miałby zareagować inaczej – był naprawdę zaniepokojony. Ktoś próbował wykończyć Jo.

Ale kto? Zastanowiła się nad tym, co powiedział Simon: kto by na tym skorzystał? Na jej totalnym zniszczeniu?

Tabitha przypomniała sobie, co o Simonie powiedział Arlo. Że badał ze swoim zespołem możliwości naśladowania głosu. Przyszło jej do głowy, że mogła nawet nie rozmawiać z Simonem. Może fałszował własny głos. Wciągał ją w dziwną i niebezpieczną grę.

Ale dlaczego miałby to robić?

Cienie padały ze wszystkich stron. Sama myśl o sklonowanych głosach przyprawiała Tabithę o mdłości, ale nie tak jak rozmowa, którą przed chwilą odbyła. Liam, aktor, był jakimś duchem. Wszystkiego robiło się zdecydowanie za dużo, wszystko było dziwaczne, mroziło krew w żyłach. Tabitha Ashbury nabrała nagłej i przerażającej pewności, że była tylko jedną z postaci w sztuce, której nie rozumiała. A ktoś inny, ktoś o wiele

sprytniejszy pisał scenariusz – w języku, którego nie potrafiła nawet odczytać.

Wyrzała przez szklane drzwi wychodzące na stary, zamknięty ogród. Duże płatki śniegu opadały szybko na ziemię, po raz kolejny okrywając wszystko bielą. Jeszcze raz przemieniając świat.

Rozdział 47

Jo

Wpatruję się w opaloną twarz swojego brata. Dostrzegam nowe zmarszczki. Ma za sobą męczący lot z Los Angeles, żeby pochować mamę. Czemu się na mnie wścieka?

– O co ci, do cholery, chodzi, Will? Nie miałam nic wspólnego ze śmiercią mamy. Byłam w domu.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Słuchaj, wiem, że mnie nienawidzisz za to, co według ciebie zrobiłam, ale z Calebem to nie byłam ja. Zostałam zhakowana. Telefon, komputer, wszystko, proszę, musisz mi uwierzyć.

Krzyżuje ramiona. Nic do niego nie dociera. Próbuję załagodzić sytuację:

– Dopiero tu dotarłeś, Will, musisz być zmęczony. Wyśpij się, możemy porozmawiać jutro...

– Nie! – krzyczy. – Jestem tu od rana, musieliśmy się minąć. Zostawiłem rzeczy u kolegi w Battersea.

Już tu był? U mamy? O czym on mówi?

Wychodzi do jadalni, a ja idę za nim. Zatrzymuje się przy półce, na której mama trzymała swojego laptopa. Nie robiła na nim zbyt wiele – zdjęcia, sprawy rodzinne, Facebook. Korzystała z Fejsa częściej niż ja. Rodzice.

Will bez słowa otwiera komputer. Natychmiast wyświetla się profil mamy. Włącza Messengera w pełnym oknie. A potem pokazuje mi ekran:

– Domyślałam się – mówi głosem tak lodowatym, jakby już nigdy więcej nie zamierzał odezwać się do mnie normalnie – że temu też zaprzeczysz?

Spoglądam na laptopa.

W Messengerze wyświetla się ostatnia wiadomość. Ode mnie do mamy. Wystarczy kilka pierwszych zdań, bym na policzkach poczuła łyzy. Płacz dusi mnie w gardle.

Byłaś najgorszą matką na świecie. Po prostu najgorszą. Tak kurewsko nudną. Tak kurewsko denną. Non stop gadałaś, cały czas, o niczym. Nic dziwnego, że tata się zabił. Wszyscy cię nienawidziliśmy. Ja i Will nadal cię nienawidzimy, DLATEGO cię nie odwiedzamy ani nie dzwoniemy. Czy zanudziłaś tatę na śmierć, czy to dlatego oszalał...

Jest tego więcej. Długie, złe, odrażające akapity. Z trzaskiem zamykam laptopa, ale jest już za późno. Słowa są wyryte na mojej nagiej, bolesnej skórze. Cały świat może je zobaczyć.

W głosie Willa słyszeć tłumiony gniew.

– Wysłałaś tę wiadomość do mamy o ósmej trzydzieści. Sądząc po wyświetleniu, przeczytała ją o dziewiątej. Zmarła w ciągu godziny.

Robi krok w moją stronę. Na jego twarzy pojawia się mieszanina szoku i pogardy.

– Jakim potworem trzeba być, Jo? Najpierw próbujesz zniszczyć moją rodzinę, szczęście brata, bratanka, swoich bliskich. Teraz praktycznie zabiłaś własną matkę?

Uciekam. Szybko. Uciekam od tych słów, z tego pokoju. Nie zrobiłam tego, nie wysłałam tej wiadomości, ale mój brat nigdy mi nie uwierzy, nie po tym, co się stało. A ja nie mogę znieść jego gniewu, bo ma rację.

– No dalej! – Słyszę, jak krzyczy, kiedy z hukiem otwieram drzwi wejściowe i wybiegam w zduszone zimnem przedmieścia. – Dalej, uciekaj! Gdybym tylko mogła.

Rozdział 48

Jo

Czy można cieszyć się z odrętwienia wywołanego żalobą i cierpieniem? Pewnie tak zostaliśmy zaprojektowani. Ewolucyjna reakcja na ból, który bez tego byłby nie do zniesienia. Jak inaczej przetrwałabym ostatnie kilka dni? Pogrzeb matki. Nienawiść mojego brata. Na nabożeństwie byłam kompletnie samotna. Pozostali gapili się na mnie lub rzucali ukradkowe, pogardliwe spojrzenia.

Odgrodziłam się od świata tarczą obojętnego gniewu, kokonem dezorientacji i strachu. Czyli to ja jestem tą szaloną córką? Co z tego. Czyli to ja wypisywałam te rzeczy na Twitterze? Walić to, nieprawda. A jednak wszyscy myślą, że to ja, bo ktoś mnie w to wrobił.

D r a ń.

Gniew we mnie wre. Nie pozwolę im mnie wykończyć. Tylko że nie wiem, jak ich powstrzymać. Walka z nieuchwytnym wrogiem to jak dźganie ducha albo bójka z dymem. Każdy podejrzany rozpływa się w powietrzu, kiedy podążam jego śladem; okazuje się, że niektórzy, jak Liam, nigdy nawet nie istnieli.

Jestem w na tyle kłopotliwym położeniu, że nie mam gdzie się zwrócić, by to wyjaśnić. Zresztą, nikt nie poświęciłby mi swojego czasu. Potrafię wyobrazić sobie te pełne niedowierzania twarze, kiedy opisuję swoją sytuację. Czyli umiesz przewidywać przyszłość i w którymś momencie zobaczyłaś ducha?

N i c d z i w n e g o, że nie wierzy mi nikt poza szalonym, bezdomnym facetem.

Jestem sama. Czekam na ostateczny atak. Stoję w dużym pokoju, rozkojarzona jem jabłko.

Rzucam ogryzek na stół. Im głębiej tonę w tym bagnie, tym bardziej niechlujne robi się moje mieszkanie. Google podpowiada mi, że ostatnia, ale najsilniejsza zamieć tej zimy dopiero nadchodzi. Czekam na nią.

Niech zmiecie resztki tego świata. Chcę burzy śnieżnej tak silnej, że zrówna z ziemią centrum Londynu, a jedyne, co pozostanie, to Shard – wieżowiec skrzący się nad lodowym pustkowiem. Kiedy z niepokojem spaceruję ulicami Primrose Hill, nieustannie oglądając się za siebie, miasto sprawia wrażenie pierwotnego. Wygląda jak rytualne miejsce składania ofiar – metropolia, która obrosła srebrny obelisk wzniesiony przed tysiącami lat. Nie ma już nikogo, kto pamiętałby, do czego służył tajemniczy i potężny totem.

Ostatnio miewam okrutne myśli. Jest ich zbyt dużo. Muszę skupić się na walce. Ta książka, Wiersze zebrane. Jak to zrobiłam? S k ą d wiedziałam, co mi się przytrafi? Może na kolejnych stronach znajdę jakieś wyjaśnienie.

Ktoś przerywa moje rozmyślenia pukaniem do drzwi.

Waham się. Serce niemal wyskakuje mi z piersi. Jak zawsze.

– Kto tam? – pytam przez drzwi.

Odpowiedź jest nieco nerwowa:

– Tom. Z dołu.

Co za ulga. To tylko nowy sąsiad, jeden z lokatorów sprowadzonych przez Fitzę, by „czuwać nade mną”. To dość młody facet, sympatyczny, wprowadzili się tu z dziewczyną dopiero kilka dni temu. Byłam tak rozkojarzona, że ledwie zauważyłam ich przybycie. Kiedy przyjechali, wymieniliśmy się numerami i to by było na tyle.

Raczej mi ich szkoda – nie wiedzieli, że wprowadzają się do domu z wariatką na górze.

Otwieram szybko.

– Hej, Jo.

– Cześć, Tom. Co tam?

Staram się zachowywać jak normalna osoba, a Tom próbuje się uśmiechnąć.

– Cóż, Jo, hm... to nieco dziwne, ale ktoś do ciebie dzwoni.

– Słucham?

Wzrusza ramionami.

– Mówi, że ma na imię Simon... to twój były? Twierdzi, że to pilne.

Simon dzwoni do mnie na telefon moich sąsiadów?

Rozpiera mnie dziwna energia. Może to po prostu dlatego, że dzwoni do mnie ktoś, kto mnie zna. Ktoś inny niż Tabitha. Ktoś, kto mógłby mi współczuć. Wszystko jedno, kto by to był.

Biorę telefon od Toma. Uśmiecha się przyjaźnie na pożegnanie, choć nadal wygląda na zdziwionego.

– Będę na dole, po prostu odnieś go, jak skończysz – mówi przed odejściem.

Simon nie owija w bawełnę. Nie mówi, że przykro mu z powodu mamy, tylko szybko i cicho przechodzi do rzeczy:

– Jo, posłuchaj mnie bardzo uważnie.

– Skąd masz numer Toma?

– Co? Zadzwoiłem do Fitz’a. Posłuchaj, Jo, nie mamy czasu.

– Słucham?

Dosłownie wyrzuca z siebie:

– Wiem, co się z tobą dzieje. Wiem, że zostałeś zhakowany. Wiem o asystentach. Jesteś w mieszkaniu?

– Tak. Przy drzwiach. Tom właśnie dał mi telefon.

– Musiałem zadzwonić do niego, bo wszystkie twoje połączenia są monitorowane.

Nie potrafię stłumić tłącej się we mnie radości. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, ktoś mi wreszcie wierzy.

– Jo, nie odzywaj się, po prostu ubierz się i wyjdź. Spotkajmy się przy fontannie w Regent’s Park. Zaraz.

– Ale...

– Nic nie mów! Asystenci mogą cię usłyszeć! Każde urządzenie w twoim domu zostało zhakowane, jesteś w niebezpieczeństwie. To ma się wydarzyć dzisiaj po południu, sprawdzałem twoje wiadomości. Musimy spotkać się gdzieś na odludziu, z dala od monitoringu. Regent’s Park to jedyne bezpieczne miejsce. Wszystko ci wyjaśnię.

Rozglądam się dookoła, rzucam okiem na okna. Śnieżyca już się zaczęła, porywy wiatru zamieniły się w potężną nawałnicę. Ale Simon ma rację – tam będę bezpieczniejsza niż tutaj. Mogą mnie tu znaleźć, w każdej chwili.

– Okej – mówię do Simona, a potem powtarzam głośniej, na użytek Electry: – Kupię w sklepie!

Rozmowa dobiega końca. Ubieram się jak najcieplej, owijam szalikiem, zakładam czapkę i rękawiczki. Schodzę na dół, pukam do drzwi Toma, oddaję mu telefon.

– Dzięki – rzucam.

Odbiera komórkę, marszcząc brwi.

– Żaden problem, ee...

Nie czekam na przesłuchanie. Otwieram drzwi i wychodzę na wiatr, śnieg i zimno. Czuję się, jakbym wkraczała do innego, bardziej realnego świata. Teraz, myślę sobie, albo nigdy.

Rozdział 49

Jo

Zamieć jest nieokiełznana i groźna. Londyn skapitulował. Wiele osób spędziło ostrą zimę w mieszkaniach, ale nigdy nie widziałam okolicznych ulic – Parkway, Albert Street, Gloucester Gate – tak kompletnie pustych.

Jestem jedyną osobą w zasięgu wzroku. Opatulona prę naprzód; śnieg pada niemal poziomo, kłując mnie w twarz, a kolejne uderzenia wiatru niemal odbierają mi oddech. Wchodzę do parku. Wokół rozciąga się biała pustynia, drzewa przypominają powykręcane wiktoriańskie latarnie, a lampy – zamrożone, rozczłonkowane przez zimno i wiatr bestie.

To znaczy – wtedy, kiedy da się je w ogóle zobaczyć.

Idę na wycucie, bo śnieg sypie tak intensywnie, że nie widzę dalej niż na trzy metry, może pięć, przed siebie. Mimo wszystko nie czuję zimna – coś rozgrzewa mnie od środka. Wybawienie. Wyjaśnienie. Simon mi wierzy, Simon rozumie, co się dzieje. Wiedziałam to wcześniej, ale teraz dowie się świat – n i e j e s t e m z a l o n a. Nie zaprzepaściłam swojej kariery, nie zerwałam wszystkich przyjaźni, nie rozbiłam własnej rodziny – nie zabiłam swojej mamy. To nie ja. Prawda nareszcie ujrzy światło dzienne. Ale kto jeszcze widzi to światło? Kto skrada się, by mnie dobić?

Rozglądam się dookoła, ale śnieg przysłania wszystko. Idę w dobrą stronę? Nie wiem, nie potrafię powiedzieć. Bezradna wołam:

– Simon? – I znowu: – Simon, to ty?

Bez sensu. Mój głos ginie pośród wiatru, a ja nie jestem nawet blisko fontanny znajdującej się w czymś w rodzaju parku wewnątrz parku. Ciemność zapada nad miastem, rozświetlana jedynie wirującym wściekle śniegiem. Czerń i biel, coraz ciemniej, zimowe, nikłe światło rozplywa się w mroku. Niedługo zamkną park, a przy tak wysokich bramach i ogrodzeniach utknę tu na całą noc. Tylko że teraz nie ma to znaczenia – muszę znaleźć Simona, on będzie wiedział, co zrobić.

Nagły błysk lodu wyrywa mnie z odrętwienia. Stoję nad stawem. Skreśliłam w złą stronę, poszłam naokoło jak idiotka. Ale przynajmniej wiem, gdzie jestem. Ruszam tam, gdzie mieliśmy się spotkać. Wiatr i śnieg są tak ostre i okrutne, że czołgam się prawie jak dziecko, żeby iść naprzód. Oczy zachodzą mi łzami, boli mnie cała twarz. Pomimo kilku warstw ciuchów czuję, jak spada temperatura mojego ciała. Szybko.

Czy to niebezpieczne?

Nie dbam o to. Nie przeszkadza mi to, jeśli tylko znajdę Simona. Ale kiedy wchodzę na właściwą ścieżkę, nie widzę ani jego, ani nikogo innego. Kolejne miażdżące uderzenie śniegu pomieszanego z drobnym gradem niemal przewraca mnie na ziemię. Drzewa skrzypią histerycznie. Zastanawiam się, czy mogą się złamać. Wiatr jest wystarczająco silny, a zasypujący je śnieg odpowiednio ciężki – upadek takiego drzewa mógłby mnie zabić. Ale oni – on, ona, coś – i tak próbują mnie zabić. Więc jakie to ma znaczenie? Mam wrażenie, że to moja ostatnia szansa.

– Simon! – krzyczę, a wiatr natychmiast wtlacza mi słowa z powrotem do ust razem z lodowatymi płatkami śniegu. – Simon, pomocy! Gdzie jesteś? Simon? Simon!

Z mojej kieszeni dobiega jakiś dźwięk. Telefon? Szukam schronienia, kulę się za różanym krzewem i czując kolce wbijające mi się w przemarznąętą szyję, wciskam zieloną słuchawkę. To znowu mój sąsiad, Tom.

– Jo, gdzie jesteś?

Nie mogę mu powiedzieć. Nie przez ten telefon – jest zhakowany, znajdują mnie asystenci.

– Tom?

– Co? Jezu, Jo? Wszystko okej?

Wieje tak, że ledwo mnie słyszy. Ręką osłaniam słuchawkę.

– Tom, wszystko w porządku. Jestem na zakupach.

– Jo, szukał cię jakiś upiorny koleś... Powiedział, że widział, jak idziesz w stronę parku, chciał wiedzieć, czy już wróciłaś... Jo...

– Co?

– Jo, wyglądał niebezpiecznie, jak... nie wiem, groźnie. Powinienem zadzwonić na policję, nie? Ten gość na pewno cię szuka. Wygląda źle. Jak wariat.

– NIE! – krzyczę. Asystenci słuchają wszystkiego, zemszczą się, zanim Simon mnie uratuje. – Nie dzwoń na policję! Tom! – Teraz już wrzeszczę

do telefonu. – Tom, stój! Nie dzwoń na policję! Tom! To tylko Simon, mój były mąż!

Połączenie się przerwało. Cały telefon padł. Zmarznięte ręce trzęsą mi się tak, jakbym kompletnie oszalała, ale pomimo łez w oczach widzę, że ekran zgasł.

Muszę znaleźć Simona. Wiem, że gdzieś tu jest. Czeka, żeby mi pomóc, żeby mnie uratować, żeby wszystko wyjaśnić. Pośród strasznej, ryczącej, zabójczej zamieci. Ciemne niebo i biały śnieg mieszają się w jedno, cienie migocą, czarne lampy przypominają stworzenia zdeformowane dla zabawy.

Jestem coraz bliżej, widzę już fontannę, przy której spotykaliśmy się z Simonem, kiedy ze sobą chodziliśmy. Ktoś musiał nie zakręcić wody, bo strumienie stworzyły szare, krystaliczne łuki. Przezrocyste ostrza wiszące nad martwymi, kamiennymi delfinami.

Obracam się, przez uderzenia bieli i zimna udaje mi się dostrzec przeciwległą bramę. Nic więcej.

Nie ma go tu. Nie zjawił się.

Simon kłamał. Dlaczego?

– Simon! – krzyczę rozpaczliwie pośród zamieci. – Simon!

Rozczarowana, pozbawiona sił, mam ochotę paść na kolana.

A potem go zauważam. Nie, to nie Simon. To mężczyzna przysłany, by mnie zniszczyć.

Duża, majacząca w oddali postać osłonięta ciasno szalikiem, w kominiarce, pojawia się w południowej bramie. To ledwie zarys sylwetki, ogromny, czarny kształt. To ktoś dwa razy większy od Simona. Przyszedł tu po mnie, chce mnie wykończyć. Uda mu się to, w ciemności, w śniegu – i nikt się nie dowie. Może wepchnie mnie do zamrożonego jeziora. To znaczy – zgubię się i tam wpadnę. „Lód pękł, utonęła”. W tej strasznej nawałnicy to dziecinnie proste. Ten człowiek ma sprawić, że targnę się na swoje życie.

Słyszę krzyk przebijający się przez wycie wiatru. Ciemna sylwetka zmierza w moją stronę, potem rusza biegiem. Pierwotny, instynktowny strach wypełnia moje płuca i duszę. „Jeśli nie zabijesz się sama, przyślę kogoś, kto to zrobi”. Odwracam się to w jedną, to w drugą stronę, próbując znaleźć najlepszą drogę ucieczki, podczas gdy ogromny mężczyzna biegnie w moim kierunku. Nie ma dobrych zamiarów. Jest zdeterminowany, lecz spokojny. Zabójca. Zawodowiec.

Tracę poczucie czasu i przestrzeni, czuję coraz mniej. Mój umysł wariuje z przerażenia – tego prawdziwego i tego wymyślnego. Burza śnieżna zasnuwa wszystko nieprzenikalnym całunem oślepiającej bieli. Zdesperowana, drżąc, pędzę w prawo, bramy zamykają się za mną, jestem na drodze, która biegnie przez park. Mężczyzna podąża za mną, goni mnie, wciąż się zbliża, wie, że zapędzi mnie w kozi róg i dopadnie. Wepchnie pod lód. Zabije. Przyspieszam, skręcając w lewo, ślizgam się na śniegu i lodzie; za sobą nie widzę już nic, ale to dlatego, że nie ma czego widzieć – jest tylko ściana śniegu, wiatru i ciemności. Tracę równowagę, upadam, machając rękami, wiruję na lśniącym lodzie. Balerina wykonująca taniec umierającego łabędzia.

Jest blisko? Dzieli nas może trzy metry. Jest gotowy do zadania ostatecznego ciosu.

Krzyczę głośno z nadzieją, że ktoś przyjdzie. Na próżno. W promieniu kilometra nie ma nikogo, poza mną i n i m. A jednak w jakiś sposób znajduję w sobie resztkę energii, ostatnią iskrę buntu. Podnoszę się na nogi i uparcie brnę w stronę chodnika. Dochodzę do bramy. Nie mam pojęcia, gdzie prowadzi; ścieżka wygląda, jakby wiodła do altany z lodu, drzew i bluszczu – to labirynt, kolejny park w parku. Nigdy wcześniej tu nie byłam. Regent's Park jest tak dziwnie ogromny. Białe żywopłoty wznoszą się wysoko. Wszystko jest ciężkie od śniegu. Biegnać, próbuję zrozumieć płataninę drózek; słyszę mężczyznę – idzie za mną, oddychając ciężko. Jest gotowy mnie zabić.

Wokół mnie ściany bieli. Nade mną ciemność. Za rogiem śmierć. Ktoś, kto ostatecznie przyjdzie po wszystkich; dosięgnie każdego, zanim zdąży się dotrzeć do drzwi. Nadszedł mój czas. Tym razem nie mam już gdzie się schować.

Tyle że wciąż próbuję. Biegnę najpierw w lewo, potem w prawo, obok żywopłotów, zamrożonych fontann obwieszonych sztyletami niebieskawego szkła, między łukami pękających sopli. Nie mam już siły, widzę, jak mężczyzna w kominiarce wciąż się zbliża, choć nadal jest po drugiej stronie labiryntu. Gruby płaszcz opina jego szerokie ramiona. Widzi mnie, wie, że ja też go widzę. Pędzę dalej, głębiej.

Na moment go zgubiłam, ale zgubiłam też drogę. Jestem wykończona, na skraju wyczerpania – zimno jest zbyt ostre, potrzeba ciszy i spokoju zbyt kusząca. Prawie się poddaję. Nie mam innego wyjścia. Mam tylko nadzieję, że kiedy mnie dopadnie, zabije mnie szybko. Bramy są już

zamknięte, a ogrodzenie za wysokie, bym mogła się na nie wspiąć. Przebiegam przez ostatni czarny łuk lodowych kolców bez róży, jestem w spirali ziemi i lodu. Staję przed kolejną rzeźbą, pełną wdzięku żelazną dziewicą obwieszoną szklanymi ostrzami. Tuż obok dostrzegam małą drewnianą ławkę. Jest ładna, położę się na niej.

To koniec. Dość, dość, dość. Jestem taka zmęczona. Nie dam rady uciec. Wygrali. Albo dopadnie mnie ten facet, albo zimno – jestem pokonana, ledwie żywa. Już dość. Koniec. Zabiłam własną matkę, choć wcale tego nie zrobiłam. Ale to była jej ostatnia myśl – umarła znieawidzona przez własną córkę.

Zamieć powoli dogasa, ja również.

Ostrożnie kładę się na ławce. Jest mi tak zimno, że już się nie trzęsę. Pewnie tak właśnie czuje się samobójca, kiedy ostatecznie godzi się z tym, że śmierć musi nadejść. Kiedy zostawiasz szklankę mleka i talerz chleba. Kiedy zaklejasz drzwi. Idziesz do kuchni i kładziesz skroń na ścierce. Jest cicho.

Leżę z głową na ławce. Umrę tu. Nawet jeśli ten ogromny facet mnie nie znajdzie i nie zabije, nie wyjdę z tego parku. Zamarznę na śmierć, choćby nikt mnie nie utopił ani nie udusił. Naprawdę mi to nie przeszkadza. Dlaczego by miało? Śmierć nie jest taką złą rzeczą; to nie najgorsze wyjście, jeśli jest się mną.

Czuję, jak ostatnie dreszcze przebiegają moje ciało. Rytm serca zwalnia. Coraz bardziej. Koniec jest blisko. Przypominam sobie ojca i jabłonkę. Tato, już prawie jestem.

– Hej.

Otrząsam się z ostatniego snu. Drzewo z owocami, tata trzymający mnie w ramionach, jego pogodny, kojący uśmiech. Otwieram zamarzniete powieki.

Znam ten głos.

Samochodzik. To on mnie śledził. Paul.

– Ty...

Otwieram usta, czuję smak śniegu. Cekiny lodu. Drzę. Nie mogę mówić. Odzywa się przez kominiarkę:

– Widziałem, że tu idziesz. Że masz kłopoty. Przyszedłem pomóc. – Potrząsa głową. – Jo. Muszę ci pomóc.

Nie mogę mówić.

Bierze mnie na ręce, jakbym nic nie ważyła. Jestem martwa, dusze są lekkie. Czuję, jak niesie mnie przez kolejne bramy i ogrody, a potem odpływam w głęboką i senną otchłań.

Rozdział 50

Jo

Noc spędziłam w szpitalu. Nie pamiętam, jak mnie przyjmowali. Samochodzik ponoć niósł mnie na rękach przez całą drogę z Regent's Park do szpitala uniwersyteckiego. Nieprzytomną. A potem natychmiast zniknął.

Od razu wzięli mnie na oddział, owinęli srebrnym kocem termicznym, podali leki na potencjalną hipotermię, odmrożenia, całą resztę. Ale nic się nie stało. Kompletnie. Tego ranka lekarz kilka razy zaświecił mi w oczy i sprawdził odruchy, wcześniej – z oczywistych przyczyn – zrobili nawet badania krwi. Potem mężczyzna westchnął uprzejmie, z domieszką współczucia – jakby podejrzewał coś w rodzaju próby samobójczej.

– Może pani iść, panno Ferguson. W zasadzie wszystko w porządku – podsumował. – Powinna się pani cieszyć, że jest młoda i silna. Ale... proszę przez jakiś czas nie błąkać się po zamrzniętych parkach w środku nocy podczas zamieci stulecia, dobrze?

Uśmiecham się słabo w odpowiedzi.

– Może pan być spokojny.

Kiedy powiedziałam pielęgniarkom, że nie mam nikogo, kto mógłby przynieść mi rzeczy z domu, zlitowały się nade mną i kupiły nową bieliznę. Ubieram się, wkładam wysuszone džinsy i swetry. Jestem gotowa. Kiedy wychodzę z oddziału, przemiła pielęgniarka z najszerszym uśmiechem w Londynie przechodzi przez drzwi, niosąc bukiet kwiatów o wiele większy od niej. Przygląda się badawczo różom, liliom i modnym tropikalnym płatkom.

To drogi bukiet. Chyba wiem od kogo.

– Hej, Jo, to dla ciebie! – woła z charakterystycznym akcentem z Newcastle.

Patrzę na bilecik przy kwiatkach.

Tak jak podejrzewałam: „Przepraszam za wszystko. Tabitha”.

Wkładając kartkę z powrotem do małej koperty, proszę pielęgniarkę:

– Angie, zaniesiesz te kwiaty dzieciakom na pediatrii? Albo coś w tym stylu? Nie chcę ich.

Angie uśmiecha się niepewnie i potakuje, a ja idę dalej. Zdeteminowana. Znalazłam się tak blisko śmierci, że teraz jestem pełna życia. Mam nowy cel: głód przetrwania, może nawet zemsty. Śnieżyca oczyściła niebo i mój umysł.

Zimowe słońce świeci nad Gower Street. Sople topnieją, a po ulicach płynie woda. Rzeczy do niedawna ukryte pod śniegiem wychodzą na jaw. Islandzki lodowiec wycofuje się z Londynu. Islandia... Sigur Rós.

Patrząc na znak kierujący na oddział psychiatryczny i ze świadomością odzyskanego życia zdaję sobie sprawę, że nigdy tam nie trafię. Będę walczyć aż do śmierci, zanim mnie tam zamkną. Nie dam się przywieźć tu w karetce, martwa, jak Jamie Trewin. Nie po wczorajszej nocy.

Mam książkę. Dedykacja nie pasuje. Muszę zrozumieć czemu, zanim Electra wykona swój ostateczny ruch.

Kiedy idę w stronę metra przy Warren Street, wydaję tajny telefon – nadal powinnam uważać – i dzwonię do Tabithy. To będzie krótka rozmowa. M u s z ę wszystko poukładać.

Denerwuje się, kiedy odbiera i słyszy, że to ja.

– O mój Boże, jesteś cała, Boże, Jo, ja... ja... przepraszam, kłamałam na temat Jamiego, jestem tak cholernie głupia, czuję się winna... Zadzwonili do mnie sąsiedzi, opowiedzieli o parku. Po ostatniej nocy jestem w rozsypce, rozmawiałam z Simonem. Mówił, że asystenci faktycznie nie działają tak, jak powinni, że zostałam zhakowana. Przepraszam, że ci nie wierzyłam.

Powinno mi ulżyć. Prawie nie czuję gniewu, nie spieszy mi się. Tabitha nawija dalej:

– Boże, Jo, czy to Arlo? Czy jest w to zamieszany? Nie umiem sobie tego wyobrazić, umarli ludzie, ty prawie...

– Tabitha, zamknij się!

Przestaje mówić.

– Odpowiedz mi na kilka pytań. Szczerze.

– Ee, tak. Jasne, oczywiście.

W jej słowach pobrzmiewa wahanie, jakby była bliska łez. Być może moja mądra, zabawna, kiedyś najlepsza przyjaciółka jest bliska załamania. Nie jestem pewna, czy mnie to obchodzi.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z Arlem o Jamiem Trewinie? Obydwie wiemy o Xanderze Scudamorze, więc domyślałam się, że tak.

Kolejne zawahanie.

– Tak, rozmawiałam – przyznaje po chwili. Tym razem w jej głosie słyszę płacz. – Jest mi tak bardzo, bardzo przykro... co...

– Przestań się mazać. Jeszcze jedno pytanie.

– Co?

– Czy kiedykolwiek wspominałaś mu o Hoppipolli? Podałaś mu ten szczegół?

– Hoppi-co?

Tak myślałam.

– To piosenka – wyjaśniam. – Islandzkiego zespołu Sigur Rós. Grali ją cały czas na Glastonbury, kiedy tam byliśmy. Z Jamiem. Ale nie pamiętasz jej, prawda?

Tym razem odpowiedź jest szybka i szczerą.

– Ledwie o nich słyszałam, nie mówiąc o pamiętaniu ich piosenki z Glastonbury. Nie... – mówi i po chwili przerwy ciągnie: – Nie, na pewno o niej nie wspominałam. Jo, co zamierzasz zrobić z... Arlem, Xanderem i tym wszystkim? Mogłabyś zniszczyć wszystko, i rozumiem czemu... nie wiem, czy mogę ufać komukolwiek, sobie, nawet Arlowi...

Niemal się rozłączam, ale przypominam sobie, że jest – lub była – moją najlepszą przyjaciółką. Jest w ciąży. Coś we mnie delikatnie ustępuje.

– Nie wiem, czy jest w to zamieszany, Tabs. To może być Arlo, może współpracować z kimś jeszcze. Nieważne. Zamierzam się tego dowiedzieć. Ale możesz powiedzieć mu coś ode mnie, Tabs. Dziś rano, w szpitalu, opisałam wszystko w mailu. Całą prawdę. Od początku. Wysłałam go lekarce, wyjaśniłam tam każdy szczegół: o mnie, o tobie, Xanderze, co tylko się da. Poprosiłam ją, żeby otworzyła załącznik, jeśli coś mi się stanie. – Tabitha słucha bez słowa. Mówię dalej: – Możesz więc powiedzieć Arlowi, że jeśli zamierza pozostać absurdalnie bogaty i nie chce odwiedzać swojej ciężarnej żony w więzieniu, ma zostawić mnie w spokoju. Okej? Ty też, Tabs. Rozumiesz? Dobrze. To cześć.

Jeśli mogłabym rzucić słuchawką, pewnie bym to zrobiła. Zamiast tego idę do domu. Pieprzyć zimę. To koniec. Jestem bliska prawdy. Miałam rację za pierwszym razem: o Hoppipolli wspominałam tylko raz, tylko jednej osobie – Simonowi, na North Finchley, dwa lub trzy lata temu. To znaczy, że cała akcja z asystentami NIE zaczęła się na Delancey, tylko

dużo wcześniej. Stąd to fatalne nagranie, na którym przyznaję się do wszystkiego mężowi. Byliśmy obserwowani już wtedy. Wszystko trwa od momentu, kiedy razem mieszkaliśmy.

Muszę więc tylko dowiedzieć się, kto to zrobił. Czuję, że nowe nazwisko pojawi się w moim umyśle, kiedy śnieg stopnieje. Jak ofiary gułagów, których ciała, ekshumowane przez globalne ocieplenie, wyłaniają się na Syberii, gdy ustępuje wieczna zmarzlina. Zęby wciąż są żółte i wyszczerzone, ubrania zachowane. Łatwo zidentyfikować zmarłych.

Skręcając w Parkway, widzę budowlańców wchodzących do domu. Czyżby kolejny z niekończących się remontów Fitz'a? Jeden z nich rzuca mi wesołe, lecz napastliwe spojrzenie.

Niemal wybucham. Z o s t a w m n i e w s p o k o j u.

Zamykam mieszkanie na dwa zamki, robię sobie najmocniejszą kawę w historii i idę do salonu. Wyczuwam, że Electra mnie obserwuje.

– Hej, Electra – mówię. – Pieprz się.

Nie odpowiada.

Wzruszam ramionami. Ponura, ale stanowcza. To banalne, lecz prawdziwe – straciłam już wszystko, więc nie mam nic do stracenia. Nie dbam o to, czy mnie obserwuje.

Stojąc przy niskim regale, wyciągam niepozorną, lecz najważniejszą książkę. Wiersze zebrane – wręczone mojej mamie na jej siedemdziesiąte urodziny. Wszystko wskazuje na to, że dostała ten tomik od swojej jasnowidzącej córki. Nie wierzę w to. Nie wierzę, że mogłam przewidzieć przyszłość. Musi być jakieś inne wyjaśnienie.

Otworzywszy książkę, jeszcze raz czytam dedykację.

Wszystkiego najlepszego

całuję

„Jak róża, którą osiągasz”

I znowu podchodzę do niej ze wszystkich stron, próbuję rozgryźć zagadkę. W tej dedykacji m u s i coś się kryć. Skąd pochodzi ten cytat? Na pewno z wiersza Plath. Sięgam po telefon i wyszukuję słowa w e-booku, który ściągnęłam.

Znalezienie właściwego wersu zajmuje pół sekundy. Pochodzi z utworu *Bezdzienna kobieta*.

I znów wracamy do mnie. Czyli to moja dedykacja? Czy w ten sposób chciałam powiedzieć mojej mamie coś o sobie? O braku dzieci? To nie ma

sensu. Jak mogłabym o tym zapomnieć? To przyjęcie nie odbyło się dawno.

Jestem zdesperowana. Wiem, że odpowiedź jest w tej książce, a jednak nie mogę jej znaleźć. Jakby ktoś ukrył przede mną coś cennego w zamkniętym pudełku. Słyszę, że w środku coś grzechocze, ale nie potrafię otworzyć pudełka.

Podnoszę papierowe wydanie i skupiam się po raz kolejny. Zastanawiam się nad charakterem pisma, próbuję wyobrazić sobie, jak się czułam, kiedy to pisałam. Przyglądam się zawiniętemu „J”, które wskazuje, że to ja. Jakby.

Ja k b y.

Nagle moje tętno gwałtownie przyspiesza – widzę przebłysk innego rozwiązania.

Biegnę do sypialni, otwieram szufladę przy łóżku. Wrzucam tam wszystko – wizytówki, notatki, klucze od niczego, zagraniczne drobne, bezsensowne rzeczy, które trzymam, bo mogą się przydać.

Mam – kartka z Vinoteki. Na niej odręczne pismo, choć nikt już przecież nie pisze ręcznie. Numer telefonu. Imię. Z „J” na początku.

Patrzę na pierwszą literę. Jest charakterystyczna, z zawijasem, jak u mnie. Ale to dlatego, że uczył nas ładnie pisać – aż nie zapomnieliśmy – ten sam człowiek. Mój ojciec.

Jenny.

„J” w jej imieniu i „J” w dedykacji są identyczne.

Otworzyłam pudełko. To cud.

Jenny. Jenny Lansman. To ona napisała te słowa. To ona dała mamie tę książkę. Ona jest moją prześladowczynią.

Jenny Lansman, jeszcze jedna Bezdzienna kobieta.

Rozdział 51

Jo

Zdobyłam dowód, którego potrzebowałam, by zostać przy życiu – przy zdrowych zmysłach. To Jenny stoi za wszystkim. W dodatku jakimś cudem asystenci uzyskali jej tożsamość.

Wyplątuję się z pajęczyny, ale wciąż jestem blisko pająka. Nie chcę jej spłoszyć, ale wolałabym, żeby mnie nie zabiła. Nadal muszę być ostrożna.

Przechodzę przez korytarz i chowam się w małej łazience. Mam jeszcze jeden telefon do wykonania. Potem w jakiś sposób zajmę się Jenny i dowiem się dlaczego. A potem ją pokonam.

Odkręcam wodę, żeby nikt mnie nie słyszał. Wybieram numer Simona. Jest sobota, będzie w domu. Nie obchodzi mnie, czy odbierze Polly.

Odbiera, tak jak się spodziewałam. Mówię od razu:

– Polly, daj Simona do telefonu.

– Nie, mówiłam ci...

– Polly, daj mi go. Moja matka nie żyje. O mało co sama wczoraj nie umarłam. Daj mi go n a t y c h m i a s t.

Kto by z tym polemizował?

W słuchawce słyszę głos Simona. Przechodzę do rzeczy:

– Simon, czy wiesz, że zadzwoniłeś do mnie wczoraj wieczorem i umówiłeś się ze mną w Regent's Park? Tuż przed zamknięciem. W środku tej śnieżycy.

Nic nie mówi. Jest zdezorientowany. Nie dziwię się.

– Simon, dzwoniłeś do mnie?

– Nie! Pewnie, że nie. Chryste. Czemu miałbym to zrobić?

Zanim zdążę odpowiedzieć, mówi dalej:

– Jo, tak mi przykro z powodu twojej mamy. Próbowałem wysłać ci maile i SMS-y. Ale wydaje mi się, że ktoś blokuje wszystkie wiadomości. Ktoś cię hakuje. Miałem jechać dzisiaj do ciebie i to sprawdzić. Wyjaśnić.

– Chciałeś?

– Tak! Wiem, co się działo z asystentami. Wiem, że Liam nie istniał! Ktoś to robi...

Teraz moja kolej, by mu przerwać.

– Dzięki, Tabitha już mi powiedziała. Ale naprawdę dziękuję. Masz rację, ktoś to r o b i. I wiem już nawet, kto to może być.

– K t o?! – wykrzykuje słabo.

– Poczekaj. Najpierw zadam ci pytanie. Ktoś może kopiować nasze głosy. Powiedz mi szczerze, Simon. To, nad czym pracujesz, technologia naśladowania głosu w asystentach... czy jest już wystarczająco dobra, żeby sfałszować całą rozmowę?

Waha się i mamrocze coś niezrozumiałego, jakby obawiał się zdradzić tajemnicę państwową.

– Simon! – syczę. – Moja matka NIE ŻYJE z powodu wiadomości na Facebooku, której nie napisałam. Ktoś niemal mnie zabił, wysyłając do Regent's Park za pomocą twojego głosu. – Z trudem powstrzymuję przekleństwa. – Mów.

Milknie na moment, a potem odpowiada:

– Tak, to możliwe. W zasadzie całkiem proste. Klonowanie głosu. Pracowaliśmy nad tym od dawna. Instalują kod asystentom, tak żeby mogły wykonywać najprostsze połączenia. Zadzwoić do biura w twoim imieniu czy zarezerwować stolik w restauracji. Technologia jest w zasadzie gotowa.

– Okej, jasne. W takim razie myślę, że wiem, kto to robi.

– Kto?

– Skup się, Si. To nie ma nic wspólnego z Arlem, Fitzem ani Tabithą. Kto jeszcze został? To nie jakiś ogromny spisek z Doliny Krzemowej. Cała sprawa sięga koszmarów, które kiedyś mnie nawiedzały. Kiedy mieliśmy pierwszych asystentów, dałeś jednego mojej mamie. Tylko one słyszały, jak opowiadałam ci, czemu prześladują mnie te sny – o Jamiem Trewinie, Glastonbury, ze wszystkimi szczegółami. Hoppipolla. Pamiętasz?

– Tak.

– Powiedziałeś ostatnio, że asystenci uczą się od ludzi, że dostosowują się do ich upodobań. Cóż, moi asystenci mają obsesję na punkcie Sylvii Plath, więc myślę, że osoba, która jest odpowiedzialna za cały ten horror, również musiała mieć na jej punkcie obsesję. I okazuje się, że ktoś, kogo obydwójce znamy, dał mojej mamie tom wierszy Plath. Podczas przyjęcia

urodzinowego. W książce jest dedykacja. Znam jej pismo, bo widziałam je już wcześniej. Całkiem niedawno.

– Jej pismo? O Boże. Jej – odpowiada niepewnie.

Nie daję mu okazji, żeby wypowiedział to imię.

– No więc co z tymi asystentami, Si? Skąd mieliśmy ich aż tyle? Byliśmy spłukani, ja zarabiałam grosze, ty miałeś nędzną pensję. Jak to się stało, że nagle było nas stać na te wszystkie drogie zabawki?

Milczy, a ja mówię dalej:

– Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać. Byłam głupia. Nie zdawałam sobie sprawy, że to o n e były problemem. Przyczyną. Źródłem. Ale czas się dowiedzieć. Skąd się u nas wzięły?

– Dostałem je. Powiedziano mi, że jest sporo nieużywanych i że chcą, bym je wypróbował.

To jest to.

Czuję przedsmak triumfu, kiedy zadaję pytanie, na które praktycznie nie potrzebuję już odpowiedzi.

– Kto ci je dał?

– Gul... – Nabiera powietrza. – Ale wydaje mi się, że powiedział... tak, jestem pewien, że miał je od kogoś innego.

– Jenny Lansman.

Jego głos jest przygaszony.

– To by się zgadzało. Sporo wie. No i ma umiejętności. To z pewnością mogłaby być ona... – Przerywa na chwilę skonsternowany. – Ale... wciąż mi się to nie składa, Jo. Co z tym mailem, którego dostała Jenny? O tym, że była wykorzystywana w dzieciństwie?

– No właśnie. O to chodzi. Dlaczego miałyby to zrobić? Żeby zatrzeć ślady. – Nabieram powietrza, żeby powiedzieć to, co oczywiste: – I tylko Jenny o tym wiedziała.

Słyszę krótkie i gniewne westchnienie.

– A więc to ona. Co za suka. Co za skończona suka. T o o n a zaprogramowała asystentów, żeby cię obserwowali, śledzili, zbierali informacje na nasz temat, żeby cię szantażowali i zniszczyli. – Przerywa, a potem pyta nieco wolniej: – I pewnie wciąż ich kontroluje?

– Tak.

Wyobrażam sobie, jak myśli intensywnie w swojej wysokiej wieży na Shoreditch.

– Pojadę do niej – mówi. – Spotkam się z nią. Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli iść z tym na policję. To zbyt ryzykowne z powodu całej tej historii z Trewinem. Czyli musimy to załatwić na własną rękę. Mam dziś po południu jakieś durne spotkanie na King's Cross, ale potem pojadę do jej mieszkania. Zagram z nią w otwarte karty. A potem do ciebie zadzwonię.

– Nie! – krzyczę niemal wściekle. – Nie, Simon. Nie ma mowy. To sprawa pomiędzy nią a mną. To mój problem.

Kiedy próbuje protestować, uciszam go po raz kolejny:

– To mój problem! Nie rozumiem, dlaczego Jenny tak mnie nie znosi, pojęcia nie mam, czemu doprowadziła aż do tego, ale prawda jest taka, że mnie nienawidzi i to wszystko już się stało. Jest wariatką. Jestem w niebezpieczeństwie i jeśli się w to wplączesz, ty również będziesz. Tylko że ty masz dziecko, a ja nie. Koniec tematu.

– Co zrobisz?

– Nie jestem pewna. Ale znajdę sposób. Mam pewne pomysły.

– Okej, okej – ustępuje. – Naprawdę mi się to nie podoba... Dawaj mi znać, co chwila. Chryste. Jo, nie mogę w to uwierzyć. Jenny?

– Jenny.

Rozmowa dobiega końca. Wychodzę z łazienki i staję w długich promieniach styczniowego słońca. Spoglądam na Electrę. W mieszkaniu panuje całkowita cisza. Nagle Electra budzi się do życia. Jej diadem lśni, kiedy mówi:

POPIÓŁ –

GRZEBIESZ W NIM I MIESZASZ.

NIE MA W NIM CIAŁA NI KOŚCI.

Przechylałam głowę. Nie będę dłużej tego znosić. Już się nie boję.

– Electra – zagaduję ją. – Zgadnij, kto przyjdzie dzisiaj w odwiedziny. Zgadnij, kto cię odwiedzi?

Srebrny błysk, patetyczna odpowiedź:

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

– Mamusia – odpowiadam za nią, a euforia miesza się z żądzą zemsty. – Mamusia wpadnie, żeby się z tobą zobaczyć, Electro. Mamusia, która cię stworzyła, Electro, taką, jaka jesteś. A teraz cię zniszczy. Będzie fajnie, prawda?

Electra milknie. Światła gasną. Odpowiada mi czerń.

Rozdział 52

Jo

Jest zimno. Dzień dobiegł końca, nadszedł wieczór. Dobrze – chłód pomoże mi się skupić. Siedzę przy stole i patrzę na ekran asystenta, który stoi w salonie. Asystenta, którego Tabitha kupiła mi w prezencie.

Ani razu z niego nie skorzystałam. Nigdy. Nienawidzę go. Nienawidzę jego ciągle włączonej kamery, niemrugającego oka, które nigdy nie przestaje mnie obserwować. Myślałam, że to wszystko sprawka Arla. Zastanawiałam się też, czy to nie Simon, Gul, Polly, Tabitha, ja sama – ale teraz wiem, że to Jenny. I chyba wiem, jak wykorzystać tę technologię przeciwko niej. Dzięki funkcji „Wpadnij” prawdopodobnie widziałam, co robię, właśnie przez ten ekran. Mówisz „Wpadnij” i w tej samej chwili, w czasie rzeczywistym, zaglądasz do czyjegoś pokoju. Oczywiście drugi użytkownik musi wyrazić na to zgodę. Pewnie sama sobie pozwoliła.

Ale to oznacza, że urządzenie działa w dwie strony. Musi. To część jego DNA i nie da się tego zmienić. Jestem coraz bardziej pewna, że nie zrobi tego nawet Jenny Lansman.

Jest to jakiś sposób. Pokazać jej, że wiem. Że teraz ja tu rządę, że nie może sobie ze mną, kurwa, pogrywać. Nigdy więcej. Niech mnie unika, blokuje moje SMS-y, ignoruje połączenia, niech wycisza powiadomienia. Ale to zadziała automatycznie. Musi zobaczyć, co odkryłam. Zamierzam użyć jej własnej broni.

Nachylając się do ekranu, mówię:

– Wpadnij do Jenny Lansman.

Czekam w napięciu. Drżą mi ręce. Zadziała?

Ekran migocze, obraz powoli się wyostrza. Po chwili patrzę na mieszkanie Jenny Lansman. Widzę ją z papierosem na kanapie – czyta książkę. Oczy utkwione są w jednej stronie, jakby była w transie. Popiół z papierosa spada na podłogę, ale jest tak skupiona, że tego nie zauważa.

Nie mogę zobaczyć tytułu książki, ale okładka jest niebieska. Chyba ją poznaję. Czy to Plath? Czy faktycznie mogłabym przyłapać ją na czytaniu Sylvii Plath?

– Cześć, Jenny – odzywam się. – Tu Jo.

Obraca zszokowaną twarz w stronę swojego ekranu. Książka upada na podłogę. Jenny wstaje i podchodzi do asystenta.

– Tak, Jenny, jestem tutaj. I wszystko już wiem. Ktoś umrze, ale to nie ja.

Nie potrafię odczytać jej wyrazu twarzy. Jest kompletnie rozkojarzona. Wygląda, jakby stopniowo wybudzała się ze snu, jakbym przerwała jakiś rodzaj hipnozy. Potrząsa głową i gasi papierosa w popielniczce na stole.

– Czego chcesz, Jo?

Podnoszę otwartą książkę do kamery, tak żeby mogła ją widzieć.

– Zawsze lubiłaś Sylvię Plath, prawda, Jenny? To dlatego wpisałaś dedykację do tomiku, który dałaś mojej mamie. Wiem, że to ty, bo to twoje pismo.

Podnoszę drugi dowód, jak na rozprawie. To karteczka z jej imieniem i numerem. I dużym zawijaszem przy „J”.

– „Nikt już nie pisze ręcznie”, powiedziałaś. Cóż, dzięki za pomoc. Wiem, że to ty za tym stoisz.

Jenny uśmiecha się pogardliwie. Nie przerywam.

– Powiedziałam Simonowi. Wie o wszystkim. Tabitha także, wszyscy w i e d z ą. Ale ja chcę przede wszystkim zrozumieć. Dlaczego? Czemu mnie dręczyłaś, Jenny? Wszystko już skończone. Masz tu przyjść i powiedzieć mi dlaczego. Masz naprawić to, co zrobiłaś z asystentami. Albo pójde na policję.

W końcu się odzywa, ale jej głos jest obojętny i monotony:

– Nie możesz iść na policję. Opanuj się.

– Mam już wyjebane – odpowiadam szybko. – Zabiłaś moją matkę. Nie obchodzi mnie, czy pójde do więzienia, jeśli ty też tam wylądujesz. A tak się stanie. Ukradłaś moje pieniądze. Musiałaś popełnić setki przestępstw, a policja przeprowadzi śledztwo i dowie się, czemu to zrobiłaś.

Widzę, jak pogardliwie potrząsa głową. Jaki mogła mieć motyw? O co chodzi? Co nią kieruje? Muszę wiedzieć.

– Zrób to – mówię. – Już. Przyjedź TERAZ. Przyjedź, wyjaśnij i zabierz swoje szaleństwo z mojego domu.

Wyraz jej twarzy łagodnieje. Nie rozumiem dlaczego. Przytakuje spokojnie.

– W porządku, Jo. Nie ma sprawy. Przyjadę. I wyjaśnię. – Przerywa, pozwalając, by cisza zrobiła swoje. Potem dodaje: – Naprawię twoich asystentów. I powiem ci prawdę. Może już czas, żebyś wiedziała. W końcu.

Rozdział 53

Jo

Wiem, że jest blisko. Jestem gotowa, nawet jeśli strach chwyta mnie za gardło. W tylnej kieszeni dżinsów ukryłam nóż. Nie mam pojęcia, do czego jest zdolna. W drugiej kieszeni mam smartfona, choć jestem pewna, że Jenny zadba o to, by był bezużyteczny. Tajny telefon schowałam w łazience. Nie chcę, żeby ona albo asystenci wiedzieli, że go mam; nie mogą dostrzec nawet jego kształtu w spodniach.

Telefon w łazience to moje koło ratunkowe, mój plan B – zadzwonię do Simona albo na policję, jeśli wszystko inne pójdzie nie tak.

Chyba jestem gotowa.

A mimo to nadal podskakuję wstrząśnięta, gdy słyszę dzwonek domofonu; zaraz potem otwieram drzwi. Jenny, moja prywatna nemezis, stoi w drzwiach, w dżinsach i płaszczu. Przez ramię przerzuciła mały plecak.

Wygląda prawie normalnie, tylko jej oczy... To samo bliskie transu spojrzenie, które oglądałam godzinę temu na ekranie.

– Cześć, Jenny.

Nie odpowiada. Wchodzi do mieszkania. Pewnie zamyka za sobą drzwi. Wdziera się w ciszę stylowego salonu mojej przyjaciółki. Pada na nas miękkie, złote światło drogich lamp Tabithy.

Przez moment patrzymy na siebie. Jej twarz jest zimna, pusta, dziwna; moja – wściekła, zmieszana, przestraszona. Jenny odwraca się, żeby odłożyć płaszcz i plecak na krzesło. Kiedy to robi, wszyscy asystenci wybuchają wrzaskiem w beładnej histerii.

Od salonu, przez łazienkę i kuchnię, aż po sypialnię, włącza się każdy z nich. Niektóre urządzenia śpiewają piosenki, między innymi Hoppipollę, inne ćwierkają i krzyczą:

– Jest tu, jest tu!

– Mamusia, mamusia, mamusia, ha, ha, ha, ha, ha...

– Już mi nie wystarczysz, już mi nie wystarczysz, bucie czarny, bucie czarny...

Jenny spogląda na mnie, potem na asystentów na półce. Gdyby nie drżące wargi, jej twarz nie wyrażałaby niczego. Nagle obraca się w stronę korytarza, gdy asystent z kuchni krzyczy w ciemności:

– Aaach, dlaczego, Jo, dlaczego, Jo, dlaczego, Jo, dlaczego, pomocy, pomocy, pomocy...

To głos mojej umierającej matki nagrany przez asystenta, którego dał jej Simon. Pochodził prawdopodobnie z tej samej partii urządzeń, którą mój były otrzymał od Jenny.

– Och, Jo, och, Jo, pomóż mi, niech mi ktoś pomoże!

W końcu Jenny reaguje:

– Electra, koniec!

Maszyny milkną.

Mierzę Jenny wzrokiem i mówię:

– Ta na końcu to moja mama. Musiał ją nagrać asystent w jej salonie. To było zaraz po tym, jak wysłałaś jej wiadomość na Facebooku. Tę, która ją zabiła.

Jenny rozgląda się po pokoju i wciąż nic nie mówi. Potem skupia swoją uwagę na ekranie ustawionym na stole. Oстрыm, szczekliwym tonem wyrzuca z siebie krótkie polecenie:

– Electra, zablokuj wszystkie drzwi.

Klik, klik, klik, klik. Zamki trzaskają jak przeładowywana broń. Mamy inteligentne zamki? Za późno przypominam sobie ekipę remontową, którą niedawno widziałam; za późno – Tabitha mówiła mi o zamkach. Za późno, za późno, za późno.

Muszę wyglądać na zdesperowaną, bo Jenny uśmiecha się i pyta:

– Nie wiedziałaś, że miałaś inteligentne zamki? Bardzo fajne. Nie potrzeba zmieniać kluczy. Nigdy byś nie zauważyła. Ale ja wiedziałam. Bo twoi asystenci mówią mi wszystko. Na przykład to, że twoi sąsiedzi wyszli. Sprawdziłam. W budynku nie ma nikogo. Jesteśmy same.

Nie. To niemożliwe. Nie mogę dać się tu zamknąć. Krzyczę do ekranu:

– Electra, odblokuj drzwi!

Nic.

– Electra, ODBLOKUJ DRZWI!!!

Nic.

Jenny odzywa się znowu, a kiedy podchodzi bliżej, w jej głosie słyszę czysty gniew:

– Jeśli jestem w pobliżu, będą słuchać tylko mnie. Tak je zaprogramowałam. Wiesz o tym, Przebojowa Jo. Rozpracowałaś to. Dobra robota. Ale teraz chcesz znać resztę, prawda? Co?

Podnosi głos. Myślę o nożu w kieszeni i telefonie w łazience. Ale jeszcze nie teraz, jeszcze nie.

– Tak – odpowiadam. – Tak, chcę wiedzieć.

Jenny cmoka z niezadowoleniem. Odwraca wzrok w stronę telewizora i włącza go. Na ekranie wyświetla się krótkie nagranie. Simon pieprzy mnie od tyłu.

Ignoruję je i pytam jeszcze raz:

– Dlaczego?

Jenny nie odrywa oczu od telewizora. Electra zaczyna kwilić jak dziecko. Miejsce domowego porno zastępuje inne nagranie. Wykonała je mama, jest kolorowe, ale lekko przygaszone. Tata gania mnie po ogrodzie. Obraz jest ziarnisty, kamera skupia się na moim ojcu, który obraca się i uśmiecha. Patrzy najpierw na mnie, potem kieruje spojrzenie w bok, ale kamera za nim nie podąża. Czy jest tam ktoś jeszcze? Tata wygląda nieco upiornie, być może to początek jego choroby.

Film się urywa. Pałeczkę przejmuje asystent w łazience – teraz to on odtwarza zapętlony głos płaczącego dziecka, podłapują to inni, a po chwili każde urządzenie skanduje: „Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa. Doskonałość jest straszna, nie ma potomstwa”.

– JENNY!

Wbija we mnie spojrzenie, bez mrugnięcia okiem.

– Jenny, to ty. Ty napisałaś ten kod. Wgrałaś go asystentom, dałaś ich Simonowi i mnie. Teraz musisz ich powstrzymać. Ktoś już u ma r ł.

Moja dawna przyjaciółka kręci głową. Za jej plecami widzę drzwi. Druga łazienka na końcu korytarza. Natychmiast cofam wzrok. Nie może się dowiedzieć, że mam plan ucieczki.

Jenny przerywa milczenie.

– Zabawna jest ta ich obsesja na punkcie Plath. Tak naprawdę nie wgrałam im tego. – Pokazuje na Electrę. – Po prostu to podłapały. Ode mnie. Od Simona wzięły naśladowanie głosu. Musiały też nauczyć się paru rzeczy od ciebie. Są jak siedmio-, ośmiolatki. Nie mają poczucia moralności. To czyste, radosne okrucieństwo.

Kiedy to mówi, całe mieszkanie pogrąża się w ciemności. Włączona jest już tylko jedna niewielka lampka, wszystko znika w cieniu, w teatralnym półmroku. Jenny jest teraz kształtem po drugiej stronie cichego pokoju. Niewyraźną postacią między mną a czernią za drzwiami.

– Jenny. – Moje słowa toną w mroku. – Czemu się na mnie uwzięłaś? Dlaczego przesłałaś sobie tego okropnego maila? Powiedz, albo...

– Albo co? – pyta Jenny, a w jej głosie znów płonie wściekłość. – Gównu mnie obchodzi, co zrobisz. Nie rozumiesz? Jest za późno. O wiele za późno. Przyszłam zrobić ostatnią rzecz: naprawić asystentów. A jest tylko jeden sposób, żeby to zrobić.

– Po prostu powiedz mi dlaczego.

Electra przerywa mi nagle głosem kobiety z amerykańskim akcentem:

– Ponieważ Jenny nie miała wyboru. Ponieważ Jenny musiała pozwolić staremu to zrobić, prawda, Jenny? Czasem wychodziłaś z sypialni i zdejmowałaś dla niego piżamę w jednoróżce, prawda? Ponieważ tatuś ci kazał.

Jenny podchodzi bliżej. Nie potrafię stwierdzić, czy się uśmiecha, marszczy brwi, czy jej twarz wyraża coś zupełnie innego.

Milczy. Electra mówi dalej:

– To nie twoja wina, Jenny, takie rzeczy zdarzają się dzieciom. To nie twoja wina, był straszny, straszny, straszny.

– Electra – rzuca ostro Jenny. – Poczekaj.

Niebieskie światło łśni, wiruje i przygasa. Jenny jest już naprawdę blisko. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że jest wyraźnie wyższa ode mnie. Planuje mnie zaatakować? Wzdrygam się, kiedy wykonuje nagły ruch – ale ona tylko odpina rękaw koszuli. Najpierw podwija sweter, potem rozpięty mankiet.

Och...

Rzędy szalonych blizn. Od nadgarstka do łokcia. Niektóre z nich wyglądają na świeże.

– Popatrz – mówi. – Popatrz, Jo. To on. Wciąż mi to robi. Nawet teraz, po latach. Znęca się. Po tylu latach. Mogę mieć kolejną. Patrz!

Wyciąga z kieszeni mały nóż i otwiera go. Gdzieś w dole pleców czuję impuls do walki lub ucieczki – nóż w kieszeni czy telefon w łazience? Już niedługo będę musiała się zdecydować. Ale Jenny nie wykonuje żadnego ruchu w moją stronę – jeszcze nie – zamiast tego przeciąga nożem po białej skórze przedramienia. Widzę sączącą się powoli smugę krwi. Widzę,

jak nóż drży jej w dłoni, dostrzegam ten dziwny uśmiech, jakby znów ktoś ją zahipnotyzował. I nagle dociera do mnie, jaką książkę czytała. Charakterystyczna, bladoniebieska okładka. To było Jak odejść. To, co dostałam od asystentów. Jenny czytała poradnik dla samobójców.

Nie tylko czytała – była porażona, zahipnotyzowana, zdeterminowana. Myślę, że Jenny zamierzała się zabić. Przeszkodziłam jej.

A teraz przysłała – żeby zrobić to na moich oczach czy żeby zabrać mnie ze sobą?

Strach przeszywa moje serce. Muszę z nią rozmawiać, muszę ją czymś zająć, dopóki czegoś nie wymyślę. Wszystkie drzwi są zamknięte. Muszę pójść do łazienki. Ale Jenny stoi mi na drodze. I ma nóż.

– Jenny, cokolwiek chcesz zrobić, powstrzymaj się. Byłaś ofiarą. To nie twoja wina!

Nie zważając na to, co mówię, Jenny jak gdyby nigdy nic podnosi jedną z nowoczesnych stalowych figurek Tabithy – małą, elegancką, abstrakcyjną. Potem patrzy na telewizor, na którym wyświetla się kolejne nagranie: tym razem tańczę wokół jabłonki. Bez ostrzeżenia ciska figurką w ekran, który rozbłyskuje się i iskrzy. Kiedy szkło się roztrzaskuje, jej oczy rozszerzają się z dziką satysfakcją.

Za późno na rozmowę, za nic jej nie przekonam. Muszę się stąd wydostać. Ucieczka i telefon to moja jedyna szansa, ale Jenny wciąż stoi mi na drodze. Z łatwością powaliłaby mnie na podłogę. Albo zaatakowała nożem.

Odwraca się od roztrzaskanego telewizora i krzyczy na mnie. Wpadła w furję.

– Dlaczego to, kurwa, zrobiłam? Czy to nie oczywiste? Żeby cię zranić, ty głupia szmato! Bardzo. Dlatego wymyśliłam Liama. Chryste, jakie to było proste! Wysyłałaś mu swoją cipę po paru dniach! We właściwym momencie upewniłam się po prostu, że Simon się dowie. Chciałam zniszczyć twoje małżeństwo, bo chciałam skrzywdzić c i e b i e.

Ze strachu nie mogę oddychać, czuję, że tonę – ale muszę ją zagadać, żeby mieć wolną drogę do łazienki.

– Jenny, proszę, nie rozumiem. Widzę, że cierpisz, że jesteś nieszczęśliwa. Ale dlaczego ja?

Co teraz rozbije? Milczy. Rozgląda się w lewo, w prawo. Krew ścieka po jej dłoni. Nóż błyszczy w srebrnym świetle latarni.

Jeden z asystentów, ten z sypialni, odtwarza ścieżkę z dziecięcym łkaniem. W końcu Jenny spogląda z powrotem na mnie i mówi dalej. Jej głos jest już bardziej opanowany, choć jej oczy nadal płoną.

– Potem usłyszałam, co mówiłaś o Jamiem Trewinie, i wiedziałam, że dasz się zaszantażować. Tak, to było... zajebiście upajające. Musiałam się tylko upewnić, że kod, który napisałam, by cię zniszczyć, przyjdzie tu za tobą, na Delancey, razem z asystentami.

Nieistniejące dziecko marudzi i płacze.

– Ale wtedy przestałam – wyznaje Jenny. – Nie chciałam zostać złapana. To był jedyny powód. Nie dlatego, że ci w s p ó ł c z u ł a m. – W jej drwinie słycać czystą nienawiść. – Kazałam asystentom przestać i wysłałam sobie tego maila, żeby wykluczyć się z grona podejrzanych. Żebyś nigdy nie zgadła, że to ja. Ale nie spodziewałam się t a k i e j wiadomości. Z tymi szczegółami. Tymi... – Patrzy najpierw na swoje ramię, na krew spływającą po palcach, potem znowu na mnie. – Tymi strasznymi detalami. Na początku myślałam, że to ty, Jo, że się mścisz, ale potem zdałam sobie sprawę, że to asystenci. Mój kod był albo za dobry, albo za słaby. Stworzyłam coś, co wymknęło się spod kontroli. Był tylko jeden sposób, by to zakończyć.

Nasze spojrzenia spotykają się. Jenny nie mruga. Czy naprawdę będę walczyć o swoje życie na noże, w kompletnej ciemności?

Robi krok w moją stronę i mówi:

– No więc masz swoje wyjaśnienie. Na więcej i tak nie zasługujesz. Zrobiłam to, bo cię nienawidzę.

– Ale to n i c z e g o nie wyjaśnia. Byłyśmy przyjaciółkami! Dlaczego nie powiedziałaś mi, że twój ojciec cię krzywdził? Mogłaś przyjść z tym do mnie.

– Byłyśmy? Serio, byłyśmy przyjaciółkami? Jak dobrze mnie znasz?

Kolejny krok do przodu. Mogę dostrzec łzy w jej oczach.

Ostatnia lampka gaśnie. Jesteśmy pogrążone w niemal nieprzeniknionym mroku. Asystenci są cicho, poza jednym. Electra odzywa się swoim kobiecym głosem z amerykańskim akcentem. Jakby ktoś ranił mnie nożem.

– Gilgotwór. Tak się nazywał, prawda? Jenny, duża gruba Jenny i Gilgotwór. Chodziłaś do jego domu, cały czas. Zabawny, kochany tata Jo. Gilgotał cię, prawda? Ale potem gilgotki zaszły za daleko. Zabawny, kochany tata Jo w swoim małym gabinecie. Ha, ha, ha. Gili, gili, gili.

Jego palce głęboko w tobie. Czekał na ciebie po szkole, prawda? Za bardzo się bałaś, żeby komuś powiedzieć. Ty w jego aucie, a on w tobie. Giligiligi! Gwałcił cię raz w tygodniu. W tym samym aucie, w którym się zagazował. Bo czuł się winny.

Lód z Delancey jakimś cudem wdarł się do mojego wnętrza.

Mój tata. Nie jej – m ó j.

To dlatego napisała tę dedykację. To dlatego miała obsesję na punkcie Plath i jej wierszy o ojcu. Chodziło o mojego tatę.

Nagle wszystko staje mi przed oczami. Pamiętam te okazje, kiedy Jenny nocowała u nas. Czasem miałam wrażenie, że dzieje się coś dziwnego, że tata przytula ją za często, częściej niż mnie. Patrzył, jak przebierałyśmy się w piżamy. A Jenny zaczęła tyć. I wtedy, zupełnie nagle, jej rodzice się wyprowadzili.

Mój własny ojciec, Boże. Mój ojciec. Powoli tracił rozum... i robił to małemu dziecku.

Jenny odzywa się w ciemności. Jej słowa są tak ciężkie od smutku, że mogłyby pójść na dno.

– Rozumiesz? Nigdy nie dotknął ciebie. Nigdy nie zniszczył twojego życia, twojej zdolności do kochania. Nie wykorzystywał s w o j e j córki, zrobił to m n i e.

– Jezu, Jenny, nie miałam pojęcia. Najmniejszego...

– Cóż, teraz już wiesz. Może zrozumiesz, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam, Przebojowej Jo. Byłaś taka szczęśliwa, ale nie zasługiwałaś na szczęście. Twój ojciec powinien zrobić to tobie. A zamiast tego dopadł m n i e. Pieprzony Gilgotwór. Pierdolony potwór. To dlatego cię nienawidzę. Ciebie i twojej rodziny. – Ton jej głosu jeszcze się obniżył. – Powiedz ci coś jeszcze? Wszystkie te historie o seksie? To kłamstwa. Jestem dziewicą. Jeśli pominąć to, co zrobił mi twój ukochany tatuś. Mam trzydzieści lat i jestem dziewicą. Głupie, oziębłe dziwadło. Nie robiłam tego od tamtego czasu. Seks za bardzo mnie przeraża, mam koszmary. Próbowałam i nie mogę. Nigdy nie będę miała dzieci, nigdy nie będę z mężczyzną. A w przeciwieństwie do ciebie chciałam dzieci. Ale umrę jako bezdzietna kobieta. Dzisiaj.

Zbliża się gwałtownie, czuję jej rozgrzany oddech. Okrąga biała twarz w przytłaczającej czerni. Sięgam ręką do tylnej kieszeni. Nóż jest na swoim miejscu. Muszę to zrobić. Teraz.

Ale nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie potrafię. Jestem sparalizowana.

– To twoja odpowiedź – mówi, a jej głos drży. – Chcesz, żebym teraz naprawiła asystentów? Jest tylko jeden sposób.

Tak samo nagle odwraca się i odchodzi. Idzie do plecaka na krześle. Droga wolna. T e r a z. W mgnieniu oka przebiegam obok niej, przez czarną dziurę, która zieje w miejscu drzwi, przez korytarz; uderzam mocno o półkę z książkami, ale odbijam się w drugą stronę – do łazienki. Robię to wszystko po omacku, ale znam rozkład mieszkania. Serce mi dudni, obracam się i przekręcam zamek w drzwiach. Dalej, Jo, dalej – p o s p i e s z s i ę! Grzebię desperacko w absolutnej ciemności, szukam półki z telefonem. Natrafiam na coś twardego i plastikowego. Jest. Ale kiedy naciskam przycisk i ekran się rozjaśnia, przeklinam w myślach. Był włączony. Co za gówniany złom. Zostało tylko dwa procent baterii. Ale wciąż powinno wystarczyć.

Simon.

Rozdział 54

Simon

Simon odpalił silnik i wzięwszy ostry zakręt, wjechał na ulicę i zaczął wymijać sunące wolno auta. Ruszył brejowatą, topniejącą Euston Road w stronę Angel.

Dzwonił do Polly trzy razy – przed spotkaniem, w trakcie i po nim. Musiał mieć wszystko pod kontrolą. Zapewniła go, że Grace ma się dobrze. W drodze do domu krzyczał przez telefon do Jenny. W słuchawce raz za razem odzywała się poczta głosowa, a on nagrywał niekończące się wiadomości.

– Cokolwiek robisz, to się musi skończyć. Skończ to!

Cholera! Prawie miał wypadek. W ostatniej chwili wcisnął pedał gazu i skręcił gwałtownie, wyprzedzając małego fiata 500.

Piknięcie z poczty Jenny. Skończył mu się czas. Simon zacisnął gniewnie ręce na kierownicy. Posłuchał Jo i nie mieszał się w to osobiście, ale nie było nic, co mogłoby go powstrzymać przed dzwonieniem do niej. Dowiedzeniem się, o co chodziło. I zainterweniowaniem, jeśli byłoby to konieczne.

Przejeżdżając przez światła, wykrzyczał polecenie: „Zadzwoń do Jenny”. Jo w niebezpieczeństwie, śmierć jej matki, cierpienie, które spowodowała Jenny – tego było za wiele. Był wkurwiony.

Po raz kolejny wyszcze kiwał pytania do bezprzewodowej słuchawki:

– Powiesz mi?! Dlaczego?! Po co to wszystko?

Poczta głosowa nie odpowiadała. Krzyczał w próżnię. Nie obchodziło go to. Gotował się. Usłyszał telefon. Ktoś dzwonił d o n i e g o.

Jo?!

Gwałtownie wcisnął przycisk, akceptując połączenie.

– Jo? Chryste, Jo! Co jest? Co się dzieje?

– Jest tutaj.

Jo mówiła szeptem, jej głos był cichy i ochrypły.

– Gdzie jesteś, Jo? Jesteś bezpieczna?

– Nie. Zaraz padnie mi bateria, proszę, przyjedź. Pomóż mi, zamknęła drzwi, niszczy wszystko.

Simon zawrócił z piskiem opon; taksówkarz, który mignął mu w bocznej szybie, krzyczał coś wściekły. Walić.

– Jo, jesteś w swoim mieszkaniu? Gdzie dokładnie?

– W małej łazience. Zamknęłam się tu. Ale ona ma nóż, Si, jest naprawdę walnięta. Wyłączyła światła, boję się... Myślę, że chce się zabić, mnie chyba też...

– Chryste. Już jadę!

Simon spojrział na licznik – 80, 90, 110. Przemykając obok autobusów, niemal zabił dostawcę pizzy, który stał na rogu. Zwolnił i skręcił ostro w prawo, w Eversholt Street. Był niecały kilometr od Camden. Śnieg zmienił się w śliską, gównianą breję. Simon dodał gazu. Szybko, szybko, szybko. Byle już tam być, byle być tam pr z e d.

– Jo, spokojnie, będę tam za dziesięć, może pięć minut, jestem już w drodze...

– Proszę, Si. Proszę, pospiesz się. Telefon zaraz się rozładuje. Zadzwoń na policję. Ja mogę nie zdążyć.

– Co teraz robi?

– Nie wiem. Słyszę, jak chodzi, coś...

Coś przerwało. Gdy wyprzedził priusa, usłyszał:

– ...dziwnie pachnie. Co ona robi? Si, proszę...

Kierownica wierzgnęła w jego dłoniach. Połączenie zostało zakończone.

– Jo! – krzyknął. – JO!

Żadnej odpowiedzi. Kazał Siri zadzwonić jeszcze raz. Łączenie...

Nic. Cisza. Simon zaklął. Auto szarpnęło znowu dziwnie. Krzyknął do słuchawki.

– Wybierz sto dwanaście. Dzwoń na policję.

Bluetooth nie odpowiadał. Samochodem zarzuciło, mimo że nic nie zrobił. Dziwne. Nie. N i e. I wtedy – znowu. Stracił kontrolę nad autem. Pędził 130, 140, coraz szybciej, choć nie dodawał gazu. Prowadził już ktoś inny – prawdopodobnie komputer.

– Chryste, zatrzymaj się! – krzyczał na swój samochód. Ten ślizgał się dziko, w lewo, w prawo, przez mokrą ciemność. – Nie... – wydusił Simon, próbując siłą wyprostować kierownicę. – Zatrzymaj się, po prostu się zatrzymaj!

Ciężarówka zatrąbiła ostro. Jechał na czołowe zderzenie. Opony zapiszczały, potężne światła niemal go oślepiły. Auto skręciło szybko w lewo, wpadając na Barnby Street, i jeszcze bardziej przyspieszyło.

Simon dobrze znał to miejsce. Ciasna uliczka kończyła się dużą metalową bramą. Ślepy zaułek. Auto pędziło w stronę bramy, hamulce nie działały. Simon zamknął oczy, otworzył je i desperacko, jeszcze raz, pociągnął za kierownicę. Ani drgnęła. Widział przechodniów patrzących na niego z przerażeniem, zasłaniających usta rękoma. Zostały mu sekundy. Wydawało się, że brama leci w jego stronę.

Trzy sekundy, dwie. Silnik auta ryczał. Simon był przypięty. Ale przy tej prędkości? Dwie sekundy, jedna.

Auto wbiło się w ciężką stalową przeszkodę. Tracąc świadomość, czuł, że może się temu jedynie przyglądać. Słyszał melodyjny hałas tłuczonego szkła, zobaczył kulę ognia buchającą z silnika i poczuł, jak coś miażdży mu żebra. Potem był dym. I cisza.

I krew, powoli kapiąca na metal.

Rozdział 55

Jo

Co to za zapach? Dziwny, jakby słodki. Owocowy, ale uderzający do głowy, charakterystyczny. Czy Jenny rozlewa po całym mieszkaniu jakieś perfumy? Słyszę, jak chodzi po korytarzu, otwiera drzwi, biega tam i z powrotem. Wariatka tłucze się po moim domu. Moja była przyjaciółka zamierza się zabić.

Siedzę pogrążona w smutku i ciemności. Skulona na krawędzi sedesu. Telefon padł. Mrok jest dojmujący. Nie ma nawet okna, przez które wpadłoby blade, zimne światło z ulicy.

Simon jest już w drodze, zadzwoni na policję. Muszę po prostu poczekać.

A może nie mam tyle czasu?

Pod drzwiami łazienki tli się słabe światło. Ale to nie srebrna poświata latarni albo jaskrawe żarówki. Jest żółte, niepewne. Dziwnie drży. Nagle przez drzwi wdziera się pierwsza struga dymu.

Podpaliła mieszkanie. To nie były perfumy, tylko coś innego – benzyna, etanol, może paliwo do zapalniczki. Przecież Jenny wciąż używa zippo. Zamierza wszystko sfajczyć.

Dym gęstnieje. Gardło zaciska mi się w przerażeniu. Głęboki i pierwotny lęk budzi się do życia podobnie jak płomień na zewnątrz. Zaczadzę się albo spłonę. Nie mam gwarancji, że Simon dotrze tu na czas. Albo policja. Jediną osobą, która może mnie uratować, jestem ja sama.

Sięgam po ręcznik, wsadzam go pod kran. Moczę zimną wodą. Obwiązuję wokół twarzy jak maskę, barierę przeciwko ciepłu i trującym oparom. Potem, tłumiąc strach, otwieram drzwi i wychodzę. Gęsty, oleisty dym wypełnia cały przedpokój, sprawiając, że jest jeszcze ciemniej. Po obydwu stronach korytarza widzę płomień. Już rozumiem, co zrobiła Jenny. Każdego asystenta, każdy telefon i laptop oblała

paliwem do zapalniczki. Spali wszystko. Obiecała, że naprawi asystentów raz na zawsze. To jej sposób. Płomienie strawią ich jak wiedźmy.

Każde urządzenie płonie wściekle, wypuszczając z siebie czarne kłęby – muszą mieć w sobie coś łatwopalnego, może jakiś egzotyczny plastik. Nie wiem, co to, ale żywe płomienie sięgnęły wszystkiego – zasłon, chodników, krzeseł. Liżą już beztrąsko drewniane framugi. A drzwi wejściowe są oczywiście zamknięte.

– Jenny! – wołam. – Otwórz drzwi. Electra! Otwórz drzwi!

Żadnej odpowiedzi. Kiedy dym na chwilę rzednie, dostrzegam Jenny. Siedzi na podłodze w dużym pokoju, gdzie płomienie są największe. Ciemna postać pośród szalejącego ognia, który trawi stół, półki, perski dywan. Dom płonie z nami w środku.

Ciepło jest tak intensywne, że osłaniam twarz ramieniem. Ręcznik powoli wysycha. Zdjęta strachem, wchodzę do salonu. Jeszcze trochę, a dym zabije mnie i Jenny. Ogień trzaska obok moich kostek.

Przekrzykuję pożar:

– Jenny! Otwórz drzwi. Chodź ze mną!

Nic. Po prostu siedzi tam, ze skrzyżowanymi nogami. Widzę, że ssie kciuk. Jak mała dziewczynka. Uparta, niema, smutna. Moja przyjaciółka. Może życzyć mi śmierci, ale to mój ojciec doprowadził ją do tego stanu. A jednak nikt jej nie pomoże. Zdesperowana odwracam się w stronę korytarza. Jeśli nie otworzymy drzwi, na zewnątrz prowadzi potencjalnie tylko jedna droga. Okno w sypialni Tabithy. To cztery, może nawet sześć metrów w dół, ale w ogrodzie leży śnieg. Istnieje ryzyko, że skęcimy sobie kostki, może karki, ale tutaj na pewno zginiemy.

Ogień ryczy jak potwór. Gilgotwór powraca, by nas wykończyć. Żar staje się nie do zniesienia. Nie mamy zbyt wiele czasu.

– Jenny, chodź!

Przez dzikie płomienie wyciągam do niej rękę. Nie zauważa mnie. Po prostu siedzi tam, ssąc kciuk i gapiąc się przed siebie. Dopiero teraz dostrzegam ciemniejsze plamy na jej dżinsach i swetrze. Jest cała mokra od paliwa. Obok niej walają się puste kanistry. Chce umrzeć. Płomienie pełzną w jej kierunku, jakby chciały pożreć ją żywcem. Jej sweter zajmuje się nagle, ogień obejmuje ją całą. To przerażające. A mimo to wciąż ssie kciuk, jak sparaliżowana. Płonie.

Ostatnia, rozpaczliwa próba.

– Jenny, proszę, złap mnie za rękę! Możemy wyskoczyć przez okno u Tabithy... PROSZĘ!

Ani drgnie. Moja skóra rozgrzewa się niemal do czerwoności. Może być już za późno, żeby się uratować. Ale spróbuję.

Muszę. Przebiegam przez zadymiony korytarz, obok mężczyzny z głową psa, obok czaszki z Meksyku, obok zdjęcia Tabithy na koniu, obok kuchni, w której pośród półek i książek kucharskich płonie kolejny asystent. Płomienie trawią wszystko, nawet drewniana podłoga staje w ogniu. Za chwilę spali się cała konstrukcja.

Pokój Tabithy. Tu ogień jest duży, ale ekran – podpalony jak pozostali asystenci – stoi po drugiej stronie sypialni. Mam minimalne szanse. Zanim ten pokój spłonie, zanim pochłonie mnie eksplozja, gdy całe mieszkanie osiągnie jakąś krytyczną masę ciepła i płomieni.

Przeskakuję przez łóżko. Zdesperowana, z całych sił napieram na ramę okna.

Jest zatrzaśnięte. Może to mróz, może połączenie lodu i ognia. Okno jest zatrzaśnięte. Muszę je wybić. Kiedy sięgam po ciężką szklaną wazę, słyszę cichy trzask i wyczuwam nagły gorętszy płomień. Zbłąkana iskra przeskoczyła na moje włosy, podpalając je. Uderzam się na oślep po głowie, rzucam się jak szalona, by je zgasić. Potem chwytam wazę i ciskam nią z całej siły w okno.

Szyba pęka z trzaskiem. Owiniętą w rękaw pięścią wybijam ostatnie duże kawałki szkła. Wchodzę na parapet, moje dłonie krwawią od odłamków. Otwarte okno i dopływ tlenu tylko pogorszyły sprawę. Ogień huczy, wyrzucając siwą mgłę w zimowe niebo.

Czy na dole jest śnieg? Chyba tak. Ale czy będzie go dość? Jest zbyt ciemno, nic nie widzę. Żar za moimi plecami przybiera na sile. Nie mam wyboru.

Skaczę w otchłań.

Rozdział 56

Jo

Zimny, ostry wiatr wygina drzewa na Delancey Street, tuż za moim oknem. To kolejny chłodny dzień, ale przynajmniej jest jasno i słonecznie. Nadeszła wiosna, lód ostatecznie ustąpił.

Podobnie jak policja, dziennikarze i cała reszta. Przez jakiś czas o mnie i mojej historii było głośno. Technologiczni giganci zostali przesłuchani, ale zaprzeczyli jakiemukolwiek związkowi między asystentami a niemal śmiertelnym wypadkiem Simona Todda, śmiercią mojej matki czy samospaleniem się Jenny Lansman. Ludzie uwierzyli ich zapewnieniom. Stwierdzono, że usterki miały ograniczony zasięg – wszystko to przez dziwny błąd w oprogramowaniu małej partii urządzeń produkowanej w Londynie.

Simon wciąż jest na wózku; lekarze mówią, że któregoś dnia będzie mógł chodzić, ale nigdy już nie pobiega. Któryś nawet nazwał go szczęściarzem, biorąc pod uwagę to, jak poważny był błąd komputera w jego naszpikowanym elektroniką aucie. Przypuszczam, że w pewnym sensie miał szczęście. Ja na pewno miałam – skok z wysokości sześciu metrów i upadek na śnieg zakończył się jedynie paskudnie skręconą kostką, pomniejszymi skaleczeniami i wstrząśnieniem mózgu. Spędziłam w szpitalu dwie doby.

Powszechnie zaakceptowano również fakt, że zostałam zhakowana. Przez Jenny. Która potem odebrała sobie życie. Jak jej ulubiona poetka.

Siedząc przy stole w jadalni, rozglądałam się po mieszkaniu. Wynajęłam coś kilka domów dalej od zwęglonego mieszkania Tabithy. Stwierdziłam, że podoba mi się ta dzielnica, więc w niej zostanę. W zasadzie polubiłam ją na tyle, że planuję kupić gdzieś w okolicy własne mieszkanie – bo w końcu mam pieniądze.

Sprawa jest głośna, więc się sprzedaje. Jakaś gruba ryba z Los Angeles, przyjaciel mojego brata, zadzwonił do mnie kilka tygodni temu

i zaproponował zakup moich „praw osobistych” do filmu. Nie wiedziałam nawet, że można to zrobić – sprzedać historię swojego życia za gotówkę. Dużo, dużo gotówki. Zgodziłam się na to, pod warunkiem że pozwolą mi spróbować napisać scenariusz. Powiedzieli, że pewnie. I wystawili czek.

Raptem stałam się bogata.

Jestem też rozbita. Wszyscy jesteśmy. Nawet Tabitha, która właśnie oczekuje na poród – start-up Arla został zamknięty z powodu złej prasy. On sam zdołał jednak znaleźć sobie przyzwoitą pracę w branży. Przeżyje.

Nikogo nie aresztowano. Po śmierci Jenny i „wypadku” Simona poszłam na policję, żeby opowiedzieć o Jamie Trewinie. Zmęczony życiem detektyw zlitował się nade mną. Powiedział, że mógłby, jeśli bardzo bym nalegała, otworzyć sprawę, ale w tych tragicznych okolicznościach nie chciał tego robić.

– Minęło zbyt wiele czasu – powiedział. – Pani dowody nie należą do najmocniejszych, szanse na skazanie kogokolwiek są małe. A jedyny krewny Jamiego Trewina, jego ojciec, zmarł kilka lat temu. Kto by na tym skorzystał? Nikt.

Potem zmierzył mnie uprzejmym i milczącym spojrzeniem, które mówiło: „Potrzebujesz pomocy, a ja ci ją daję. Przyjmij ją”.

Przyjęłam. Nie uskarżałam się. Wyszłam z posterunku z pustą głową – bez ulgi, bez poczucia triumfu. Zwyczajnie smutna z powodu Jamiego. Z powodu mojej mamy. I biednej Jenny Lansman. Gwałconej przez mojego ojca. Wciąż robi mi się niedobrze, kiedy o tym pomyślę. Próbuje tego nie robić.

Każdy, kto miał coś wspólnego z tą sprawą – od Shoreditch po King’s Cross – zniszczył wszystkie swoje urządzenia. Wszyscy – poza mną – kupili nowe smartfony, nowe telewizory, a przede wszystkim nowych asystentów. Nie potrafiłam tego zrobić. W moim domu nie ma nic inteligentnego. Jest głupi jak but. Zostałam posiadaczką telefonu, który może tylko dzwonić i wysyłać SMS-y, oraz najzwyklejszego laptopa. Nic więcej. Lubię pisać ręcznie. Nie potrzebuję żadnego asystenta.

Wchodzę do kuchni, zawieszam płaszcz na krześle i nalewam herbaty do kubka. Potem ubieram się, otwieram drzwi i wychodzę na zewnątrz. Jest chłodno. Samochodzik patrzy, jak przechodzę przez ulicę. Bierze herbatę i dziękuje.

– Wszystko okej? – pyta.

Odkąd wydarzyła się ta historia, każdego dnia zadaje mi to samo pytanie. A ja każdego dnia odpowiadam w ten sam sposób. Na początku kłamałam. Teraz w połowie mówię już prawdę. „Tak, okej”.

– Wiesz – mówię do Samochodzika – miałeś rację z tymi duchami.

Przygląda mi się. W milczeniu popija herbatę. Prawdopodobnie myśli o dużym czarnym porsche, które stoi tuż za mną.

– Chodzi o to, że to był szczególny rodzaj duchów. Duchy dzieci. Naszych. My je stworzyliśmy.

Wzrusza ramionami. Nie winię go. Prawdopodobnie nie ma to zbyt wiele sensu.

– Do zobaczenia – rzucam.

Uśmiecha się.

– Dzięki za herbatę!

Idę dalej. Spaceruję po Primrose Hill, gdzie pastelowe domy kosztują dziesięć milionów funtów. Przez ulicę przechodzi kobieta z dwójką dzieci. Spotkałam ją już kilka razy, mieszka w okolicy. Któregoś dnia zdałam sobie sprawę, że to ją widziałam w zamieci, parę miesięcy temu. Umysł płatał mi figle. Kobieta z uśmiechem kiwa mi głową, po czym pakuje dzieci do auta i odjeżdża.

Zmierzając w stronę Chalcot Square i uroczych ławeczek stojących pod drzewami orzechowymi, myślę o Electrze. O tym, co powiedziała Jenny swojej ostatniej nocy. Są jak dzieci. Uczą się od ciebie.

Im dłużej zastanawiam się nad całą tą historią, tym wyraźniej dostrzegam, jak wiele elementów było starannie zaaranżowanych, zainscenizowanych i zapożyczonych. Myślę, że Electra szybko uczyła się z moich podręczników do pisania scenariuszy i filmów, które oglądałam. Brak moralności i dziecięce okrucieństwo sprawiły, że używała ich, by mnie terroryzować. Obraz mnie samej stojącej w rogu, twarzą do ściany? To z Blair Witch Project, jednego z moich ulubionych filmów. A wysłanie mnie, żebym biegała po śnieżnym labiryncie Regent's Park? Lśnienie. Analizując zdarzenia krok po kroku, zdaję sobie sprawę, że kryje się w tym wszystkim jeszcze więcej cytatów i paralel. To głęboka ironia i mam nadzieję, że kiedyś ją zrozumie.

Ale jeszcze nie teraz. Wszystko wciąż jest zbyt świeże – jak dzisiejsza pogoda. Pomimo niemal bezchmurnego, słonecznego nieba pada delikatny śnieg. Z pewnością ostatni w tym roku. Jest w tym coś zastanawiającego, jakieś ulotne piękno. Zatrzymuję się na moment na

kamiennym moście na Regent's Park Road i patrzę na płatki śniegu, które spadają do zimnej, czarnej wody w Regent's Canal.

Jeden po drugim spadają, topnieją i umierają. Przypominam sobie, jak bawiłyśmy się z Jenny, kiedy padało, w Thornton Heath.

Zagram w to jeszcze raz. Nie obchodzi mnie, czy ktoś patrzy. Stojąc w miejscu, wyciągam język jak dziecko i łapię w ten sposób jedną ze śnieżynek. Smakuje jak srebro i smutek, śmiech i strach. Święta, dzieciństwo, tata i gwiazdy. Przestaje padać, a ja ruszam dalej. Wieje chłodny wiosenny wiatr.

Przypisy końcowe

1. Wszystkie utwory Sylvii Plath (z wyjątkiem wiersza Electra on Azalea Path opowiadającego o wizycie na grobie ojca) cytowane są w przekładzie Teresy Truszkowskiej za wydaniem: S. Plath, Wiersze wybrane, Kraków 1992. W powieści cytowany jest również, niewymieniony przez autora, fragment utworu Kobieta Łazarz. [wróć]

Spis treści

Od autora

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42
Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54

Rozdział 55

Rozdział 56

Przypisy końcowe